



Bibulka

2022





Redakcja: Jacek Giżyński, Jan Strękowski

Współpraca: Wiesław Bieliński, Katarzyna Strękowska, Joanna Bachtin

Opracowanie graficzne: Jacek Giżyński

Okładka: Wiesław Bieliński/FOTONOVA

Druk i oprawa:

Czarne Na Białym

ul. Krucza 51/29

00-022 Warszawa

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Wydawca:

Stowarzyszenie Wolnego Słowa

00-626 Warszawa, ul. Marszałkowska 7, tel. (22) 405 66 30

www.sws.org.pl

Wydanie I, Warszawa, 2022

ISBN 978-83-62699-19-3





Bezpieka i buty

Czym jest wolność i kiedy się zaczyna?

Takie pytanie zadała przed kilkoma laty Elżbieta Cieślak.

Powiedziałem wtedy, że dla mnie wolność zaczęła się, kiedy przestałem na ulicy zawiązywać buty. Co robiłem przez kilkanaście lat. Był to sposób na dyskretne sprawdzenie, czy nie ciągnie się za mną „ogon”.

Ten numer „Bibuły” jest właśnie o tym.

Jan Strękowski





Mirosław Chojecki, honorowy prezes Stowarzyszenia Wolnego Słowa kawalerem Orderu Orła Białego.

GRATULUJEMY!

(na zdjęciu rozmawia z drukarzem NOWEJ Andrzejem Górskim)





KARTKA Z PODZIEMIA

Mirkowi Chojeckiemu

Dziś były załatwiania w Warszawie. Najpierw obszedłem urzędy, przyjemności zostawiając na potem. W pierwszym ministerstwie dowiedziałem się, dlaczego formularze wniosków o dotacje urozmaicają ramkami, w których petent kilka razy umieszcza te same informacje. Uprzejme panie urzędniczki wyjaśniły rzecz z tak zwaną rozbrajającą szczerością: – Bo informatyk ma płacone od ramki.

Do drugiego ministerstwa wszedłem po solidnej kontroli. To właściwie przyjemne; sprawdzają człowieka niczym prawdziwego terrorystę. Dopytałem pana w mundurku (na piersi naszywka: Security), co się stało. – Zarządzenie nowej władzy.

Ale w ministerstwie kultury tego zarządzenia nie było. Wiadomo – kultura.

Potem przyszedł czas na deser i przyjemności – kawa u Mirka, w jego polskim „Kontaktie”, zaś deser po sąsiedzku, u Jacka. Mirek przeglądał właśnie cztery grube segregatory, które otrzymał z IPN-u. To kopie dokumentów i raportów, sporządzonych przez pisarzy z ubecji. Mirek, puszczać oko: – Byłaby z tego niezła powieść.

Sporo lat temu, gdy kończyła mi się we Francji wiza gasterbeitera i nad moją pomarańczową betoniarką zaczęło krążyć widmo powrotu, napisałem do niego, czy mógłby pomóc. Nie znaleźmy się wtedy nawet z widzenia. Po tygodniu otrzymałem z Paryża grubą kopertę, w niej pismo do francuskiej paszportowni – że jestem młodym stypendystą i potrzebuję trzech miesięcy dla dokończenia naukowych prac. Do pisma dołączył Mirek kilka egzemplarzy papieru firmowego „Kontakt”, podpisanego in blanco – bym wypełnił, gdyby jego glejt nie poskutkował. Ale poskutkował.

Ach ci donosiciele i inni tajni współpracownicy – cztery opasłe tomy... W bibliotece KUL – mówiłem Mirkowi – pracował był sobie donosiciel z powołania. Pisał notatkę codziennie – ot, punkt w rozkładzie dnia. Kiedy na rynku pojawiły się małe magnetofony, kupił taki za własne pieniądze i nosił w kieszeni marynarki. Po jego pisarstwie zostało tomów pięć – trzy w Lublinie oraz dwa w Kielcach, bo tam panowie esbecy załatwili mu etat. Teraz jego „dzieło” jest nieocenionym źródłem do dziejów mojej Alma Mater.

Smutna to sprawa. Skąd się tacy biorą – z niebytu? Z królestwa much? Z wdzięcznych chłopo-robotników? Gdy rozmawiać z panami kapusiami dzisiaj, twierdzą, że nikomu nie zaszkodzili. Ha, skąd ta pewność, sędziowie we własnej sprawie? Może poczekajcie, aż odezwą się ci, na których składaliście donosy?

– Przecież się nie odezwą – odpowiedział Mirek, wruszając ramionami. – Bo albo nie wiedzą, albo już nie żyją.

Słowa Mefista, o cząstce, która mimo woli czyni dobro, to dla tych gnojzków formułka na zmywanie win.





x x x

Dwa, może trzy lata po tamtym poręczeniu, gdy powróciłem do przerwanych badań betoniarki, siedzieliśmy z Mirkiem nad calvadosem, w niedalekiej od redakcji „Kontakt” café i obgadywaliśmy przerzut do kraju offsetu. Mirek robił to Bóg wie ile razy, miał opracowanych kilka patentów oraz całą armię współpracowników. Wśród nich bardzo sobie chwalił kolejarzy i tirowców... oraz pewnego żeglarza z Les Sables. Zaproponowałem wtedy patent swój, z podgrupy „na żywca”. Przekonywałem, żeby zrobić to też koleją – ale jako bagaż osobisty.

– No co ty – oponował Mirek – maszyna jest metr na metr i waży sześćdziesiąt kilo... Do tego opakowanie. Nie zmieści się w drzwi przedziału.

Nie miałem zamiaru dać za wygraną.

– No to inaczej. Kupię dwa bilety: jeden do Warszawy, zaś na bagaż do Wrocławia. Tam pociąg ma kilkanaście minut postoju – i tam będzie czekać mój człowiek. Załaduje pakę na samochód i drogą lądową dotrze do Lublina. W ten sposób ogamy urządek celny i smutnych panów z resortu. To genialnie proste – przekonywałem.

Mirek się śmiał, kręcił głową, ale w końcu uległ.

Od razu zadzwoniłem do Krzysia. Zgodził się, a nawet ucieszył. Sam robił zresztą podobną rzecz. Zamawiał robotę u człowieka z państwowej drukarni, właśnie we Wrocławiu, ten drukował książkę na nocnej zmianie, a rannym pociągiem wysyłał paczki do Lublina. Krzyś odbierał towar i przewoził na tak zwaną melinę. W biały dzień, swoim samochodem, pod nosem ubecji.

Akcję zaplanowaliśmy na listopad-grudzień. Wróciłem do Lyonu, do milczącej przez dwie dniówki, pomarańczowej jak pomarańcza betoniarki. Cieszyłem się niczym dziecko – że wykonam numer, który przebiję tamte.

Zaczął się okres przygotowań oraz gorączka oczekiwania. W dniu, w którym przyszła wiadomość o transporcie offsetu, dotarł też transport cementu. Orzechy wielka wywrotka z piachem. Wyładowane na górze, zajmowały połowę Chemin du Grillon, uroczej uliczki w podmiejskim Lyonie. Czekano mnie zwiezenie tego w dół. Killkudziesięciu ton. To były cztery dni, od świtu do nocy. Pchanie pustej taczki pod górę stanowiło odpoczynek, kłopot był w tym, by pełną, ciągnącą w dół, utrzymać. Praca jak burłaków, gdy holują barkę pod prąd. Nie myślałem wówczas o offsecie. Jedyne, co mnie zaprzętało, to nie wywalić się na ścieżce razem z workami.

Wszystko zostało zwiezione, można było przystąpić do wylewek. Włączaliśmy betoniarkę o świcie, po naprędce połykanym petit-déjeuner. Pomarańczowa grucha pomrukiwała aż do ciemnej nocy. Napelnione wiadra donosiłem Grzegorzowi, ten wciągał je na drugie piętro. Chrobotanie betoniarki, choć też monotonne, było czymś zupełnie innym niż tamto, do którego przywykłem w drukarni. Tamto było delatorskie, te radosną twórczością na wolnym powietrzu.

Skończyliśmy, zdążyliśmy, strop się nie rozwarstwił. Rano Jean położył szlichtę – błyszcząca niczym kuwertura na makowcu – potem wywiózł nasze ciała na całodzien-





ny odpoczynek. Eksporta ciał kończyła się nad jeziorem – Lemańskim. Padliśmy u wód jak martwi. Raz, tylko raz, przez wzgląd na wieszczów, wszedłem na chwilę do jeziora. Nie głęboko – po kolana. Po czym runąłem obok półżywego Grzegorza.

– O czym-że dumasz nad Lemanem? – spytałem.

– O niczym.

Niezadowolony, drążyłem dalej.

– A teraz? – spytałem po chwili.

– Że sporo tu piasku.

– A teraz?

– Jak wygląda bass wielkogębowy.

– Co?

– Taka ryba. Ciekawe, czy większy niż nasz.

– A o czym myślałeś, wciągając wiadra?

– Zastanawiałem się, co będzie, gdy nie trafię w linę.

Wtedy pomyślałem o kontrabandzie. Co się stanie, jeśli się nie uda. Jeśli mnie złapią. No cóż, pójdę do paki – czyli nic takiego. Siedzi tyłu, mogę posiedzieć i ja. Szkoła tylko będzie offsetu; nasz był już zupełnie zdezelowany.

Ale uda się. Musi się udać. Komuchom nie przyjdzie do głowy, że można mieć taki tupet.

x x x

Wróciliśmy do Lyonu pod wieczór. Ledwie zdążyliśmy się rozpakować, zadzwonił Mirek. Że są gotowi do tak zwanej realizacji pierwszego, banalnie prostego etapu. Skrzynię z maszyną miał przetransportować Tomek.

Po kilku dniach drugi telefon. Że pociąg dotrze na Lyon Part-Dieu o tej a o tej.

Na godzinę przed przyjazdem znów telefon. Dzwonił Tomek, z jakiejś stacji między Chalons-sur-Saone a Macon. Że go wysadzono z pociągu.

Trzy godziny później, przygnębiony i skonfundowany, opowiadał szczegóły banalnie pros – tego etapu. Że zapakowali offset i pojechali na Gare de Lyon. Na dworcu okazało się, że w TGV nie ma wagonów towarowych, zaś do przedziału nie mógł wziąć, bo pakiet tarasował przejście.

Zapakowana po polsku maszyna stanęła więc na platformie wejściowej. Tomek wychodził co jakiś czas sprawdzać, czy wszystko w porządku. Za którymś razem zapalił papierosa. Nie zdążył się dobrze zaciągnąć, gdy pojawili się panowie z pociągowej sekuryty (sécurité). Zaalarmowały ich czujniki – że palą się przewody elektryczne. Tomek był palaczem ekstra mocnych bez filtra.

Wtedy panów zainteresował bagaż. Owinięty w różnej maści folię, oklejony na krzyż taśmami, wyglądał bardzo podejrzanie – jak co najmniej bomba. Tomek próbował tłumaczyć coś w łamanej francuszczyźnie – że to Pologne, że Solidarité oraz Jean Paul





II. Szło mu topornie. Nie czekając na eksplozję, sekuryty zatrzymały pociąg. Wysadziły polskiego działacza contre le regime na tory. Stał Tomek między szynami, a pociąg odjeżdżał. Z okien patrzyły zaciekawione twarze pasażerów. Tak to zaczął się realizować sen o wytyczeniu nowego szlaku przerzutu.

x x x

Wracałem do Polski na święta. Kasia z Jeanem zdecydowali wielkodusznie, że odwiozą mnie swoim fordem do Frankfurtu. Granica z Niemcami nie powinna sprawiać kłopotu, jednak na wszelki wypadek zabrali w drogę małego Cypriana – że to rodzinny wyjazd na Weihnachtstfest.

Wyruszyliśmy głęboką nocą, dojechali pod Hauptbahnhof, zanim zaświtało. Polski pociąg już czekał. Wspólnymi siłami zataszczyliśmy na peron sześć większych i mniejszych waliz, w tym paczkę olbrzymią, z offsetem. Piąta waliza to proszek do prania, w pozostałych ciuszki dla dzieci, pomarańcze, czekolady pod choinkę oraz cztery słodki Moutard de Dijon. No i pugilares pełen wielkich jak płachty pięćsetek. W ciuszki wcisnęła Kasia misia kiki. – To maskotka na szczęście – powiedziała.

Dokupiłem bilet na bagaż, pan kolejarz („Miło pogawędzić w ojczystej mowie...”) pomógł wtaszczyć pakę do wagonu towarowego. Zająłem miejsce w przedziale, wciskając się między obładowanych rodaków. Pociąg drgnął i wycieczka gasterbeiterów ruszyła w stronę Vaterlandu.

Pierwszy postój wypadł w miasteczku Fulda, drugi w szczerym polu, na tak zwanej granicy niemiecko-niemieckiej. Wysokie i niższe lampy rozświetlały z całą mocą gru dniowy mrok socjalizmu, wzdłuż wagonów chodzili enerdowncy z enerdownskimi psami. Nie można było wyjść na papierosa, co dopiero spacerować. A bardzo mi się chciało zobaczyć, jak ma się bagaż. Trudno, zobaczę pakę w Dreźnie.

No i rzeczywiście zobaczyłem. Ale gdy przysunąłem oko do szpary, zobaczyłem też, że jest to jedyny bagaż w całym wagonie. Nikt z rodaków nie miał ochoty pozbywać się w tak lekkomyślny sposób z trudem zarobionych marek. Paka wyglądała groźnie i tajemniczo. Tkwiła w półmroku, w pobliżu drzwi, monumentalna niczym stonehenga.

Po przekroczeniu Odry pojawił się na polach śnieg. Czekałem na Wrocław – a we Wrocławiu czekał Krzyś. Nie widziałem go okrągły rok. „Zadzwoń od razu do Mirka, mówiłem do niego w myślach, że wszystko poszło jak po maśle”.

Pociąg był już na przedmieściach. Tam, we Francji zielono, a u nas pełna zima – myślałem, próbując nadążyć za przesuującym się krajobrazem. Mijaliśmy ogródki z rachitycznymi domkami, jakieś zakłady, oświetlone skąpym światłem uliczki i zasypane drogi. Za chwilę pojawiły się bloki. Był to krajobraz bez ładu i składu. Jakby ktoś stawiał to wszystko w przekonaniu, że niedługo, gdy puści mróz, oczyści kilkoma spychaczami teren i zacznie wszystko od nowa.





Pociąg zadudnił na moście. Za nim zaczynało się miasto. W dali przejeżdżał dzwoniący ostrzegawczo, pusty tramwaj, w wylocie ulicy błysnęły lampy jednego i drugiego samochodu. Zaspane, posuwały się ostrożnie do przodu, mieląc kołami śnieg. Omiotły światłami kamienice i zniknęły za zakrętem. Nie minęło dziesięć minut, gdy lokomotywa wtoczyła się pod tubę peronowej hali. Stojąc na korytarzu, wyglądałem Krzysia przez oszronione okno. Ale pociąg jechał za szybko, nie udało mi się wyłowić go ze skąpej grupy oczekujących.

Wagony się zatrzymały, lokomotywa westchnęła. Zszedłem po oblodzonych schodkach i rozejrzałem się po peronie. Przykryci czapami, okutani szalikami ludzie poprawiali kołnierze kurtek, stukali butem o drugi but, nad ich głowami unosiły się ścinane mrozem obłoczki. Krzysia jeszcze nie było. Pewnie szuka miejsca do zaparkowania – myślałem. Musi zatrzymać się blisko wyjścia, by nie taszczyć offsetu przez pół miasta. Najlepiej, gdyby zorganizował wózek, ale nie na każdej stacji są, zaś jeśli, to pilnują ich bagażowi. Zajrzałem do towarowego. Pakunek stał. Sam jeden. Tyle, że przesunął się w czasie jazdy do rogu.

Do odjazdu zostawało całe siedemnaście minut. Ma prawo się spóźnić, bo to kawał drogi – myślałem. Zapaliłem papierosa; pierwszy papieros i pierwszy kaszel. Przyszło mi do głowy, że może Krzyś pomylił perony, choć było to prawie niemożliwe. Zresztą gdyby tak, widziałby nasz pociąg z każdego miejsca.

Czas się kurczył, mieliśmy na akcję już tylko dwanaście minut. Zapaliłem drugiego camela, smakował lepiej. Tłum przeredził się i zniknął w podziemnych przejściach, po peronie spacerowała dwójka sokistów. Wierząc, że to spóźnienie, ruszyłem Krzysiu naprzeciw, do głównej hali. Była pusta. Koło kasy jakaś para, na betonowej ławce zawinięty w szary łachman kłozard. Krzysia ni śladu. Zawieszony nad wyjściem zegar, większy niż moja betoniarka, wskazywał pierwszą. Strzałka drgnęła niczym noga insekta; odjazd za cztery minuty.

Coś musiało się stać – ale co? Chyba nie wpadka, na to był Krzyś za ostrożny. Pewnie coś z samochodem, to przecież szmat drogi. Innych myśli wolałem nie dopuszczać. Tak czy siak, zostałem sam. Ha, zaplanowaliśmy wszystko – tylko nie to. A kombinacja była tak genialnie prosta, że nie potrzebowała wersji zapasowej.

Oglądając się ciągle przez ramię, wbiegłem na peron. Konduktor trzymał w ustach gwizdek, zawiadowca podniósł lizak.

x x x

Szedłem do przedziału jak do Rawicza. To nie przedział był, a cela. Zasunąłem drzwi, klapnąłem na miejsce. Pozostały cztery godziny, by coś wymyślić. Tak, byłem w dziurze, zaś dziura czarna. Będzie za pakę paka, trudno. Mniejsza o mnie – szkoda offsetu. Bo nasz już do cna zdezelowany.

Zapraгнаłem, aby pociąg się spóźnił. Ba, mógłby mieć awarię i stanąć w polu – albo mógłbym zostać wysadzony z kontrabandą na pierwszej lepszej stacyjce. Na środku





torów, w Skalmierzycach czy Ociążu. Wszystko, tylko nie Warszawa. Bo tam, ukryci w pomieszczeniach Centralnego, przepuszczali świat przez sito panowie z celnego. Razem z nimi czekali na komorze smutni resortowi.

Za Kaliszem konduktor rozsunął drzwi, zapalił światło. Wtedy przypomniało mi się, jak Mirek wychwalał kolejarzy. Przewozili w wagonach i pod wagonami, za forszę i za darmo. Tirowcy podobnie, zaś przyjaciel żeglarz podpływał głęboką nocą do wybrzeża, gdzie czekali tacy jak Krzyś. To był impuls – to była myśl! A w niej nadzieja. Wyszedłem na korytarz, wyprzedziłem pana i przyciśniłem się przy toalecie. Gdy mnie mijali, zagadałem otwartym tekstem. Że wiozę kontrabandę, no i chciałbym uniknąć cła. Spytałem, czy może mi pomóc w rozwiązaniu problemu.

Słuchał, taksując mnie od stóp do głów. Poczęstowawszy camelem dodałem, że oczywiście za stosowną gratyfikację.

Pan konduktor westchnął. I od razu się stropił.

– Klucz bagażowy ma kierownik składu, trzeba z nim... Gdzie pan siedzi?

– Pośrodku.

– Proszę wrócić na miejsce i czekać – dodał, zmieniając ton na służbowy. Wróciłem do przedziału, zgodnie z instrukcją. Zapadłem w sen, twardy jak sen skazańca.

Ktoś dotknął mojego ramienia. W drzwiach stało dwóch panów z kolejowej drużyny.

– To ten – odezwał się pan konduktor, wskazując na mnie palcem. Po czym cofnął się, robiąc miejsce drugiemu.

Wyszedłem na korytarz. Teraz mogłem przyjrzeć się drugiemu. W klapę miał wpięty identyfikator „Kierownik pociągu”, biała koszula była przyozdobiona czerwonym krawatem. W nim tkwiła szpilka w kształcie główki. To była główka Lenina.

– Proszę do służbowego – odezwał się pan z główką. – Proszę wziąć ze sobą dokumenty.

Wiedziałem, że nie mam wyboru. Wóz albo przewóz. Jeśli wtopa, wigilię spędzę pod celą. Czekoladą i musztardą podzielią się panowie celnicy. Będzie pod choinkę, jak znalazł.

Zasiedliśmy w służbowym – ale tylko dwaj. Konduktor spełniał swoje czynności.

– Słucham pana – zaczął kierownik w czerwonym z główką.

Przedstawiłem sprawę troszkę szerzej. Że wiozę elektronikę do telewizorów i chciałbym uniknąć cła... – zawiesiłem głos.

Pan kierownik podrapał się za uchem.

– Problem w tym, że to jedyny bagaż... – rzekł nowym głosem. To był ton wspólnika. – Zróbmy tak... Pan napisze własnoręcznie oświadczenie, że nie zgłasza do kolei żadnych pretensji w związku z zagubieniem przesyłki.

– Dobrze.

– Poproszę o bilet i paszport.

Oddałem bez słowa.

– Zwróć panu na Wschodniej, razem z przesyłką.





- Dobrze – westchnąłem. Zabrałem się do pisania. Skończyłem, podałem.
- Dobrze – powiedział mój pan, wkładając pismo między kartki rozkładu jazdy. Po czym podniósł oczy i popatrzył na mnie wzrokiem, o którym trzeba powiedzieć, że był wyczekujący.
- Ach... – zachnąłem się. Wyjąłem pięćsetkę i położyłem na służbowym stoliku. Nie miałem drobniejszych. W przeliczeniu na dolary to okrągła setka.
- Pana kierownika trochę przytknęło.
- Tto ile pan musi na tym mieć?...

x x x

Pojawił się jeszcze raz, na krótko przed Wschodnią, dał znak przez szybę.

- Będą czekać na pana pomocnicy – powiedział, wręczając paszport i bilety. I zniknął.

Wytargałem walizy z przedziału – proszek do prania, ciuszki dla dzieci, vigantol, poma – rańcze, czekolady, słoiczki musztardy z Dijon – i jedna po drugiej zataszczyłem pod wyjściowe drzwi.

Wreszcie można było odetchnąć. Dotarło do mnie, że główka w krawacie to kamuflaż, bo kto w czasie junty mógłby się obnosić z silhouette Lenina? Głupiec ze mnie większy niż można się przyznać.

Było ich trzech, pomocników z wózkiem – trzech burłaków. Z takim, o jakim marzyłem we Wrocławiu. Okutani w łachy kloszardów, spieszyli w stronę wagonu. Na ich twarzach jaśniał uśmiech. Widać było, że zaczęli już świętować narodzenie dzieciątka. Dwóch trzymało się dyszla, trzeci – kierownik bez plakietki – szacował mnie wzrokiem rodowitego warszawiaka. Wyładowali walizy, nie pozwalając mi się nadwerężyć. Ślizgając się po peronie, pociągnęli w stronę towarowego.

Wagon był otwarty, przy nim nikogo. Jeden z burłaków wskoczył do środka, przesuwał kontrabandę na brzeg, dwaj przenieśli na wózek.

- Dokąd? – spytał kierownik.
- Problem w tym, że mam pociąg o siódmej trzydzieści...
- Dokąd? – dopytał pan kierownik.
- Do Lublina.

Podrapał się w ucho.

- Nie ma problemu – powiedział. – Przechowamy pański bagaż w bezpiecznym miejscu.

Załadowany dobrami pojazd ruszył. Minęliśmy budkę zawiadowcy i szliśmy dalej, aż do miejsca, w którym peron zamieniał się w towarową rampę. Na jej końcu, przy betonowym bunkrze z pomalowanymi na stalowo drzwiami, panowie zatrzymali się. Kierownik wyjął zza pazuchy coś na kształt wytrycha, otworzył wrota – w środku czekała winda.

Zjechaliśmy dwa piętra w dół, do ciemnego jak noc westybulu. Jeden z panów przekroczył kontakt, oświetlił niebieskimi przejściami. Wyglądało mi to na bunkier przeciwo-





mowy. Ruszyliśmy w prawo. Szedłem z tyłu, wsłuchując się w wizg opon i głośne oddechy ciągnących.

Skręcaliśmy nie wiem ile razy – to w prawo, to w lewo, zapalając w labiryncie coraz więcej świateł. W jednym z korytarzy było kilka metalowych drzwi, numerowanych i opstrzonych napisami. Były to wpisy zróżnicowane. „Tu ruchałem Kamę, kurwę z ul. Faraona” – głośił pierwszy z brzegu. Następny był patriotyczny: „Junta juje”. Obok napisu solidarnościowa kotwica, zaś poniżej uzupełnienie: „Biada zdrajcy”. Na kolejnych czyjaś ręka ograniczyła się do pisma obrazkowego, malując kredą obupłciowe genitalia. Potem starannie narysowana poczwara, z ostrzeżeniem: „Duch twój nie zazna spokoju.” Oto podziemie, o którym nie mamy pojęcia – pomyślałem. – Swoją drogą, niezły kawał tę Kamę włókl.

Szliśmy i szliśmy. Przez chwilę można było odnieść wrażenie, że przejścia układają się w kształt podkowy, potem że gdzieś blisko słychać szum wody, ale przecież nie mogła to być Wisła. Ta znajduje się ładnych parę kilometrów od Wschodniej, musiał to więc być odkręcony kran lub po prostu złudzenie. Moje złudzenie, zmęczonego umysłu. Od dawno nie wiedziałem, gdzie jesteśmy. Czy pod peronami, czy pod betonową piramidą dworca.

Szliśmy dalej, w ciszy wypełnionej skrzypieniem naszego rydwanu. Mijaliśmy leżące w beładzie sterty cegieł, natrafiliśmy też na zdezelowany wózek, taki jak nasz. Po drodze stały beczki ze złotym piaskiem, najwidoczniej przeciwpożarowym, potem znowu cegły, tym razem szamotki, ułożone pod sufit. Znowu wydawało mi się, że słyszę wodę, potem że idziemy zygzakiem, że strażnicy labiryntu chcą, abym stracił orientację i bez ich pomocy nie mógł trafić.

Wtedy dotarliśmy do pomieszczenia bez światła, na końcu ślepego korytarza. Było ciemne niczym opuszczony przez hitlerowców bunkier.

Wróciliśmy na powierzchnię inną drogą, o wiele krótszą.

– Tam będzie bezpieczny – odezwał się szef. – Bądź pan o siódmej. – I zasalutował.

x x x

Było kilka minut przed piątą, nie wypadało do kogokolwiek dzwonić. Zresztą, nim bym dojechał, musiałbym wracać.

Poszedłem do głównej hali. Była pusta jak wrocławska. Nie było też gdzie sięść, bar i poczekalnia pozamykane. Przycupnąłem na wąskiej desce obok kaloryfera.

Wtedy uświadomiłem sobie, co się stało. W jakiej jestem sytuacji. Oto nie miałem nic, co świadczyłoby, że oddałem bagaż. Nic, żadnego kwitu. Co więc będzie, jeśli panowie burfacy się nie pojawią? Mogą przejąć całą kontrabandę. Pójdę wtedy ze skargą do dyżurnego czy na milicję?

Czekanie nabrało gęstości. Będą czy nie, wyjdą na peron czy nie wyjdą?

Zobaczyłem ich z daleka, czekali przy drzwiach windy. Przywitałem się wylewnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi. Zjechaliśmy do podziemia.





Tym razem droga trwała krótko – tyle, ile powrotna. Panowie przenikali do kolejnych korytarzy jak przez ścianę. Wózek był na swoim miejscu.

Wyjechaliśmy na peron, pociąg już stał. Podjechaliśmy pod pierwszy wagon.

x x x

– Zdarzyło się coś jeszcze... – mówiłem do Mirka. Siedzieliśmy w café obok paryskiego „Kontakt”, sączyliśmy calvadosa, a ja snułem opowieść o genialnym przerzucie. – Pomogli wtaszczyć do przedziału walizy, ale offset nie przechodził przez drzwi. Postawiliśmy go przy wejściowych.

– Jak Tomek w TGV.

– Mam jeszcze coś na deser – zacząłem. – Nim panowie odjechali, z drugiego końca składu przybiegł konduktor. Biegł prosto do mnie.

– Co to za paczka? – spytał zdyszany, wskazując na stojące przy wejściu koromysto. Rozłożyłem ręce.

– Nie mieści się w przedziale.

– Stojąc na platformie blokuje pasażerom wejście – wyrecytował. – Przesyłki o niernormatywnej kubaturze należy umieszczać w wagonie bagażowym”.

– Ale ten skład nie ma takiego.

– Należy nadać na pociąg, który posiada – poinstruował. Po czym wyjął bloczek.

– Wypisuję mandat w wysokości stu złotych – mówił, kreśląc na kwicie zgrabne kulfony. – Płatność w ciągu siedmiu dni.

– No to rzeczywiście deser – uśmiechnął się Mirek. – Świąteczny.

– Mam jeszcze coś.

– Tak?

– Głupia sprawa – zacząłem, opóźniając, jak tylko się dało. – Wiesz, gdy przyszło do zapłaty, zorientowałem się, że nie mam złotych. Tylko franki, w pięćsetkach. Poza tym zaskórniak, dziesięć dolarów.

– No i...?

– Dałem im tę dychę.

Mirek milczał.

– No i...? – zapytał po chwili.

– Szef wziął, obrócił w palcach. Spojrzał na kumpli, potem na mnie.

– No i...?

– Splunął w śnieg. „Chodźmy, panowie” – powiedział. Odwrócił się i ruszył. Oni za nim. Ale nim odeszli, też splunęli. Ciężką złotówką. A ja patrzyłem na ich zgięte plecy. Było tak, jakby nie w śnieg pluli, a w moją twarz.

Mirek patrzył na blat. Zapaliłem, położyłem zapalniczkę obok paczki.

– Wiesz... – odezwałem się z ociąganiem – to było dziwne.

– Co?



- Gdy klient wypisywał mandat, burłacy byli niedaleko.
 - No i...?
 - Dałbym głowę, że to ich robota. Stali i się śmiali. W głos.
- Mirek sączył calvadosa.
- Naprawdę nie miałem inaczej. Dziesięć gołych dorców.
 - Starczyło na pięć butelek.
 - Miałem tylko dychę.
 - Pięć na trzech, nie ma jak podzielić – rzucił, zaciągając się camelem.
 - Nie chciałem ich wykiwać. Wierz mi, sam jestem burlakiem.

Mirek odsunął kieliszek, rozprasował na blacie banknot i wstał. Oparł dłoń na moim ramieniu.

– Stary, co mam ci powiedzieć? Że trzeba było dać pięć? Przecież bym ci, kurwa, zwrócił.

Bernard Nowak

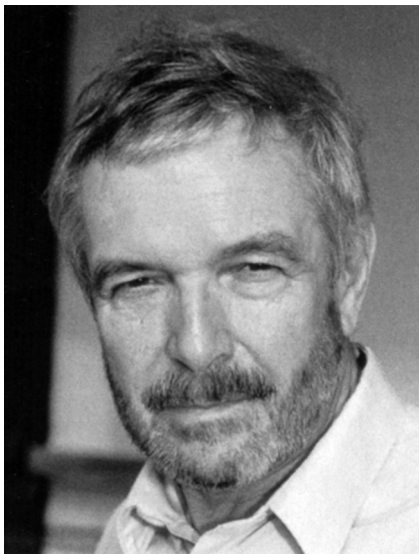


bibula

Pożegnania

15





Jacek Arct 1939-2022 r. chemik, pracownik Politechniki Warszawskiej i twórca Wyższej Szkoły Kosmetologii. Współpracownik KOR, ROPCiO, drukarz i wynalazca urządzeń drukarskich, współtwórca działającego w I.70 Wydawnictwa Archiwum. Uczestnik akcji remontu maszyn drukarskich dla „Solidarności” (Norwegia). W stanie wojennym w Grupach Oporu i Armenii (produkcja materiałów pirotechnicznych).





Jacek Arct

1939 – 2022

Dlaczego?

Przełomem, na początku lat siedemdziesiątych, był mój prawie dwuletni pobyt w Irkucku na Syberii. Pojechałem tam, ponieważ nie wypuszczono mnie na Zachód, na stypendium. Pojechałem do Irkucka. Dalej w ZSRR już nie można było nigdzie pojechać. Spędziłem tam zresztą niesłychanie piękne prawie dwa lata. Ale równocześnie zobaczyłem do czego prowadzi to, co mamy w Polsce. Zobaczyłem te parę kroków dalej, które były naprawdę koszmarnie.

Bo tam było już widać wszystko. Tam się widziało rzeczy, które nam z naszej polskiej perspektywy, nie mieściły się w głowie. Poczynając od braku jedzenia, poprzez kobiety – więźniarki pracujące przy asfaltowaniu ulic w mieście, więźniów, którzy w lodowatej wodzie po piersi przepychali tratwy z drewnem na wyładunku. Zrobiło to na mnie niesłychane wrażenie. W takim porcie, gdzie jakimś statkiem, nielegalnie zresztą się znalazłem, na Bajkale. Był wczesny ranek, podnosiły się mgły nad górami. I to był pejzaż obozów.

To był główny port przeładunkowy drewna i tam się ciągnęły obozy na szerokość ujścia rzeki. Szeroka dolina i to co się widziało, to były druty, wyżki, czyli wieżyczki strażnicze i nic więcej. I po tym wszystkim wróciłem do Polski, do tej Polski bogatej, niezłej, gierkowskiej. Takiej optymistycznej w pewnym sensie, prawda? Siedemdziesiąty czwarty rok, było takie odprężenie w tym wszystkim. A ja tu u nas już widziałem po prostu dalszy ciąg tego wszystkiego.

Początki

Chyba pod koniec 1975 roku trafiłem przypadkowo poprzez Stefana Zbrożynę na Wojtkę Ziemińskiego. Ja wtedy sporo fotografowałem i Wojtek mnie wciągnął w akcję, która wydawała się właściwie bez znaczenia a miała niesłychane znaczenie, czyli w organizowanie mszy patriotycznych. Moja rola polegała na tym, żeby z przyniesionego przez Wojtkę negatywu odbić pewną liczbę fotograficznych odbitek, takich klepsydr zawiadamiających o mszy. No i potem, zresztą z tymże Wojtkiem Ziemińskim w nocy, pod strachem, trzeba było rozkleić to gdzieś w pobliżu kościołów.

Od tego się zaczęło. Potem po jakimś czasie przyszły pierwsze działania, trudno powiedzieć, że drukarskie. Bo fotograficzne powielanie pisemka, które się „Opinia” nazywało. Jeden, drugi, trzeci numer fotograficznie, a potem zaczęliśmy szukać jakichś innych technik. Zaczęło się wszystko rozwijać, był KOR. Miałem kontakt z Mirkiem Chojeckim. Nie wszedłem w to KORowskie środowisko, natomiast cały czas z nim współpracowałem. To się stopniowo rozwijało. I właściwie najważniejsze w tym było to, że było lżej oddychać.





Wydawnictwo Archiwum

Myśmy stwierdzili, że trzeba zacząć uprawiać to, co obecnie byśmy nazwali pijarem a wtedy nazywało się propagandą, w oparciu o pewne założenia. Mianowicie, zacząć kształcić młodzież podając informacje, które nie będą zbyt daleko odbiegały od tych informacji oficjalnych, które są. Dzięki temu będą bardziej wiarygodne. Przy czym oczywiście chodziło o informacje jak najbardziej prawdziwe, takie z niedalekiej przeszłości. Na przykład wydaliśmy przedmowę do „Rozmów z Katem” Kazimierza Moczarskiego. Wydaliśmy „Dziennik Węgierski” Wiktora Woroszyłskiego. Wydaliśmy cykl przedruków z „Życia Warszawy” z 1956 roku, z okresu Rewolucji Węgierskiej. Staraliśmy się opierać na źródłach łatwych do sprawdzenia. W ten sposób wydaliśmy kilkanaście pozycji sygnowując je jako Wydawnictwo Archiwum.

Wynalazki

Był problem matryc. No więc kombinowaliśmy jak robić matryce. To były zupełnie szaleńcze pomysły, włącznie z pomysłem pisania na maszynie bez taśmy na folii aluminiowej, pod którą był podłożony drobny papier ścierny. To dawało dziurki w tej folii i potem powstawała przesączalna matryca. Jednym z ciekawszych rozwiązań była matryca robiona z papieru kredowego, w którym pisząc na maszynie bez taśmy, na odpowiedniej miękkiej podkładce wyciskało się litery, następnie całość nasączało się parafiną, następnie parafinę wywabiło się przy pomocy żelazka i bibuły z wypukłości, i w ten sposób powstawała znakomita matryca przesączalna dla farb wodnych.

I właściwie to była metoda doskonała. To co nam nie wyszło, a co później dopiero zrozumiałem, to farba, której używaliśmy. Trzeba było zmienić lepkość farby.

Drukowanie polegało na tym, że do płyty szklanej przyklejało się arkusz tkaniny, dość grubej, typu tak zwanego sukna. Czyli tkaninę wełnianą grubości dwóch, trzech milimetrów. To się nasączało farbą drukarską równomiernie, mocowało się na tym matrycę, następnie na matrycę kładło się arkusz papieru i po arkuszu papieru przejeżdżało wałkiem. Wtedy farba przesączała się przez matrycę, wychodziła na wałek.

Z tym się wiąże zresztą trochę śmieszna historia. Używaliśmy wtedy farb chyba offsetowych, bardzo gęstych. Wobec tego, żeby farbę przecisnąć potrzebna była duża bardzo siła nacisku. I zamiast rozcieńczać farbę, to myśmy jak ostatni debile zwiększali nacisk zwiększając ciężar wałka. W końcu doszliśmy już do wałków ponad piętnastokilogramowych, które raczej służyły tylko do wyrabiania mięśni. Natomiast dopiero później zaczęliśmy farbę rozcieńczać, robić farby o odpowiednich parametrach.

I to była technika kocykowa. Bardzo wydajna. Jej wadą było to, że co jakiś czas trzeba było zdjąć matrycę i od nowa kocyc nasączyć farbą.

To było bardzo wydajne, ale dawało troszkę nieczytelne odbitki, niekiedy rozmywały się litery. Próbowaliśmy konstruować powielacz. Brakowało nam jakiegokolwiek mechanika w naszym gronie, więc te nasze konstrukcje powielaczowe były dość śmiesz-





ne. Między innymi mieliśmy powielacz zrobiony z jakichś rur kanalizacyjnych chyba, ale bez podajnika. I podajnikiem był człowiek, dodatkowa osoba. A żeby było widać, kiedy się podaje, na bębnie była czerwona kreska. I to doprowadzało podającego do zupełnego obłądu. Mniej więcej po dwudziestu minutach takiego podawania, wkładania papieru i wpatrywania się, kiedy pojawi się, to był kawałek czerwonego papieru czy farby, już nie pamiętam, człowiek miał zupełny obłąd w oczach, migotało mu tylko cały czas to czerwone.

Norwegia

Pod koniec lat siedemdziesiątych wyjechałem na stypendium do Norwegii. Trafiłem na Andrzeja Jachowicza. Wiedziałem czym on się zajmuje. Wiedziałem, że jest tam Solidari-tet Norge Polen i po prostu zaproponowałem, że chętnie w czymś pomogę. Jacyś chłopcy od Jachowicza jeździli po Norwegii, skupowali stare mniej lub bardziej zdezelowane maszyny drukarskie. To wszystko zjeżdżało do takiego małego warsztatu zajmującego się chłodziarkami, w którym to warsztacie Andrzej pracował. No i nasze zadanie (byłem tam z żoną, Marylą Floryńską) polegało na tym, żeby przyjść o godzinie ósmej, czasami dziewiątej wieczorem i siedzieć przez ileś godzin, rozkręcać to wszystko, zmywać z farby drukarskiej, odkręcać mniej lub bardziej zaschnięte i zardzewiałe śruby, czyścić to wszystko i składać po czyszczeniu. Nawet, prawdę mówiąc, nie sprawdzaliśmy czy to działa. Pamiętam ten okres jako czas roboty straszliwie brudnej, gdzie problemem było jak się domyć po tym wszystkim. Ale te maszyny, wiedzieliśmy, idą do Polski.

13 grudnia

Pojechałem na Politechnikę, gdzie było trochę ludzi. Ktoś w gmachu głównym z komisji wydziałowej „Solidarności” powiedział: „Słuchajcie, trzeba jechać na Mokotowską, bo tam jest trochę sprzętu, może uda się coś odzyskać.” No i zawiązała się ad hoc taka grupka, czterech, pięciu. I kierowca politechnicznej Nyski, taki młody chłopak. Absolutnie nie wiem, kto to był, nawet nie pamiętam, kto brał udział w tym wszystkim. Pojechaliśmy na Mokotowską pod siedzibę regionu „Solidarności”, tam już przedtem oczywiście było ZOMO. Wszystko, co się dało, poniszczyło. Kręciło się tam mnóstwo ludzi, myśmy po prostu weszli do budynku, zaczęliśmy przeglądać co jest, wynosić. Przede wszystkim sprzęt pod kątem druku. Dopchaliśmy tę Nyskę papierem maszynowym. I pojechaliśmy na Politechnikę. Po drodze nagle pojawił się za nami duży Fiat, czyli Fiat 125p, z czterema smutnymi w środku. Ślisko jak cholera, oczywiście żadnych opon zimowych nie było wtedy. Zgubić ich się nie udało, ale troszeczkę nasz kierowca wyprzedził ich. Podjechaliśmy od strony ulicy Koszykowej pod Politechnikę. Jeden z kolegów wyskoczył, coś powiedział do portiera, portier otworzył bramę, myśmy wjechali od razu głęboko w teren, portier zamknął bramę i uciekł. I dosłownie ledwo zdążył zamknąć tę bramę, pod bramą pojawił się rzeczony Fiat.





Stan wojenny

Szedłem ulicą, gdzieś w okolicy ówczesnego placu Dzierżyńskiego, wypchany bibułą w sensie dosłownym, to znaczy miałem za spodniami z przodu i z tyłu po grubej paczce czegoś, już nie pamiętam czego. I nagle dwóch panów wzięło mnie delikatnie pod rękę i zaprowadziło w boczną uliczkę, gdzie okazało się, że stoi kilka samochodów i rząderek takich jak ja, których po prostu starannie rewidują. Zrobiło mi się nie-miło oczywiście, a to był jeszcze okres początkowy, kiedy ciągle się słyszało, że ktoś za kolportaż dostał pięć lat, dziesięć lat i tak dalej. Po czym kazano mi otworzyć torbę, którą miałem. W torbie oczywiście nie miałem nic, ale miałem w torbie próbki jakiegoś proszku do prania, bo ja wtedy już jakieś chałtury robiłem z tym związane. W takich plastikowych torebkach. Bezpieczniacy się tym niesłychanie zainteresowali. „Co to jest?” Ja powiedziałem: „Próbki proszku do prania. Jestem uczonym, wynajduję proszki.” Kazali otworzyć, niesłychanie ostrożnie. Jeden nawet powąchał, nie pachniało i to im się nie podobało, bo proszek do prania powinien pachnieć. I wyglądało na to, że mnie z tym proszkiem przyskrzynią, wsadzą do suki, bo jakiś proszek tajny.

Ale w końcu przypałał się starszy stopniem UBek, który na to popatrzył, obejrzał moją legitymację z Politechniki. I krótko powiedział mi: „Skurwysynu, już cię tu nie ma.” Co ja wykonałem. Wsiadłem do tramwaju. I tak sobie jadę tym tramwajem, dojeżdżam do placu Wilsona, chcę wysiąść. I okazuje się, że nie mogę. Po prostu czuję się tak, jakbym miał całkowicie sparalizowane nogi. Nie jestem w stanie wstać. Wylądowałem gdzieś na jakichś dalekich Bielanych. I dopiero wtedy wyszedłem. To jest właśnie klasyczny przykład strachu,

Po co to wszystko?

Nie, nadziei z tym wszystkim nie wiązaliśmy żadnych. Od początku byliśmy przekonani, że to jest działanie obliczone na przetrwanie. Na przetrwanie pewnej myśli, na przetrwanie tego, co można nazwać fermentem w społeczeństwie. Nigdy nam nie przyszło do głowy, że tak szybko dojdzie do zmian. Właściwie nie wierzyliśmy w to, że to nastąpi za naszych czasów. Nie było za tym żadnej wielkiej ideologii. Jediną ideologią było to, że musi przetrwać myśl niezależna w społeczeństwie bo inaczej społeczeństwo umrze. Ale to był czysty egoizm z mojej strony. Ja to robiłem dla siebie. Z potrzeby własnej duszy, a nie dla wielkich celów, czy jakichkolwiek korzyści.

Nagrałem kiedyś trochę opowieści Jacka. Nie ma tam opowieści o jego współpracy z Grupami Oporu czy tajną komórką „Solidarności” podziemnej, czyli Armenią. Ta działalność jest najbardziej pamiętana, tak jak jego pseudonim konspiracyjny „Chemik”. Jacek jako chemik uczestniczył tam w produkcji przeróżnych koniecznych dla działalności podziemnej chemikaliów, o czym nigdy szczegółowo nie mówił, nawet po latach.

Ja pamiętam jego uboczną produkcję. Otóż w 1982 roku otrzymaliśmy (redakcja „Tygodnika Wojennego”) prezent od Jacka. Było to kilka litrów bimbrow, czystego, bez domieszek powodujących ból głowy, wyprodukowanych przez fachowca – chemika, znawcę reguł prawdziwej sztuki bimbrowniczej.

(not. js)





WOJEWÓDZKIE KOLEGIUM
KARNO-APELACYJNE
przy Państwowym Urzędzie Sądowym
w m. st. Warszawie
Pl. Długosza 10-11 (Sąd
administracyjny)

ORZECZENIE — POSTANOWIENIE Odpis

Nr rej. 374/68

Kolegium w składzie:
Przewodniczący: *Kopinski Henryk*
Członkowie: *Stelmasz Wiktor*
Beni Szerszaw

po rozpoznaniu w dniu 17 lutego
ob. *Kretkowski Sławomir*
urodzonego(e) 2 VI 1947 r. syna (córki) *Włocza* 1968 r. sprawy
przez obrońcę *Przedsiębiorstwa* wskutek odwołania wniesionego
od nakazu karnego — orzeczenia — postanowienia *)
Kolegium przy Prezydium *Sądowego* w *Warszawie* w dniu 31-1-1968, w oparciu o art. 300 p. 68
w imieniu *Prokuratury* w oparciu o art. 300 p. 68

ORZĘKA — POSTANAWIA
grywa w oparciu o art. 300 p. 68
w imieniu *Prokuratury* w oparciu o art. 300 p. 68

nia za I i II instancję w łącznej wysokości 125. — z ponosi *Prokuratury*

SPW/ELCWD
WSP/TS/ADP

Sygn. akt. II & Ds 39/68

POSTANOWIENIE
o zamknięciu śledztwa

Dnia 23 września

W. Krassowski — Wiceprokurator
(insp. szefski i szasowski)

Prokuratury Wojewódzkiej dla m. st. "Warszawy"

po rozpatrzeniu akt sprawy p-ko
J. Dajczgawandowi
i Si. Kretkowskiemu

i zaznajomieniu podejrzanego(ych) z materiałami
uznał, że nie zachodzi potrzeba uzupełnienia śledztwa,
czego, na mocy art. 244 § 3 k.p.k.

postanowił:



PROKURATURA WOJEWÓDZKA
dla m. st. Warszawy
Wydział Śledczy i Dochodzeni
Warszawa 31

ODPiS

Sygn. akt. II & Ds 39/68

POSTANOWIENIE
o tymczasowym aresztowaniu

Dnia 20 czerwca 1968 r.

Prokurator Wojewódzki dla m. st. Warszawy
postanowił zastosować wobec Sławomira Kretkowskiego
syna Józefa ur. dnia 2 lipca 1947 r.
jako środek zapobiegający areszt tymczasowy.
Areszt tymczasowy będzie uchylony, jeżeli w terminie do
dnia 20 września 1968 r. nie nastąpi wniesienie aktu
oskarżenia, lub przedłużenie aresztu.

Uzasadnienie
Sławomir Kretkowski
jest podejrzanym o popełnienie przestępstwa przewidzianego w art.
36 dekr. z 13.VI.1946r. tj. o to, że w okresie
do czerwca 1968 r. w Warszawie brał udział
w nielegalnie działającej organizacji, której
znieszał w drodze wywołania publicznych
wystąpień antypaństwowych i antypartyjnych
do realizacji opracowanego przez Kuronia i
Mackiewiczkiego wrogiego PRL programu politycz-
nego.

G. P. nr 17 Postanowienie o tymczasowym aresztowaniu
SP-17 — zam. 150/19-SPW/ELCWD JZG 02/26 22.06.68

Sławomir Kretkowski „Kret” 1947-2022. Współpracownik Wojciecha Ziemińskiego, uczestnik protestów w obronie „Dziadów”, w marcu 1968 wyrzucony ze studiów, aresztowany, wzięty karnie do wojska, w latach 70 Współpracownik Polskiego Porozumienia Niepodległościowego i KOR, a także Nowej. Drukarz i współpracownik wielu pism podziemnych.



Wspomnienie Sławka Kretkowskiego „Kreta” o Wojciechu Ziemińskim

Kasztanka mnie bił!

Ziębę, bo najpierw znany był pod taką ksywką, poznałem w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej na początku lat sześćdziesiątych.

Wypchnęła mnie tam mama, żeby jakoś zrównoważyć wpływ bardzo komunistycznej szkoły. Wówczas jeszcze nie mogła wiedzieć, że uczą się w niej, razem ze mną, przyszli komandosi. A Ziemiński nie tylko, że był członkiem KIK, to jeszcze współpracował, głównie zresztą jako grafik, z redakcją „Więzi”.

Jego wzrok spoczął na mnie – jak myślę – z przyczyn rodzinnych. Pewnie sobie pomyślał, że skoro już dziadek siedział na Mokotowie za caratu, to jakby co, nie będzie taki wielki szok. Czy coś uzgadniał z mamą, to ja nie wiem... Nie bez znaczenia musiało być to, że umiałem wywoływać i naświetlać zdjęcia fotograficzne.

Ziemiński na początku 1965 r. trochę, kilka miesięcy, siedział w areszcie. Pierwsze fotograficzne klepsydry wzywające na mszę św. w rocznicę odzyskania niepodległości 11 listopada zrobiłem w 1965 r. po wyjściu Zięby z więzienia. Projekt graficzny zrobił Zięba. Trochę rozesłał na znane sobie adresy, trochę sam rozklejał, a resztę to ja. Potem, dość szybko, doszli jacyś inni rozklejający, choć ja nie wiedziałem, kto to jest. Jak w konspiracji. No bo to właściwie była konspiracja.

Najpierw mieliśmy kiepskie kleje krajowe, co bardzo ułatwiało ubecji, a może nawet zwykłym milicjantom, zrywanie klepsydr. Potem mieliśmy porządną klej ze Szwecji, nie do zdarcia. Zdaje się – nie wpadli na pomysł zamalowywania...

Z tym szwedzkim klejem to też był kłopot, bo zlepił szybko i solidnie, np. kieszeń kurtki. Trzeba było w kurtce nosić blaszane pudełko, a w nim tubkę z tym klejem. Wszystko trwało trochę dłużej, a poza tym czasem tubka przyklejała się do ścianek pudełka.

Naklejałem je na kościołach. Chyba u św. Anny, nie chcąc zaklejać aktualnych klepsydr wiszących w miejscu na to przeznaczonym, powiesiłem obok – wprost na ścianie. Wcale nie milicja mnie zdybała, tylko ksiądz – pewnie miejscowy. Wziął mnie za ramię – miałem cykora – i pokazuje: – Tu jest miejsce na wieszanie, nie tu, gdzie pan klei. Ja mu na to, że przecież wiszą klepsydry i nie ma miejsca. – Nie szkodzi – pańska jest ważniejsza – brzmiała odpowiedź.

W 1966 r. Zięba zorganizował mszę św. w dziesiątą rocznicę wydarzeń poznańskich. W rozsyłanie i rozklejanie klepsydr zaangażowane było parę osób. Adresy też pochodziły od Ziemińskiego, ale ja trochę dodałem własnych. Byłem przecież, równocześnie, komandosem. W październiku 1966 współorganizowałem wiec na schodach Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Im więcej mija lat, tym





więcej odnajduje się tych współorganizatorów. Wystarczy mieć wstęp przed kamery telewizyjne i trochę fantazji...

Pan Wojciech był osobny w stosunku do ruchu komandosów. Dostrzegał to, co dziś umyka badaczom. Otóż dałoby się w komandosach doszukać kilku nurtów. Nurt niepodległościowy, w tamtych czasach bardzo romantyczny, reprezentowała Irenka Lassota, Józek Dajczgewand i ja. Niektórzy brali nas za idiotów, ale nie szkodzi. Ziemiński miał dość krytyczny stosunek do Jacka Kuronia, ale zawsze go szanował. Oczywiście potem, gdy słyszał o postulacie finlandyzacji, to się denerwował, ale nic więcej. Żywiołowo za to reagował na Adasia Michnika, nie znosił go!

Zajmowałem się klepsydrami, ale w latach sześćdziesiątych nie byłem przez Ziębę dopuszczany do jego zajęć związanych z tablicami. Mimo to, to i owo zauważyłem. W tamtym dziesięcioleciu jeszcze bardzo trudno było przekonywać księży do zawieszania stosownych tablic. To znaczy – sami księża, bywało, byli skłonni, ale zgłasza-
li się do kurii, w jakiej formie, to ja nie wiem i zgody zwykle nie dostawali. Najłatwiej przychodziło to ks. Stefanowi Niedzielakowi, gdy był kapelanem kościoła pw. św. Karola Boromeusza na cmentarzu powązkowskim. Potem ks. Niedzielak był proboszczem u św. Floriana na Pradze, a wreszcie wrócił, już jako proboszcz, na Powązki i stworzył tam sanktuarium pomordowanych na Wschodzie.

Tablice wykonywali kamieniarze z Powązek i z Bródna. Było ich kilku, właśnie ze względów konspiracyjnych. Gdyby był jeden, to szybko by go namierzyli, bo każdy jednak miał swój rozpoznawalny styl. Ale to było rozpoznawalne dla fachowców, czyli dla kamieniarzy, a nie dla ubeków. Przy tym z pojedynczych tablic nic się nie dawało wydedukować.

Zięba bywał cholerykiem. Raz, ze strachu, nie rozkleiłem jakichś klepsydr, a część rozwiesiłem w miejscach bezpiecznych, lecz jego zdaniem niewłaściwych. Jakoś zezłościło go to, że pomiąłem kościół przy ul. Gdańskiej. Rzeczywiście stał niby na uboczu, ale co do niego podchodziłem, to kręcili się ludzie i jakoś się bałem. To już było po pierwszym cztery osiem za klepsydry. Jakiś czas miałem boja... Ziemiński się zezłościł i obił mnie swoją laską. Bo on nosił laskę. Coś miał z nogą, ale nigdy mi się nie przyznał – co? Wkurzony byłem, ale polazłem na tę Gdańską i na chama, przy ludziach, przykleiłem klepsydrę. Pytasz, czy mnie przeprosił? Chyba nie, choć może nie pamiętam... Z akcji na Gdańskiej był zadowolony...

Drugi raz zdzielił mnie, ale lekko, gdy zawieszałem na ołtarzu u Boromeusza obraz Matki Boskiej Kozielskiej. Dość dobitnie upoważniony przez ks. Niedzielaka wdrapywałem się na ten ołtarz, bo inaczej operacji nie dawało się przeprowadzić. To była już druga połowa lat siedemdziesiątych, więc byłem taki bardziej dorosły. To też nie walała mnie mocno, za to takim scenicznym szeptem syknął: – buty przynajmniej zdejmij! Tym razem, już u siebie w domu, poczęstował mnie dwoma kieliszkami swojej domowej dereniówki. Nie, nie – nie myśl sobie... spirytus kupował w sklepie, rektyfikowany.





Po marcu miałem półtoraroczną przerwę. W latach siedemdziesiątych, przy prymasie Wyszyńskim powstał Seniorat Wojska Polskiego. Wojciech Ziemiński, jako najmłodszy wiekiem i rangą oficerską, został jego sekretarzem. Ale przecież nie ograniczał się do spraw wojskowych. Właśnie on przeformował u Karola Boromeusza tablicę poświęconą Antoniemu Pajdakowi, a Pajdak był KOR-owcem, a przedtem wicepremierem z ramienia PPS. Zięba był piłsudczykiem. To w latach siedemdziesiątych przykleiło się do niego przezwisko – Kasztanka. O ile się zorientowałem, to wcale się o to nie gniewał.

Po 1976 związany byłem z Jackiem Kuroniem, bardzo szybko znalazłem się w NOWEJ. Ale nieprzerwanie współpracowałem z Kasztanką. Ziemiński wprawdzie zakładał KOR, ale wkrótce z niego ustąpił i znalazł się wśród założycieli ROPCiO. Ubolewał, że działalność ROPCiO częściowo paraliżowały ambicje niektórych działaczy. Robił swoje. Po dawnemu, chyba, najbliższemu mu było do ks. Niedzielaka.

Ja mu drukowałem jakieś rzeczy. Ani Mirkowi, ani Jackowi to nie przeszkadzało. Nadto użytkował mnie przy sprawach związanych z Sanktuarium Katyńskim u Karola Boromeusza i przy rocznicach 11 listopada. Nie miałem jeszcze kłopotów z kręgosłupem, więc zwykle nosiłem najcięższy wieniec. Dystans od katedry do Grobu Nieznanego Żołnierza, wcale nie najkrótszą trasą, bo Królewską, do dziś kojarzy mi się, nade wszystko, z pewnym wysiłkiem fizycznym.

Spór Ziemiński miał w 1979 r. z Tadeuszem Mazowieckim. Wielowieyski zauważył, że w gabinecie naczelnego „Więzi” Ziemiński sporządza projekt plakatu na 11 listopada. Zniknął, a po jakimś czasie przybiegł zdyszany Mazowiecki i plótł coś o prowokacji i o prowokatorze. Zapewne miał swoje racje, nie mi sądzić, czasy nie były dla „Więzi” słodkie, ale Ziemiński miał pogląd i natychmiast go wyraził. W rezultacie wyleciał ze współpracy z „Więzią”, ustąpił z KIK-u i bez wątpienia miał poczucie krzywdy.

Na dodatek właśnie 11 listopada w ROPCiO dokonał się rozłam, bo powstał KPN. Mnie, po staremu, po święcie niepodległości wszystko bolało, bo kwiaciarz, aby wieniec był bardziej obfity w kształtach, świerczyny nie żałował, a świeża świerczyna swoje waży... Przypominam sobie – kwiaciarz na kwiatkach oszczędził i Kasztanka, bez żadnego gadania, zapłacił mu mniej, niż było umówione.

Ale tak naprawdę, to był dusza człowiek!

not. Jan Prowincjusz





bibula

Agenci kontra podziemie

25





Pierwsza wpadka i następne

Grzegorz Boguta

Pierwsza wpadka, to grudzień 1977 roku. Ja w jakiś sposób zainicjowałem serię późniejszych wpadek. Ale był pewien znak zapytania. Jaka będzie reakcja po stronie władz, czy zaczną teraz rzeczywiście zamykać, czy jednak odpuszczą? Wpadłem, trochę dzięki mojemu przyjacielowi Mirkowi Chojeckiemu, który mi dał adres do człowieka, który okazał się potem być konfidentem,

No, ale to nie jego wina. Okoliczności tej wpadki były przedziwne, bo człowiek nas zadenuncjował po prostu za paszport. Chciał wyjechać do żony czy do narzeczonej, no i w związku z tym przyszła milicja, bezpieka i nas zwinęli. Ja powiem szczerze, że myślałem, że to się właściwie nie może zdarzyć, że ja tutaj siedzę, trzymam powielacz i wokół mnie jest niebiesko, widzę mundury, jakieś science fiction, prawda, sceneria, której nie przewidywałem.

Zresztą nie siedzieliśmy nawet 48 godzin, z tego komisariatu nas w środku nocy wypuścili. Rano pojechałem do Jacka Kuronia. Jacek miał niewyraźną minę, bo nie wiedział, co będzie, mogą zacząć zamykać. A tu mamy zupełnie nową jakość, bo zabierają tylko sprzęt, na którym są drukowane treści antysocjalistyczne, jak oni wówczas to nazywali. Dwa tygodnie później zresztą Mirek Chojecki też miał wpadkę. I też przez konfidenta. Z podobną stratą sprzętu. To co po tych wpadkach nastąpiło w jakiś sposób zdeterminowało te dziwne relacje między nami, podziemiem, a bezpieką. Chodzi o to, że jest to trochę jak zabawa w policjantów i złodziei. Oni nas będą ścigali, ale tak strasznie nas nie będą represjonować, da się przeżyć.

Mirosław Chojecki

Pierwsza wpadka dotyczyła powielacza niebieskiego. Ten powielacz został przejęty przez Służbę Bezpieczeństwa na ulicy Waliców numer dwadzieścia. Było to dokładnie vis a vis komendy milicji obywatelskiej. Został ten powielacz przejęty w mieszkaniu ówczesnego agenta Służby Bezpieczeństwa, który jakoś oмотał jednego z ludzi z Nowej, aż ten zgodził się, ażeby u niego właśnie była drukarnia. No i kiedy tam myśmy przyjechali z tym powielaczem, Służba Bezpieczeństwa wpadła, powielacz zamknęła. Ja myślę, że zrobiła bardzo dobrze. Bo gdyby oni tego powielacza nie zabrali, gdyby uznali, że jak ma się agenta, który tak blisko jest, to trzeba z tego korzystać i rozpracować całą siatkę, to wówczas pewnie Nowa by nie powstała.

Joanna Szczęsna

To był marzec siedemdziesiątego siódmego roku, kiedy policja wkroczyła do mieszkania mamy Janka Lityńskiego, Reginy Lityńskiej, w Alei Wyzwolenia i złapała nas na gorącym uczynku, z różnymi materiałami do „Biuletynu Informacyjnego”. I nas zatrzy-





mali. I pamiętam, że potem odbyliśmy taką dyskusję: no dobrze, przed kim ukrywamy nasze nazwiska, skoro zna je już policja? Zna je policja, to możemy też udostępnić je czytelnikom. I zaczęliśmy podpisywać „Biuletyn”. To zresztą był szerszy element gry z SB, mianowicie, że oni nas próbują zastraszyć, a my wtedy im pokazujemy wafa, proszę bardzo, to my to teraz podpiszemy.

Seweryn Blumsztajn

Myśmy wędrowali na 48 godzin często. To mogło być raz w miesiącu, mogło być raz na dwa miesiące, mogło być raz na dwa tygodnie, prawda? Zależy od czasu i kiedy oni się zawzięli na „Biuletyn Informacyjny”, a kiedy na Nową, czy na coś innego. I nigdy nie było tak, że można było być do końca pewnym, że to jest kolejne 48. Zawsze pozostawało pytanie, a nuż właśnie postanowili, że jednak biorą się za nas i będzie sankcja. Zawsze to pytanie było.

I przy tym wszystkim, przy tym, że łazili za nami, że te rewizje naprawdę nie były przyjemne, to muszę powiedzieć, że nigdy w życiu nie miałem większego poczucia bezpieczeństwa. Poczucie bezpieczeństwa nie bierze się przecież z jakichś realnych rzeczy, tylko z głowy, prawda? Żeby podać przykład, kiedy w „Człowieku z żelaza” Wajda pokazuje ślub, na ślubie są cztery osoby, państwo młodzi i świadkowie. Na naszych ślubach było trzysta osób. Bo myśmy nieustannie żyli w takiej gromadzie. Było bardzo bogate życie towarzyskie. Do mojego mieszkania przychodziło po sto osób.

Myśmy się spotykali nieustannie. Mieliśmy bardzo daleko posunięte poczucie solidarności, to znaczy, jeżeli cię wsadzali, to mogłeś być spokojny, że się zajmą twoją żoną.

Pierwszą sprawą było przekazać informacje o tym, że kogoś zatrzymano. Ten cały system powodował, że miałeś poczucie, że dotykałeś się łokciami z innymi. Poczucie wzajemnej solidarności i przyjaźni, to było bardzo mocne i dawało ogromne poczucie bezpieczeństwa. Już nigdy potem w życiu, oczywiście to jest sprawa młodości, tego nie było.

Andrzej Rosner

Dość szybko zacząłem współpracować nie tylko z Nową, ale i z „Głosem”. Tak to wszystko trwało do marca 1978 roku, kiedy zdarzyła mi się pierwsza rewizja. Zostaliśmy namierzeni.

Jest faktem, że weszli, znaleźli to, co znaleźli. Było tam trzysta czy czterysta egzemplarzy „Głosu”. Krótko mówiąc, to mnie postawiło w sytuacji o tyle komfortowej, że nie musiałem pogrywać z nimi w jakieś głupie gry i mówić, że trochę bibuły ktoś mi pożyczył, czy że to gdzieś znalazłem na ulicy, tak jak często ludzie robili, jeżeli znaleziono przy nich pojedyncze egzemplarze. Ja miałem ten komfort, że mogłem od razu iść w zaparte, czyli odmówić odpowiedzi z podaniem odpowiednich artykułów kodeksu postępowania karnego i nie bawić się w żadne rozmowy. Oczywiście miało to swoje





konsekwencje w postaci wyrzucenia mnie z pracy na Uniwersytecie, ale wchodziłem w tę pracę ze świadomością, że to się może zdarzyć. Tym, którzy dzisiaj próbują podbijać bębenka i mówić, że to takie dzielne i pełne męstwa odpowiadam, że nie wiem jak bym się zachował w ówczesnej Czechosłowacji, gdzie po czymś takim poszedłbym siedzieć. Tutaj natomiast 48 godzin. A poza tym nawet gdybym wyszedł, to nie mógłbym, tak jak mnie się zdarzyło, pracować do sierpnia 1980 roku w Muzeum Historycznym miasta Warszawy na etacie naukowym. Nie pozwolono mi na żadne zajęcia ze studentami, ale w takim Muzeum w odosobnieniu, w ciszy proszę bardzo. Otóż tam w Pradze mógłbym pracować w tymże Muzeum jako palacz centralnego ogrzewania albo nocny cieć w najlepszym przypadku, chociaż też nie jestem pewien. Nie chcę przez to mówić, że to była kaszka z mleczkiem, ale też nie wymagało to aż tak strasznej odwagi cywilnej jak u naszych sąsiadów.

Joanna Szczęsna

W tym czasie SB nie miała dyrektywy, żeby nas zamknąć i zlikwidować prasę, choć mnie się wydaje, że by się nie bardzo im to udało. Dlatego, że kiedy w siedemdziesiątym siódmym roku były aresztowania po śmierci Pyjasa, to jakieś osoby zrobiły kolejny numer „Biuletynu Informacyjnego”. Ze środowiska socjologów. To była chyba Mirka Grabowska, Tadek Szawiel, Andrzej Celiński i ktoś jeszcze. Czyli mieliśmy takie poczucie, że jak nas zamkną, to ktoś tam nie dopuści, żeby „Biuletyn” przestał się ukazywać.

I to samo podczas rewizji. Przyszli kiedyś, moje dziecko było małe i cały numer był rozłożony w pokoju. To była willa na górnym Mokotowie, gdzie wynajmowałam pokój na piętrze. No i idziemy, oni za mną, a ja przed tym pokojem..., wiem, że wszystko mam tam rozłożone, odwróciłam się do nich i powiedziałam: proszę tutaj zacząć, muszę najpierw nakarmić dziecko piersią! I oni się cofnęli przed tą piersią, a ja po prostu zamknęłam drzwi i szybko wszystko zapakowałam dziecku w pieluszki, tak banalnie, że aż wstyd o tym mówić. I dziecko po prostu na ręce i już z tym dzieckiem pod pachą cały czas paradowałam.

To zresztą prawda, że kobiety miały lepiej. Bo nie były traktowane poważnie. To miało swoje dobre strony. Skoro kobieta jest, nie wiem, osobą domową, matką dzieciom i tak dalej, to jak byłam w ciąży i z małym dzieckiem, to kręciłam nimi jak chciałam. Mówiłam: proszę to zostawić! Oni chcieli zabrać mój kalendarz, a ja mówię: proszę zostawić, ja tam mam zapisaną datę ruchów płodu! I on tak puścił z obrzydzeniem ten kalendarz, jakieś ruchy płodu, jakby dotknął płód po prostu.

Andrzej Rosner

Mówiło się, że „siadł”. Jak go posadzili, to siedział, więc mówiło się „siadł”. Zamiast wejście ubecji mówiło się „wkroczył”, co dzisiaj brzmi zabawnie, mówiło się „policja” zamiast milicja. To doprowadzało funkcjonariuszy SB do szału, oni tego bardzo nie





lubili. Nota bene już w latach 70. było widać wyraźne różnice w służbach mundurowych czy w służbach milicyjnych wobec ubeków, ich wzajemne animozje. Ja miałem dwie takie historie. Pierwsza dotyczyła rewizji z marca 1978 roku, w domu moich rodziców na Narbutta. Ubecy, którzy tam przyszli wtedy, wzięli ze sobą dzielnicowego w charakterze świadka. Dzielnicowy od początku manifestował swoją niechęć do czynności śledczych, mówiąc bardzo ogólnie. Krótko mówiąc, dość manifestacyjnie siadł w przedpokoju przy stoliku. Nie chciał brać udziału w żadnym przesłuchaniu czy nawet wchodzić do pokoju, gdzie coś tam było. A zaczęło się to wszystko od spięcia, kiedy zażądałem legitymacji od ubeka, który dowodził całą akcją, a ten zwrócił się do tego dzielnicowego: sierżancie, pokażcie legitymację!. Ale zanim zdążyłem otworzyć usta i powiedzieć, że mnie legitymacja tego pana nie interesuje, sierżant otworzył usta jako pierwszy: ja nie będę niczego pokazywał, potem mnie będą ciągać w Wolnej Europie, ja tu jestem przypadkiem. Oni mnie tu zgarnęli z Malczewskiego z komisariatu, ja tu nic nie jestem winien. Proszę mnie nie identyfikować z tymi panami. Może nie powiedział „identyfikować”, bo to byłoby za mądre. Proszę mnie nie kojarzyć z tymi panami. A więc ja mu potem, przez trzy godziny, kiedy trwała ta rewizja, przynosiłem cały czas bibułę, kolejne jakieś książeczki: to pan już widział, to pan już czytał.

Rzecz mi się, jak się potem okazało, sownie opłacała, chociaż nie działałem z tą myślą. Sierżant, choć i tak był dość gruby, wyszedł grubszy niż wszedł, pod mundurem biust mu się zrobił, tak wyszedł wypchany bibułą. A rzecz mi się bardzo opłacała, mianowicie w trzy miesiące potem, w ramach jakiejś tam ułańskiej fantazji postanowiłem wyjechać do tak zwanych demoludów, do ówczesnej Czechosłowacji. No, ale w tym celu był potrzebny stempel w dowodzie osobistym, uprawniający do odwiedzania krajów bloku, wszystkich krajów socjalistycznych. Rzecz była już wtedy zdecentralizowana, decyzje były podejmowane nie w biurze paszportowym, tylko w komendach poszczególnych milicji. Pojechałem na Malczewskiego do naszej komendy dzielnicowej, złożyć wnioski i otrzymać albo nie otrzymać pieczętkę. To był rok 88. Staję przy okienku. Jakiś plutonowy bierze to moje podanie, wysuwa szufladkę i znajduje co trzeba, bo wyciąga tę kartę, czyta ją, po czym robi bardzo śmieszną rzecz. Kartkę z kartoteki kładzie na stoliku jak najbliżej okienka, po czym wychodzi. Oczywiście zapuszczam żurawia i widzę adnotację o tamtej rewizji, pisaną przez dzielnicowego. Widocznie musiało być o tym głośno w komendzie. Może dzielnicowy dzielił się z tym plutonowym bibułą? Ten wraca po chwili, jak już pewnie się zorientował, że ja to przeczytałem. Ogląda mój dowód osobisty, który był zresztą wyjątkowo wyszmelcowany, bo nosiłem go w tylnej kieszeni dzinsów i mówi: właściwie powinienem kazać panu zmienić dowód. Ale wie pan co, może będzie lepiej, jeżeli pan od razu dostanie ten stempelek. I buch. W związku z tym pojechałem normalnie, choć w tym samym czasie kilku moich kolegów w innych komendach dostało odmowy.





Józef Śreniowski

Odbiorcy w Krakowie, czy też Nowej Hucie, już po powstaniu SKS (Studencki Komitet Solidarności – red.) brali od nas stale pismo „Robotnik”. Mieliśmy tam w redakcji inż. Franciszka Grabczyka z Nowej Huty, ale do redakcji wszedł czy chciał wejść jeszcze inny kolega z Krakowa. Student. I zaraz potem, kiedy tego dopiął, zorganizował jakichś młodych robotników w Nowej Hucie. I oni w swoim zakładzie czy w hotelu robotniczym rozkolportowali tego „Robotnika”, i zaraz ich zatrzymano i wyrzucono z pracy. I wtedy ten młody lider z Krakowa powiedział, tak robotników nie zostawimy, zrobimy akcję odwetową. Czy wy nam możecie zrobić ulotkę w ich obronie i czy możecie nam wydrukować ekstra, nie pamiętam, 2 tys. egz. „Robotnika”? Bo my po mszy na Rynku czy przy Arce w Bieńczycach go rozdamy całemu miastu. Ale termin mieliśmy jakiś gardłowy, 1 czy 2 dni. I myśmy to zrobili. Tylko musieliśmy trochę zasady bezpieczeństwa nadwerężyć. W każdym razie finał był taki, że wyszedłem z własnego domu w poobiedniej porze, otoczony wianuszkiem ubeków – mieszkalem na peryferiach. Na szczęście, kiedy wychodziłem, mama zapytała, czy mam jakieś pieniądze przy sobie? A ja powiedziałem, że mam 2 bilety tramwajowe i to mi wystarczy. Ale mama dała mi 20 zł. I te 20 zł uratowało całą historię. Bo jak oni mnie otoczyli, a ja miałem na plecach taki czerwony ze stilonu technicznego wór transportowy z Klubu Wysokogórskiego, do którego może wejść 100 – 200 kg, ten wór był koszmarnie ciężki. I miałem jeszcze torbę stilonową na ramieniu, bo nie wszystko się zmieściło.

I ja z tym wszystkim szedłem przez park, oni za mną. Kiedy doszedłem do ulicy z tramwajem, zorientowałem się, że oni mi podstawił taksówkę. Wsiadłem w tę taksówkę. Proszę, żeby mnie zawiózł niedaleko, na pl. Wolności. Jechałem do Kingi Dunin, bo tam były 2 wejścia i wyjścia. Ale się zorientowałem, że chyba nie uda mi się nic zrobić, a na liczniku jeszcze nie było 20 zł, więc poprosiłem, żeby mnie zawiózł na Manhattan. To są takie bardzo wysokie bloki, 22 piętra. I on mnie tam zawiózł. I wtedy ci ubecy, którzy nie wiedzieli dokąd jadę, trochę się przybliżyli, tak że kiedy wysiadałem z tej taksówki, to oni byli tuż obok. Staralem zachowywać się spokojnie. I szedłem powoli z tym plecakiem, zresztą nie wiem, czy dałbym radę bieć. I podszedłem do tego wysokiego bloku. Z bloku wyszedł jakiś mój młodszy kolega. I pytał mnie, co słyhać. Mówię, nie widzisz, tu aż się roi od tych z krótkofalówkami. I nagle z tego bloku z innej klatki wyszedł mężczyzna, też chyba z Klubu Wysokogórskiego, z takim samym pustym plecakiem. I oni zaczęli do tych krótkofalówek: Ty słuchaj, tam jest taki sam, popatrz. I on ma czerwony plecak!

Ja w tym momencie tego kolegę z dwoma psami porzuciłem, nagle wszedłem do klatki schodowej, odjeżdżała winda, do której wskoczyłem. I pojechałem. Znałem ten budynek dobrze, tam dużo znajomych mieszkało. Pojechałem wysoko, ale wróciłem, bo nie wiedziałem czy nie można z zewnątrz odczytać, gdzie się jest. Wróciłem pół piętra nad tych ubeków. I wszedłem do rajy. Okazało się, że tam jest piętro, na którym nigdy nie byłem, piętro techniczne, gdzie były same rury ciepłownicze. I tam złożyłem cały swój





bagaż. No niestety, miałem tam swoje dokumenty i klucze od domu. I wyszedłem po jakichś 20 minutach. Budynek był otoczony przez milicję, cztery radiowozy wyły. Okazało się, że trzy rewizje w tym budynku były, kiedy tam się znajdowałem, ale szukali tylko dużych przedmiotów i człowieka. Poszedłem ulicą, oni mnie zatrzymali i zawieźli do komendy. Zaraz mnie ktoś przeprosił, że to przypadkowe zatrzymanie, że wzięto mnie za kogo innego, żebym sobie poszedł, mimo że nie miałem dokumentów. Poszedłem do znajomych, na karteczce wytłumaczyłem, o co chodzi, żeby pomogli zabrać wydruki, a potem wyskoczyłem oknem i zmyliłem pogoń. I okazało się, że w dobrych rękach zostawiłem багаż, ponieważ w tym bloku mieszkali alpiniści. I oni zdążyli wszystko do północy wydobyć. I po północy dwóch młodych ludzi pojechało z tym do Krakowa. I wszystko było znakomicie, poza jednym. W Krakowie pod wskazanym adresem nikt nie było, a wszystko przyjechało na czas. Zanieśli to więc na adres awaryjny. To był klasztor. Zostawili tam. I parę minut potem przyszedł jakiś mężczyzna.

I okazało się, że to krakowska bezpieka odebrała ten transport.

Witold Łuczyno

Bezpieka pracuje na zmiany. Wymieniają się o szóstej rano, o drugiej po południu i o dziesiątej wieczorem. I jeżeli zdarzy się, że nowa ekipa nie przyjedzie, to stara nie czeka, tylko odjeżdża z piskiem opon. O drugiej odjeżdżają i dopiero trzeba czekać aż przyjedzie ta następna. Nie wiem czemu, ale bezpieka szanowała święty dzień – w niedzielę nigdy nie robili rewizji. Mogli stać pod domem, ale zawsze czekali do poniedziałku rano, do szóstej i dopiero wtedy wchodzili.

On się nazywał Zalewski vel Zakrzewski. Jak przychodził na rewizję, to wiedziałem, że nic się nie uchowa. Zajrzał w każdy kąt, miał takiego potwornego nosa, żeby na przykład zdjąć osłonę przy wannie. Jak schodził do piwnicy, to też nie musiał całej piwnicy przeszukiwać, od razu trafiał na skrytkę z bibułą, ubecki geniusz. I strasznie pędził do roboty swoich podwładnych i kolegów. No i oczywiście musiał się doczekać tego, że go, nie wiem, zdymisjonowano, czy przesunięto na gorsze stanowisko pracy. Bo wysłano go za karę do Szczecina. Mieliśmy taką komórkę w elektrowni Dolna Odra, bardzo prężną (Wolne Związki Zawodowe – red.), i oni postanowili wydawać pismo „Robotnik Szczeciński”. I jednego dnia Zalewski vel Zakrzewski zlikwidował całą naszą komórkę tam, a zrobił to bardzo prosto: w powszedni dzień odnotował, w których mieszkaniach pali się światło po zakończeniu programu telewizyjnego. I następnie w całej miejscowości zrobił rewizję w tych miejscach. Miał w zasadzie dziesięć na dziesięć trafień, wyjął wszystkich opozycjonistów.

Andrzej Mietkowski

Z KOS-em (Krakowska Oficyna Studentów – red.) było tak. W pewnym momencie miałem na okrągło łączących za mną, stojących pod domem ubeków i wszelkie więk-





sze próby poligraficzne kończyły się klęską. I były to klęski kosztowne również finansowo. Chcieliśmy wydać „Dziennik węgierski” Wiktora Woroszylskiego, w dużym nakładzie, chyba trzech tysięcy egzemplarzy. Jak na technikę prymitywną, wałkową, to był gigantyczny nakład. No i w momencie, kiedy zbliżaliśmy się do końca, okazało się, że mamy gości i to nigdy się nie ukazało. Oglądając po dwudziestu latach dokumenty IPN-u stwierdzam nadreprezentację towarzyszy ze służb bezpieczeństwa. W niektórych naszych działaniach poligraficznych było ich więcej niż nie agentów. Przy druku Woroszylskiego był i Maleszka (Lesław, agent SB – red.), i Karkosza (Henryk – funkcjonariusz milicji), i jeszcze trzech przynajmniej, których z nazwiska już znam. W tym momencie po prostu przestawiłem się na działalność wspierającą SKS (Studencki Komitet Solidarności – red.), czyli ulotki, a książkami zajął się Henryk Karkosza. I niespodziewanie, dla mnie przede wszystkim, zaczęło mu wychodzić. No i od tego czasu on drukował książki, ja drukowałem ulotki.

Z dokumentów wynika wprost, że tam była prowadzona wieloletnia gra operacyjna, która miała jasne cele. Mnie wyizolować i dorobić mi gębę albo osoby nieodpowiedzialnej, albo agenta po prostu, jednocześnie budując wiarygodność innych moich towarzyszy broni. I do jakiegoś stopnia to się udało. Zresztą widać w dokumentach, że paru moich znajomych i przyjaciół kupowało w pewnym momencie tę wersję. Nie mam do nich o to pretensji, bo ta gra była prowadzona bardzo konsekwentnie, długo i dość precyzyjnie. A ludzie, którzy ją prowadzili wewnątrz SKSu, byli poza wszelkimi podejrzeniami. Leszek Maleszka, to była naprawdę pierwsza kadrowa.

Efekt był taki, że poligrafia w zasadzie została zmonopolizowana przez Henryka Karkoszę i przez Krakowską Oficynę Studentów.

To nie był margines. Przynajmniej w Krakowie. To nie było tak, że działalność agencjonalna w jakimś innym kosmosie się odbywała. Oni byli wśród nas, byli głęboko, brali udział w codziennym naszym życiu. Piliśmy z nimi wódkę. Chodziliśmy z nimi na imprezy.

Pierwszy „Sygnał” (pismo krakowskiego SKS – red.) powstał tak, że myśmy z Adamem Szostkiewiczem przetransportowali pelikana (przedwojenny ręczny powielacz) za wiedzą Maleszki do Ziemowita Pochitonowa. Ziemowit mieszkał na Woli Duchackiej, Maleszka mieszkał pieszo dwadzieścia minut od niego. I przez całą noc krążył pomiędzy swoją norą, a tym miejscem, gdzie myśmy drukowali, donosząc kolejne, przygotowane matryce. Bo tłukł prosto z głowy na te matryce artykuły, po to, żeby na trzeciego maja 1978 ukazał się „Sygnał”.

Gdzie w tym czasie była безпеka i jak on ich informował? Ale do wpadki nie doszło, bo musiałby się po prostu zdekonspirować. Chociaż raz była sytuacja, kiedy tenże Maleszka z Bogusiem Sonikiem kręcili coś na amerykańskiej wyżymacze do pralki, używając techniki jeszcze spirytusowej i bezpieczeństwa wjechała. Było ich tylko dwóch, Sonik i Maleszka, z tego co pamiętam. Maleszka miał wytłumaczenie, że wyczuli denaturat. Czyli, że obserwowali dom i wyczuli denaturat. Została kupiona ta opowieść.





Janusz Krupski

Po wydaniu drugiego numeru „Spotkań”, którego zresztą pierwsze materiały zostały zabrane przez Służbę Bezpieczeństwa, również przy trzecim numerze dopadła nas Służba Bezpieczeństwa. Zostałem zatrzymany i przesłuchiwany byłem chyba przez pułkownika czy majora Chabrowskiego, który mi na komendzie na Narutowicza (w Lublinie – red.) tłumaczył, że wyrośnie mu prędzej kaktus na dłoni niż wydamy następny numer „Spotkań”. I ten numer wydaliśmy w ciągu dwóch dni, stojąc bez przerwy przy powielaczu u mojego kolegi ze studiów, Macieja Sobieraja w Zagnańsku pod Kielcami.

Leszek Jaranowski

Generał Grubba, sławetny generał, który był dowódcą jednostek w Katowicach, biorących udział w pacyfikowaniu kopalni Wujek, został tutaj (Kraków – red.) przetrzucony, żeby zrobić z nami porządek. W osiemdziesiątym piątym roku, to jest trzydziecie „Hutnika”, ukazał się artykuł: „Panie generale Grubba, mamy się dobrze, a kuku. A kuku generale Grubba!”. I generał Grubba sobie to zapamiętał i za pewnego rodzaju chyba punkt honoru sobie poczytywał złapać, rozwiązać, zniszczyć tę paskudną grupę „Hutnika”. W 1987 roku dochodzi do najtrudniejszego momentu w historii „Hutnika”. Wpadka w redakcji. Na wieść o tym, że esbecja wjechała do redakcji i że jest tam „Hutnik”, generał Grubba przyjechał osobiście. I mówi do właścicielki domu: Proszę przekazać panu Wojciechowi Marchewczykowi, a kuku.

Jak wpada gazeta, to natychmiast trzeba zrobić następny numer. No i zgodnie z tą zasadą, następnego dnia Jerzy Surdykowski popełnił następny artykuł, pisząc mniej więcej tak: „Generale, wjechałeś, zlikwidowałeś nam redakcję, zlikwidowałeś nam drukarnię, a my żyjemy, mamy się dobrze, a kuku generale Grubba”.

Wacław Holewiński

Złapali mnie w roku osiemdziesiątym czwartym dosyć przypadkowo. Gdzieś koło trzeciej w nocy jechałem samochodem. Miałem w środku jakieś blachy do druku „Karty”, ze dwie czy trzy rzyzy papieru. Jechałem do Radości i miałem włączone długie światła. I dlatego zatrzymała mnie policja. Ale sprawdzili mi samochód, no i było, co było.

Witold Łuczyno

Andrzej Górski (ur. 1951 – zm. 2020, drukarz Nowej i „Tygodnika Mazowsze” – red.) nie wygląda na Don Juana. W Milanówce znaleźliśmy mu lokal do drukowania u jakiejś solistki baletu. I on tam się zainstalował. Okazuje się, że jej były mąż był potwornie o nią zazdrosny. Raz tam zastał Andrzeja Górskiego i był pewien, że to jest ukrywający się kochanek tej baletnicy. I doniósł na policję. No i pamiętam jak siedzieliśmy u znajomych, graliśmy w karty, piliśmy wódeczkę, patrzymy w telewizor, a tam pokazują film, to znaczą relację z policyjnej akcji: likwidacja podziemnej drukarni w Milanów-



ku. Andrzej patrzy i mówi: Boże, to przecież moja drukarnia! Szczęśliwie nie poczeka-
li tam na niego, bo byśmy stracili drukarza, który był cenniejszy niż maszyna i papier.

Wiesław Maciejewski

Wpadł między innymi chłopak, który prowadził punkt kolportażu na Placu Wolno-
ści w Łodzi. To była fantastyczna historia, bo jak poszedłem do niego pierwszy raz, to
mówię mu, żeby się zabezpieczył jakoś. A on mi pokazał swoją skrytkę i się za głó-
wę złapałem. Szafa stara z okresu międzywojennego i podwójne dno, w tym dniu tej
szafy klapka otwierana, on tam wrzucał bibułę, zamykał. No i ubecja przyszła, zro-
biła rewizję, a tej skrytki nie znaleźli. I po kilku dniach go wypuścili z braku dowo-
dów. Mimo, że miał duży punkt kolportażu. To była mocna sprawa na samym począt-
ku stanu wojennego. Nie znaleźli tej skrytki i facet wyszedł czysty z tego wszystkiego.

Czesław Piotr Stańczyk

Uczestniczyłem w remontowaniu dużej maszyny drukarskiej marki Romayor, który miał
iść do kasacji, ale jakoś tam nie dotarł do tej kasacji i w lokalu w Podkowie Leśnej był remon-
towany. Było nas kilka osób i był też taki fachman, który się znał na remontach, emeryt.
I pewnego dnia on potrzebował jakiejś części i musiał wyjechać do Warszawy żeby tej czę-
ści poszukać. Więc wiadomo było, że będzie przerwa. Zatęskniłem za żoną i pojechałem
do Warszawy. Wracam z Warszawy do Podkowy, dochodzę do domu i z okna z pierw-
szego piętra ten spec od remontu robi jakieś takie dziwne gesty, jakby muchy odganiał.
Idę dalej, podchodzę, gospodarz wychodzi z domu, schyla się przy samochodzie i robi
też to samo. No, to już było dla mnie wystarczającym znakiem, że jest zagrożenie, że trze-
ba po prostu zwiewać. Ci, co tam byli, poszli siedzieć na długo, łącznie z gospodarzem.

Edward Przybysz

W Podkowie Leśnej, to bardzo smutna historia. Pan Borowiec (Jan – red.) udostęp-
nił nam swoje mieszkanie. Wyjeżdżał na kontrakt do RFN. I na dwa dni przed wyjaz-
dem, niestety, nakryto nas. I on poszedł do aresztu zamiast wyjechać. Człowiek, któ-
ry praktycznie oddawał nam cały swój dobytek, miał wyjechać do Niemiec, a trafił do
aresztu. Był wtedy docentem, pisał jakąś publikację i to na pewno odbiło się na jego
dalszych losach. Do dzisiaj to jest zagadkowa historia. Myśmy tam ściągnęli wielki
offset Romayora, drukujący w formacie A3, o wielkiej wydajności. Mieliśmy machnąć
pracę niesamowitą, a skończyło się na tym, że policja przyjechała, zabrała Romayora
i całe bractwo, które tam było, aresztowano. Do dzisiaj nie wiem, jak to się stało. Nie-
którzy mówią, że to był ten pan, który przyszedł, żeby go ustawić i konserwować, któ-
ry miał bardzo dobrą rekomendację, stary AK-owiec, ale że aresztowano mu syna itd.
No i zrobił to, żeby syn wyszedł na wolność. Nie wiemy jak to się stało, że tak łatwo
nas namierzono. To była zresztą jedyna nasza wpadka.





Włodzimierz Cichomski

Wszedłem do mieszkania, w którym był kocioł. Tego kotła tam nie powinno być, gdyby ludzie zachowywali się rozsądnie. To było mieszkanie przy ulicy Narbuta (w Warszawie – red.), pani była lekarzem i ja u tej pani trzymałem swoje materiały. Miałem skrytkę. Tam chowałem swoje książki, zebrane w latach siedemdziesiątych, cały mój księgozbiór bibuły. I tej pani, jako jedynej, zanośliem „Tygodnik Wojenny”. Bo kolportażem się wcale nie zajmowałem, tylko tej jednej pani zanośliem „Tygodnik Wojenny”, właśnie w ramach rekompensaty, za to że trzyma moje rzeczy. I któregoś dnia zanośliem ten „Tygodnik”, po czym wyszedłem z jej mieszkania. Zorientowałem się, po kilkunastu minutach, że zostawiłem rękawiczki. Musiałem wrócić. I zostałem do tego mieszkania wciągnięty. W mieszkaniu był kocioł. W ciągu tych kilkunastu minut weszły tam tajne służby. Na szczęście byłem zupełnie czysty. Mówiłem, że jestem tu zupełnie przypadkiem, że jestem alkoholikiem, że na ulicy Narbuta zobaczyłem takiego jegomościa i zapytałem, gdzie tu w pobliżu jest melina a on mi powiedział: to jest mieszkanie numer taki a taki, w tej klatce i ja tu przyszedłem kupić pół litra. Sprawdzono właścicielkę mieszkania, żeby nas skonfrontować. Ja powtórzyłem swoją wersję, a pani przytomnie powiedziała: taki młody..., no ja nie byłem taki młody, miałem wtedy 27 lat..., taki młody, a już alkoholik. W jej kuchni przesiedziałem, nie rozmawiali ze mną, dwie, trzy godziny, po czym pozwolili mi wyjść.

Potem okazało się, że ta pani, owszem, przechowywała moje książki wydane w latach siedemdziesiątych, ale poza tym u niej w mieszkaniu ukrywał się przewodniczący „Solidarności” Rolników Indywidualnych. U niej w mieszkaniu były klisze z przygotowaną inicjatywą wydawniczą, która miała być kierowana do żołnierzy w jednostkach wojskowych, i tak dalej, i tak dalej. Ta pani była bardzo mocno zaangażowana w działalność publiczną, ale tak konspirowała, że mi o tym na wszelki wypadek nie powiedziała. Ja myślałem, że wchodzę do czystego mieszkania, a wchodziłem do istotnego węzła ruchu podziemnego. No i to było właśnie nierozsądne. Nie należało krzyżować takich działań.

Janusz Krupski

Rozpocząłem ukrywanie się najpierw w Lublinie, ale po miesiącu postanowiłem się przenieść do Warszawy. I w lutym nawiązałem kontakt z dziewczyną, która działała w sekcji kultury KIK (Klub Inteligencji Katolickiej – red.). Nie rzucająca się specjalnie w oczy, pracowita, cicha, wydawało się skromna dziewczyna, Elżbieta Nalewczyńska. Nalewczyńska zaprosiła do współpracy swoją koleżankę Hannę Borucką. A ona sama miała kontakt z siostrą Piotrka Jeglińskiego Magdą. Kiedyś mi przekazała, rzekomo od Piotrka, pewien gryps napisany sympatycznym atramentem. Muszę powiedzieć, że był dziwny. Piotrek prosił mnie o przekazanie jak najwięcej informacji na temat szkolenia „Al Fatah” i terrorystów palestyńskich w Polsce. Pomyślałem: on zwariował. Była





to oczywista prowokacja. Myślę, że mając jakiś dowód, mogli mnie śmiało wsadzić z ciężkim wyrokiem do więzienia.

To było po godzinie szesnastej, było już ciemno, bo to dwudziesty drugi czy dwudziesty trzeci stycznia. Pojechałem do księgarni ORPANU w Pałacu Kultury i kiedy wychodziłem, zostałem wepchnięty do nadjeżdżającego fiata 125p. Dojechalśmy do Puszczy Kampinoskiej. Kazali mi wsiąść, zdjąć kurtkę, położyć się na śniegu. Wyciągnęli dużą butlę, ale ja miałem na sobie sweter i tylko zdjęte buty. I płynem z tej butli pociągnęli mi od szyi w dół. Urwał mi się w tym momencie film, nie wiem co się działo, bo jak doszedłem do siebie, to ich nie było. Próbkę pobrane ze skóry, z kurtki i ze swetra wskazywały, że to była mieszanina łągu i fenolu. Lekarze mówili: jeśli ten fenol dostanie się do organizmu, nastąpi zatrucie, będą przykre tego konsekwencje, a jeśli się nie dostanie, to jakoś z tego wybrnę. No i jakoś z tego wybrnąłem. W czasie śledztwa, które toczyło się później, ci oficerowie Służby Bezpieczeństwa, którzy dokonali porwania tłumaczyli, że oni mnie potraktowali łagodnie, bo gdyby wykonali rozkaz kapitana Grzegorza Piotrowskiego (tego, który kierował porwaniem i zamordowaniem ks. Popiełuszki – red.) dokładnie, to bym z tego lasu nie wyszedł.

Henryk Stefaniak

Pod koniec lipca 1982 roku w tym mieszkaniu, tutaj na tym stole drukowaliśmy gazetkę „Przedwiośnie” (pismo wydawane przez łódzką KPN – red.) i gazetkę łódzkiej czy mazowieckiej „Solidarności”. W czwartek zostały przywiezione matryce, ramki, papier. Wyprodukowane było około tysiąca pięciuset egzemplarzy, w tym 1000 „Przedwiośnia”, jak się później dowiedzieliśmy. Bo my sami nie wiedzieliśmy, ile zrobiliśmy. Pracowało tu od piątku około dziesięciu osób, w różnych składach osobowych, do niedzieli do obiadu. Korzystałem też z pomocy koleżanek z pracy. W niedzielę po obiedzie żeśmy skończyli, a w poniedziałek miały przyjść osoby, zabierać gazetki i rozprowadzać. Klucze miał jeden z kolegów, ja miałem drugi klucz. Po południu pojechałem na działkę do żony, a w poniedziałek poszedłem do swojego zakładu i dostałem ostrzeżenie od koleżanki, że jest wpadka, nakryli tam kogoś, milicja jest w domu i żebym nie wchodził, bo tam jest kociol.

Pojechałem po żonę. W pociągu powiedziałem jej, co się stało, że zostanie zatrzymany, a ona prawdopodobnie też. Ja miałem pójść pierwszy. I wchodzę na górę, próbuję otworzyć zamek. Nie zdążyłem klucza przekręcić i drzwi się same otwierają. No i w drzwiach zobaczyłem sześć wycelowanych we mnie pistoletów. W związku z tym, że te drzwi są małe, to panowie celowali w różnych pozycjach, jeden klęczał, jeden stał, całe drzwi prawie zajęli tymi pistoletami. Z rękami do góry doprowadzili mnie do pieca, przeszukali. Zwróciłem uwagę, że jednemu z panów trzęsie się pistolet wycelowany we mnie, poprosiłem dowódcę, żeby coś z tym panem zrobił. On spojrzął na niego i ten człowiek wyszedł do kuchni, już go później nie widziałem. Zapomniałem z tego wrażenia po tych pistoletach, że szedłem z żoną. Naraz słyszę, że ktoś do drzwi puka. I mówię: panowie, to jest moja żona, proszę, nie róbcie tej sceny z tymi pistoletami, Bo to moja małżonka idzie.





Elżbieta Stefaniak

Umówiliśmy się z mężem, że jak będzie wszystko w porządku, to będą uchylone drzwi. Drzwi są uchylone, to ja śmiało wchodzę do środka. A tu raptem wyrasta przede mną dwóch panów z wycelowanymi pistoletami we mnie. Struchlałam ze strachu. Wprowadzili mnie do pokoju. No i oczywiście, kto pani jest? Co pani tu robi? Czy pani coś wie na ten temat? No a wcześniej się umówiliśmy z mężem, że ja o niczym nie wiem. Ja zajmuję się tylko dzieckiem. Siedzę na działce i nie jestem niczego świadoma. Mimo wszystko przesiedzieliśmy tutaj cały dzień. Później zabrano mnie na komendę na Lutomierską. Tam byłam całą noc. Rano wróciliśmy z powrotem do mieszkania. Siedzieliśmy cały dzień. Oni czekali na jakieś kontakty. Ale na szczęście nikt nie przyśedł. Przyszła tylko sąsiadka. Ją też przesłuchali. Przetrzykali 2 godziny.

Henryk Stefaniak

Na Lutomierskiej byłem trzy dni. Potem dostałem sankcję i zostałem przewieziony na ul. Smutną do aresztu. Przesiedziałem do grudnia. Wyszedłem z dekretu Przewodniczącego Rady Państwa, ale proces wiosną 1983 r. się odbył (była to największa wpadka łódzkiej KPN, zatrzymano 20 osób – red.). Nie było niewinni – wszyscy byli winni.

Szczepan Rudka

Po wprowadzeniu stanu wojennego Służba Bezpieczeństwa przez pierwsze miesiące starała się zwalczać prasę bezdebitową i cały ruch wydawniczy żelazem i ogniem. We Wrocławiu każde pismo, które zostało przejęte przez Służbę Bezpieczeństwa było dokładnie badane, czyli określano typ maszyny, technikę druku i inne parametry. Ale bardzo szybko z tym skończono, bo się okazało, że tych pism jest za dużo, przeprowadzenie takiej ekspertyzy trwało, zajmowało czas technice i przez to cierpiały inne sprawy, a poza tym nie było jeszcze jednej rzeczy, mianowicie nie było materiału porównawczego, bo bardzo szybko działacze podziemia nauczyli się po prostu zmieniać czcionkę w maszynach, między innymi przecierając papierem ściernym co jakiś czas te czcionki. Inną kwestią jest to, że nawet posunięto się do ściągania odcisków palców z czasopism, ale też szybko z tego zrezygnowano, ponieważ nie było materiału porównawczego.

Wiesław Maciejewski

Byliśmy lekko wyluzowani, bo zrobiliśmy nakład. Trzy dni do świąt, rozwieziemy wszystko, będzie ładnie, spokojnie. Jedziemy w trzy osoby. Trochę tej bibuły. Z pół nakładu. Przewoziłem tym samochodem też kilkanaście paczek kawy, którą przywiozłem z Wiednia i próbowałem sprzedać na wolnym rynku. Mieliśmy jakieś trzysta metrów do umówionego faceta na ulicy, który czekał na bibułę i zatrzymał nas patrol zomo. Chłopcy mnie wylegitymowali, sprawdzili dokumenty, wsadzili głowę do samochodu i zobaczyli kawę. Rozmowa była taka: ile paczek. To ja liczę paczki bibuły: osiem. Oni: ile? Ja tam





kilkanaście widziałem co najmniej. Acha, to on mówił o kawie, a ja myślę o bibule. I tu zadziałał taki mechanizm. Ja bardzo często w tych czasach byłem przemęczony, bo człowiek pracował po ileś tam godzin na dobę i troszeczkę wolniej myślał, wolniej reagował. Oni byli zdziwieni naturalnością sytuacji, bo nie byłem przestraszony, nie trzęsły mi się ręce, nie dygotałem. Tylko zastanawiałem się po prostu, o co mu chodzi, o co temu facetowi chodzi. No i rozmowa była taka, że on chciałby trochę kawy kupić. No dobrze, to zapłać. No, ale on nie ma pieniędzy przy sobie, może mi te pieniądze przynieść. Kumpel patrzy na mnie i mówi: już daj mu tę kawę, niech się wyniesie. Dostał kawę, odszedł, my wsiedliśmy, pojechaliśmy. Święta spędziliśmy w domu.

Szczepan Rudka

Jedną z ważniejszych oficyn wydawniczych we Wrocławiu była Inicjatywa Wydawnicza Aspekt. W jednym z mieszkań była drukowana książka i po druku, drukarz zostawił włączony junkers, od którego zaczął się pożar. Sąsiedzi wezwali straż pożarną. Straż pożarna przyjechała, ale w międzyczasie też wezwali tego drukarza, który był właścicielem mieszkania. No i dochodzi do takiego dialogu, kiedy ten człowiek przyszedł ze strażakami: Proszę pana, ale my musieliśmy wezwać milicję, bo taki mamy obowiązek. No dobrze, a pomożecie mi to zakryć? Tak. W tym momencie wszystkie te wydrukowane, a jeszcze nie sklejone książki zostały przykryte jakimiś materiałami, w każdym razie ukryte. Ale drukarz nie wykazał się wdzięcznością w stosunku do strażaków, bo jeden ze strażaków zapytał: A mógłbym dostać egzemplarz? A drukarz odmówił. Nie chciał dawać czegoś, co mogłoby być dowodem, że coś tu takiego się działo. Myślę, że mógł spokojnie dać, no, ale był ostrożny.

Edward Przybysz

To była cała akcja, wywiezienia papieru z garażu, który został przez policję namierzony i obserwowany. Całą akcją kierował Władek Król, który przez nas był nazywany Sztruksem. Ten magazyn był zlokalizowany w garażu, a w mieszkaniu obok siedziało dwóch panów, którzy czekali na to, kiedy i kto przyjedzie po ten papier. Oczywiście z właścicielką domu i tego garażu byliśmy w stałym kontakcie. I któregoś dnia doszliśmy do wniosku, że najlepiej będzie wjechać samochodem dostawczym do tego garażu, załadować papier i wywieźć. Ale co z tymi policjantami? Z tymi, którzy obserwują? Namówiliśmy panią, żeby w drugim pokoju, od ulicy, tak, żeby nie widzieli podwórka, poczęstowała ich obiadem, co ona uczyniła. No i w tym czasie myśmy podjechali i ten cały papier zwinęliśmy. Po pewnym czasie, jak nikt się nie zgłaszał po ten papier, ci panowie się zainteresowali. I zdziwieni, że tam nic nie ma. A na to bardzo ładne było zachowanie właścicielki tego domu, która powiedziała: a co panowie chcieli tu znaleźć? No, jak to co, ten papier, który tu był. A ta pani: przecież tutaj nigdy żadnego papieru nie było.

(not. js)





Świąteczny kocioł

Wiesław Bieliński

Pod koniec roku 1984 Przedświt dostał propozycję wydania broszury „Solidarność – problemy, znaki zapytania, próby odpowiedzi” Janka Lityńskiego. Miał to być pierwszy tom biblioteki „Tygodnika Mazowsze”. Redakcji „TM” zależało na czasie. Niestety wszystkie nasze dojscia były zajęte – właśnie trwał druk pierwszego wydania „Kospiry”.

Postanowiłem wykorzystać swoje stare miejsce, powielarnię Centrum Zdrowia Dziecka w Międzyzlesiu. Pracował w niej Mirek Moczarski, starszy brat mojego kolegi z podstawówki.

Było drogo, ale robili wszystko – od matryc po gotowe egzemplarze, porządnie popakowane i dostarczone tam gdzie trzeba. Na odbiór umówiliśmy się z Mirkiem na parking przy Torwarze.

20 grudnia, w dzień wizyty szefa włoskiego MSZ Giulio Andreottiego w Warszawie, czekaliśmy tam wieczorem z Bogdanem Porowskim ze dwie godziny. Nikt nie przyjechał.

W blokach po drugiej stronie trasy Łazienkowskiej znalazłem działający telefon. W Międzyzlesiu nikt nie odbierał, zadzwoniłem więc do dziewczyny Mirka. Od niej dowiedziałem się, że była wpadka. Nadgorliwy strażnik złapał drukarzy z bibułą i zadzwonił po milicję.

Wróciłem na Kredytową i wyniosłem wszystko, co nielegalne do sąsiada, Jurka Bielawnego, przyjaciela jeszcze z czasów podstawówki. Jerzyk był świętym człowiekiem, o nic nie pytał, ze stoickim spokojem obserwując rosnącą na podłodze górę towaru. Mamie powiedziałem, że muszę się wynosić z domu. Bo na pewno po mnie przyjdą. Że powinienem zniknąć na jakiś czas.

Postąpiłem słusznie, Mirek od razu zeznał, że czekam na parking przy Torwarze, na szczęście lokalna milicja olała informację. Nie przyjechali po nas. Mirkowi płaciłem za dobrą robotę, nie mając wątpliwości, że jak go złapią to mnie wyda. Mirek na przesłuchaniu zachował się jednak racjonalnie. Wszystko, co bezpieka znalazła w trakcie przeszukania powie-

9 grudnia 1982 roku w raporcie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych podano:

„...W ciągu minionego roku zlikwidowano 360 punktów produkcji nielegalnej literatury...

Przejęto:

- 1196 urządzeń drukujących,
- 468 maszyn do pisania,
- 730 tysięcy ulotek,
- 340 broszur i wydawnictw,
- 4000 plakatów,
- zlikwidowano 11 radiostacji Radia „Solidarność”,
- internowano 10 131 osób”.





larni, jakieś matryce i inną lewiznę (drukował też dla chłopaka z KPN-u), zwałił na mnie, nikogo więcej nie wyspał. SB zawitała na Kredytową 23 grudnia o świcie i założyła kocioł.

O moich kłopotach wiedziało całe miasto, niestety z wyjątkiem Piotra Niemczyka, stałego gościa na Kredytowej. Piotrek właśnie skończył szychtę w podziemnej drukarni – nie znał więc najnowszych informacji. Feralnego mroźnego dnia, wracając z Uniwerku, wpadł na Kredytową. Na kubek herbaty, by się rozgrzać. Niemczyk był wtedy prawdziwym punkowcem, ostrzyżonym na lyso chudzielcem w czarnej skórce. Żywił się głównie herbatą bądź kawą, z dużą ilością cukru.

Gdy zadzwonił, drzwi otworzyła znana mu z widzenia osoba, pomyślał – jakiś nasz wspólny znajomy. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to żaden znajomy, lecz esbek ze spluwą w garści, który niedawno go zamykał. Na ucieczkę było już za późno.

Esbecy, widząc znanego klienta, zadzwonili po posiłki do Pałacu Mostowskich – „Zatrzymaliśmy podejrzanego, trzeba przeprowadzić czynności operacyjne w miejscu zamieszkania”. Nazajutrz była Wigilia, dzień ważny nawet dla komunistów – w odpowiedzi usłyszeli więc, że mają spadać.

Mama opowiadała, że esbecy po kilku godzinach zaczęli nerwowo wydzwaniać do Pałacu, zlecając kolegom czy sekretarkom ostatnie zakupy w milicyjnym bufecie: gra szła o pomarańcze, mandarynki, wędliny i inne niedostępne dla ogółu wiktuały.

Po Piotrusia nikt nie przyjeżdżał.

O kotle na Kredytowej dowiedziałem się od Joli Tabor, córki Państwa Piątkowskich z czwartego piętra. Jola mieszkała na Bartoszewicza. 10 minut spacerkiem od Kredytowej. Poprosiłem ją, by odwiedziła Mamę, złożyła życzenia świąteczne i przekazała, że u mnie wszystko w porządku. W tej samej kamienicy mieszkał Maciek Orłoś, u niego czekałem na powrót Joli.

Dziewczyna okazała się być mistrzynią konspiracji. W mieszkaniu rodziców przebrała się, i w kaptach, z prezentem w ręku (o ile dobrze pamiętam, były to rajstopy, dobro rzadkie i pożądane w owych czasach), poszła do Mamy. Esbecy nie wiedzieli, jak postąpić w takiej sytuacji. A sąsiadka, ignorując obecność facetów z pistoletami, uściskała Mamę i wyszeptwała do ucha wiadomość.

Pod wieczór Mama oświadczyła, że nic jej to wszystko nie obchodzi. Że są święta.

Że pakuje wypieki i jedzie do Szczecina. Do córki i wnuczki.

Że za chwilę ma pociąg.

Przed domem rozegrała się taka scena. Mama skręciła na lewo, w kierunku Królewskiej, na przystanek autobusu jadącego na Dworzec Centralny. Za nią podążył jeden z esbeków. Reszta ekipy w pośpiechu wsiadła do fiata. Piotr został pod bramą.

Od esbeków usłyszał: spierdaj! Już!

To były chyba jego najbardziej szczęśliwe Święta, w domu miał dosyć towaru na wyrok.

Esbecy odprowadzili Mamę na dworzec, śledząc ją na peronie do chwili, aż pociąg odjechał. Tego, że nie pomogli starej, zmęczonej kobiecie z bagażami, Mama im nigdy tego nie wybaczyła.





Tajemnice wpadki Borusewicza

Grzegorz Majchrzak, Grzegorz Wolk

Zatrzymanie jednego z najbardziej poszukiwanych w latach osiemdziesiątych opozycjonisty Bogdana Borusewicza przez Służbę Bezpieczeństwa było jej wielkim sukcesem. Jednak jego wpadka nie wynikała bynajmniej ze skuteczności bezpieki, lecz raczej z nieostrożności samego poszukiwanego i najprawdopodobniej ludzkiej chciwości. Stała się też początkiem – na szczęście nieudanej – kombinacji operacyjnej przeciwko gdańskiemu podziemiu.

W nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., kiedy peerelowskie władze wprowadzały stan wojenny, Bogdanowi Borusewiczowi udało się uniknąć zatrzymania i internowania. Szczęśliwie wymknął się esbeckiej obławie. Była to zresztą historia iście filmowa: brauwrowo uciekający przed funkcjonariuszami gdańskiej bezpieki „Borsuk”, esbecy krzyżący do niego „Stój, bo strzelam”, a w końcu niecelnie strzelający do niego jeden z nich. Tak to przynajmniej zapamiętał sam zainteresowany. Wersja esbeków jest nieco inna. Otóż strzelać miał Jan Protasiewicz, który podobno strzelcem był znakomitym. Jak jednak utrzymuje jego bezpośredni przełożony Jerzy Domski, Protasiewicz miał strzelać jedynie na postrach, w powietrze. Czy tak było w rzeczywistości? Wydaje się to raczej mało prawdopodobne, ale nie można tego oczywiście wykluczyć. W każdym razie ówczesna procedura przewidywała najpierw wspomniane wcześniej wezwanie, następnie strzał ostrzegawczy i dopiero ewentualnie strzał w nogi osoby uciekającej.

W każdym razie od chwili ucieczki Borusewicz stał się jednym z najbardziej poszukiwanych działaczy opozycji. Tym bardziej, że nie pozostawał bierny i współorganizował gdańskie podziemie (Regionalną Komisję Koordynacyjną), a w 1984 r. wszedł w skład ogólnopolskiego kierownictwa podziemnego związku, czyli Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „Solidarność”, Długo wymykał się Służbie Bezpieczeństwa. Pomagał mu w tym m.in. prowadzony przez działaczy podziemnej „Solidarności” w Gdańsku (m.in. Jana Krzysztofa Bieleckiego) nasłuch częstotliwości milicyjnych. Jednak jeszcze cenniejsza była w tym przypadku pomoc Adama Hodysza, oficera Wydziału Śledczego Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku, wspierającego od schyłku lat 70. trójmiejską opozycję.

Oczywiście ani pomoc Hodysza, ani też nasłuch radiowy nie zapewniały całkowitego bezpieczeństwa. Zdarzało się, że bezpieka wpadała na trop „Borsuka” i czasami dzięki szczęściu, innym razem opanowaniu udawało mu się pozostać na wolności. Jedną z takich historii miała miejsce w styczniu 1982 r., kiedy to funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa otoczyli dom, w którym się ukrywał. „Otworzyłem okno. Nie zaskrzypiało (...) wszedłem na dach. I natychmiast się położyłem. Leżałem w śniegu. Niczego nie zauważyli. Była godzina siedemnasta, panował zmrok. Zacząłem się czołgać (...) Sko-





czyłem z dachu na balkon. Mieszkańcy oglądali telewizję. Okno uchylone, ukloniłem się, powiedziałem przepraszam, żeby nie myśleli, że jestem złodziejem” – relacjonował wiele lat później Mieczysławowi Szczesiakowi. Innym razem – jak wynika z esbekkich dokumentów – gdańscy funkcjonariusze otrzymali od swojego tajnego współpracownika pseudonim „Kieł” adres mieszkania, w którym się ukrywał, jednak, kiedy ci wkroczyli do niego już go tam nie zastali. Ponoć – co zresztą kwestionuje sam Bogdan Borusewicz – weszli do niego dzień po tym, jak przestał się w nim ukrywać oraz dzień przed tym, jak lokal miał być ponownie wykorzystany przez podziemną „Solidarność”...

W każdym razie Borusewiczowi udawało się skutecznie ukrywać przed Służbą Bezpieczeństwa przez ponad cztery lata. Jednak w dniu 9 stycznia 1986 r. w końcu – nie bez własnej zresztą winy – został zatrzymany. Jak był przekonany, przypadkowo. „Mieszkałem w tym czasie u Bronka Sarzyńskiego w Małym Kacku z Aliną [Pienkowską – GM, GW] i małą Kingą [...] Pojechałem, aby zapłacić gospodarzowi za lokal. Wcześniej użyczał nam pomieszczeń gratis, ale doszło do mnie, że nie ma pracy i wspomina o pieniądzech. Nie zastałem go. Dowiedziałem się, że nazajutrz rusza druk biuletynu i byłem pewien, że wówczas go zastanę. Na drugi dzień wybrałem się więc ponownie. Zobaczyłem stojący na rozstaju dróg samochód – uaz. Powinienem się wycofać. A co najmniej sprawdzić, czy nikt nie siedzi w środku. Popatrzyłem, zobaczyłem, że szyby są zmrożone, a zatem nie powinno tam nikogo być. Zapukałem do drzwi domku, w którym mieściła się drukarnia. Otworzył mężczyzna ubrany w ciemny mundur. No i zaczęła się walka. Chciałem uciekać, ale wyskoczyło kilku, chyba sześciu. Usiłowałem wyciągnąć z kieszeni amerykański gaz paraliżujący. Nie udało się. Obalili mnie, wciągnęli do środka, zdjęli czapkę. I wtedy jeden z nich, kapitan Zbigniew Kiewlen, którego doskonale znałem, bo mnie nieraz przesłuchiwał, aż zapiał z radości: Borusewicz! Jego reakcja była autentyczna i spontaniczna. To wskazywało, że się mnie nie spodziewali”. „Borsuk” podjął jeszcze jedną próbę ucieczki – wybił okno, usiłował wskoczyć na stół. Bez powodzenia. „Skuli mi ręce do tyłu i przywiązali na okrętkę sznurem do krzesła. Później związali ręce i nogi. I tak mnie nieśli do samochodu, a potem na bezpieczek [...] Kiedy mnie wynosili, zakneblowali szalikiem, żebym nie krzyczał” – relacjonował dalej.

Oprócz niego – „na gorącym uczynku” – zatrzymano kilka innych osób. Był to duży sukces gdańskiej Służby Bezpieczeństwa. Jej funkcjonariusze złapali, bowiem nie tylko jednego z liderów podziemnej „Solidarności”, ale zlikwidowali również dwie podziemne drukarnie. Jedną przy ul. Sokolej, w której drukowano pismo „Solidarność”. Drugą zlokalizowaną w domku jednorodzinny przy ul. Stokrotki w Gdańsku-Olszynie, gdzie z kolei powielano m.in. inne czasopismo – „Portowiec”. Ponadto przejęli dwie maszyny offsetowe, trzy odbiorniki radiowe umożliwiające nasłuch pasm milicyjnych oraz „dużą ilość notatek, zapisków i innych materiałów wskazujących na to, że jest to dokumentacja i archiwum Regionalnej Komisji Koordynacyjnej”. O osiągnięciu tym MSW niezwłocznie poinformowało najważniejsze osoby w państwie, z I sekretarzem Kom-





tetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i prezesem Rady Ministrów Wojciechem Jaruzelskim na czele. Nic, zatem dziwnego, że funkcjonariuszy uczestniczących w tej akcji doceniono, wyróżniając ich nagrodą ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszcza.

Pytanie: jak do tego doszło? Bogdan Borusewicz nie miał żadnych wątpliwości, że ktoś zdradził. W rozmowie ze Szczesiakiem twierdził, że celem akcji Służby Bezpieczeństwa była „jedynie” drukarnia, a on był niespodziewanym „prezenterem” dla jej funkcjonariuszy. Okazuje się jednak, że esbecy doskonale wiedzieli, iż pojawia się on pod adresem, pod którym go zatrzymano. Ta wiedza nie była jednak efektem żmudnej, skutecznej pracy operacyjnej gdańskiej SB. Po prostu – dzień przed opisaną wpadką – do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku zgłosił się Stanisław Ossowski – człowiek, który od listopada 1985 r. wynajmował lokal przy Sokoła Regionalnej Komisji Koordynacyjnej. Ten sam lokal w którym ulokowano podziemną drukarnię. Co ciekawe Ossowski znał – chociaż w myśl zasad konspiracyjnego BHP nie powinien posiadać takiej wiedzy – również adres drugiej podziemnej drukarni, którą również wydał. Można jedynie przypuszczać, że mu po prostu ufano. Zapewne nie bez wpływu na to pozostawał fakt, że był on mężem Ewy Ossowskiej, jednej z kobiet, które w dniu 16 sierpnia 1980 r. zatrzymały część robotników wychodzących ze Stoczni Gdańskiej po zawarciu porozumienia przez komitet strajkowy z dyrekcją, a tym samym uratowały ten protest. Protest, który doprowadził do powstania NSZZ „Solidarność”. Warto w tym miejscu zadać pytanie, czemu nauczeni doświadczeniami sprzed lat funkcjonariusze SB wkroczyli do zdekonspirowanych drukarni, zamiast – szczególnie tę na Sokoła – poddać obserwacji i przystąpić do akcji dopiero, kiedy pojawi się w niej „Borsuk”? Czyżby gdańskiej Służbie Bezpieczeństwa na tym nie zależało? Trudno bowiem przypuszczać, aby esbecy dysponowali wiedzą, kiedy zjawi się on we wspomnianym lokalu....

Tymczasem nazajutrz po zatrzymaniu Bogdana Borusewicza, 10 stycznia 1986 r., Stanisław Ossowski został zarejestrowany w sieci osobowych źródeł informacji jako tajny współpracownik o pseudonimie „Korba”. Jednostką, której agentem został, był Inspektorat 2 WUSW w Gdańsku, czyli terenowa komórka Biura Studiów MSW. Była to elitarna jednostka Służby Bezpieczeństwa, utworzona pod koniec 1981 r. Zajmowała się zwalczaniem najważniejszych organizacji opozycyjnych, głównie solidarnościowych. Niestety materiały archiwalne dotyczące współpracy z SB Ossowskiego (teczka personalna oraz teczka/teczki pracy) zostały zniszczone w sierpniu 1989 r. Nie wiemy więc co się w nich dokładnie kryło, i jak cenna i szkodliwa była jego dalsza współpraca z bezpieką. Bez tych dokumentów trudno również ustalić motywacje, jakimi kierował się zgłaszając się z własnej inicjatywy do Służby Bezpieczeństwa i wydając działaczy podziemnej „Solidarności”. Najbardziej prawdopodobnym wydają się pieniądze. W końcu to właśnie SB mogła zaoferować Stanisławowi Ossowskiemu bezpieczniej-





szy i pewniejszy zarobek niż podziemna „Solidarność”. Paradoksalnie zresztą, Borusewicz zatrzymano wtedy, kiedy przyjechał zapłacić Ossowskiemu za wynajmowany lokal. I gdyby ten wstrzymał się ze swoim donosem kilka dni otrzymałby honorarium od obu stron... Tak na marginesie kwestia jego wynagradzania – przynajmniej przez podziemie – jest niejasna. Jak bowiem sam zeznawał, za wynajmowane pomieszczenie rzekomo otrzymywał od działaczy RKK 3 tys. złotych miesięcznie. Z kolei, jak utrzymuje cytowany wcześniej Borusewicz, miał udostępniać je nieodpłatnie i dopiero kłopoty finansowe sprawiły, że zażądał pieniędzy.

Oczywiście Stanisław Ossowski uniknął zatrzymania. Od 30 stycznia 1986 r. ścigano go – przynajmniej formalnie, na papierze – listem gończym, pod zarzutem przynależności do Regionalnej Komisji Koordynacyjnej i udziału w druku ulotek i wydawnictw mogących „wywołać niepokój społeczny”. W tym czasie „ukrywał się” w nieznanym miejscu. Nie można wykluczyć, że lokal zapewniała mu Służba Bezpieczeństwa, która w tym czasie szkoliła go do przyszłych zadań... Ujawnił się w dniu 25 października 1986 r., korzystając z lipcowej amnestii dla działaczy opozycji. W złożonych wyjaśnieniach tłumaczył, że mieszkanie wynajmował od października 1985 r. osobie, której nazwiska nie pamięta. Sam natomiast przebywał w tym czasie u swojej dziewczyny. O fakcie drukowania solidarnościowej prasy przy Sokolej miał się rzekomo dowiedzieć dopiero na początku stycznia 1986 r. Zaprzeczył również swojej znajomości z Bogdanem Borusewiczem. Postawa, jaką prezentował podczas przesłuchania była najpewniej elementem legendy budowanej mu przez funkcjonariuszy SB. W każdym razie naczelnik Wydziału Śledczego Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku wnioskował, aby jego przypadek objąć ustawą amnestijną. Potraktowano go w tym przypadku dużo łagodniej niż osoby zatrzymane w związku z drukiem i kolportażem nielegalnych wydawnictw – w tym samym czasie prokuratura wnosiła np. o konfiskatę samochodu Tadeusza Wyganowskiego, gdyż ten „służył do przewożenia materiałów przeznaczonych do drukowania nielegalnych wydawnictw, w związku z czym stanowił on narzędzie służące do popełnienia przestępstwa”. Z drugiej strony tak łagodne potraktowanie Ossowskiego nie było niczym nadzwyczajnym, gdyż – używając ówczesnej terminologii peerelowskich władz – „dobrowolnie odstąpił od nielegalnej działalności”...

Borusewicz ma rację mówiąc o autentycznym zaskoczeniu i radości z zatrzymania go ze strony Zbigniewa Kiewłena. Wersję tę potwierdza lektura akt osobowych tego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa, konkretnie Wydziału Śledczego KW MO / WUSW w Gdańsku. Jak wynika z jednego z jego raportów w momencie wyjazdu „na akcję” nie wiedział on, że przyjdzie mu zatrzymać „Borsuka”. Nie poinformowali go o tym jego przełożeni, o ile – o czym była mowa – sami dysponowali wiedzą, że Bogdan Borusewicz może pojawić się na Sokola. Taka „konspiracja w konspiracji” nie była zresztą w tym przypadku niczym nadzwyczajnym. Im mniej osób wiedziało o szcze-





gółach akcji, tym większa była szansa jej powodzenia. Poza tym, po ujawnieniu współpracy z podziemiem Adama Hołysza, zaufanie do funkcjonariuszy Wydziału Śledczego WUSW w Gdańsku ze strony przełożonych i kolegów z innych jednostek operacyjnych Służby Bezpieczeństwa było co najmniej ograniczone. Istniała bowiem obawa, że Hodysz mógł zwerbować do pomocy opozycji innych funkcjonariuszy.

Dziwi natomiast co innego. Otóż według Kiewłena, w trakcie toczącego się przeciwko Borusewiczowi śledztwa, zarówno jego, jak i funkcjonariusza Inspektoratu II Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku Stanisława Piętę miano namawiać (wbrew faktom) do zeznania, że wiedzieli, iż na ul. Sokolej zastaną Bogdana Borusewicza... Na pytanie, kto podjął taką decyzję Kiewłen miał usłyszeć od Jacka Rosochackiego, kolegi z Wydziału Śledczego prowadzącego śledztwo w sprawie „drukarni na Stogach”, że „takie są wytyczne szefów”. Tak rzeczywiście było – do kłamania przed sądem wprost nakłaniał go później zastępca naczelnika tego wydziału Marek Rogowski, z kolei sam naczelnik ewidentnie to sugerował. Na tym się zresztą nie skończyło. Jak bowiem pisał Zbigniew Kiewłen – odwołując się od opinii służbowej z końca kwietnia 1986 r. – w raporcie do szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku Jerzego Andrzejewskiego: „W jakiś czas później odbyła się trzecia rozmowa na temat mojego przesłuchania [...] Na rozmowie tej w ostatecznym zakresie została ustalona treść moich zeznań”. Jak jednak dodawał: „Moje zeznania złożyłem zgodnie z przebiegiem wydarzeń na przeszukaniu”. Taka postawa Kiewłena nie spodobała się jego szefom z Biura Śledczego. Jego bezpośredni przełożony, czyli Stefan Rutkowski, stanowczo odrzucił zarzuty podwładnego. Stwierdził, że nikt z kierownictwa wydziału nie nakłaniał go do kłamania przed sądem na temat okoliczności zatrzymania Borusewicza. I dodawał: „Takie pomówienie jest prowokacyjne i stanowi poważne niebezpieczeństwo w powierzeniu do realizacji kpt. Z[bigniewowi] Kiewłenowi czynności operacyjno-śledczych w stosunku do przeciwnika politycznego, gdyż ten „utracił wiarygodność oficera SB”. Sprawa ta nie została prawdopodobnie nigdy wyjaśniona – tak przynajmniej wynika z akt osobowych tego oficera Służby Bezpieczeństwa. Nie wiemy, zatem czy rzeczywiście, a jeśli tak to, z jakiego powodu, przełożeni kazali Kiewłenowi złożyć niezgodne z prawdą zeznania. Tym bardziej, że groziło to – przynajmniej potencjalnie – dekonspiracją Ossowskiego, czyli tajnego współpracownika „Korby”. W sposób oczywisty znalazłby się on bowiem wówczas w wąskim kręgu podejrzanych o wpadkę.

A – jak wiele wskazuje – bezpieka planowała go wykorzystywać w działaniach przeciwko podziemiem, głównie Regionalnej Komisji Koordynacyjnej w Gdańsku... Udało się jej odsunąć od niego podejrzenia o zdradę. Wykorzystano w tym celu grypsy pisane przez Andrzeja Michałowskiego, jednego z najbliższych współpracowników Bogdana Borusewicza w RKK. Odpowiadał on m.in. za organizowanie poligrafii w regionie. Został on aresztowany w dniu 30 września 1985 r. i – w ramach kombinacji operacyj-





nej – Służba Bezpieczeństwa kontrolowała kanał, którym Michałowski przekazywał na zewnątrz informacje. Pozwoliło to jej na spreparowanie grypsów, z których wynikać miało, że podejrzewał on po wpadce Borusewicz i dwóch drukarni, iż funkcjonariusze SB trafili na ich ślad dzięki obserwacji znanego jej wcześniej z podziemnej działalności Zygmunta Sabatowskiego, głównego organizatora druku przy ul. Sokolej. Michałowski miał przy tym rzekomo nie podejrzewać nikogo o agenturalną działalność, jednak – stosując konspiracyjne BHP – sugerować Mariuszowi Hinzowi, załatwiającemu lokale na drukarnie dla Regionalnej Komisji Koordynacyjnej, odsunięcie Stanisława Ossowskiego od poligrafii. Miało to wynikać z obawy, że ten w przypadku aresztowania mógłby ujawnić miejsca druku. Zupełnie przy tym miał nie podejrzewać jednak jego prawdziwej roli. Ossowski, który – jak się można domyślać – z polecenia Służby Bezpieczeństwa, właśnie wtedy zaproponował zwiększenie swojej aktywności opozycyjnej („zejdźcie do podziemia” i sygnowanie dokumentów RKK swoim nazwiskiem.), znalazł się jednak na cenzurowanym. Wyrażona przez niego chęć podpisywania oświadczeń w imieniu Regionalnej Komisji Koordynacyjnej, rzekomo uznana przez Andrzeja Michałowskiego za „dużą sprawę”, na szczęście została odrzucona. Zapewne nie bez znaczenia był fakt, że Stanisław Ossowski był człowiekiem anonimowym, szerzej nieznanym. W każdym razie nie znalazł się w kierownictwie RKK. Niestety nie wiadomo czy i jakie korzyści w zwalczaniu tej podziemnej struktury regionalnej i innych ugrupowań opozycyjnych Trójmiasta przyniosła bezpiecze jego współpraca.

Najprawdopodobniej zaskakującym efektem zatrzymania Bogdana Borusewicz stało się odejście z SB po dwunastu latach służby (wcześniej przez jedenaście lat służył on w Milicji Obywatelskiej) Zbigniewa Kiewłena. Niespełna rok po największym sukcesie zawodowym – w dniu 19 grudnia 1986 r. – funkcjonariusz ten zdecydował się złożyć raport o zwolnienie ze służby. Jego przełożeni nie wyrazili sprzeciwu i decyzją ministra został zwolniony pod koniec lutego 1987 r. W ten sposób gdańska Służba Bezpieczeństwa utraciła zaangażowanego w walkę z opozycją oficera, któremu nie brakowało sukcesów. Stał się jednak niewygodny w związku z zatrzymaniem „Borsuka”. Jak sam wspominał w raporcie z końca kwietnia 1986 r. adresowanym do Jerzego Andrzejewskiego: „Towarzyszu Generale w moim subiektywnym odczuciu te fakty [nakłanianie go do fałszywych zeznań, na co nie wyraził zgody – GM, GW] stały się przyczyną konfliktu [...] Po tych rozmowach dowiedziałem się, że bardzo źle są prowadzone moje sprawy, raport o odwołanie mnie z funkcji oskarżyciela publicznego w Sądzie został potraktowany jako odmowa wykonania polecenia służbowego i postawiono mi warunek, napisze raport o odwołanie z zajmowanego stanowiska lub postępowanie dyscyplinarne”. Zaiste trudno uznać za przypadkowy zbieg okoliczności pogorszenie opinii na jego temat z jego odmową kłamania przed sądem...

Tymczasem główny bohater całej sprawy Bogdan Borusewicz w więzieniu przesiedział „zaledwie” kilka miesięcy – wolność odzyskał (na podstawie amnestii) we wrześniu



niu 1986 r., na mocy amnestii. Z więzienia wyszli również inni zatrzymani działacze podziemnej „Solidarności” w Trójmieście zatrzymani w styczniu 1986 r. Borusewicz w kolejnych latach kontynuował działalność opozycyjną. Sabatowski, który zorganizował drukarnię przy Sokolej, po opuszczeniu aresztu skoncentrował się na pracy zawodowej – był zatrudniony m.in. w drukarniach kurii gdańskiej i Gdańskiej Stoczni Remontowej. Dalsze losy Ossowskiego nie są natomiast znane. Zapewne w dalszym ciągu pracował jako kierowca-mechanik w „Transbudzie”. Czy jego współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa trwała nadal, trudno ocenić. Zniszczone w sierpniu 1989 r. teczki już nie „przemówią”. W każdym razie „bohaterem” gdańskiego podziemia, pomimo starań Służby Bezpieczeństwa, nie został, a sukces, jakim było niewątpliwie zatrzymanie Bogdana Borusewicza okazał się jedynie krótkotrwały. Większym ciosem dla gdańskiego podziemia była – przynajmniej w dłuższym horyzoncie czasowym – likwidacja dwóch drukarni.

Autorzy są pracownikami Biura Badań Historycznych IPN

NIEZALEŻNY SERWIS 16.12.1981.R.

W Gdańsku ukonstytuowała się zastępcza Komisja Krajowa. Obowiązki przewodniczącego pełni dotychczas wiceprzewodniczący Krupniński. W skład Komisji Krajowej wchodzi m.in. Waszkiewicz, Kowarski i Szumiejko z Wrocławia. Wiadomo również, że w niedzielę 13 bm. interwowania uniknęli Bujak i Rulewski.

Komisja Krajowa wzywa wszystkich członków "Solidarności" do podjęcia strajku powszechnego: pracują jedynie pracownicy niezbędnych służb; robotnicy stawiają bierny opór.

W nocy z 12 na 13 grudnia oddziały ZOMO włączyły się do budynku Zarządu Regionu i z furją zdemolowały sprzęt. Aresztowano portierkę, która nie chciała otworzyć bramy. XX Dnia 13.12. rozpoczął się strajk MPK, który następnego dnia stłumiono przy użyciu pałek. XX Powstał we Wrocławiu Robotniczy Komitet Strajkowy z przewodniczącym W. Frąsy-miukiem. XX dnia 14.12. strajkowała większość dużych zakładów pracy Wrocławia, m.in. Pafawag, Dolmel, Padroma, Archimedes, FAT, wyższe uczel-nie. XX W nocy z 14 na 15 grudnia ZOMO wkroczyło na teren Politech-niki i uniwersytetu; wiele osób bestialsko pobito, na Politechnice jeden z pobitych, Kostecki, zmarł na skutek ataku serca/ nie udzielono mu pomocy/. XX Dnia 15.12 ok. godz. 4-tej rano czołgi po sforsowa-niu ogrodzenia wtargnęły na teren Pafawagu. Robotnikom kazano poło-żyć się na brzuchu. Część z nich wywieziono na ul. Kłęczkowską, resz-tę rozepędzono. Aresztowano współpracujących strajk. Strajk podjął na-stępna zmiana. XX Również 15.12 czołgi wjechały na teren Archimode-su. Wieczorem tego dnia strajk trwał nadal. XX Prymas Polski, arcybis-kup Józef Glemp nie wyraził zgody na spotkanie z premierem, żądając udziału L. Wałęsy w tych rozmowach. XX Amerykański Departament Stanu wydał oświadczenie, w którym stwierdza, że otrzymuje wieści o straj-kach w Polsce i strajkuje Warszawa, Trójmiasto, Kraków, Poznań, Katowice i inne miasta, strajkują kopalnie na Górnym Śląsku. Stwierdza też, że aresztowano setki związkowców. AFP podaje, że Wałęsę zatrzymano.

Stan wojenny został bezprawnie wprowadzony dekretem Rady Państwa. Rada Państwa ma prawo wydawania dekretów z mocą ustawy jedynie w przerwach między sesjami sejm. Sejm PRL sesji jesienniej nie zakończył. Pozostaje jeszcze jedna możliwość. Stan wojenny może być ogłoszony przez generała armii, ale tylko wtedy, gdy kraj znajduje się w STANIE WOJNY.

Warszawa: strajkują: PZO Żerań, Huta Warszawa, Ursus, zakłady im Świer-czewskiego, Róża Luksenburg i inne. XX Aresztowania i łapanki/zamyka-nie ulic z dwóch stron i wykupuje ludzi/. XX Strajkowała Bibliote-ka narodowa-strajk przerwano siłą. XX Obstawiony "Dom Partii"-po-stawiony z karabinami maszynowymi. XX



Jak SB wytropiła Bujaka

Grzegorz Majchrzak

Ta historia ma swój początek w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 r., w okolicach północy. W kraju trwa już operacja wprowadzenia stanu wojennego. Nieświadomi – pomimo napływających z kraju ostrzeżeń – że skończył się okres 16-miesięcznego „karnawału” uczestnicy posiedzenia Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” odbywającego się w dniach 11 -12 grudnia w Stoczni Gdańskiej (w historycznej Sali BHP) rozchodzą się. Większość z nich wraca do trójmiejskich hoteli, gdzie następnie zostaje zatrzymana przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej. Podobny zamiar ma również przewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze Zbigniew Bujak. Jednak jego kolega z Warszawy Zbigniew Janas postanawia wracać do Warszawy. Ponieważ obaj pracują w Zakładach Mechanicznych „Ursus”, a ponadto ich rodziny przyjaźnią się, Bujak podejmuje próbę przekonania Janasa do zmiany decyzji i pozostania w Gdańsku. Na szczęście dla nich obu bez skutku. Działacze mazowieckiej „Solidarności” udają się więc na dworzec kolejowy. Kupują bilety na pociąg o godzinie 2.20. Jednak na dworcu dociera do nich informacja o otoczeniu przez MO hoteli, w których nocowali ich koledzy z władz krajowych związku. Zastanawiają się co zrobić? Ponieważ jednak pociąg spóźnia się, a dociera do nich kolejna wiadomość, że milicja odjechała spod hoteli, postanawiają sprawdzić co się właściwie stało. W gdańskim „Monopolu” dowiadują się, że prawie całe Prezydium Komisji Krajowej zostało aresztowane. Dopiero w tym momencie zdają sobie sprawę z powagi sytuacji. Ostrzeżeni przed esbekami przeskakującymi hotel wycofują się. Rozdzielają się, aby szukać kryjówek w Trójmieście.

W międzyczasie inny członek Komisji Krajowej, a jednocześnie tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa Eligiusz Naszkowski zgłasza się do Władysława Kucy – naczelnika jednego z wydziałów Departamentu III „A” MSW odpowiedzialnego za rozpracowanie kierownictwa związku. Jest zaafierowany. Oferuje mu pomoc w złapaniu zmierzającego do Warszawy Bujaka. Próbuje przy tym przekonać esbeka, że zatrzymanie przewodniczącego mazowieckiej „Solidarności” po jego dotarciu do stolicy będzie dużo trudniejsze, jeśli wręcz nie niemożliwe. Jak zresztą czas pokaże ma rację. Kuca jednak każe mu wymoczyć obolałe nogi w wodzie – gdyż jego najcenniejszy agent w kierownictwie związku przez dwa dni (w trakcie posiedzenia „krajówki”) chodził w zbyt ciasnych butach z nadajnikiem, przekonany o tym, iż dzięki niemu przebieg obrad władz krajowych związku śledzi na bieżąco MSW. Zresztą, jak się zdaje, dla Naszkowskiego Bujak był obsesją. Podczas drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do kraju w 1983 r. przedstawiał on swoim przełożonym ze Służby Bezpieczeństwa – już jako funkcjonariusz Biura Studiów MSW, elitarniej jednostki SB utworzonej w stanie wojennym specjalnie do zwalczania „Solidarności” – kolejne koncepcje odnośnie schwywania ukrywające-





go się lidera mazowieckiej „Solidarności”. Zostały one jednak odrzucone, gdyż uznano je za nie rokujące powodzenia.

W ten sposób – dzięki szczęśliwemu zbiegowi wydarzeń – Zbigniew Bujak staje się jednym z najbardziej poszukiwanych przywódców związku w kraju. O tym jak się o to starano świadczy fakt, że już w dniu 17 grudnia 1981 r. podczas narady dyrektoriatu, czyli nieformalnego ciała złożonego z najbardziej zaufanych współpracowników Wojciecha Jaruzelskiego, I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wypomina ministrowi spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczałowi, iż Bujak nie został jeszcze złapany. Przyczyn takiego nacisku na złapanie warszawskiego działacza było zapewne kilka – był on przewodniczącym jednego z najważniejszych regionów związku, na dodatek związanym ze szczególnie zniechęconym przez peerełowskie władze Komitetem Obrony Robotników, a ponadto na początku grudnia 1981 r. do Jaruzelskiego dotarła (z MSW) wypowiedź – pomysł Zbigniewa Bujaka dotyczący wymiany premiera Wojciecha Jaruzelskiego na innego polityka PZPR, bardziej skłonnego do ugody z „Solidarnością”...

Nic zatem dziwnego, że już tydzień po wprowadzeniu stanu wojennego w Komendzie Stołecznej Milicji Obywatelskiej zostaje utworzona Samodzielna Grupa Operacyjna, której zadaniem jest zatrzymanie ukrywających się po 13 grudnia 1981 r. działaczy NSZZ „Solidarność” Region „Mazowsze”, na czele z Bujakiem. Zostają rozesłane listy gończe, organizowane są zasadzki i blokady. Bez powodzenia. W tej sytuacji w dniu 23 marca 1982 r. minister spraw wewnętrznych powołuje centralną grupę operacyjną „w celu koordynacji zadań oraz skoncentrowania uzyskiwanych informacji, związanych z ustaleniem miejsca pobytu” Zbigniewa Bujaka. Na jej czele staje wysoki funkcjonariusz Biura Studiów MSW Adam Malik. Działaniom kierowanym przez tę grupę zostaje nadany kryptonim „Skrity”. Zadaniem grupy utworzonej w MSW jest również nadzór nad grupą powołaną trzy miesiące wcześniej w KS MO. Nad całością działań ma czuwać wiceminister spraw wewnętrznych Władysław Ciasłoń. Ukrywającego się lidera mazowieckiej „Solidarności” poszukuje nie tylko cywilna, ale również wojskowa bezpieka – Zarząd Wojskowej Służby Wewnętrznej Wojsk Obrony Powietrznej Kraju (we współpracy z KS MO, a następnie po reorganizacji w resorcie spraw wewnętrznych ze Stołecznym Urzędem Spraw Wewnętrznych) w ramach operacji pod kryptonimem „Harczerz”.

Czasami zresztą poszukiwania te mają przebieg wręcz humorystyczny... Jak wspominał Jan Ruman, mieszkający w stanie wojennym na warszawskim Mokotowie, któregoś dnia zapukało do niego dwóch szeregowych milicjantów z pytaniem: „Czy w Waszym mieszkaniu nie ukrywa się Zbigniew Bujak?”. A po otrzymaniu odmownej odpowiedzi po prostu odeszli... Z kolei jak relacjonował przed laty Ryszard Bugaj – jeden z czołowych doradców ekonomicznych „Solidarności” w latach 1980-1981 – u niego w domu lidera mazowieckiego związku szukano nawet w maleńkim schowku pod schodami, w którym dorosły człowiek nie miał najmniejszych szans, aby się zmieścić.





Oczywiście nie zawsze było równie śmiesznie. Po kilkunastu miesiącach – w dniu 2 marca 1983 r. – Zbigniew Bujak został zatrzymany przez funkcjonariuszy Departamentu II MSW, czyli kontrwywiadu. Doszło do tego podczas jego spotkania z Aleksandrem Małachowskim w mieszkaniu Jacka Pinkosza przy ul. 21 Pułku im. Bohaterów Dzieci Warszawy na Gocławiu. Następnie został przewieziony do gmachu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przy ulicy Rakowieckiej. Sytuacja na pozór wydawała się beznadziejna, jednak Bujakowi po raz kolejny dopisało szczęście. Jak potem wspominał: „Poprosili o dowody osobiste i zabrali nas do wyjaśnienia, przy czym zrozumiałem, że nie bardzo wiedzą, kogo mają. Zawieźli wszystkich do aresztu na Rakowiecką i posadzili w świetlicy, gdzie zaraz dyskretnie zjadłem, co miałem do zjedzenia [...] Po chwili wywołali mnie na przesłuchanie, ubek kazał mi usiąść i rutynowo przepytował z dowodu”. W trakcie przesłuchania przez funkcjonariuszy Biura Śledczego MSW lider mazowieckiej „Solidarności” odmówił odpowiedzi na niektóre, bardziej szczegółowe pytania, np. z kim i po co przyszedł do mieszkania, w którym go zatrzymano – dobrze ucharakteryzowany związkowiec posługiwał się dowodem wystawionym na nazwisko Michał Wroniszewski i rzeczywiście nie został – przynajmniej przez przesłuchujących go – rozpoznany. Jak potem relacjonował: „W pewnym momencie [esbek – GM] spytał ile mam pokoi. Ponieważ nie byłem <<u siebie>>, też odmówiłem odpowiedzi. On: co pan, zwariował? Ja wie pan, jestem psychiatrą, miewałem już u siebie takich, którzy odpowiadali na podobne proste pytania i obaj wiemy, co z nimi było później”. W tej sytuacji przesłuchujący go funkcjonariusz postanowił sprawdzić czemu przesłuchiwany nie chce odpowiadać na tak, zdawałoby się, niewinne pytania. I zdecydował się zabrać go do mieszkania, w którym zatrzymany rzekomo mieszkał. Jednak, kiedy dojechali na miejsce Zbigniew Bujak po wyjściu z samochodu podjął – mimo, że pilnowało go trzech esbeków i wydawało się, że ma niewielkie szanse – próbę ucieczki. Jak potem uzasadniał swoją decyzję: „Na nogi mogłem liczyć – w wojsku biegałem długie dystanse”. Tak ten moment opisywał po kilku latach: „Wykonałem trzy długie kroki, wchodząc na betonowe płyty. W pierwszej chwili nie mogło to zwrócić specjalnych ich podejrzeń, a mi dało chyba metr przewagi nad nimi. I w tym momencie, gdy zorientowałem się, że mam tę przewagę, wykonałem skok, a potem jak w berku zmieniłem kierunek i zrzuciłem kożuch. Było to doskonałe, miałem bowiem swobodę ruchów i kilka metrów przewagi”. Nie powstrzymały go oczywiście okrzyki funkcjonariuszy: „Stój, bo strzelam”. Miał szczęście, gdyż goniący go nie zrealizowali swojej groźby. Na jego korzyść zadziałały też panujące wówczas warunki – dwóch esbeków wywróciło się na lodzie. Jednak i jego również dopadł pech. Wpadł co prawda do „Poloneza”, w którym siedziały dwie kobiety z okrzykiem: „Jestem z podziemia goni mnie milicja, niech mnie panie wywiozą stąd”, te jednak nie zamierzały mu pomóc. Tymczasem goniący go zbliżali się. Zdesperowany Bujak wskoczył, więc pod koła nadjeżdżającej taksówki. Na szczęście taksówkarz, mimo jego nietypowego jak na mróz





ubioru (koszuli) ruszył mówiąc: „a coś pan tak jak Filip wyskoczył z krzaków w takim przyodziewku”. Notabene jego również nie wzruszyło, że ma przed sobą ściganego członka podziemia – stwierdził: „A pieniądze pan ma [...] Jak pan nie ma to nie wiozę”. Na szczęście lider mazowieckiej „Solidarności” miał przy sobie trochę gotówki na „czarną godzinę”, którą przy jego zatrzymaniu przeoczono. Dzięki temu Bujak dotarł do zapasowego mieszkania i przez następne lata ukrywał się dalej, oczywiście kontynuując działalność podziemną. A w rękach Służby Bezpieczeństwa pozostał jedynie jego kozuch, portfel z kwotą 4740 złotych, recepta wystawiona na nazwisko Tomasza Chlebowskiego, a także lewy dowód osobisty...

Tyle sam Zbigniew Bujak. Nieco inaczej i nader ciekawie ta historia wygląda z perspektywy drugiej strony. Co prawda, według byłego ministra spraw wewnętrznych Kiszczaka oraz wiceministra Władysława Pożogi całą operację miało „spaprać” Biuro Śledcze MSW uprzedzone, że wśród przekazanych mu przez kontrwywiad osób znajduje się również szef mazowieckiej „Solidarności”. Jak barwnie opisywał po latach Czesław Kiszczak: „Spotkanie było konspiracyjne. Małachowski przyszedł do jednego mieszkania, stamtąd zaprowadzono go na Powiśle do drugiego mieszkania, tam go przejął drugi łącznik, wziął go na Pragę, gdzie miało się odbyć spotkanie. Małachowski był śledzony, przygotowane były grupy operacyjne, otoczyliśmy dom i wszystkich z tego mieszkania wygarnęliśmy”. I zapewne tę wiedzę (w ramach ochrony posiadanej agentury) próbowano ukryć – zatrzymanie obu stołecznych działaczy „legendowano” bowiem rzekomo operacją przeciwko warszawskiemu Radiu „Solidarność”.

Z kolei inna wersja, a nawet dwie pozornie wykluczające się pojawiają się w analizie dwóch rozpracowań prowadzonych przez kontrwywiad sporządzonej pod koniec 1984 roku przez Ryszarda Matlengiewicza. Ten funkcjonariusz Wydziału III SUSW kierował w tym czasie Grupą Operacyjną kryptonim „Radio”, której zadaniem było zwalczanie Radia „Solidarność”. W jego opracowaniu, nie wolnym zresztą od mniejszych i większych błędów, pojawia się następujące stwierdzenie: „Działania Dep[artamentu] II [...] miały na celu wyeliminowanie A[leksandra] Małachowskiego z roli głównego ideologa związku i wprowadzenie w to miejsce własnego [osobowego] źródła informacji. Temu celowi służyło m.in. wypuszczenie Z[bigniewa] Bujaka zatrzymanego na fałszywych dokumentach wystawionych na nazwisko Wroniszewski Michał oraz Ewy Kulik posługującej się dokumentami na nazwisko Ewa Kolpińska (de facto była to rzeczywiście Ewa Kolpińska)”. To wydaje się szokujące. Tyle, że w tej samej analizie pada w odniesieniu do ucieczki Bujaka zupełnie inne stwierdzenie, zgodne z opisanym wcześniej przebiegiem zdarzeń: „Osoba posługująca się dowodem osobistym na nazwisko Wroniszewski Michał, dowiedziona na adres Dunikowskiego 8 zdołała zbiec w trakcie przejścia z samochodu do klatki schodowej”. Wróćmy na chwilę do pierwszej wersji. Otóż na pierwszy rzut oka wydaje się, że Małachowskiemu SB błędnie przypisywała rolę „głównego ideologa związku”. Z pewnością nie pełnił on tej roli w podziemiu – ani





w skali warszawskiej, ani tym bardziej w ogólnopolskiej. Ponieważ w roli jego konkurenta do tej pozycji wymieniany był jeden z działaczy podziemnej struktury o nazwie „VIS” (Krzysztof Laskowski), zapewne, więc o to nielegalne ugrupowanie autorowi wspomnianej analizy chodziło. Nie ulega natomiast wątpliwości, że to właśnie dzięki śledzeniu Małachowskiego Służbie Bezpieczeństwa udało się zatrzymać Zbigniewa Bujaka. Tu jeszcze jedna ważna kwestia. Najprawdopodobniej – wbrew temu, co twierdzą Kiszczak i Pożoga – Biuro Śledcze MSW nie zostało poinformowane o tym, że wśród zatrzymanych znalazł się Bujak. Dlaczego? Bowiern zgodnie ze stosowaną przez Służbę Bezpieczeństwa praktyką priorytetem była ochrona agentury, w tym przypadku Departamentu II MSW. Wersję tę zdają się też potwierdzać słowa Czesława Kiszczaka – notabene przytaczane i nie kwestionowane przez samego Zbigniewa Bujaka – że „SB [w tym konkretnie przypadku kontrwywiad – GM] doskonale wiedziała, kto wpadł im w ręce”. Niejasności w sprawie wydarzeń z 2 marca 1983 r. jest więcej. Otóż tezie o przekazaniu Bujaka Biuru Śledczemu MSW zdaje się przeczyć notatka Jerzy Karpacza nowego dyrektora (od sierpnia 1985 r.) tego biura z dnia 30 grudnia 1986 r., w której pada m.in. stwierdzenie: „Znany jest fakt rozpowszechniania informacji o rzekomym przetrzymywaniu Zb[igniewa] Bujaka w 1983 r. i jego przebywaniu na terenie Biura Śledczego MSW. Brak jest wiarygodnych danych potwierdzających te informacje”...

Tymczasem ucieczka Bujaka – obok np. odbicia Jana Naroźniaka – przechodzi do legendy. Nic zatem dziwnego, że dyrektor Biura Śledczego MSW Hipolit Starszak kilka miesięcy po opisanych wydarzeniach (w sierpniu 1983 r.) zostaje przeniesiony na stanowisko komendanta wojewódzkiego MO w Siedlcach... Nie zmienia to oczywiście faktu, że polowanie na lidera mazowieckiej „Solidarności” Służba Bezpieczeństwa – wspierana przez Milicję Obywatelską oraz Wojskową Służbę Wewnętrzną – musi rozpocząć od nowa. Już w dniu 18 marca 1983 r. zastępca komendanta stołecznego MO ds. Służby Milicji i wieloletni wiceprezes Polskiego Związku Piłki Nożnej Henryk Celak nakazuje swoim podwładnym natychmiastowe zintensyfikowanie działań w celu ustalenia miejsca pobytu i zatrzymania poszukiwanych działaczy mazowieckiej „Solidarności”, na czele z przewodniczącym Zarządu Regionu Bujakiem. Według jego zaleceń ukrywających się związkowców miano szukać m.in. w placówkach sanatoryjnych i szpitalach rehabilitacyjnych... Z kolei pod koniec czerwca 1983 r. naczelnicy wydziałów, komendanci dzielnicowi i miejscy oraz kierownicy samodzielnych jednostek Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej otrzymują wytyczne w sprawie poszukiwań samego Zbigniewa Bujaka oraz jego najnowsze zdjęcie z widocznymi zmianami w wyglądzie zewnętrznym „spowodowane przybraniem na wadze ciała przez poszukiwanego”. Oprócz funkcjonariuszy SB i milicjantów (w tym z drogówki i pionu gospodarczego) dostają je również oficerowie WSW garnizonu warszawskiego. Fotografie miały być także pokazywane tajnym współpracownikom. I – w przypadku uzyskania informacji o Bujaku lub „osobach łudząco podobnych” do niego – miano niezwłocz-





nie informować KS MO. Natomiast „w przypadku zaistnienia okoliczności zmuszających do szybkiego działania” szef mazowieckiej „Solidarności” miał zostać zatrzymany. Przy czym funkcjonariuszy przestrzegano, że może on dysponować tzw. „ochroną osobistą”, posługiwać się fałszywymi dokumentami, a także wykorzystać fakt, iż był żołnierzem wojsk powietrzno-desantowych.

W końcu – w dniu 31 maja 1986 r. – Zbigniew Bujak został zatrzymany. Jak później relacjonowali nieoficjalnie towarzyszom ze STASI „czołowi funkcjonariusze MSW” jego aresztowanie nastąpiło w wyniku „przygotowywanego przez ponad dwa miesiące przedsięwzięcia operacyjnego pod kierownictwem Biura Studiów MSW w ścisłym współdziałaniu ze Stołecznym Urzędem Spraw Wewnętrznych”. Miało być ono efektem kombinacji operacyjnej, w wyniku której podstawiono (szczegóły dalej) Ewie Kulik „najbardziej zaufanej współpracownicy” Bujaka willę na Mokotowie. I w momencie, gdy stwierdzono, że poszukiwani się w niej znajdują o 3.00 nad ranem 31 maja 1986 r. dom otoczono. Następnie jednostki specjalne wysadziły drzwi – notabene w ocenie samego zainteresowanego (byłego komandosa) zrobiono to nader niefachowo i po odpaleniu trzech kolejnych ładunków otworzył je dopiero kopniakiem dowodzący akcją funkcjonariusz. Jednak to, co najciekawsze w niemieckiej relacji, to stwierdzenie, że do aresztowania doszło po dłuższych pertraktacjach z członkami kierownictwa Regionalnej Komisji Wykonawczej „Mazowsze” mających na celu nakłonienie ich „do dobrowolnego oddania się w ręce SB”. A decyzję w sprawie aresztowania podjęto, gdy działacze „Solidarności” „definitywnie odrzucili tę możliwość”. Tak na marginesie – według samego – Bujaka pierwsza oferta ujawnienia się została mu złożona przez władze (konkretnie wicepremiera Mieczysława Rakowskiego) już w 1982 r.

Faktem jest, że oferty ujawnienia się Zbigniew Bujak otrzymywał już w 1982 r., m.in. za pośrednictwem prezesa Związku Literatów Polskich Jana Józefa Szczepańskiego. Jednak informacja polskich towarzyszy dla niemieckich bezpieczeniaków jest z pewnością nie do końca prawdziwa, ewidentnie podkoloryzowana. Z całą pewnością cała operacja mająca na celu schwytywanie przywódców mazowieckiej „Solidarności”, w tym Bujaka trwała znacznie dłużej. Do jego zatrzymania doszło dzięki rozpracowaniu systemu łączności RKW Mazowsze”, a właściwie Henryka Wujca. Otóż funkcjonariuszom SUSW – w ramach operacji pod kryptonimem „Biały” – udało się ustalić, że posługuje się on dwustopniowym systemem łączności, z wykorzystaniem dwóch niezależnych od siebie skrzynek kontaktowych. A co ważniejsze podstawić mu tajnego współpracownika „Rafała”, który przejął prowadzenie jednej z nich. Dzięki niemu Służba Bezpieczeństwa przechwytywała korespondencję przekazywaną w obu kierunkach przez tę skrzynkę, której nadano kryptonim „Grafit”. Pozwoliło to bezpiecze poznać m.in. terminy spotkań Bujaka i innych członków Regionalnej Komisji Wykonawczej z Wujcem. Ponadto budynek, w którym znajdowała się ta skrzynka został poddany obserwacji. Dzięki temu oraz przy pomocy TW „Rafała” udało się z grona osób tam przy-





chodzących wyselekcjonować trzech łączników. I – w wyniku ich kontroli (obserwacji) – Służba Bezpieczeństwa ujawniła kolejną skrzynkę. Właściciele obu skrzynek poddano „wszechstronnemu rozpracowaniu”. Podobnie jak samego Wujca. Ponieważ jednak działania te nie przyniosły oczekiwanych efektów, czyli ustalenia miejsc pobytu i spotkań członków RKW, postanowiono doprowadzić do podstawienia takiego lokalu, w którym takie spotkania mogłyby się odbywać. W tym celu w wyniku kombinacji operacyjnej bezpieczeństwa doprowadziła do tego, że Henryk Wujec w obawie o swoje bezpieczeństwo zrezygnował z wykorzystywania skrzynki „Grafit”. Jednocześnie agentom mającym z nim kontakt zlecono, aby zaproponowali mu swoje mieszkanie. I rzeczywiście jeden z takich lokali po uprzednim długim – półrocznym – sprawdzeniu został przez Wujca wybrany. Oczywiście mieszkanie to zostało zabezpieczone technicznie przez SB (podśluch, podgląd). Według danych Służby Bezpieczeństwa miało się w nim odbyć kilka spotkań kierownictwa RKW z czołowymi działaczami opozycji – zaprzecza temu jednak jeden z najbliższych współpracowników Zbigniewa Bujaka Konrad Bieliński, według którego nie spotykano się w tych samych mieszkaniach, po jednym spotkaniu zmieniano lokal. Niezależnie od tego, kto ma w tym przypadku rację bezpieczeństwa nie skorzystała z możliwości zatrzymania ich uczestników „na gorącym uczynku”. Pierwszy powód jest oczywisty – nie chciano dekonspirować swojego tajnego współpracownika (właściciela mieszkania). Drugi natomiast wydaje się pozornie kuriozalny. Uznano, bowiem, że „osoby te mogły nie posiadać przy sobie na tyle obciążających materiałów, aby można im było udowodnić nielegalną działalność”. Wynikałoby z tego, że nie brano pod uwagę możliwości wykorzystania materiałów uzyskanych przy wykorzystaniu podśluchu – co zresztą wydaje się logiczne, szczególnie w przypadku podstawionego lokalu. Wybrano inny wariant – obserwację uczestników tychże spotkań. I to właśnie w jej wyniku funkcjonariuszom SB udało się ustalić miejsce pobytu Bujaka, Bielińskiego i Ewy Kulik. Było to tym łatwiejsze, że jak po latach wspominał Zbigniew Bujak: „Moje aresztowanie wiosną 1986 roku było w gruncie rzeczy wynikiem zmęczenia się społeczeństwa, a tym samym wyczerpania się naszych rezerw. Mieszkanie, w którym mnie naszli, zajmowałem aż przez 6 tygodni. Było to więc sprzeczne ze wszelkimi zasadami bezpieczeństwa. Ponadto nie było to mieszkanie przy rodzinie, stanowiło to [...] pogwałcenie jednej z głównych zasad konspiracji”. I dodaje inny ważny aspekt, który mógł mieć wpływ na jego zatrzymanie: „Ponadto byłem wtedy bardzo ruchliwy – szykowaliśmy bowiem zjazd podziemia. Miała to być spektakularna impreza z udziałem kilkudziesięciu, co najmniej 60 osób. Miała to być nasza odpowiedź na zapowiadany w tamtym okresie zjazd partii. Zjazd nasz miał być zakończony konferencją prasową dla kilkunastu dziennikarzy prasy zagranicznej. Impreza ta, gdyby się udała, wstrząsnęłaby establishmentem partyjnym i zrobiłaby prawdopodobnie wrażenie”. Tu słowo wyjaśnienia, zjazd podziemnej „Solidarności” (pod kryptonimem „Grobla”) przygotowywała kierowana przez Wojciecha Stawiszyńskiego „Armenia”,





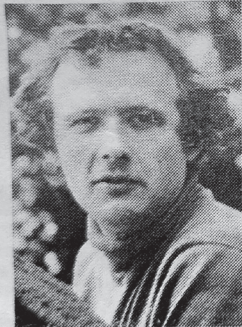
czyli głęboko zakonspirowane zaplecze techniczno-organizacyjne Regionalnej Komisji Wykonawczej „Mazowsze” i wpadka Bujaka na kilka dni przed nią pokrzyżowała te plany – imprezę, której przygotowania już zakończono odwołał Wiktor Kulerski.

Tym razem lider mazowieckiej „Solidarności” posiedział już trochę dłużej – dzięki kolejnej amnestii w dniu 11 września 1986 r. wyszedł na wolność. Zaraz po zwolnieniu ponownie zaangażował się w działalność opozycyjną, tym razem już jednak jawną. Tak na marginesie, w maju 1986 r. Bujak po swoim zatrzymaniu nie został – jak trzy lata wcześniej – przekazany do Biura Śledczego do „pomieszczenia specjalnie przystosowanego do przesłuchania osób zatrzymanych”, lecz do Biura Studiów MSW. Dlaczego? Tego, niestety nie wiadomo. Zresztą wobec braku – a dokładniej zniszczenia – wielu archiwaliów esbeckich dotyczących działań przeciwko „Solidarności” tego rodzaju pytań, nie tylko dotyczących zresztą szczegółów pogoni za Zbigniewem Bujakiem, jest znacznie więcej.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

UWOLNIĆ WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

Rząd Jaruzelskiego wytypował z kilkudziesięciu członków Komitetu Samoobrony Społecznej (d.KOR) czterech działaczy i grozi im wytoczeniem rozprawy sądowej. Jej celem jest zemsta i terror – jedyną „winą” oskarżonych jest legalna walka o praworządność i obrona prześladowanych przez poprzednią ekipę rządząca.



ADAM MICHNIK – HISTORIK I PUBLICYSTA, DZIAŁACZ STUDENCKI RELEGOWANY Z UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO W 1969. W ROKU 1976 NA WIEŚĆ O POWSTANIU KOR - U POWRACA Z FRANCJI DO POLSKI I BIERZE CZYNNY UDZIAŁ W PRACACH KOMITETU. NA PROŚBĘ WŁADZ W MAJU 1981 ROKU INTERWENIJE W OTWÓRZU ZAPOBIEGAJĄC SAMOSĄDOWI TEJMU NAD MILICJANTAMI OBLEGANYMI NA POSTERU KU. AKTYWNY INSPIRATOR NIEZALEŻNYCH WYDAWNICTW. W GRUDNIU 1981 INTERNOWANY, A NASTĘPNIE ARRESTOWANY.





Agenci kontra podziemie

Bogdan Borusewicz

Oczywiście, że agenci byli wprowadzeni w środowisko. To było środowisko otwarte, jeżeli chodzi o opozycję przedsierniową, później oczywiście było zamknięte, jeśli chodzi o podziemie. I bezpieka pracowała, za coś trzydzieści dwa tysiące ludzi brało pieniądze w bezpiece. Oczywiście tacy agenci utrudniali nam funkcjonowanie. Fakt, że bez przerwy u mnie jakieś rewizje były i trafiali w miejsca, zaskakujące, gdzie miałem jakiś magazyn. Ten fakt... to znaczy Edwin Myszk (agent w gdańskich Wolnych Związkach Zawodowych – red.) bardzo wiele mnie nauczył. Sprawa Myszka. Na przykład przyjechałem z bibułą razem z nim, pełen plecak od Wujca i zostaliśmy zatrzymani. I on na komendzie w Sopocie rzucił się na ubeków. Tworzył takie przykrycie dla swojej działalności. Później wiedziałem, że na radykałów, szczególnie na radykałów trzeba uważać.

Seweryn Blumsztajn

Grupa nie musi być zinfiltrowana. Wystarczy, że ona wierzy, że agent jest. Wtedy cała działalność jest sparaliżowana. Szukanie agentów, to jest koniec ruchu. Jak się zaczyna szukać agentów, to masz przerąbane po prostu, bo się tylko tym zajmujesz. Brak zaufania, nienawiść, koniec. Tak naprawdę nie było problemu agentury. Myśmy się tym konsekwentnie starali nie zajmować. Nie jest tak, żeby się nigdy nie myślało.

Byli ludzie, którzy nie wzbudzali zaufania, próbowało się ich eliminować jakoś. Było parę, już w latach siedemdziesiątych, znanych przypadków, jak Edwin Myszk, chyba najbardziej znany. Ale wtedy agent miał bardzo ograniczone możliwości wpływu na to, co się działo. Mógł wsypać powielacz, prawda? No więc po prostu, koszty szukania agenta były znacznie większe niż szkoda, którą agent mógł zrobić.

Mirosław Chojecki

Agenta dość łatwo można było rozpoznać. Po pierwsze żaden z agentów nie chciał współpracować z Nową, jakby to powiedzieć, z potrzeby serca. Zwykle żądał, ażeby mu zapłacić, ażeby mu zwrócić jego koszty i tak dalej, i tak dalej. Po drugie żaden z agentów nie bał się dzwonić i otwartym tekstem podawać swoje imię i nazwisko. Żaden z agentów nie bał się przychodzić do mnie. To naprawdę było tak, że ci ludzie, którzy coś robili w podziemiu, nie chcieli, ażeby Służba Bezpieczeństwa o tym wiedziała. Nie dzwonili od siebie z domu, nie podawali swoich nazwisk, nie pojawiali się w miejscach, w których istniało duże prawdopodobieństwo, że mogą być jakoś tam rozpoznani, rozszyfrowani, sfotografowani. Dziś, kiedy przeglądam moje teczki, gdzie tych agentów się sporo przewija, widać wyraźnie, że chyba nos mnie nie zawodził.





I że poza jednym przypadkiem, wszyscy ci chłopcy i dziewczyny byli dla mnie niezwykle przydatni, bowiem służyli jako dezinformacja. Czytam sobie w swoich teczkach teksty, które wygłaszałem, a oni z nimi natychmiast biegli do SB sprawozdając jako niezwykle ważne, jako niezwykle istotne odkrycia. No na przykład to, iż Nowa właściwie nie ma prawie żadnego sprzętu poligraficznego, ostatni atak Służby Bezpieczeństwa kompletnie nas rozbroił. W związku z tym teraz drukujemy na Zachodzie, w paryskiej „Kulturze”, Giedroyc nam to przerzuca do Berlina, a młodzi ludzie, studenci wożą z Berlina do Warszawy.

Albo taki moment. Inny agent opowiada funkcjonariuszom, czego dowiedział się ode mnie, że ja już mam dość tej całej pracy, ja się wypisuję z tej roboty, wycofuję się kompletnie, teraz będę robił kasę. Biznes ten będzie polegał na tym, iż będę latem skupował kwiaty cięte, przetrzymywał w odpowiedniej temperaturze, przecież jestem chemikiem, wiem jak to robić, i sprzedawał zimą. Kiedy agent przybiegł z tym do swojego prowadzącego i mu sprzedał tę informację, funkcjonariusz SB na marginesie dopisał: „Chyba Chojecki kpi sobie z naszego człowieka”.

Tomasz Filipczak

Zasadą świętą „bibulasa” było to, żeby nie znać adresów drukarzy, ani w ogóle nazwisk. Ludzi poznawałem tylko, że tak powiem, na wygląd, na twarz. Ale z kolei z „Pulsu” przyjąłem taką zasadę, że jeżeli już działam jawnie, to ten margines konspiracji musi być rzeczywiście bardzo, bardzo wąski, to znaczy, że tylko wyjątkowo ważne rzeczy, nie wiem, adresy, nowi ludzie, nazwiska, jakieś wydarzenia, które miały się zdarzyć, były w jakiś tam sposób kodowane. Bo inaczej groziłoby mi to, co wielu opozycjonistom, to znaczy pewna choroba opozycyjna. Ona polegała na przykład na tym, nie powiem kto, ale jeden z naszych bardzo bliskich znajomych wpadł do mnie do domu, zrobił palec na usta, udał, że go w ogóle nie ma, co oczywiście było bez sensu, bo dzwonił do drzwi, więc było wiadomo, że jak jest podsłuch, to już wiedzą, że ktoś jest, po czym usiadł przy stole, wziął kartkę i napisał: co słychać? Spojrzałem na tego człowieka i leciutko zdrętwiałem, bo jak ja mu mam odpowiedzieć? Wziąłem kartkę i napisałem: dobrze.

Druga rzecz klasyczna, dla mnie przynajmniej, to było coś takiego, że miałem poczucie lekceważenia ze strony SB, wytwarzałem wizerunek faceta od balangi. To jest bardzo dobra kreacja, rzeczywiście człowiek się bawi, a z drugiej strony wytwarza taką aurę niefrasobliwości, mało zorganizowanego człowieka, który lubi zabawę, wypić. I miałem poczucie, że oni mnie nie traktują serio.

Tomasz Jastrun

Jeśli ktoś przesadnie konspirował, to się rzucało w oczy. Pamiętam kolegę, do którego przyszedłem w początkach stanu wojennego i on drążył wszystkie nogi od krzesel i sto-





łów, żeby tam robić schowki. Sprawiał na mnie wrażenie kompletnego wariata, którym zresztą po latach okazał się być. W czasie okupacji to było normalne, bo tam groziło to głową. Konspiracja AK-owska musiała być bardziej doskonała, dlatego że płacono się torturami i głową. To nie było żartów! A tutaj to było tak trochę naprawdę, trochę na niby i konsekwencje nie były tragiczne. To bardzo rozluźniało ten gorset konspiracji, na złe, ale też i na dobre. W tym sensie na dobre, że pewne bałaganiarstwo było ogromnym problemem dla bezpieczeństwa. Ogromnie trudno jest taką wolną amerykankę, taką improwizację śledzić. Jeżeli ktoś jest świetnie zorganizowany, to ciężko wpaść na trop, ale jak się wpadnie, to się sypie wtedy dokładnie wszystko. Tu nigdy nie było takiej sytuacji. Zawsze były jakieś niedokładności, ktoś czegoś nie wiedział, gdzieś coś było w innym miejscu.

Joanna Szczęsna

Od czasu do czasu przychodzili, robili rewizję. Ja żartowałam, że mam taką politykę redakcyjną, że jak czegoś nie chcę opublikować, to tak długo trzymam to na stole, aż przychodzi policja, zabiera, a ja potem rozkładam bezradnie ręce i mówię: no, na rewizji, niestety wzięli. Czasem myślę, że główna moja rola jako redaktora, to było chronienie informacji. Przypominam, wtedy nie było ksero, wszystko trzeba było przepisać na maszynie, nie było komputera. Dostawałam jakąś karteczkę, maszynopis albo rękopis, i musiałam nad tym czuwać, obrobić tę informację, napisać ją na nowo, doprowadzić do tego, żeby została napisana na matrycę, oddać do drukarni, i wtedy dopiero kończyła się moja rola. Więc ja po prostu ja kwoka siedziałam na tych papierkach, przepisywałam je, wymyślałam skrytki. Wynajmowałam mieszkanie na Ursynowie. I tam miałam marzenie każdego konspiratora – miejsce piętro niżej. Krzys Śliwiński kiedyś do mnie przyszedł, powiedział: mam dla ciebie prezent, wziął mnie za rękę, sprowadził piętro niżej, gdzie mieszkali jego przyjaciele, lekarze, których poznał w Afryce, przez policję nie namierzeni, bez telefonu. I tam trzymałam swoje papierki.

Mirosław Chojecki

Ja miałem wyjątkową sytuację. Któregoś dnia zapukał do mnie pewien jegomość, który mi powiedział: proszę pana, przyszli do mnie ze służb bezpieczeństwa. Ja tu mieszkam obok. I zaproponowali, że wynajmą ode mnie pokój i będą tam sobie siedzieli. Ale wie pan, ja w Wolnej Europie słyszałem pana nazwisko, adres, więc ja myślę, że to o pana chodzi, że chcą pana obserwować, co ja mam robić? Żona mi zmarła, wyrzucą mnie z mieszkania jak się nie zgodzę, bo mam nadmetraż, co ja mam zrobić? Ja mówię: bierz pan ich natychmiast, będą panu płacili za wynajmowanie pokoju, a jak będą siedzieli, to kwiatek w kuchni po lewej stronie, jak ich nie będzie, to po prawej. Ja wychodzę rano z domu, rzucam lekko okiem w okno, o które chodzi i już wiem, czy siedzą tam funkcjonariusze, czy mam tego dnia obstawę, czy nie siedzą, czyli jestem wolny jak ptak.





Andrzej Rosner

Każdy z nas miał inny sposób chronienia się przed namierzeniem. Mnie na przykład ratowała znakomita pamięć. Ja do tej pory, zresztą wcale nie cieszę się z tego, pamiętam numery telefonów moich kolegów ze szkoły podstawowej. W ten sposób zapamiętywałem też numery rejestracyjne. Poruszałem się głównie środkami komunikacji miejskiej, no i jak widziałem trzeci albo czwarty raz samochód z tym samym numerem rejestracyjnym, to nawet jeżeli w środku siedziała jakaś niewyróżniająca się szara kobitka z dzieckiem, bo się zdarzały i takie, w maluszku czyli małym fiacie, to było oczywiste, że to jest to. Natomiast jeżeli siedziały trzy osoby w dużym fiacie, osoby nie budzące wątpliwości, to ta obstawa miała dać do zrozumienia, że jesteś namierzany, i żebyś miał się na baczności i żebyś był grzeczny. Oczywiście środki były zupełnie inne niż dzisiaj. Był normalny chamski mikrofon spuszcany przez komin, były szpulowe magnetofony, przy pomocy których nagrywano rozmowy telefoniczne. Rozmowy trzeba było potem odsłuchiwać i wyławiać jakieś interesujące kawałki, co było bardzo trudne. Na przykład tutaj był wspólny telefon dla parteru i dla drugiego piętra. I jak sobie wyobrażam ubeków, którzy słuchali długich pogawędek babci mojej żony z jej przyjaciółkami, dwugodzinnych pogawędek, to mi się dzisiaj robi wesoło na sercu. To musiała być dla nich udręka. Myślę, że ich problem polegał też na tym, że nie byli w stanie przerobić tej ilości informacji, jaką otrzymywali. Nie chcę przez to idealizować działań podziemia, oni mieli swoje sukcesy w pozyskiwaniu współpracowników, o czym dzisiaj się przekonujemy. Sporo informacji mieli też z rozmów środowiskowych, gdy ludzie chlapali językiem, często nie wiedząc, że rozmawiają z ubekiem.

Z rozmów telefonicznych też coś wyławiali. Z charakteru pytań zadawanych i mnie, i różnym moim przyjaciółom czy znajomym w trakcie przesłuchań wynika, że była to wiedza dość fragmentaryczna. Były tam wiadomości istotne, ale były też jakieś czwartorzędne rzeczy, którymi oni próbowali epatować przesłuchiwanego, żeby myślał, że wiedzą więcej, ale tak naprawdę przesłuchiwany dość szybko się orientował, że wiedzą bardzo mało, bo na przykład ich wiadomości były już dawno nieaktualne. Nie mniej jednak trzeba było bardzo uważać. Zawsze trzeba było sprawdzić, na tyle, na ile było to możliwe, czy coś się nie dzieje. Zwykle były to 3-4 godziny sprawdzania, zmieniania taksówek, wędrówki na przykład przez wiadukt mostu Poniatowskiego, bo jak się schodziło po schodach, to można było dość łatwo sprawdzić, czy ktoś za nami idzie. A jeżeli jechał samochód, to zanim on okręcił na ślimaku i zjechał na dół, to było już po wszystkim.

Tę rozmowę nagrywamy w sercu Żoliborza Oficerskiego, czyli dość elitarnego miejsca w Warszawie. Elitarnego, bo tutaj wszyscy się znamy. Jest bardzo duża grupa mieszkańców żyjących tutaj od 30, 40, 50 lat. Ja sam mieszkam tutaj od 1979 roku. I jak tu się wychodzi wieczorem na spacer, to się spotyka sąsiadów, idzie z nimi kawałek, przynajmniej parokrotnie mówi się komuś dzień dobry. I w związku z tym, o czym nie wiedzia-





tem, bezpiecze nigdy nie udało się założyć w moim mieszkaniu podsłuchu. Bo nie byli w stanie tu wejść. Sąsiadka na pierwszym piętrze miała bardzo czujne psy, które kilka razy wypłoszyły ekipę, która miała zamiar coś założyć. Miałem podsłuch telefoniczny, to oczywiste. Natomiast nigdy nie miałem podsłuchu w domu. Dość zabawne, bo myśmy trwali w przekonaniu, że ten podsłuch jest i rozmawialiśmy o ważnych sprawach na karteczkach. Zupełnie bez sensu jak się okazuje. Ale miłe jest takie rozczarowanie.

Mirosław Chojecki

Sposobów było kilka. Taki najbardziej klasyczny, to wsiadasz w taksówkę, każesz się wieźć na Pragę przez na przykład most Poniatowskiego, przy schodkach, które prowadzą na dół na Wisłostradę, zatrzymujesz taksówkarza, natychmiast wybiegasz z tej taksówki, oni tam z piskiem opon hamują, biegną za tobą na dół, ale przecież samochód tam nie zjedzie, a tam czeka na ciebie kolega z samochodem, wsiadasz, odjeżdżasz, koniec. Oni nie mieli szans, żeby zjechać samochodem po tych schodach.

Jeden z takich przykładów, kiedy fajnie udało nam się zgubić funkcjonariuszy. To, kiedy za Jackiem Kuroniem maszerowali naprawdę na wyciągnięcie ręki. I w związku z tym przyjechaliśmy z Jackiem do Anki Kowalskiej, tam posiedzieliśmy chwilę, po czym ja wyszedłem ubrany w kapelusz i płaszcz Jacka. Jacek troszkę był bardziej obszerny aniżeli ja, lekko pod ten płaszcz poduszki wkładając, zamówiłem taksówkę, wsiadłem, oni za mną pojechali, Jacek był wolny.

Sposobów naprawdę było mnóstwo, ale to nie znaczy, że za każdym razem nam się udawało gubić ich. To nie jest tak, że oni byli kompletnymi kretynami i jak człowiek chciał, to ich gubił. Czasem, gdy się już oni nauczyli na tym moście Poniatowskiego, że ich się gubi, to jechało kilka samochodów, ale jeden z tych samochodów jechał w taki sposób, że jak się wjeżdżało na most, to on jechał nieco wcześniej, ażeby zdążyć zjechać jakby coś się wydarzyło.

Z upływem lat oni jak gdyby tracili serce do tej pracy. Którego dnia wychodzę ja sobie od Ziemowita Fedeckiego, ja wychodzę, akurat ta panienska, która za mną chodziła jest przed drzwiami, więc ją zapytałem: dokąd idziemy? A ona mówi: to pan prowadzi.

Wystarczyło jesienią wyjechać, na przykład na ulicę Żwirki i Wigury, wysiąść z autobusu przy Cmentarzu Żołnierzy Radzieckich, oni już w ten deszcz, w tę mżawkę nie wychodzili z samochodów. Ja gdzieś w tych swoich kwitach mam dokument, który mówi o tym, co ja tego dnia robiłem. To były akurat urodziny mojego ojca i pamiętam, co robiłem. Ja wcale ich nie próbowałem zgubić, wszedłem do domów towarowych Centrum, aby coś ojcu kupić. Coś mu kupiłem. Pojechałem do niego, ale widać im się zgubiłem. Nie przyznali się do tego, poleciliby im po premii może, w związku z tym wymyślili, że gdzieś tu spotkał się w jakiejś kawiarni z facetem w krawacie, zielonej koszuli, niezidentyfikowanym, NN, a ja siedziałem u ojca i składałem mu życzenia.





Bo oni się z czasem demoralizowali. Oni mieli świadomość, mówię o końcu lat siedemdziesiątym, że oni ciężko pracują, śnieg, słońce, muszą być na ulicy i nic z tego nie wynika. Oni nas zatrzymują, a potem władze polityczne zwalniają. Jak kiedyś trafiłem po raz kolejny na Rakowiecką do więzienia, to już nawet ten klawisz mówi: panie Mirosławie – proszę zwrócić uwagę – „panie Mirosławie”, tak w więzieniu się nie mówi do osadzonego, – panie Mirosławie, a teraz to na długo? – Szanowny panie, a skąd ja mogę wiedzieć? Zamykać nie musieli, ale wypuścić będą musieli. – Słuszna racja, odrzekł klawisz.

Witold Łuczyno

Wykorzystałem moment, kiedy PRON ogłosił amnestię. Tylko, że postanowiłem wyjść dzień po amnestii. Wyobrażałem sobie już tytuły w „Trybunie Ludu”, że amnestia sprawiła, że całe podziemie się ujawniło, że jest już normalizacja, no, a tu następnego dnia łapią kogoś, kogo trzeba zamknąć, to przecież mnie nie zamkną, prawda? Bo przecież całe podziemie zlikwidowane. Propagandowo byłoby to fatalne. I z tym postanowienie idę sobie ulicą i spotykam Janusza Szpotańskiego. I mu mówię o tym swoim pomysłem. A on mówi: Słuchaj, oni po ciebie nie przyjadą, oni już nie mają do tego serca. I rzeczywiście, zjawiłem się w domu, siedzę, pies z kulawą nogą nie przychodzi po mnie. Dopiero chyba następnego dnia zadzwoniłem do Andrzeja Celińskiego i mówię: Andrzej zrób coś, bo tu siedzę, czekam na policję i jej nie ma.

Już za pół godziny byli. Mieli dobry podsłuch telefoniczny. Wzięli mnie do Pałacu Mostowskich, nigdy w życiu nie widziałem tylu pułkowników SB naraz. Było ich tam czterech. Ja mówię, no to panowie zamknijcie mnie, niech się chociaż wyśpię. Oni do mnie: panie Witku, tyle na pana czekaliśmy, pogadajmy sobie. No i tak siedzimy, gadamy, mija noc, nad ranem mówią: Proszę pana, wy tyle piszecie złego, o tym, że my tu mamy tak wspaniale w tym pałacu, pójdzie pan z nami na śniadanko, sam się pan przekona, jak my tu skromnie żyjemy. No i siedzę, jem pasztetową z tymi pułkownikami i nagle wpada jeszcze jeden jakiś pułkownik, niesie gazetę i mówi: Panie Witku, mamy kłopot z głową, PRON przedłużył amnestię!.

Oni odetchnęli z ulgą, że nie musieli mnie zamknąć, że mogli mnie puścić. I spokojnie następnego dnia rano wyszedłem sobie do domu.

Wacław Holewiński

Bezpieki, jak wszystkich zresztą tego typu organizacji na świecie, nie fascynuje zamykanie ludzi. Oni chcą widzieć. Łatwiej jest obserwować, niż zamknąć i później znowu szukać. W roku osiemdziesiątym czwartym siedziałem z nauczycielem ze szkoły specjalnej z jakiegoś małego miasta w Lubelskiem. W tym małym mieście było, nie wiem, czterech czy sześciu działaczy „Solidarności” i ośmiu ubeków. I oni zaczęli po grudniu osiemdziesiątego pierwszego roku wydawać jakieś piśmko. Wypuścili, nie wiem,





powiedzmy sześć numerów tego pisemka zanim wpadli. I jak aresztowano jego, to aresztowano wszystkich, którzy się zajmowali tym pisemkiem, wszystkie osoby poszły siedzieć. Przyjechała jego żona na widzenie, a on wraca do celi i się śmieje, on się śmieje, bo, mówi: ukazał się kolejny numer tego pisemka.

Andrzej Rosner

To się działo już w czasach Kręgu, w 1985 roku. Jak się potem okazało, o czym wtedy jeszcze nie wiedziałem, szykowało się ostatnie duże uderzenie przeciwko podziemiu wydawniczemu. Wtedy usiadła duża część kierownictwa „Krytyki”. Było kilka wpadek Nowej. Jedna osoba od nas wtedy usiadła. Ale to wszystko było później. Rozmowa, o której mówię, odbyła się półtora miesiąca wcześniej. Wzywa mnie taki ubek, o którym wiedziałem wcześniej, że przepytuje ludzi na mój temat. A więc wzywa mnie do Pałacu Mostowskich, wita się ze mną i mówi: Dzień dobry, ja wiem że pan, że mną nie rozmawia, że właściwie nie muszę wkręcać protokołu, ale właściwie to bardziej chciałem, żeby pan mnie posłuchał.

No to ja grzecznie zapytałem, czy mogę wstać i sobie pójść. A on zaczął się śmiać, że jednak nie. I nastąpiła godzina bardzo ciekawego monologu o książkach podziemnych i nadziemnych, monologu świadczącego o tym, że mam przed sobą bardzo niebezpiecznego przeciwnika, który te książki nie tylko przeczytał, ale i zrozumiał. Podchodził do szafy, wyjmował kolejną książkę, rzucał na stół i mówił, a to już pan widział, a to też. Po czym, gdzieś po godzinie wyciągnął z szafy kolejną książkę, nie wymieniając nazwisko autora ani tytułu książki, co bardzo było mądre, bo rozumiem, że cała rozmowa była nagrywana. Wyciągnął książkę z szafy, rzucił na stół i mówi: to pan już widział, to pan już czytał. Niestety, była to książka wydawnictwa Krąg, już wydrukowana, ale jeszcze nie złożona i nie oprawiona. Wyciągnięta najwyraźniej ze składu, gdzie był przechowywany cały nakład. Krótko mówiąc, on zrobił w tym momencie dwie rzeczy. Po pierwsze posłał mi ostrzeżenie, że panowie wiedzą więcej, niżby wynikało z naszego dobrego samopoczucia. A po drugie, w czym się zorientowałem trochę później, podał mi na widelcu swojego informatora po prostu.

Jak się skończyła komuna, postanowiłem odszukać tego człowieka. Rozmawiałem z nim w 1992 roku. On nie do końca chciał mi powiedzieć, o co chodziło. Ale przy okazji wyszło, że jemu się zrobiło żal swoich lektur. On czytał wszystko, co nam zabierał, po prostu. I jak dostał cynk, że się szykuje jakaś duża wpadka, to chyba podjął decyzję o tym, że mnie ostrzeże. Tak mi się wydaje. Chociaż żadnej pewności mieć nie mogę. Gry operacyjne mogły być na różnym szczeblu, mogły być podwójne czy potrójne dna nawet. Na pewno nie była to jednak szczeniacka chęć pochwalenia się, że oni wiedzą więcej, niż my się spodziewamy.

A przy okazji opowiedział mi o tym, jak był zorganizowany ten świat Pałacu Mostowskich wtedy, w połowie lat osiemdziesiątych. Oni wiedzieli znacznie więcej niż sami





działacze partyjni, którzy do samego końca wierzyli, że komuna będzie wieczna i że całe społeczeństwo jest zjednoczone w miłości do władzy ludowej, o czym świadczyły wyniki kolejnych wyborów, do ostatniej chwili władzy ludowej. Pamiętasz, że niejaki Zygmunt Czarzasty przed wyborami 4 czerwca 1989 zamartwiał się jak zrobić, żeby władza ludowa nie wygrała w zbyt miążdzącym stylu, bo nikt nie uwierzy, że wybory nie są sfałszowane. Ubecja nie miała takich złudzeń. Oni dobrze wiedzieli jakie są nastroje społeczne, nie tylko z przesłuchań, ale po prostu mieli całą masę informatörów, którzy im przekazywali dość rzetelne informacje o tym, co się naprawdę dzieje w kraju. Wiedzieli, że się lada chwila wszystko przewróci. Świetnie wiedzieli, że to nie przetrwa i naprawdę ostatnią rzeczą jaką się zajmowali była praca operacyjna.

Zdarzały się oczywiście wielkie akcje w których trzeba było wziąć udział, ale szczerze mówiąc, oni wszyscy żyli chyba w wielkiej frustracji, że jeżeli nawet kogoś złapią i doprowadzą do wsadzenia, to i tak władza polityczna go za chwilę wypuści, bo władza będzie uważała, że trzeba pokazać bardziej ludzkie oblicze i naprawdę nie zajmowali się tą robotą.

Piotr Kapczyński

Bezpieka miała dużą wiedzę, choć nie wszystko bezpośrednio wykorzystywała. Z drugiej strony, to mówił kapitan Hodysz (Adam Hodysz, oficer SB, współpracownik „Solidarności” podziemnej – red.), oni byli zadufani w sobie. Na stołówce potrafili opowiadać, co wiedzą i tak dalej, tak jakby czuli, że panują nad sytuacją, albo może udawali. A de facto cały czas, pomimo ich tej rzekomej kontroli, to podziemie działało. Jak stan wojenny się zaczął, to na pewno w celu osłabienia ducha, codziennie w gazecie żeśmy czytali, że jakąś drukarnię zwinęli. Myślę, że częściowo to było naciągane. Dochodziły też słuchy, że coś tam montowali, żeby zwinąć. To miało dla nich dwie pozytywne strony, mogli się wykazać efektywnością i działało to deprymująco na ludzi.

Andrzej Rosner

To, czego nie mogę zrozumieć. W 1984 roku w gronie liderów kilku największych wydawnictw podziemnych skonstruowaliśmy coś, co przeszło do historii pod nazwą Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych. Była to bardzo ciekawa grupa ludzi. Mówię o pierwszym składzie, bo to się potem zmieniało. Był Grzegorz Boguta z Nowej, był Czesław Bielecki z CDN-u, byłem ja z Kręgu, był Andrzej Urbański albo Maciek Zaleski z Grup Politycznych Wola, no i był Henio Karkosza z Oficyny Literackiej z Krakowa. I teraz: jeżeli uznać za prawdziwą wersję, że Henio od początku był nawet nie tyle współpracownikiem, ale pracownikiem, i że został oddelegowany do pracy nad drugim obiegiem, co się wydaje bardzo prawdopodobną wersją, to pozostanie nierozwiązaną zagadką, jak to się stało, że myśmy spotykali się w tym gronie przez trzy czy prawie cztery lata, raz na miesiąc, raz na dwa miesiące, zawsze prawie z udziałem Henia.





Myśmy oczywiście w czasie tych spotkań nie wymieniali nazwisk, adresów i kontaktów, ale jednak robiliśmy z punktu widzenia władzy ludowej rzecz karygodną zupełnie. Dzieliśmy zagraniczne pieniądze, które przychodziły na niezależny ruch wydawniczy z Zachodu. Myśmy przepuścili przez swoje ręce wiele tysięcy dolarów. Każdy z nas miał pod swoją opieką inny region Polski. Jeździliśmy tam do nich. Rozpoznawaliśmy ich potrzeby, rozmawialiśmy z ludźmi, a dzieliśmy te pieniądze wedle naszych najlepszych umiejętności, naszej wiedzy, często zresztą ucierając się między sobą, ile jaki region dostanie. Krótko mówiąc, robiliśmy rzecz, która kwalifikowała się do rozprawy o szpiegostwo. Władza nie tylko nigdy nie wkroczyła na żadne z tych posiedzeń i nas nie aresztowała, ale nie wydaje się też, żeby wszczyniała jakąś działalność operacyjną przeciwko Konsorcjum, co jest aż niemożliwe. Ja głównie z tego powodu zresztą sięgnąłem po swoją teczkę w IPN-ie. Nie dlatego, żeby się zorientować, kto na mnie donosił. Byłem ciekaw jako historyk takiego mechanizmu działania przez zaniechanie. Co się stało, że władza – zapewne była to decyzja na szczeblu Jaruzel-Kiszczak, nie na szczeblu porucznika z Pałacu Mostowskich – dlaczego władza nie chciała robić użytku z takiej wiedzy. Jeżeli jest prawdą że taką wiedzę mieli. Jest możliwe wytłumaczenie bardzo proste, że woleli mieć sześć czy pięć znanych osób pod kłosem niż kilkanaście nowych osób jeszcze nie rozpoznanych. Gdyby nas wsadzili, to zapewne jakaś następna struktura by powstała i trzeba by na nowo ją rozpracować. Ochrona tak działała bardzo często. Ale jest możliwe kilka innych wytłumaczeń, że była to decyzja ściśle polityczna, żeby nas nie zwijać, że ten drugi obieg, w tej części książkowej mógł być jakoś przez władze tolerowany. Władza bardzo nie lubiła czasopism, zwłaszcza gazetek związkowych rozpowszechnianych w zakładach pracy, natomiast książki może były jakimś wentylem bezpieczeństwa może tak to było pomyślane? Nie dojdę do tego dzisiaj, ponieważ mojateczka została dość starannie wyczyszczona ze wszystkich śladów, które mogłyby wskazywać w ogóle mój udział w Konsorcjum. Nie wierzę w to, że nikt z ubecji się nie orientował, że uczestniczę w pracach Konsorcjum. Jest jeszcze trzecie wytłumaczenie, mianowicie, że ta sprawa była wyodrębniona i szykowana do zrobienia na przykład dużego procesu przed sądem wojskowym. W związku z tym wszystkie materiały zostały z naszych teczek przekazane do WSW i nie wiadomo co się z nimi dalej stało, bo nie ma żadnej teczki obiektowej Konsorcjum. W każdym razie w mojej teczce nie ma żadnych śladów, nie tylko Konsorcjum, ale i Karkoszy, ani jednej wzmianki. (not. js)





Tajemnice radomskich taśm

Grzegorz Majchrzak

W dniu 3 grudnia 1981 r. w Radomiu spotkali się członkowie Prezydium Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność” oraz przewodniczący poszczególnych regionów związku, a także związkowi eksperci i zaproszeni goście (przewodniczący NSZZ Rolników Indywidualnych Solidarność Jan Kułaj oraz przewodniczący Krajowej Komisji Koordynacyjnej Niezależnego Zrzeszenia Studentów Jarosław Guzy). Obrady odbywały się w jednej z sal klubu Radomiak, a przewodniczył im stojący na czele władz krajowych związku Lech Wałęsa. Rozpoczęły się one w południe, a zakończyły około pierwszej w nocy. Między 15.00, a 16.00 posiedzenie przerwano, po to aby część członków Prezydium KK (m.in. Wałęsa, Marian Jurczyk, Jan Rulewski oraz Stanisław Wądołowski) mogła się spotkać w Fabryce Obuwia „Radoskór” z przedstawicielami komisji zakładowych regionu radomskiego. Pomysłodawcą zorganizowania spotkania w Radomiu, a także jego organizatorem był przewodniczący Prezydium Zarządu Międzyzakładowej Komisji Regionalnej Ziemia Radomska Andrzej Sobieraj. Jak twierdzi po latach, jego zamiarem było uniknięcie podsłuchów oraz „nie podsycanie napięcia w Warszawie”.

Ze względu na nieformalny charakter (gremium to nie było ciałem statutowym) obrady radomskie zostały uznane za zamknięte. Początkowo do udziału w nich nie dopuszczono nawet związkowych doradców – weszli oni na salę dopiero godzinę po rozpoczęciu posiedzenia, po zażartej dyskusji jego uczestników. Pół godziny później zdecydowano się wpuścić również część dziennikarzy związkowych (m.in. „Tygodnika Solidarność”, Agencji Prasowej „Solidarność”, Biura Informacji Prasowej „Solidarności”). Zakazano im jednak nagrywania posiedzenia, a także publikowania szczegółowych sprawozdań. Te nadzwyczajne środki ostrożności – posiedzenia władz krajowych związku były na ogół otwarte, uczestniczył w nich nawet „dziennikarz” z sowieckiej agencji prasowej TASS – miały zapobiec przeciekowi informacji na zewnątrz. Z tego samego powodu posiedzenia wyjątkowo nie nagrywało Radio „Solidarność” dla Radiowęzłów Zakładowych Regionu Mazowsze, które zawsze rejestrowało przebieg posiedzeń Krajowej Komisji Porozumiewawczej oraz Komisji Krajowej. Po zakończeniu obrad nie przeprowadzono zwyczajowej konferencji prasowej, a rzecznik KK nie wydał oświadczenia.

Według komunikatu sekretarza Prezydium Komisji Krajowej z 27 listopada posiedzenie planowano poświęcić „ocenie sytuacji wynikającej z zerwania przez stronę rządową rozmów w sprawie konfliktu radomskiego” [wokół wyboru rektora Wyższej Szkoły Inżynierskiej Michała Hebdy – GM] oraz „aktualnej sytuacji w regionach”. Odbywało się ono w niezwykle napiętej atmosferze politycznej. Kolejne negocjacje rządu z przedstawicielami związku kończyły się fiaskiem. Warto w tym miejscu przytoczyć słowa eksperta Komisji Krajowej Bronisława Geremka na ten temat z dnia





17 listopada 1981 r.: „Solidarność» chce rozmawiać o praworządności. Rząd odpowiada nie, bo nie. »Solidarność» chce rozmawiać o dostępie do środków masowego przekazu. Rząd odpowiada – nie, bo nie jesteśmy przygotowani. O podwyżkach cen – rząd chce rozmawiać natychmiast. Stanowisko rządu w sprawie strajków też jest wyraźne – strajków powinno nie być”. Atmosferę zaostrzyło skierowanie przez rząd pod obrady sejmu w dniu 28 października projektu ustawy o nadzwyczajnych środkach działania w interesie ochrony obywateli i państwa. Procedowana ustawa znacznie ograniczała możliwość prowadzenia działalności związkowej, m.in. prawo do strajku. Ponadto w dniu 2 grudnia jednostki specjalne MSW przeprowadziły w sposób manifestacyjny (z użyciem helikoptera oraz wyłączeniem telefonów w siedzibie mazowieckiej „Solidarności”) pacyfikację strajku okupacyjnego studentów Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarniczej w Warszawie. Podczas ataku zatrzymano m.in. przebywającego na terenie szkoły i wspomagającego strajkujących podchorążych wiceprzewodniczącego Regionu Mazowsze Seweryna Jaworskiego.

Nic zatem dziwnego, że w Radomiu planowane tematy zeszły na dalszy plan, a dyskusja skoncentrowała się na bieżącej sytuacji w kraju. W trakcie wielogodzinnych obrad niektórzy liderzy związku występowali również z bardzo radykalnymi propozycjami. Jan Rulewski – stojący na czele bydgoskiej „Solidarności” – zaproponował cofnięcie mandatu zaufania udzielonego ekipie premiera (i jednocześnie I sekretarza Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej) Wojciecha Jaruzelskiego. Oskarżał rząd o prowadzenie polityki prorosyjskiej. Zgłosił nawet pomysł, aby „w okresie przejściowym powołać rząd tymczasowy, który by kontrolował gospodarkę, aparat bezpieczeństwa i środki masowego przekazu”. Twierdził przy tym, że „Solidarność” może dać Moskwie lepsze gwarancje odnośnie jej interesów wojskowych niż peerelowskie władze. Wzywał też związek do walki o przedterminowe wybory do sejmu – 55 proc. miejsc miałyby w nich przyspaść PZPR, Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu oraz Stronnictwu Demokratycznemu, 25 proc. zorganizowanym bezpartyjnym, a 20 proc. pozostałym organizacjom i stowarzyszeniom (w późniejszej relacji organu KC PZPR „Trybuny Ludu” proporcje te przedstawiono zupełnie inaczej: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i sojusznicy – 25 proc., Solidarność – 25 proc., Konfederacja Polski Niepodległej, „Znak” i pozostali – 50 proc.). Z kolei Karol Modzelewski z Wrocławia w kontekście ewentualnego wprowadzenia stanu wyjątkowego groził: „bój to będzie ich ostatni”. Również Jaworski wzywał związek do twardej postawy. „Rząd nie może być pewny wojska i milicji. Chcą oni przejść na naszą stronę, ale się boją – trzeba im dać szansę” – twierdził. Jednocześnie upominał Wałęsę: „Marzec nie może się powtórzyć. Ja ci utnę głowę [...] albo hutnicy”. Oczywiście chodziło mu o porozumienie warszawskie kończące kryzys bydgoski, czyli o przeforsowanie porozumienia z rządzącymi przez ugodowe kierownictwo związku, a dokładniej jego część, z naruszeniem posiadanych pełnomocnictw.





Lecha Wałęsa bronił się: „Różnił się [z Andrzejem Gwiazdą i J. Rulewskim – G.M.] tylko tym, że jego droga i droga Jasia wymaga tego, że trzeba by natychmiast wziąć czołgi, natychmiast wziąć samoloty i inne rzeczy, i oczywiście oni mają rację. My wygramy, tylko nie chcieliśmy płacić maksymalnie. Oczywiście tej walki w końcu nie można wygrać, żeby nic nie zapłacić. Chodzi o to, żeby jak najmniej zapłacić”. Ostrzegał przy tym: „myślę, że nie można dać się ponieść fantazji, ponieść się nerwom, bo przez to możemy znowu dostać w dziób”. Twierdził, że rozmowy z władzami są swego rodzaju grą na czas – wobec nieuchronnej jego zdaniem konfrontacji. „Od początku było jasne, że walka będzie, tylko i wyłącznie dobierać środki, żeby jak najwięcej społeczeństwo rozumiało tę walkę. Głośno nie mówić: konfrontacja nieunikniona, takie rozmowy to tylko przechytrzenie kto kogo, jak kogo, a my się sami przechytrzamy. My mamy mówić: kochamy was, kochamy socjalizm i partię, oczywiście, Związek Radziecki, a przez fakty dokonane robić robotę i czekać”. Poparł jednak bardziej radykalną propozycję stanowiska związku. Jak argumentował w wydanej w 2008 r. autobiografii: „Wówczas zrozumiałem, że władze próbują rozgrywać moją kartę i pozbawiać mnie poparcia związku [...] Zrozumiałem, że komuniści próbują odłączyć mnie od mas związkowych, żebym stracił przywództwo. Chcieli mnie wmontować w niebezpieczny kanał: dobry Wałęsa – źli radykałowie związkowi. Było to obliczone na pozbawienie mnie autorytetu, a w konsekwencji na rozbięcie związku”. We wspomnianym stanowisku stwierdzano: „Rozmowy o porozumieniu narodowym wykorzystane zostały przez stronę rządową jako parawan, osłaniający przygotowania do ataku na związek. W tej sytuacji dalsze pertraktacje na temat porozumienia narodowego stały się bezprzedmiotowe”. W przypadku uchwalenia przez sejm ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu zapowiedziano 24-godzinny ogólnopolski strajk protestacyjny, z kolei w wypadku wprowadzenia ich w życie strajk powszechny. Jako minimalne warunki porozumienia narodowego wymieniono: zaprzestanie represji antyzwiązkowych, przedstawienie sejmowi ustawy o związkach zawodowych w wersji uzgodnionej z przedstawicielami „Solidarności”, demokratyczne wybory do rad narodowych wszystkich szczebli, uszanowanie związkowej kontroli nad gospodarką narodową (zwłaszcza nad zasobami żywności), zapewnienie Społecznej Radzie Gospodarki Narodowej realnego wpływu na decyzje rządowe i możliwości kontrolowania polityki społeczno-gospodarczej rządu, dostęp związku, Kościoła oraz „innych ośrodków opinii publicznej” do radia i telewizji.

Posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących regionów ze względu na swoją rangę było oczywiście „zabezpieczane operacyjnie” przez Służbę Bezpieczeństwa. W dniu 2 grudnia „w późnych godzinach nocnych” Władysław Kuca (naczelnik Wydziału III Departamentu III „A” MSW, odpowiedzialnego za rozpracowanie władz krajowych „Solidarności”) przekazał do „jednostek posiadających odpowiednią agenturę” zalecenie nagrania obrad na taśmę magnetofonową. Tajni współpracownicy SB mieli tego dokonać





oficjalnie na sprzęcie związkowym, „pod pretekstem dokładnej ich relacji w regionach”. Radomska Służba Bezpieczeństwa umieściła swoich współpracowników w obsłudze technicznej i porządkowej, a także zarejestrowała (dzięki agenturze i podsłuchom) przebieg spotkań z załogami większych zakładów pracy w tym mieście (oprócz wspomnianego wcześniej „Radoskóru” również w Radomskiej Wytwórni Telefonów, jeszcze przed rozpoczęciem obrad). Jak później stwierdzał zastępca komendanta wojewódzkiego Milicji Obywatelskiej ds. SB Stefan Ostapiński, „przebieg tych spotkań, jak i wystąpienia na nich niektórych przewodniczących regionów Solidarności nie stanowiły na tle ówczesnej atmosfery społeczno-politycznej jakiejś rewelacji”. Funkcjonariusze nie zdołali jednak zamontować podsłuchu w sali, w której odbywało się posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących regionów. Okazało się bowiem, że środki podjęte przez organizatorów obrad w celu zapewnienia ich tajności (utrzymywano do ostatniej chwili w tajemnicy informacje, w której sali będzie posiedzenie, wpuszczano osoby według wykazu, zamykano drzwi i okna w czasie obrad) uniemożliwiły skuteczne zastosowanie podsłuchu. Tak na marginesie, podsłuch założono w trzech wytypowanych wcześniej salach, lecz główny organizator spotkania Sobieraj wybrał czwartą.

Mimo to Służbie Bezpieczeństwa udało się pozyskać nagrania z tych utajnionych, zamkniętych obrad kierownictwa „Solidarności”. Okazało się to możliwe dzięki nielicznej, ale cennej agenturze umieszczonej we władzach związku. Eligiusz Naszkowski (przewodniczący Zarządu Regionu Piła i członek KKP i KK, a od lutego 1981 r. tajny współpracownik SB o pseudonimie „Grażyna”) zgłosił się telefonicznie do Kucy – specjalnie delegowanego do Radomia zamiast nie mogącego przyjechać zastępcy komendanta wojewódzkiego MO w Pile Kazimierza Wesołowskiego, który był oficerem prowadzącym Naszkowskiego. Umówił się z nim na spotkanie na godzinę 19.00, czyli jeszcze w trakcie posiedzenia radomskiego. Szef pilskiej „Solidarności” wykorzystał w tym celu „jakieś naturalne usprawiedliwienie na opuszczenie sali obrad, bez narażania się na dekonspirację”. Obaj panowie spotkali się ostatecznie najprawdopodobniej dopiero około godziny 23.00 w mieszkaniu jednego z funkcjonariuszy KW MO w Radomiu. TW „Grażyna” przekazał tam przybyłemu z Warszawy wysokiemu funkcjonariuszowi wykonane przez siebie nagranie. Ostrzegł przy tym przed dekonspiracją, gdyż posiedzenie nagrywać miały tylko trzy osoby. Nie zarejestrowały one zresztą całości obrad, gdyż niektórzy mówcy rozpoczynali swoje wystąpienia od „kategorycznych żądań wyłączenia magnetofonów”. Eligiusz Naszkowski zdołał nagrać jedną taśmę – dwa wystąpienia Lecha Wałęsy oraz po jednym Zbigniewa Bujaka (przewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze) i Karola Modzelewskiego. Nota bene jak wynika z relacji Władysława Kucy Naszkowski podczas „wymiany zdań” miał uznać, że „treści radomskiej kasyety nie można ukrywać, ponieważ obrady radomskie były przedostatnim etapem przygotowania kierownictwa Solidarności do obalenia socjalizmu w Polsce i machiny tej nie można już zatrzymać środkami pokojowymi”.





Na życzenie naczelnika Wydziału III Departamentu III „A” MSW zastępcą komendanta wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej ds. SB w Radomiu zalecił swoim podwładnym z Wydziału Techniki KW MO spisanie z taśmy nagrania Naszkowskiego. Dla przyspieszenia prac nagranie powielono w kilku egzemplarzach, a następnie było ono przepisywane w kawałkach przez kilku funkcjonariuszy. W dniu 4 grudnia w godzinach przedpołudniowych Kuca przywiózł taśmę (jej oryginał lub kopię) do Warszawy. Wcześniej przesłał do stolicy przez WCz (linię telefoniczną wysokiej częstotliwości) omówienie posiedzenia, przygotowane przez niego wspólnie z Ostapińskim na podstawie notatek ze spotkania z TW „Grażyną”. Z nagraniem zapoznawały się kolejne osoby. Zapewne jako pierwszy taśmę otrzymał minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Potem trafiła ona również do osób spoza resortu – Jaruzelskiego, wicepremiera Mieczysława Rakowskiego, rzecznika prasowego rządu Jerzego Urbana oraz sekretarza KC PZPR Stefana Olszowskiego. To właśnie w tym gronie podjęto decyzję o propagandowym wykorzystaniu nagrania. W dniu 5 grudnia 1981 r. Biuro Polityczne KC PZPR podjęło formalną decyzję w tej sprawie: „W trybie pilnym wykorzystać masowo materiały z obrad Prezydium KK w Radomiu”.

W odpowiednim przygotowaniu, a właściwie spreparowaniu taśm do emisji, które odbywało się w gmachu MSW przy ulicy Rakowieckiej, uczestniczyli: Władysław Kuca, Władysław Ciastoń (wiceminister spraw wewnętrznych), Tadeusz Bryniarski (funkcjonariusz Departamentu III „A” MSW), a także dwaj zaufani dziennikarze radiowi władz i resortu spraw wewnętrznych: Kajetan Gruszecki (kierownik redakcji publicystyki Polskiego Radia) i Jerzy Małczyński. Jednak – jak to w peerelowskiej rzeczywistości bywało – przegranie na taśmę radiową okazało się możliwe jedynie w siedzibie Polskiego Radia. Według Kucy i Gruszeckiego informacja o nagraniu – czy dokładniej o jego treści – dotarła wówczas do Bujaka i „jego współpracowników” z Regionu Mazowsze. W każdym razie podjęte nadzwyczajne środki ostrożności – przechowywanie taśmy przy Rakowieckiej i dowożenie jej do gmachu PR przed emisjami okazały się słuszne, gdyż w nocy po pierwszej z tych emisji zostało rozbite przez nieznaną sprawców biurko i szafa redaktora Gruszeckiego.

Nagranie wykonane przez Eligiusza Naszkowskiego nie było jedynym, jakim dysponowała Służba Bezpieczeństwa. Niezależnie od niego posiedzenie – a właściwie jego fragmenty – zarejestrował również Wojciech Zierke – przewodniczący Zarządu Regionu Słupsk i członek Krajowej Komisji Porozumiewawczej oraz Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, który najprawdopodobniej od lipca 1981 r. był też tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Jola”. Do Warszawy jego taśmy dotarły jednak „ze znacznym opóźnieniem”. Z prozaicznego zresztą powodu – nie miał ich kto odebrać. Stało się tak, gdyż koordynujący działania resortu związane z posiedzeniem radomskim Kuca nie miał pewności, czy jego zalecenia dotarły do tego agenta – o tym, że Zierke otrzymał je i – co więcej – wykonał, dowiedział się dopiero „kilka dni później”. W efek-





cie dopiero w dniu 6 grudnia specjalny kurier Departamentu III „A” odebrał nagranie ze Słupska. Prawdopodobnie dzień później trafiło ono bezpośrednio do wiceministra Ciastonia. Z jednej strony potwierdzało prawdziwość nagrania Naszkowskiego, ale z drugiej miało okazać się „mniej cenne”.

Nie do końca jest jasne, czy przypadkiem posiedzenia nie zarejestrował również trzeci tajny współpracownik SB – o pseudonimie „Marcin”, czyli Andrzej Konarski (członek Zarządu Regionu Dolny Śląsk i Prezydium Komisji Krajowej). O tym, że otrzymał takie zadanie, świadczy przyjazd do Radomia jednego z funkcjonariuszy Komendy Wojewódzkiej MO we Wrocławiu. Jednak Konarski się z nim nie skontaktował, mimo, że ten czekał na to pod telefonem. Możliwe zresztą, że nie wykonał postawionego przed nim zadania. Na taką możliwość zdaje się zresztą wskazywać jego charakterystyka jako TW sporządzona pod koniec sierpnia 1981 r.: „W dotychczasowej współpracy szczerzy i prawdomówny, chociaż nadrzędnym interesem dla niego jest działalność związkowa (nie wykona zadania, które godziłoby w podstawowe interesy związku)”. W każdym razie jego nagranie – o ile je oczywiście wykonał – nie trafiło w ręce funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. O tym zresztą, że miało być trzecie nagranie, mówi Eligiusz Naszkowski w jednym ze swoich wywiadów z początku lat 90. Niestety w jego opowieściach niezwykle trudno jest odróżnić prawdę od kłamstwa czy konfabulacji. Nic nie wskazuje na to, aby – jak twierdzi – nagranie dla SB miał wykonać przewodniczący Zarządu Regionu Wielkopolska i członek KK Zdzisław Rozwałak. Natomiast fragmenty obrad, a ściślej wystąpienie Lecha Wałęsy, nagrał Mieczysław Wachowski; który uczynił to jednak na potrzeby przewodniczącego związku. Z tego powodu zresztą znalazł się, przynajmniej początkowo, w kręgu podejrzanych o pracę na rzecz SB. Inną osobą, której zarzucano nagrywanie dla Służby Bezpieczeństwa był Marian Jaworski. Przewodniczący Regionu Świętokrzyskiego owszem rejestrował dla kolegów – członków „krajówki” z tego regionu wystąpienia tych mówców, którzy się na to zgodzili. Jego oskarżycielką była siedzącą naprzeciwko niego w Radomiu członkini Komisji Krajowej, której wtórował Eligiusz Naszkowski. Jak wspomina Jaworski: „12 grudnia 1981 r., w czasie przerwy posiedzenia Komisji Krajowej, Bogdań Ryś członek KK z naszego regionu, przyprowadził do mnie pana Lecha Dymarskiego, odpowiedzialnego za bezpieczeństwo Związku. Powiedział on, że jest podejrzanie, że zmanipulowane przez media nagranie z Radomia może pochodzić ode mnie, gdyż mają świadka kobietę, że ja tam nagrywałem i chciałby ode mnie te kasety zabrać”. W odpowiedzi szef świętokrzyskiej „Solidarności” obiecał dowieźć z domu nagrania, których nie miał przy sobie. Tym bardziej, że oczyszczały go one z podejrzeń. Wynikało to z faktu, że jego nagranie wystąpienia Lecha Wałęsy było kompletne w przeciwieństwie do tego prezentowanego w mediach, co zapewne wynikało z faktu, że nagrywającej osobie skończyła się taśma i musiał ją wymienić w magnetofonie.

Tymczasem emisjom radiowym towarzyszyły audycje telewizyjne oraz szeroka kampania prasowa, prowadzona m.in. przez „Trybunę Ludu”. 7 grudnia opublikowano na jej





lamach artykuł o wymownym tytule Szczerość, która musi przerażać. O co im naprawdę chodzi. W kolejnych dniach (8, 9 oraz 10 grudnia) w specjalnie poświęconej obradom radomskim rubryce „Zapowiedzi budzące najgłębszy niepokój. Powiedzieli »Trybunie«” publikowano opinie „przedstawicieli różnych środowisk” na ten temat. Ważną rolę w tej kampanii odgrywał również skierowany głównie do wojskowych „Żołnierz Wolności”. W wydaniu z 12–13 grudnia pojawiły się w nim nawet sugestie, że żadnego podsłuchu nie było, a „przeciek” miał „spowodować ktoś z obecnych na naradzie, ktoś z zaufanych”. „Może to był Jan Rulewski, może Seweryn Jaworski lub Zbigniew Bujak, może Karol Modzelewski, a może wreszcie sam »ojciec chrzestny« mafii – Kuroń” – wskazywano podejrzanych.

Kampania ta miała jasny cel: przekonanie społeczeństwa (a raczej jego części), że rzekomo „Solidarność” dąży do krwawego starcia z władzami. Czy okazała się skuteczna? W odczuciu działaczy związku – nie. Jak odnotował w swoich wspomnieniach Kuroń: „Ciekawe, że ludzie nie mówili o tym, że chcemy obalić władzę, ale oburzali się na natchnionego Jaworskiego, który groził: Lechu, jak nas zdradzisz, to ja i inni hutnicy utniemy ci głowę. Denerwowali się, że się w ogóle klócimy, bo to że taśmy były spreparowane, to jasne było dla wszystkich”. Zupełnie inaczej widziały to oczywiście władze. I tak np. 9 grudnia 1981 r. MSW informowało: „W społeczeństwie narasta lęk i obawa przed skutkami konfrontacji, które mogą być tragiczne dla wielu rodzin”, a dzień później: „Różne środowiska wielu województw wykazują duże zaskoczenie wypowiedziami działaczy »Solidarności« w Radomiu. Uważa się, że kierownictwo związku ujawniło w końcu swe prawdziwe oblicze”. Z pewnością ta kampania przyczyniła się również do konsolidacji obozu władzy, którą zwiększyły jeszcze krążące wśród aparatu partyjnego, funkcjonariuszy MO i SB pogłoski o istnieniu list proskrypcyjnych i planów wymordowania ich samych oraz ich rodzin przez solidarnościowe bojówki.

NSZZ „Solidarność” zareagowała na upublicznienie przez rządowe media wybranych fragmentów posiedzenia prezydium Komisji Krajowej i przewodniczących zarządów regionów. Zarząd Międzyzakładowej Komisji Regionalnej Ziemi Radomskiej zobowiązał jej przewodniczącego Andrzej Sobieraja do skonsultowania z Komisją Krajową „zasadności zaskarżenia środków masowego przekazu – TV, radio, prasy za ujawnienie materiałów z zamkniętego posiedzenia związku. Z kolei Zarząd Regionu Mazowsze stwierdzał: „Pragniemy zwrócić uwagę członków naszego związku i wszystkich niezorganizowanych w nim ludzi pracy, że nie jest to pełny stenogram prowadzonej dyskusji – są to tylko wybrane i wyrwane z treści rozmów fragmenty”. I apelował: „Nie poddawajmy się wpływowi tendencyjnej pełnej fałszu propagandy”. Stanowisko przyjęte w Radomiu przez przywódców związku uzyskało aprobatę działaczy „Solidarności”, czego wyrazem było chociażby poparcie tej uchwały w dniu 12 grudnia przez Komisję Krajową w pełnym składzie. W przyjętej wówczas uchwale w sprawie strategii i taktyki związku stwierdzano: „KK, opierając się na konsultacji przeprowadzonej





przez zarządy regionalne, oświadcza, że stanowisko uchwalone 3 grudnia w Radomiu przez Prezydium KK i przewodniczących zarządów regionalnych stało się zgodnym stanowiskiem związku”.

Eligiusz Naszkowski otrzymał od Służby Bezpieczeństwa za swoje nagranie bardzo wysoką sumę – 50 tys. złotych (przeciętna płaca w 1981 r. wynosiła niespełna 7700 złotych, a popularny „maluch”, czyli fiat 126p, kosztował oficjalnie 130 tys.). Z kolei Wojciech Zierke nie dostał od swych przełożonych z SB ani grosza. Mało tego, Naszkowskiemu opłacono również mandat za wypadek samochodowy, który spowodował podczas powrotu z Radomia do Piły. I to mimo tego, że nie miał on – wbrew późniejszym podejrzeniom niektórych działaczy „Solidarności” – żadnego związku z zadaniami wykonywanymi przez tego tajnego współpracownika dla Służby Bezpieczeństwa. Tak na marginesie, jeszcze przed 13 grudnia 1981 r. działacze „Solidarności” uznali, że to właśnie on nagrał posiedzenie dla SB. Co ciekawe najczęściej jako ten, który zdekonspirował szefa związku w Pile, wymieniany jest Wachowski. Na podstawie rozmów z uczestnikami obrad ustalił on, gdzie kto siedział, a następnie „narysował schemat z uwzględnieniem kierunku i natężenia głosu”. Na tej podstawie stwierdził, iż nagrywającym był właśnie Eligiusz Naszkowski. Te przypuszczenia potwierdziły się kilka miesięcy po ucieczce Naszkowskiego na Zachód w 1984 r., kiedy to (jako były funkcjonariusz Biura Studiów MSW, elitarniej jednostki utworzonej w stanie wojennym do zwalczania „Solidarności”) „demaskował” działalność resortu spraw wewnętrznych na łamach „Die Welt”, „Le Monde” oraz w audycjach Radia Wolna Europa. Z kolei współpraca ze Służbą Bezpieczeństwa Zierkego jeszcze przez lata pozostawała tajemnicą. Choć po tym, jak 17 grudnia 1981 r. na łamach „Głosu Pomorza” wezwał swych kolegów ze słupskiej „Solidarności” do zawieszenia wszelkich akcji protestacyjnych i zaapelował o niepodejmowanie działań sprzecznych z dekretem o stanie wojennym, stał się osobą co najmniej podejrzaną. Nie przeszkadzało to jednak SB w dalszym jego wykorzystaniu. Zresztą po 13 grudnia obaj ci tajni współpracownicy nadal przekazywali swym mocodawcom informacje o kolegach i koleżankach ze związku. Zierke w nagrodę wyjechał pracować do Libii i był najprawdopodobniej wykorzystywany przez peerelowski wywiad, a Naszkowski został kadrowym funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa.

Niezwykle interesujące są również dalsze losy nagrania wykonanego przez Eligiusza Naszkowskiego. Otóż przekazano je do Urzędu Rady Ministrów, gdzie m.in. na jego podstawie sporządzono i wydrukowano zapis wypowiedzi na posiedzeniu radomskim. Jeden z egzemplarzy stenogramu przygotowanego w URM został następnie wykorzystany przez Służbę Bezpieczeństwa do przygotowania opracowania zatytułowanego „Lech Wałęsa”, inny z kolei miał zostać opracowany dla Jana Pawła II. W Urzędzie Rady Ministrów ślad po nagraniu się urywa. Nie wiadomo, co się z nim działo potem. Najprawdopodobniej zaginęło. Nie można jednak wykluczyć, że trafiło do prymasa Józefa Glempa. Wiadomo bowiem, że taśmy (lub ich kopie) z nagraniem obrad przekazał mu





(najprawdopodobniej podczas spotkania 25 kwietnia 1982 r.) sam Wojciech Jaruzelski. Ta wersja wydaje się tym bardziej prawdopodobna, że fragmenty zapisu posiedzenia radomskiego opublikowano w 1986 r. na łamach podziemnego kwartalnika „Krytyka”.

Ostatnim, zresztą ciekawym aspektem tej sprawy są rozpoczęte jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego przygotowania do procesu uczestników posiedzenia radomskiego, z Lechem Wałęsą na czele. To tzw. sprawa jedenastki. Jednak pierwotnie zarzuty miała usłyszeć większa grupa działaczy związku. Zamierzano ich oskarżyć z artykułu 123 kodeksu karnego: „Kto, mając na celu pozbawienie niepodległości, oderwanie części terytorium, obalenie przemocą ustroju lub osłabienie mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, podejmuje w porozumieniu z innymi osobami działalność zmierzającą do urzeczywistnienia tego celu, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 5 albo karze śmierci” lub ze związanego z nim artykułu 128, w którym była mowa o podejmowaniu tego rodzaju przygotowań, co było z kolei zagrożone karą od roku do dziesięciu lat. W związku z tymi przygotowaniem Departament III „A” przekazał do Biura Śledczego MSW materiały dotyczące obrad radomskich „zawierające obszernie streszczenia lub omówienia wystąpień biorących udział w tym posiedzeniu działaczy związku, a nadto stenogramy niektórych wypowiedzi w dyskusji”. Jednak już 8 grudnia 1981 r. w Biurze Śledczym uznano, że materiał ten „z uwagi na jego niekompletność” oraz w przypadku streszczeń „pośredniość relacji” nie daje podstaw do „wydania jednoznacznej opinii w przedmiocie określenia, czy treść wystąpień narusza przepisy prawa karnego”. Wydanie ostatecznej oceny prawnej uzależniono od możliwości zapoznania się „z pełnym tekstem stenogramu wystąpień uczestników narady”. W jednostce tej uznano, iż „treść niektórych wystąpień wskazuje na to, że ich autorzy noszą się wprawdzie z takim zamiarem, jednak z punktu widzenia prawa nie jest on karalny”, gdyż „Warunkiem odpowiedzialności karnej za przygotowanie do obalenia przemocą ustroju PRL byłoby podjęcie wiążącej decyzji co do przedsięwzięć mających przygotować realizację zamiaru”. Był zresztą jeszcze jeden problem. Otóż Departament III „A” MSW owszem dostarczył – w dniu 11 grudnia 1981 r. – Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej trzy taśmy magnetofonowe z fragmentami radomskich obrad. Okazało się jednak, że nie nadają się na materiał dowodowy, gdyż są jedynie kopiami.

Pomimo tego, działania w celu ukarania niektórych uczestników posiedzenia radomskiego kontynuowano również w kolejnych miesiącach. Nie zmieniła tego nawet abolicja na czyny sprzed 13 grudnia 1981 r. wprowadzona wraz ze stanem wojennym. Śledztwo w sprawie rzekomej działalności spiskowej niektórych członków Komisji Krajowej (oraz działaczy Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”) prowadziła od 1 lutego 1982 r. Naczelna Prokuratura Wojskowa. W związku z nim powołano nawet specjalny zespół, składający się z przedstawicieli Wydziału Administracyjnego Komitetu Centralnego PZPR, Prokuratury Generalnej oraz NPW. Zawężono je jednak do uchwały





o taktyce i strategii związku z 12 grudnia 1981 r., która zawierała wezwanie do strajku powszechnego w razie uchwalenia przez sejm ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach dla rządu lub wprowadzenia represji uniemożliwiających normalną działalność związku. W końcu – w grudniu 1982 r. – zarzuty postawiono Andrzejowi Gwieździe, Sewerynowi Jaworskiemu, Marianowi Jurczykowi, Karolowi Modzelewskiemu, Grzegorzowi Palce, Andrzejowi Rozpłochowskiemu i Janowi Rulewskiemu. Ostatecznie jednak śledztwo w ich sprawie umorzono 26 lipca 1984 r. na mocy amnestii.

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN

ONI występowałi w TWOJEJ obronie, teraz kiedy potrzebują pomocy – udzieli IM swego poparcia
okaz **SOLIDARNOŚĆ** z ofiarami zemsty reżimu. **ZĄDAJ ICH UWOLNIENIA**

Sluzba Informacyjna

URODZONY W ELWOWIE. WSTĘPO-
WAŁ DO PZPR W Y. 53; 56. DZIA-
ŁACZ ZHP (DRUŻYNY WALTEROW-
SKIE). DRUŻ. ROZWIĄZANO W 61
W 1964 WYRZUCONY Z PZPR.
BYŁ DOKTORANTEM NA WYDZIA-
LE PEDAGOGIKI U.W. W 1965
PIERWSZY 2-LETNI WYROK, W
68-3,5 ROKU. WSPÓŁORGANI-
ZATOR KSS-KOR. PUBLICYSTA
ANIMATOR RUCHÓW NIEZALEŻ-
NYCH. INTERNOWANY W GRUD-
NIU 1981. PRZEBYWA W WIĘZ.

DOKTOR FIZYKI. KIEROWNIK
BIURA INTERWENCYJNEGO
KSS-KOR, POŹNIEJ REGIONU
MAZOWSZE. WSPÓŁAUTOR RA-
PORTU MADRYCKIEGO. UNIKA
INTERNOWANIA I ORGANIZUJE
RADIO "SOLIDARNOŚĆ". ARRESZTO-
WANY W SIERPNIU 1982.
SKAZANY W PROCESIE RADIA "S".
ZAGRAZA MU DRUGI WYROK
WIĘZIOŃ ZA PRZEKONANIA.

FIZYK. W LATACH '68-'78
PRACOWNIK "TEWY". OD 1962
DZIAŁACZ KIK. W 1975 ZBIE-
RA PODPISY POD PROTESTEM
PRZECIW ZMIANOM W KONSTY-
TUCJI PRL. AKTYWNY W AKCJI
POMOCY 70 CIERNCU '76 W UR-
SUSIE. CZŁONEK KOR. WSPÓŁ-
ZAŁOŻYCIEL NOWEGO "ROBOTNIKA"
WIELOKROTNIE ARRESZTOWANY.
CZŁONEK PREZYDIUM REGIONU
MAZOWSZE. CZŁONEK KOMISJI
KRAJOWEJ "S". INTERN. 13.XII.81.



JACEK KURON



ZBIGNIEW ROMASZEWSKI



HENRYK WUJEC





Dwie paczki proszku

Zofia Gromiec

Właściwie nie wiem, w którym momencie tzw. władze polityczne i ubecja zaczęły się interesować Włodkiem (Włodzimierz Gromiec, filozof, współpracownik KOR, ur. 1937, zm. 2007, Łódź – red.). Gdzieś około roku 1973, 74. Najpierw u niego w Zakładzie Historii Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego. Po 1968 r. to nie był już ten sam Zakład co przedtem. Przyszli tzw. marcowi docenci, przyszli ludzie, którzy nie kończyli studiów filozoficznych, tylko jakieś inne, a potem robili specjalizacje. Nie było już atmosfery przyjaźni, koleżeńskości jaka była do 1968-69 r.

Był rok chyba 1975, kiedy do męża, do domu, przyszedł szef jego katedry Panasiuk i szef POP (Podstawowa Organizacja Partyjna – red.), chociaż mąż nigdy nie był w partii. Przyszli złożyć mu propozycję, żeby się zwolnił z pracy, to oni go wtedy nie wyrzucą. Bo on ma bardzo zły wpływ na młodzież. Ale jeśli się sam zwolni, to oni mu pomogą znaleźć pracę. Włodek stanowczo odmówił. No i się zaczęło. W Komitecie Łódzkim była pani Adamczewska Genowefa, która była sekretarzem od spraw uniwersyteckich. I nie wiem skąd wziął się jej niechętny stosunek do Włodka, nigdy go nie poznała. Zaczęły się naciski na władze uniwersyteckie, żeby męża z Uniwersytetu wyrzucić. Sprawa się przeciągnęła, on pisał odwołania. I ostatecznie został wyrzucony w 1977 r. Ja także w tym roku, tylko ja w maju zostałam zwolniona z Wydawnictwa Łódzkiego, a Włodek 30 września.

Pretekstem był podpis pod listem w sprawie robotników Radomia i Ursusa. Byliśmy bezrobotni, bez jakichkolwiek środków do życia. Ale ja w tym czasie już miałam obiecana pracę w drukarni Związku Artystów Plastyków. Dyrektor Książek zgodził się mnie przyjąć, choć byli u niego ubecy i go ostrzegali. Chodziłam tam na 6.00. Siedziałam w takiej kanciapie bez telefonu, ale i tak stwierdzili, że to jest zbyt niebezpieczne i po pół roku dokwaterowano mi dwóch panów, którzy mieli za zadanie sprawdzać, czy do mnie ktoś nie przychodzi. I czy nie wynoszę farby, choć każdorazowo nas rewidowano na portierni. Chciałam się stamtąd wyrwać za wszelką cenę, ale to nie było takie proste. Chcieli mnie zatrudnić w Centralnym Laboratorium Przemysłu Dziewiarskiego, oni wydawali katalogi i potrzebowali człowieka, żeby to robił. Złożyłam papiery i następnego dnia mieli wystąpić o moje przeniesienie. Ale następnego dnia powiedzieli, że moje papiery zginęły w ciągu tej doby, więc przyniosłam następne. Trwało to dosyć długo i okazało się, że mnie nie zatrudnią.

Była jeszcze jedna próba. Pomógł mi Marek Edelman i zostałam zatrudniona u Kazimierza Dejмка w Teatrze Nowym w dziale literackim. Ale nie udało mi się tam pracować nawet miesiąca, tam był taki dyrektor administracyjny – niewątpliwy ubek – i on szybko doniósł, że się tam pojawiałam. Wtedy na drugą pracę trzeba było mieć zgodę z pierwszej. Nie mogłam rzucić tamtej pracy, bo w obu zarabiałam bardzo mało. No i po trzech tygodniach oni zmusili dyrektora Książka, żeby wycofał zgodę.





Mieliśmy trudną sytuację materialną, bo ja zarabiałam niewiele, mąż w ogóle. Kole-dzy z Warszawy załatwiali mu co jakiś czas tłumaczenie dla PWN lub jakiegoś spe-cjalistycznego wydawnictwa. Była to ciężka robota, niekoniecznie dobrze płatna. Nie chcieliśmy przyjąć żadnej pomocy. To, że mieliśmy co jeść, zawdzięczamy właściwie mojej teściowej, emerytce, która mieszkała w Katowicach. I raz w miesiącu przysyła-ła nam jakieś dobra materialne.

To, że było głodno i mało pieniędzy nie było ważne. Włodek jeździł na seminaria do Warszawy do prof. Barbary Skargi. Nie zawsze było na pociąg, mówiąc krótko. I to było przykre. Jak również to, że nie mógł sobie kupić książek. Ale nie to było najgor-sze. Chyba najgorsze w tym wszystkim było to, że bezustannie nękały nas wszelkiego rodzaju szykany. Ze strony ubecji. Ludzi gorsze rzeczy wtedy spotykały, byli pobici, zabici. Nic takiego nas nie spotkało. Niemniej od 1975 r. zaczęła się kampania, pole-gająca na tym, że pojawiały się ogłoszenia w prasie, wieszane na przystankach, że my np. sprzedajemy koty, czy samochody, których nie mieliśmy, takie same zresztą doty-czyły Józka Śreniowskiego, z naszym adresem, numerem telefonu. To skutkowało tym, że przychodzili, nie zainteresowani oczywiście, tylko podstawieni. I robili nam awan-tury, że nie chcemy czegoś sprzedać – to po cośmy się ogłaszali!

Obok tego były anonimy, najróżniejsze, obrzydliwe, dotyczące różnych sfer życia. Dostawaliśmy my, nasi przyjaciele, łącznie z prof. Skargą. To były różne anonimy. Jed-na seria, to były różne historyjki obrazkowe, powielane techniką fotograficzną. Były też zaproszenia ślubne na ślub mojego męża z pewną panią, a żeby było śmieszniej, to podawano nazwisko pewnej pani profesor UŁ, że to u niej się te schadzki odbywa-ją. Erotyczne oczywiście. Były też telefony, do nas, do znajomych. Jutro zginiesz, albo jutro umrzesz. Ale też telefony do nas odbierali oni i mówili, że nie ma nikogo w domu.

Mieliśmy za ścianą zomowca. I dopiero w 1983 r., kiedy robiliśmy remont, odnaleźli-śmy podsłuch, który wyłaził z tamtego mieszkania. Naprzeciwko mieszkała pani, Niem-ka, wyszła za Polaka, ale jej syn uciekł do RFN. Była bardzo sympatyczna. I w 1989 r., kiedy się wyprowadzała, przyszła do nas. I płacząc opowiedziała, że przez całe lata oni robili sobie w jej mieszkaniu punkt obserwacyjny, wyrzucali ją, albo zabierali na komendę na Lutomska na dwie doby. Wydawało nam się, że coś musi być nie tak, bo miała pieska, który często stał sam pod blokiem i warczał, choć był bardzo miły.

Ewa Sułkowska – Bierezin

Odkryliśmy u siebie podsłuch. To były dwa mikrofoniki wielkości dużego paznok-cia, na drucie spuszczone z wywietrznika. Tylko chłopcy zlekceważyli sprawę i zamiast szybcitko go gdzieś schować, zaczęli się najpierw zastanawiać, co z nim zrobić. Scho-wali byle jak. Przyszła bezpieka. Szukali kilka godzin, aż znaleźli. I wtedy nagle się zwi-nęli i poszli. Ale pretekstem, żeby do nas wejść było to, że szukają wiecznych piór, dłu-gopisów czy mydeł, bo było włamanie do pobliskiego kiosku.





I cóż się dzieje kilka dni później. Jacek (Bierezin, poeta, współpracownik KOR, redaktor „Pulsu” – red.) wraca późno do domu. No, nie był trzeźwy. To była sobota, rano on sobie spał, a ja wyszłam do rodziców. I patrzę, kiosk jest otwarty, bo co drugą sobotę był otwarty. A w kiosku – proszek do prania! Dawali tylko po dwa, ale i tak byłam szczęśliwa. Jacek – czyścioszek się ucieszy. Biegnę do domu, stawiam mu te proszki przed nosem. On zawsze prał, sprzątał. Ale się ucieszy, kiedy się obudzi! Wracam. Jacuś siedzi jakiś osowiały, popija herbatę. Myślę sobie, skacowany jest. Mówię, a zauważyłeś, że proszek kupiłam? A jemu oczy takie!!! I mówi. Proszek?!? To ty kupiłaś ten proszek? O Boże! A ja tak popiłem, że ledwo trafiłem do domu. Ale jedno co pamiętam, to oświetlony kiosk, a w nim proszek. Jak się obudziłem i zobaczyłem proszek przed oczami, myślę sobie, Boże! Wybiłem szybę i wziąłem ten proszek! Jezus Maria! I prędko biegnę do łazienki. I spuszczam. Zaryglowałem drzwi. To się pieni. Ja się cały trzęsę. Skończyłem. Pociąłem opakowania. Spaliłem. I właśnie wyrzuciłem popiół. Boże! To tyle proszku! Tyle proszku!

To pokazuje jak się jednak baliśmy. Nawet Jacek – taki kozak. I jaka była nędza, że dwie zmarnowane paczki proszku do prania, to była strata niepowetowana. Dwie paczki proszku!

Joanna Szczęsna

To był chyba początek stanu wojennego, jeszcze była godzina policyjna. Byliśmy gdzieś na Żoliborzu, Wawrzyszew, tamte okolice. I nagle na parkingu zaroilo się od policji. No i co tu robić, co tu robić? Postanowiliśmy, że wrzucamy wszystko, całą bibułę do pralki i jak będą wywalać drzwi, to włączamy program na gotowanie. Wrzuciliśmy wszystko do tej pralki i nagle, a nasza gospodyni była w ciąży, zobaczyłam strach i przerażenie w jej oczach. Ona się nie bała, że ją zamkną, tylko czy się nie okaże, że nie ma pralki. Wtedy nie można było dostać pralki, trzeba było stać w kolejkach, zapisywać się, a ona – brzuch, za chwilę urodzi dziecko. I kto będzie te pieluchy prał? Ja od razu zobaczyłam, co jest w jej oczach i skąd ten strach, mówię: nic się nie denerwuj, po prostu Region odkupi ci pralkę. I ona odetchnęła z ulgą.

(not. js)



Walizka pełna strachu

Wiesław Bieliński

Tytułem wstępu – w trzeciej klasie liceum (koniec tzw. gierkowskiej dekady) wraz z kolegą Robertem Stefańskim zaczęliśmy odwiedzać Sklepik Na Stołecznej, jawny punkt kolportażu NOW-ej w mieszkaniu Ewy Milewicz.

Początkowo nie była to aktywność na wielką skalę. Otrzymanie więcej niż 10 egzemplarzy „Biuletynu Informacyjnego”, „Zapisu” czy „Pulsu”, o książkach już nie mówiąc; stanowiło poważne wyzwanie – popyt przewyższał podaż. Wszyscy pragnęli dostępu do lektur zakazanych. Z czasem, dzięki solidności, udało nam się wejść na odrobinę wyższy poziom. Z Robertem stworzyliśmy sieć kolportażu obsługującą kilkadziesiąt osób.

Po maturze nasze drogi się rozeszły, Robert postanowił zostać lekarzem, a ja zacząłem studiować prawo. Nie miało to jednak żadnego wpływu na nasze kontakty z NOW-ą, ciągle zajmowaliśmy się kolportażem. Działo się to w lutym 1980 roku. Robert wyjechał na ferie.

Komuniści celebrowali VIII Zjazd PZPR. Chłopcy i dziewczęta z KOR-u starali się im w tym przeszkodzić.

Ja – nieświadom, że esbecja właśnie rozpoczęła łapankę – wieczorem pojechałem na Żoliborz, rozliczyć się z Ewą i wziąć kolejną porcję bibuły.

Na Stołecznej Ewa powitała mnie karteczką z napisem „nic nie mów”.

I zapytała, czy się napiję kawy, czy herbaty. Nie pamiętam, co odpowiedziałem.

Ale to nie miało znaczenia. Ewa wskazała stertę bibuły na podłodze i napisała „trzeba to uratować”. Palcem wskazałem w dół, mając na myśli mieszkanie Kreta. Ewa pokręciła głową. Zrozumiałem, że nie jest to dobre rozwiązanie.

Z pomocą Joasi, córki Ewy, udało nam się upchnąć towar do olbrzymiej walizy, takiej wielkopańskiej, przedwojennej. Nie było łatwo, ale się udało. Potem Ewa przez okno wskazała dom. Na kartce były piętro i numer mieszkania – „to bezpieczny lokal, zanieś tam książki”.

Bąłem się bardzo, ale jeszcze bardziej się bąłem przyznać do tego. Dźwignąłem więc walizę i ruszyłem. Tak rozpoczęło się moje zwiedzanie WSM Żoliborz.

Pierwszy lokal okazał się niewypałem – nikt nie otworzył. Ewa podała mi kolejne adresy.

Zaczęły się nocne wędrówki po zaśnieżonym i mroźnym Żoliborzu.

Trzy razy odbiłem się od zamkniętych drzwi, a nie były to mieszkania na parterze bądź pierwszym piętrze. Trochę pobiegałem z tą cholerną walizą po schodach... Mój poziom bohaterstwa osiągnął stan krytycznie niski, nie mówiąc już o wydolności fizycznej.

Gdy kolejny raz, złany potem, wdrapałem się do Ewy, stwierdziliśmy, że nie ma czego szukać na Żoliborzu. Zasugerowałem, że zabiorę książki do siebie. Na co Ewa odpisała: „postój taxi na rogu Stołecznej i Krasińskiego, obok kawiarni Różanka”.

W otoczeniu okolicznych pijaczków sterczałem tam chyba z godzinę – cały czas w strachu, że waliza ściągnie na mnie uwagę milicyjnych patroli. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Ja i waliza wylądowaliśmy bezpiecznie u mnie na Kredytowej.





Przypadek Piotra Franielczyka...

Rocznik 1957, z wykształcenia technik mechanik, specjalność obróbka skrawaniem w działalność opozycyjną zaangażował się w roku 1979, po tym jak do jego rąk trafił „Biuletyn Dolnośląski”, jedno z pierwszych i najdłużej ukazujących się we Wrocławiu pism bezdebitowych (1979-1990). Na jego łamach publikowano nazwiska i adresy rzeczników Klubu Samoobrony Społecznej, który sygnował pierwszych dziesięć numerów pisma. Piotr Franielczyk skontaktował się z jednym z nich, z Piotrem Starzyńskim, który spośród wszystkich tych osób mieszkał najbliżej. Był w przeszłości hipisem. Można go było z daleka poznać, ponieważ idąc powtórzył nogami, co było wynikiem jakiejś choroby. Obydwaj szybko znaleźli wspólny język. Spotykali się najczęściej na zebraniach wrocławskiej opozycji. Odbływały się one między innymi w mieszkaniach Danuty Stołeckiej lub Barbary Labudy. Podczas kolejnego z nich, do drugiego z tych lokali wtargnęli oficerowie Służby Bezpieczeństwa w towarzystwie funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej, którzy wszystkich uczestników wylegitymowali oraz spisali ich dane personalne.

Po tym wydarzeniu – w lutym lub marcu 1981 roku – do drzwi pokoju w hotelu robotniczym, w którym Piotr Franielczyk mieszkał z żoną Aliną w jednym pokoju z kuchnią, zapukał oficer SB Józef Zubek. Łatwo było zapamiętać – kojarzyło się ze słowem ubek. Jak się później okazało w tamtym czasie pracował w wydziale III A („ochrona” gospodarki narodowej) wrocławskiej SB. Zasłynął z tego, że podczas strajków w Sierpniu '80 miast wykonywać swoje obowiązki służbowe, zajął się pracami budowlanymi na swojej działce i zatrudnił tam nielegalnie pracowników z Dolmelu (Dolnośląskie Zakłady Wytwórcze Maszyn Elektrycznych), który nadzorował. Mówił on ściszym głosem, przedstawił się z imienia i nazwiska. Powiedział, że jest funkcjonariuszem SB i podobnie jak on pracuje w Dolmelu i zajmuje się bezpieczeństwem. Twierdził, że w przedsiębiorstwie mają miejsce akty sabotażu i w związku z tym zaproponował Piotrowi Franielczykowi, żeby się z nim spotykał i informował go o tym. W odpowiedzi usłyszał, że jego rozmówca otrzymał wezwanie do Wojskowej Komendy Uzupelnień i prawdopodobnie wkrótce zacznie odbywać służbę wojskową, przez co realizacja przedstawionej propozycji jest nierealna. Wówczas Józef Zubek poprosił o wspomniane wezwanie, spisał je. Zapytał też, czy jeśli wezwania do wojska po wizycie w WKU nie będzie, Piotr Franielczyk spotka się z nim. Po uzyskaniu pozytywnej odpowiedzi, podał dzień – było to kilka dnia po dacie wezwania do wojskowej komisji – o godzinie dwunastej w pokoju kierownika kina „Warszawa”, mieszczącego się w centrum Wrocławia. W razie jakichś okoliczności, które uniemożliwiłyby dotrzymanie tego terminu, następne spotkanie miało się odbyć o tej samej porze, w tym samym miejscu następnego dnia.

Piotr Franielczyk uzyskał odroczenie służby wojskowej, ale na umówione spotkanie się nie stawił. Dlatego niedługo po tym Józef Zubek ponownie zapukał do jego drzwi.





Powiedział mi – jak wspomina Franielczyk – zapomniał pan że myśmy się umawiali. Odpowiedziałem mu grzecznie, że się z mężczyznami nie umawiam. Zapytał wówczas, jak będzie z naszą współpracą? Odpowiedziałem, że współpracy nie będzie. Zdenerwował się wtedy i zaprowadził mnie do pokoju kierownika hotelu, którego grzecznie wyprosił. Ubekowi towarzyszyło dwóch milicjantów, którzy w końcu też wyszli. Później przyszedł drugi ubek. Jeden mnie zastraszał, drugi „głaskał”. Wyrzucą mnie z pracy, z hotelu, mój ojciec straci pracę i mieszkanie. To samo miało spotkać moją żonę. Dla człowieka, który nie miał nigdy kontaktu ze Służbą Bezpieczeństwa groźby te były dosyć realne. Zastraszyli mnie skutecznie, zachowałem się jak gówniarz, nie miałem pojęcia jak się z SB rozmawia. No i pękłem. Miałem podpisać papier, że nikomu nie powiem o czym rozmawiałem z pracownikami Służby Bezpieczeństwa. Miałem też napisać coś o opozycji. Mimo wszystko opierałem się. Kazali mi wtedy, bym napisał, że „Biuletyn Dolnośląski” ma 1500 egzemplarzy nakładu i że Kornel Morawiecki jest szefem tego pisma. Nie znałem go wtedy. Miałem też podpisać się pseudonimem, który mam wymyślić. Powiedziałem, że nie mam pomysłu, jaki on ma być. Wtedy oni powiedzieli, że będzie to Roman, dlaczego taki? Nie wiem. Niestety podpisałem zobowiązanie do współpracy. Miało ono wielkość kartki z zeszytu, nie pamiętam już jak brzmiała ta formuła o współpracy i zachowaniu w tajemnicy. Wszystko razem zajęło niecałą kartkę. Prosta informacja o Kornelu Morawieckim i „Biuletynie Dolnośląskim” i pseudonim. Miałem to podpisać własnym nazwiskiem i zrobiłem to. Wypuścili mnie i powiedzieli mi, że się do mnie zgłoszą. Nie powiedzieli, kiedy i jak.

Po tym wszystkim pojechałem po moją żonę Alinę do domu towarowego „Feniks”, w którym pracowała i w drodze powrotnej opowiedziałem jej całą historię. Co teraz robić? Idę do Piotra Starzyńskiego, to wspólnie ustaliliśmy. Nic, co robiłem w opozycji nie działało się bez wiedzy i zgody mojej żony. Zdawałem sobie sprawę, że konsekwencje związane z moją działalnością będziemy ponosić wspólnie. Piotr jak mu powiedziałem co się stało, odpowiedział mi, że bym się nie martwił. Wszystko w porządku, najważniejsze jest to, że powiedziałeś, sprawa jest zamknięta. Przeprosił mnie i powiedział mi, że pierwszą rzeczą jaką powinien ze mną omówić, było co robić jak znajdziesz się na ubecji. My mamy z nim doświadczenie, ty nie masz i dałeś się wciągnąć. Musimy to opowiedzieć wszystkim naszym kolegom, żeby wiedzieli. To jest obrona, powiedziałeś o tym wszystkim, to nie jest już tajemnica. Dla SB jesteś już spalony. Powiesz to w grupie jak się spotkamy, je też będę mówił, że przyszedłeś do mnie tego samego dnia i powiedziałeś mi o wszystkim.

Drugim razem ubek też przyszedł do mnie do hotelu. Wiedział, że w tym dniu mam na drugą zmianę. Chciał ze mną porozmawiać, więc mu odmówiłem. Wiem co zrobiłem i powiedziałem o tym kolegom, możecie robić, co chcecie. Na żadną współpracę się nie zgadzam. Zacząłem postępować tak, jak napisano w kilkunastostronicowej broszurze „Obywatel a SB”, wydanego anonimowo poradniku autorstwa Jana Olszewskiego dla działaczy opozycji.





Wyprosiłem esbeka z pokoju i on w spokojnie wyszedł i czekał na mnie pod drzwiami. Wtedy zobaczyłem, że to co było napisane w broszurce jest prawdą. Ich władza jest jednak ograniczona. Ubrałem się, zamknąłem na klucz pokój i poszedłem z nim. Nie wiem czy pokazał mi wezwanie. Nie zwracałem wtedy na to uwagi. Jedyna rzecz, która mnie interesowała to to, żeby nie dać się wciągnąć w absolutnie jakąkolwiek rozmowę. Jedyne rzeczy jakie mogę powiedzieć to nazwisko, adres zamieszkania oraz zdanie: odmawiam odpowiedzi na to pytanie. Pod hotelem stał samochód w nim dwóch lub trzech esbeków, którym zawieźli mnie na komendę. Zaprowadzili mnie do jakiegoś pokoju, w którym było dwóch esbeków, tych co na początku. Jeden straszył, drugi próbował głaskać. Jedyne pytanie jakie zadałem dotyczyło tego, czy mogę zapalić. Zgodzili się, więc paliłem papieros za papierosem. Słuchałem i niewiele się odzywałem. Ręce mi się bardzo trzęsły, byłem bardzo zdenerwowany. Trwało to chyba ze 3-4 godziny. Słyszałem różne dziwne rzeczy, których by człowiek nie wymyślił. Zostaną pobity, stracę pracę, żona zostanie zgwałcona. Wszyscy moi znajomi zostaną wykończeni. Raz mnie złamali, to uważali, że drugi im się to uda. Po jakichś dwóch, może trzech godzinach jeden z nich powiedział do drugiego: słuchaj, nie pieprzmy się z facetem, niech on tu nic nie opowiada, daj mu kartkę i długopis i niech to wszystko napisze. Nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem Ten drugi powiedział: no widzisz, że go już przeszkolili, weź go wypuść, niech idzie do roboty, bo tak to będziemy mu musieli. Wypisać zwolnienie z pracy na dzisiaj.

Niedługo po tym z Gdańska przyjechał do mnie szwagier, mąż siostry mojej żony. Pracował w SB i próbował mnie wypytywać, ja mu odpowiedziałem, odmawiam odpowiedzi. Bardzo się zdenerwował. Powiedział też wtedy, a to było jeszcze przed Sierpniem 80': stworzymy oboziki, namiociki i będziecie wszyscy chodzić pod prądem, jak wam będziemy kazali. Tak poza tym był bardzo sympatyczną osobą, przenocował u nas i się pożegnaliśmy.

25 marca 1980 roku został aresztowany Mirosław Chojecki szef Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Działacze opozycji zorganizowali szereg akcji protestacyjnych mających na celu uwolnienie go oraz aresztowanego wraz z nim Bogdana Grzesiaka. Jedna z nich miała miejsce w nocy z 22 na 23 kwietnia 1980 roku we Wrocławiu. Jej uczestnicy w dwuosobowych zespołach malowali na murach miasta hasła, domagające się uwolnienia dwóch wyżej wymienionych oraz innych osób więzionych z powodów politycznych. Wziął w niej udział między innymi Piotr Franielczyk w parze z Jerzym Filakiem. Niestety, obydwu podczas malowania sprayem hasła na budynku przy ulicy Ostrowskiego 18/2a, zauważył patrol milicji i zatrzymał po dłuższym pościgu. Uwięzieni osobno, zostali pojedynczo uwolnieni po kilkunastu godzinach. Do prokuratury został skierowany wniosek o wszczęcie sprawy sądowej. Ta jednak umorzyła postępowanie wobec większości zarzutów, zaś rozpatrzenie jednego z nich zostało powierzony kolegium ds. wykroczeń, które nie ukarało obydwu opozycjonistów grzywną z powodu przedawnienia.





Po tym wydarzeniu, 30 kwietnia 1980 roku, Piotr Franielczyk został dyscyplinarnie zwolniony z pracy: na podstawie art. 52 § 1 pkt 1 w związku z dokonaniem nadużyć w zakresie korzystania ze świadczeń z ubezpieczenia społecznego. (...) Będąc na zwolnieniu lekarskim w okresie od 21.04.1980 do 25.04.1980 r. z zaleceniem „leżeć” został zatrzymany przez organa Milicji Obywatelskiej w dniach od 22.04.1980 r. do 23.04.1980 r. pod zarzutem niszczenia cudzego mienia na terenie miasta co oznacza, że nie leżał lecz chodził po mieście.

W opinii o nim wydanej po zwolnieniu przez dyrekcję Dolmelu można było przeczytać: z obowiązków służbowych wywiązywał się dobrze. Wykonywał polecenia przełożonych, dbał o dobry stan maszyn i narzędzi. W okresie zatrudnienia nie notowano przypadków naruszania przez w/wym. Dyscypliny pracy w przedsiębiorstwie.

Po utracie pracy małżeństwo Franielczyków musiało opuścić hotel robotniczy. Po tym, jak zaczęto im naliczać czynsz według stawek dla osób nie mających zatrudnienia w Dolmelu, opłata za pokój wzrosła dziesięciokrotnie.

Wówczas Piotrowi Franielczykowi – którego objął „wilczy bilet” – zaproponowano drukowanie „Biuletynu Dolnośląskiego”, za co otrzymywał wynagrodzenie i z tego utrzymywał się przez ponad rok. Drukowanie jednego numeru odbywało się raz w miesiącu i trwało tydzień lub półtora. Sprawnie organizował to Kornel Morawiecki, który był szefem „Biuletynu”. Informował on drukarzy dzień lub dwa dni przed powielaniem, gdzie będzie miało to miejsce. Osoby te, nim tam dotarły, miały obowiązek sprawdzić, czy nie mają „ogona”, to znaczy, czy nie są śledzone przez władze. Powszechnie się wówczas obawiano podsłuchów, takie informacje przekazywano pisząc na kartce, którą po przeczytaniu niszczone.

Jak wspomina Piotr Franielczyk, tylko raz nie był w stanie uwolnić się od ogona. To przez kogoś przesłałem Kornelowi informację o tej sytuacji i że jestem u ojca. Umówiłem się, że przejdę dachami przez kilka kamienic i będę czekał w pewnym miejscu. Tam bezpośrednio z klatki schodowej wszedłem do samochodu, który na mnie czekał.

Drukowało się najczęściej w mieszkaniach, rzadziej w willach. Robiliśmy to na ramach i w nowym budownictwie sąsiedzi słyszeli, że coś się dzieje przez całą dobę. One skrzypiały, piszczały, wałek też wydawał dźwięki: wum, wum. Okna pozastłaniały kocami, żeby w nocy nie było widać światła. Pomieszczenia, w których się drukowało, były często małe, co było męczące. Pracowało się w zespołach czteroosobowych na okrągło, na dwie zmiany po 12 godzin. Gdy drukowały trzy, to zmiany trwały 18 godzin. Dwóch pracowało, dwóch spało. Wstawało się, robiło śniadanie lub kolację. Zazwyczaj byliśmy sami w mieszkaniu, ale zdarzały się sytuacje, kiedy drukowaliśmy w obecności gospodarzy danego lokalu. (...) Najczęściej drukowałem z Antkiem Roszakiem. Czasem z Krzyśkiem Gulbinowiczem, Piotrkim Starzyńskim lub Wieśkiem Moszczakiem, raz z jego żoną Joanną. Poznałem też na drukowaniu Kazika Suszyńskiego, który nie był związany z Klubem Samoobrony Społecznej, tylko z Kornelem. Dru-





kowałem też w mieszkaniu Romka Lazarowicza. (...) Dostawaliśmy 5 lub 10 groszy za stronę, nie pamiętam dokładnie. Spokojnie dało się z tych pieniędzy wyżyć. To była praca na akord w ciężkich warunkach, przy zamkniętych szczelnie drzwiach i oknach. Nakopcone było tak, że nie było nic widać. Trudna do zmycia farba drukarska. Prawie nigdy nie zajmowaliśmy się organizacją druku. Matryce z naniesionym tekstem przywoziły różne osoby w trakcie drukowania.

Bardzo barwną postacią był Antoni Roszak. Jedyne problem jaki z nim był, to niepunktualność, która mogła wynosić kilka godzin lub jeden dzień. Był za to bardzo dokładny w pracy i najlepiej mi się z nim drukowało. Kiedyś drukowaliśmy u jednego z trzech braci Marka Jakubca. Antek przyszedł dzień później, trochę zachwiany, czuć było od niego alkohol. Powiedział nam, że udało mu się kupić w sklepie flaszkę przed godziną 13:00, co było wyczynem. Istniał wtedy zakaz sprzedaży alkoholu przed tą godziną. Antek podczas drukowania opowiadał różne historie, jakie mu się przydarzyły w jego bogatym w zdarzenia życiu. Pił kiedyś w Warszawie, gdzie trafił do jakiegoś mieszkania pijany maksymalnie, w którym wszedł do łazienki, zobaczył świnię w wannie i natychmiast wytrzeźwiał. Wrócił do towarzystwa i nie chciał już pić, bo zobaczył świnię w wannie. Gdyby ujrzał mysz, to by się nie przejmował, ale świnię. Gospodarz mu wtedy powiedział, że rzeczywiście trzyma w łazience to zwierzę. Wtedy mu ulżyło i znowu zaczął pić. Pisał też wiersze i wydrukowaliśmy chyba dwa jego tomiki.

Obok drukowania Piotr Franielczyk zaczął się w tym czasie zajmować kolportażem druków bezdebitowych, były to przede wszystkim książki Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Zaangażował go w to Kazimierz Suszyński.

Jeździliśmy po nie do Warszawy i wracaliśmy z niej, dźwigając dwa olbrzymie plecaki z kominem wypełnione bibułą. Od każdej sprzedanej książki kolporter dostawał do dyspozycji 30% z kwoty, którą uzyskał ze sprzedaży. Część z tych pieniędzy mogli otrzymać końcowi pośrednicy, ponieważ kolporter końcowy był obciążony groźbą wpadki. W przypadku konfiskaty przez ubecję kolporter nie musiał zwracać pieniędzy, które mógł uzyskać ze sprzedaży utraconych książek. Kazik był bardzo dobrym konspiratorem i umiejętnie maskował naszą działalność, tak że nie mieliśmy żadnej wpadki. Udało nam się też zaoszczędzić na tyle dużą kwotę, że chyba jako jedyni płaciliśmy za książki przy odbiorze. Otrzymywaliśmy adres, to była zazwyczaj jakaś piwnica, do której dostawaliśmy klucz lub miejsce, gdzie ktoś na nas czekał i prowadził nas tam, gdzie książki były przechowywane. My oddawaliśmy bibułę w komis kolporterom we Wrocławiu. Z ostrożności niczego nie zapisywaliśmy na papierze, mimo tego, że byliśmy hurtownikami. Po powstaniu „Solidarności” oficjalnie ogłosiliśmy, że jestem kolporterem książek z Warszawy, co nie było prawdą. Zajmował się tym Kazik. To był taki sposób maskowania.

Jeszcze przed powstaniem „Solidarności” Piotra Franielczyka zaczęła wspierać – w bardzo niekonwencjonalny sposób – Barbara Wilczyńska. Była ona bardzo bli-





ską przyjaciółką matki naszego bohatera. Mieszkały w dzieciństwie w klatce obok siebie przy ulicy Wandy we Wrocławiu. Chodziły do jednej szkoły, razem też odrabiały lekcje. Rodziny przez nie założone mieszkały niedaleko siebie, były bardzo żyte; ich synowie przyjaźnią się do dziś. Niedługo po tym jak Piotr zaangażował się w działalność opozycyjną, przyjaciółka jego matki spotkała się z nim. Franielczykowie wiedzieli, że pracowała od 1957 roku jako referent w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu. Bardzo rzadko rozmawiali na temat jej spraw zawodowych, gdzie zajmowała się poszukiwaniem osób zaginionych, identyfikacją zwłok nierozpoznanych osób oraz prowadzeniem kartotek informacyjno-rozpoznawczych. Chciała zrezygnować z tej bardzo obciążającej pracy. Wówczas w roku 1972 przeniesiono ją – o czym Franielczykowie już nie wiedzieli – na stanowisko inspektora do Wydziału III Służby Bezpieczeństwa. Osiem lat później pracowała w Sekcji Analitycznej Wydziału III-1 SB, z którego także wywodzili się funkcjonariusze „zajmujący” się Piotrem.

Piotr Franielczyk wspomina: skontaktowała się ze mną Barbara Wilczyńska za pośrednictwem mego ojca, który często spotykał się z mężem Baśki podczas wspólnych spacerów z psami. (...) Do naszego spotkania doszło w okolicy ul. Kruczej. Baśka była z mężem Jurkiem oraz psem. Ja, zanim dołączyłem do nich, zrobiłem kilka kółek, żeby sprawdzić czy nie mam „ogona”. Powiedziała mi wtedy, że jest bardzo dumna z tego co robię. Wiedziała, że podpisałem zobowiązanie i że się z tego wycofałem. Widziała papiery o tym mówiące. Stwierdziła też, że muszę się przygotować na ciężkie życie, bo mimo tego, że byłem niedawno zarejestrowany, to na mój temat są obszerne akta. Byłem pierwszym robotnikiem, który bardzo zaangażował się w opozycję we Wrocławiu – pracowałem jako tokarz karuzelowy, bo na tym stanowisku zarabiałem więcej niż technik. Przeszliśmy też wtedy na ty. Nie powiedziała mi nigdy, że pracuje w SB. Ja wiedziałem tylko, że ma coś wspólnego z milicją. Dla mnie esbecja i milicja, to było prawie to samo i byłem przekonany, że wszyscy wszystko wiedzą. Tak było wygodniej, bo gdyby człowiek myślał, że oni nie o wszystkim wiedzą, to nie byłby tak ostrożny. Obiecała wówczas, że będzie mi przekazywać wiadomości na mój temat, do jakich będzie miała dostęp.

W drugiej połowie lipca 1980 roku miały miejsce strajki w Zagłębiu Miedziowym. Protestowano między innymi w Lubinie, do którego, celem wsparcia strajkujących, udał się Piotr Franielczyk z Piotrem Starzyńskim. Nim dojechali protest się zakończył. Jak wspomina pierwszy z nich: chcieliśmy pomóc, a przede wszystkim pokazać, jak się z ubecją rozmawia, bo mało kto wtedy to wiedział. Że można się postawić.

Jak wybuchły strajki we Wrocławiu, to poszedłem z żoną do zajezdni na Ślężnej, coś im tam przynieśliśmy. Szybko się okazało, że już ktoś im pomaga, więc poszliśmy do zajezdni przy Grabiszyskiej. Ja zostałem w środku, żona poszła do domu. Ktoś musiał działać na zewnątrz. Okazało się, że w zajezdni jest już jakiś drukarz, ale nie dawał sobie za bardzo rady. Wtedy pobitem rekord, bo z jednej matrycy białkowej





wydrukowałem na ramce 11 tysięcy egzemplarzy. Co prawda dwóch linijek nie dało się już odczytać, ale reszta była czytelna. To były ulotki. Po dwóch lub trzech dniach kilka osób z zajezdni jechało do Dolmelu, który się dołączył do strajku. Zabrałem się z nimi. Gdy wracaliśmy, zatrzymała na esbecja. Wtedy siedziałem trochę dłużej niż 48 godzin. Wypuścili nas dzień po podpisaniu porozumień w Gdańsku. Po uwolnieniu wyjechałem z żoną na 10 dni do jej rodzinnego Giżycka.

Po powrocie udałem się do siedziby „Solidarności” na pl. Czerwonym. Przy czym nie szedłem tam w poszukiwaniu pracy, bo dalej byłem w niezależnym drukowaniu i dochód miałem zapewniony. Chciałem pomóc. Tam byli moi znajomi z opozycji i zespół drukarski był już stworzony. Jak się okazało, że potrafię zdobywać papier, to Kornel Morawiecki zasugerował, bym zaczął starać się o oficjalną pracę w zarządzie regionu „Solidarności”. Przez pewien czas nie dostawałem pieniędzy, po czym zatrudniono mnie na stanowisku starszego referenta do spraw zaopatrzenia bez własnego biurka. (...) Zajmowałem się tam przede wszystkim organizowaniem – deficytowego wówczas – papieru. Udało mi się zdobywać prawie każdą jego ilość. Wcześniej miałem już ułatwiające jego kupno kontakty, które pracując w „Solidarności” poszerzyłem. Duże partie udawało mi się kupić w sklepie papierniczym przy ul. Nowotki (dziś Krupnicza). Jak się później okazało pochodził on z rezerw wojskowych, z których korzystało bardzo wiele instytucji. Magazyny papieru były też na Braniborskiej, niedaleko pl. Strzegomskiego. Nabywałem go w różnych miejscach w Polsce i zawsze mówiłem, że jest on przeznaczony dla „Solidarności”. Nigdy mi nie odmówiono sprzedaży. Kupowałem też papier dla Kornela Morawieckiego oraz Mirka Chojeckiego i wtedy mówiłem, że to dla opozycji na nielegalne książki. Nie ukrywałem tego, wiedziałem już z doświadczenia, że jak mnie zamkną, to tylko na 48 godzin i co najwyżej mnie pobiją. Nic więcej. Szedłem na całość, papieru brakowało, więc nie owijałem w bawełnę i brałem ile się dało. Woziliem ze sobą książki z drugiego obiegu i dawałem je osobom, które decydowały o tym, komu należy sprzedać papier. Kiedyś pojechałem dużą ciężarówką na Górny Śląsk, gdzie miały czekać na nas bele papieru. Po przyjeździe okazało się, że ich nie było. Ale podano mi adres, gdzie może być. Trafiliśmy do jakichś baraków ma obrzeżach miasta, gdzie zapytałem: czy gdzieś tu jest papier? Człowiek odpowiedział mi, że tutaj. Gdzie? Tu wszędzie. Oniemiałem. Załadowaliśmy prawie całą ciężarówkę. (...) Główna kadrowa – która okazała się być agentką SB – wypytywała mnie, gdzie kupuję papier. Zbywałem ją. Innych też nie informowałem w jaki sposób pracuję. Wychodziłem z założenia, że im mniej się wie i mówi, tym lepiej. Stara zasada z konspiracji. Płaciłem różnymi pieniędzmi, część pochodziła ze składek członków „Solidarności” różnych zakładów, a nie tylko z zarządu regionu. Kiedyś kupiłem papier maszynowy trzeciej klasy. Był zbyt śliski i „Solidarność” go nie chciała, Kornel też, więc zadzwoniłem do Mirka Chojeckiego. Przyjechał tego samego dnia jakimś busem i zabrał ponad 100 ryz papieru z mojego dwudziestoczworometrowego mieszkania.





Zachował się „Wykaz osób przewidzianych do I tury akcji „Wrzos”, czyli wprowadzenia stanu wojennego (kryptonim ten później zmieniono na „Jodła”), przygotowany przed 19 września 1981 roku. Jego autorem był major Wacław Wojtyniak, który był jednym z członków utworzonej rok wcześniej, 1 września, grupy operacyjno-śledczej „Poligon”. Jej zadaniem było rozpracowywanie NSZZ „Solidarność”. Wymienione w tym dokumencie osoby miały być aresztowane, a następnie internowane od 13 grudnia 1981 roku. Nazwisko Piotra Franielczyka było jednym z dwudziestu siedmiu wymienionych na tej liście.

Franielczyk zdołał jednak uniknąć aresztowania w pierwszym dniu stanu wojennego ponieważ mieszkał nie tam gdzie był zameldowany, czyli u swojego ojca. Ten zaś powiadomił syna, że późnym wieczorem poprzedniego dnia byli u niego uzbrojeni funkcjonariusze MO i SB z zamiarem aresztowania go i zostawili wezwanie na komendę milicji. Podobna wizyta miała też miejsce w kilkanaście dni później, w Sylwestra.

W zaistniałej sytuacji jego syn skontaktował się z Barbarą Wilczyńską, która od tej pory zaczęła mu przekazywać informacje na temat osób, które SB planowała aresztować, podając nazwisko i adres, pod jakim miano szukać danej osoby. Ujawniła też, że pracuje w SB i nie jest funkcjonariuszem operacyjnym, ale pracownikiem biurowym.

Jak wspomina Piotr Franielczyk ustaliliśmy, że przekazywanie informacji będzie się odbywać w ten sposób, że Jurek, mąż Baški będzie spotykał się z moim ojcem podczas wspólnych spacerów z psami i to, co on mu przekaże od niej, powie mi. Stale od tego momentu prześladowała mnie obawa, że w SB zorientują się, co Baška robi i srogo ją ukarzą, a być może nawet zabiją.

Wśród przekazywanych danych były także nazwiska niektórych tajnych współpracowników. Za zgodą Barbary Wilczyńskiej starał się on je przekazywać tym osobom, których dotyczyły. Z większością z nich nie mógł się kontaktować bezpośrednio, a zwłaszcza ujawniać, skąd i od kogo pochodzą przekazywane dane. Wiedzę o tym, że Piotr Franielczyk otrzymuje informacje od funkcjonariusza SB, posiadało zaledwie kilka osób. Byli to Jerzy Filak, Jerzy Otfin, Zbigniew Oziewicz, Piotr Starzyński, Kazimierz Suszyński oraz Ryszard Wojtasik. Wszyscy byli bardzo aktywnymi działaczami opozycji antykomunistycznej, którzy wybrane wiadomości od tajemniczego kapitana lub majora MO – tak mówił o Barbarze Wilczyńskiej Piotr Franielczyk – przekazywali zaufanym opozycjonistom. Spośród wyżej wymienionych tylko jedna osoba wiedziała, kto się kryje za anonimowym informatorem. Wtajemniczona była jeszcze tylko żona Piotra, Alina Franielczyk.

Brak bliższych danych o źródle przekazywanych informacji był przyczyną sceptycznej ich oceny przez część osób, do których one trafiały. Dotyczyło to między innymi kręgu znajomych tajnego współpracownika „Sylwia”, bardzo „zasłużonego” w zwalczaniu opozycji, zwłaszcza przed Sierpniem '80.

Barbara Wilczyńska, która zmarła 25 stycznia 2002 roku, była bardzo oszczędna w dzieleniu się szczegółami na temat wykonywanej przez nią pracy. Dotyczyło to także





najbliższych członków rodziny, którzy wiedzieli, że jest funkcjonariuszem Służby Bezpieczeństwa pracującym za biurkiem. Dlatego po latach nie potrafili powiedzieć, w jakim wydziale pracowała i jakie stanowisko zajmowała. Według relacji jej męża przeżyła wstrząs, gdy dowiedziała się 12 grudnia 1981 roku, że nazajutrz będzie wprowadzony stan wojenny. Tego dnia – była to sobota – ściągano pracowników Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w stolicy Dolnego Śląska do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej we Wrocławiu. Tworzono z nich kilkusobowe grupy, których zadaniem było wyłapywanie, a następnie przewożenie do aresztów osób, które miały być internowane. Barbara Wilczyńska, by tego uniknąć, zamknęła się w toalecie na kilka godzin. Nie spotkały ją za to żadne represje. Podobnie – według relacji chcących zachować anonimowość funkcjonariuszy SB – zachował się zastępca naczelnika jednego z wydziałów wrocławskiej Służby Bezpieczeństwa. Kilkanaście godzin spędził zamknięty w swym gabinecie i także on podobno nie poniósł w związku z tym żadnych konsekwencji.

Po latach w końcu udało się odnaleźć w zasobach Instytutu Pamięci Narodowej teczkę personalną Barbary Wilczyńskiej, która dwukrotnie zmieniała nazwisko (z domu Bosak, po pierwszym mężu Rainczak). Dzięki temu stało się jasne, gdzie pracowała, jak długo i jakie stanowiska zajmowała. Będąc inspektorem, a później starszym inspektorem w sekcji analitycznej, zajmowała się przede wszystkim sprawozdawczością i opracowywaniem wiadomości oraz analiz. Nie brała udziału w działaniach wymierzonych bezpośrednio w opozycję, ale funkcjonariuszom, którzy się tym zajmowali, pomagała pisać między innymi sprawozdania i plany pracy. Dzięki temu – było to, wbrew zasadom pracy operacyjnej, złamaniem tajemnicy służbowej – dobrze orientowała się w bieżących przedsięwzięciach prowadzonych przez Wydział III wrocławskiej SB.

Dnia 15 września 1982 roku Barbara Wilczyńska złożyła raport z prośbą o skierowanie na komisję lekarską, celem określenia jej stanu zdrowia w związku z nasilającymi się dolegliwościami oraz ograniczeniami sprawności fizycznej i przemęczeniem. Z datą 18 lipca następnego roku wystawiono jej zaświadczenie o trwałej niezdolności do służby w MO. Ostatniego dnia następnego miesiąca przeszła na emeryturę. Można przypuszczać, na podstawie akt, że prawdopodobnie nikt z funkcjonariuszy SB nie zorientował się, że Barbara Wilczyńska udzielając wsparcia Piotrowi Franielczykowi oraz jego współtowarzyszom z opozycji. Wszystkie opinie wydanie o niej, które znajdują się w teście personalnej, są pozytywne.

Piotr Franielczyk, ukrywając się w pierwszych dniach stanu wojennego, brał udział w drukowaniu podziemnych ulotek i serwisów informacyjnych, między innymi z Pawłem Falickim, który tak to wspominał: byłem w jednej z pierwszych grup redakcyjno-drukarских (z Piotrem Franielczykiem, Arkadiuszem Dobrowolskim, Jerzym Otfinem i Kazimierzem Suszyńskim) – 17 grudnia 1981 roku wypuściliśmy jakieś ulotki z nieporadnie zebranymi informacjami o internowaniach i aresztowaniach. Druku na ramce w czymś mieszkaniu na Nowym Dworze uczył nas Piotr Franielczyk.





Zorganizował on także punkt kolportażowy w wynajmowanym mieszkaniu przy ul. Glinianej 27/2, w którym mieszkał od 1980 roku. Instruował też pojedyncze osoby jak należy organizować druk i zachowywać podstawowe zasady konspiracji. Po bibułę zgłaszało się też do niego wiele osób, wcześniej mu nieznanymi osobami, przysyłanych przez współpracujących z nim opozycjonistów. Jedną z nich była Teresa Kluźniak.

W tym wynajmowanym mieszkaniu został aresztowany 28 lutego 1982 roku, w dzień urodzin jego żony. Doszło do tego późnym wieczorem, w czasie trwania godziny policyjnej. Zatrzymania dokonało dwóch funkcjonariuszy SB i czterech milicjantów, z których jeden uzbrojony był w broń długą. Piotr Franielczyk zdołał tylko odsłonić zasłonę okna wychodzącego na podwórze, co było znakiem, że mają go nie odwiedzać. Podczas wykonywania tej czynności zauważył stojących pod oknem milicjantów, którzy mieli zapobiec jego ucieczce, gdyby spróbował wyskoczyć przez okno. Mieszkanie mieściło się na parterze. Zostało bardzo dokładnie przeszukane. Wykonujący tę czynność bardzo się zirytowali, gdy znaleźli prasę datowana na następny dzień. Ukradli też około siedemnastu tysięcy zł, pochodzących ze sprzedaży książek bezdebitowych. Aresztowanemu skuto kajdankami ręce i posadzono na podłodze milicyjnej nysy, na ławkach po bokach siedli milicjanci z wycelowaną w niego bronią. Przez trzy dni przebywał w Komendzie Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej przy ulicy Podwale, gdzie w trakcie przesłuchań był bity. Po trzech dniach został wywieziony do Ośrodka Odosobnienia w Nysie, gdzie wręczono mu akt internowania z datą 2 marca 1982 roku.

Przebywając w więzieniu Piotr Franielczyk nadal otrzymywał informacje od Barbary Wilczyńskiej, które przekazywała mu ustnie żona podczas widzeń. Te zaś trafiały do zaufanych współwięźniów, wskazanych przez Kazimierza Suszyńskiego, którzy komunikowali się z osobami na wolności.

Podczas częstych przesłuchań kilka razy proponowano mu, by zadeklarował chęć wyjazdu z kraju na stałe, dzięki czemu mógłby uzyskać wolność. Po dwukrotnej odmowie zmienił zdanie. Być może między innymi po sugestii Barbary Wilczyńskiej, która doradzała przemyślenie tej kwestii. Mogła zaważyć nad tym informacja, że we wrocławskiej SB sytuacja jest napięta i prawdopodobnie – co nastąpiło na przełomie lat 1982/1983 – będzie miała miejsce czystka wśród podejrzanych funkcjonariuszy i że ona sama czuje się zagrożona.

W międzyczasie dnia 27 kwietnia 1982 roku Komisaryczny Zarządca Majątku Związków Zawodowych Województwa Wrocławskiego, w piśmie będącą odpowiedzią na list w sprawie wypłacenia poborów Piotra Franielczyka stwierdził, że nie zgłosił się on do pracy od dnia 14.XII. 1981 r. bez zawiadomienia o przyczynie nieobecności, a więc samowolnie uchylił się od wykonywania pracy. Powyższy fakt powoduje wygaśnięcie umowy o pracę na podstawie artykułu 65 § 1 Kodeksu Pracy – porzucenie pracy przez pracownika.

Piotr Franielczyk został zwolniony z Ośrodka Odosobnienia w Nysie 1 lipca 1982 roku i ostatniego dnia tego miesiąca, razem z żoną dotarł do Republiki Federalnej Nie-





miec. Mimo tego, po tym terminie był co najmniej dwukrotnie wzywany na Komendę MO Wrocław Krzyki, gdzie prawdopodobnie miał być przesłuchiwany.

Po zamieszkaniu w Kolonii Piotr Franielczyk zaangażował się w działalność funkcjonującej w tym mieście Grupy Roboczej „Solidarność”, kierowanej przez Jerzego Lisieckiego, która powstała pod koniec grudnia 1981 roku. Wspomagała ona działaczy „Solidarności” w kraju, organizowała pomoc humanitarną oraz akcję informacyjną o Polsce stanu wojennego. Jej najbardziej spektakularną akcją była głódówka przed ambasadą PRL w Bonn od 6 do 13 maja 1985 r. Jej celem było zmanifestowanie sprzeciwu wobec uwięzienia przywódców „Solidarności” i Konfederacji Polski Niepodległej oraz prześladowaniu Kościoła Katolickiego.

Piotr Franielczyk nawiązał też współpracę z Olgierdem Świdą, który wyemigrował do Niemiec Zachodnich przed Sierpniem '80, zaś po powstaniu „Solidarności” udzielał pomocy między innymi odwiedzającym RFN działaczom Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Był też w tym kraju przedstawicielem wydawanego w Paryżu w latach 1982–1990 miesięcznika „Kontakt”. Tak wspomina on Piotra Franielczyka: był bardzo bezpośredni, znał się na drukowaniu, przywiózł też od kogoś z Wrocławia dobre referencje. Drukował w podziemiu. To wszystko miało ręce i nogi. Lubiliśmy się, miał dobre pomysły, zaprzyjaźniliśmy się i ufaliśmy sobie. Piotr bardzo przestrzegał zasad konspiracji, masz wiedzieć tylko, co jest ci potrzebne. (...) Wpadł na pomysł, żeby do Polski zamiast wydawnictw wysyłać matryce, żeby z nich można było drukować książki w nakładach wynoszących kilkadziesiąt lub sto tysięcy egzemplarzy. Paczka matryc była mniejsza od tej samej ilości bibuły i łatwiej było ją przemycić do Polski.

Dzięki pośrednictwu Krzysztofa Hyli, pracującego dla emigracyjnego rosyjskiego pisma „Kontinent”, któremu pomagał Olgierd Świda, udało się uzyskać od Międzynarodówki Oporu – międzynarodowej organizacji antykomunistycznej działającej w latach 1983-1988 – środki na zakup repromaszyny firmy Ungehouer. Służyła ona do wykonywania kopii druków i ich nanoszenia na matryce offsetowe. Była warta około 5 tysięcy marek i stała w mieszkaniu Piotra Franielczyka, pośrodku największego pokoju. Przez kilka lat przygotowywał on na niej matryce książek wydawanych na emigracji, które były przemycane do Polski przez inne osoby. Kiedy się okazało, że wydawca miesięcznika „Kontakt” Mirosław Chojecki potrzebuje takiego urządzenia, za zgodą fundatorów zostało ono przekazane około roku 1985 do Paryża.

Piotr Franielczyk utrzymywał też kontakt z osobami, z którymi działał w opozycji antykomunistycznej we Wrocławiu. Docierała do niego korespondencja, w której między innymi proszono go o pomoc w zdobyciu urzędzeń, różnych elementów np. elektronicznych oraz materiałów wykorzystywanych w konspiracyjnej działalności.

Dnia 24 listopada 2020 r. Piotr Franielczyk zwrócił się do Prezesa Instytutu Pamięci Narodowej z wnioskiem o wydanie decyzji, że spełnia warunki określone w art. 4





ustawy z dnia 20 marca 2015 r. o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych, czyli, że:

– nie była pracownikiem, funkcjonariuszem lub żołnierzem organów bezpieczeństwa państwa

– lub co do której w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu nie zachowały się dokumenty wytworzone przez nią lub przy jej udziale, w ramach czynności wykonywanych przez nią w charakterze tajnego informatora lub pomocnika przy operacyjnym zdobywaniu informacji przez organy bezpieczeństwa państwa.

Decyzją nr 609/OP/2021 z 31 marca 2021 roku nr PPII-0264-23(8)/21 odmówiono mu tego, ponieważ znajdujące się w zasobach IPN dokumenty go dotyczące:

1. zapis na kserokopii dziennika rejestracyjnego po b. WUSW Wrocław, sygn.. IPN Wr 0149/4, z którego wynika, że wnioskodawca został zarejestrowany w dniu 17 marca 1980 r. do numeru 42076 przez Wydział III-A jako kontakt operacyjny. Zdjęty z ewidencji w dniu 4 września 1986 r.

2. Zapis na kserokopii Inwentarza akt działu II po b. WUSW we Wrocławiu sygn. IPN Wr 0029/10 dotyczące wnioskodawcy. Z powyższych zapisów wynika, że sprawa operacyjnego sprawdzenia „Szatniarz” została złożona w archiwum do numeru 101942 w dniu 18 września 1981 r. przez Wydział III-A KWMO Wrocław. SOS „Szatniarz” była prowadzona w okresie od 11 marca 1980 r. do 28 maja 1980 r. i dotyczyła kolportażu nielegalnych wydawnictw oraz działań antysocjalistycznych. Jak wynika z zapisów w ww. inwentarzu w SOS „Szatniarz” figurował Franielczyk Piotr s. Norberta, ur. 24 lutego 1957 r. rejestrowany do nr 420 jako kontakt operacyjny.

3. Informacja o osobie z komputerowego zbioru danych byłej Służby Bezpieczeństwa (ZSKO) z treści której wynika, że materiały archiwalne numer 101942/2 złożono w WUSW Wrocław, pion „C” wskazują, że Piotr Franielczyk podejmował działania w charakterze tajnego informatora lub pomocnika przy operacyjnym zdobywaniu informacji.

Jest to jednoznaczna ocena, czy sprawiedliwa? Poznając szczegółowo życiorys Piotra Franielczyka ma się co tego duże wątpliwości. Dlaczego na przykład został zdjęty z ewidencji w Wydziale III-A dopiero 4 września 1986 roku, skoro od 31 lipca 1982 roku przebywał w Niemczech i do Polski w tym czasie nie przyjeżdżał. Dla funkcjonariuszy SB wyżej wymienionego wydziału był więc niedostępny. Po co wzywano go na przesłuchanie, po tym jak opuścił Polskę, o czym w MSW wiedziano?

W piśmie tym możemy także przeczytać następujący akapit:

Wyjaśnić należy, że organ w postępowaniu prowadzonym na podstawie art. 5 ust. 1 i art. 4 ustawy o działaczach opozycji nie ocenia całej działalności wnioskodawcy, a jedynie bada czy w archiwum zachowały się dokumenty o określonych cechach. Prezes IPN w wydawanej decyzji nie rozstrzyga o współpracy wnioskodawcy z organami bezpieczeństwa państwa, a jedynie informuje o treści dokumentów znajdujących się



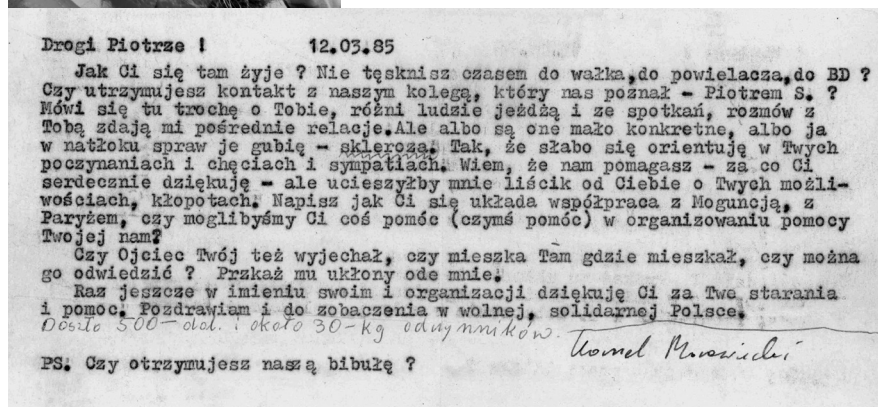
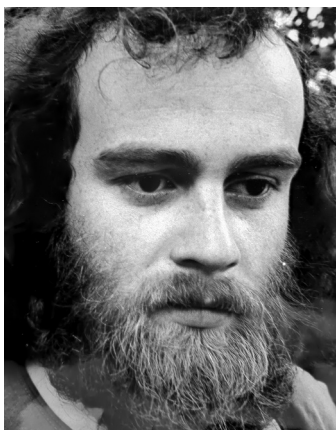


w archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, według kryteriów wymienionych w art. 4 ustawy o działaczach opozycji. Organ nie prowadzi też postępowania dowodowego w celu ustalenia faktów opisanych w dotyczących wnioskodawczyni dokumentach.

Czy nie należałoby zmienić praktyki lub przepisów tak, aby tego typu komplikowane i niejednoznaczne przypadki nie były oceniane z automatu, co prowadzi do podejmowania nieprawidłowych decyzji. Odmówienie osobie, która aktywnie sprzeciwiała się komunistycznemu reżimowi, statusu działacza opozycji antykomunistycznej, stygmatyzuje go jako donosiiciela/zdrajcę i może zepchnąć na margines społeczeństwa.

Bardzo spektakularna i podobna do przypadku Piotra Franielczyka jest tu sprawa Mirosława Chojeckiego, któremu także odmówiono wydania decyzji, że spełnia warunki, o których mowa w art. 4 ustawy o działaczach opozycji antykomunistycznej oraz osobach represjonowanych z powodów politycznych. List otwarty w jego obronie wystosowali byli członkowie Kolegium i Rady IPN, zaś 23 września 2022 roku Prezydent RP Andrzej Duda odznaczył go najwyższym polskim odznaczeniem państwowym, Orderem Orła Białego.

Szczepan Rudka





Apel w sprawie Mirosława Chojeckiego

Niżej podpisani znamy Mirosława Chojeckiego od wielu lat, niektórzy z nas z nim współpracowali w latach 70. i 80. mając świadomość, że jest on jednym z najważniejszych działaczy Komitetu Obrony Robotników, założycielem Niezależnej Oficyny Wydawniczej, od 1980 r. działaczem „Solidarności”, od 1982 roku do 1989 jednym z przywódców emigracji „Solidarnościowej” wspomagającym podziemie w kraju sprzętem technicznym do powielania.

Odmowę uznania tych oczywistych zasług Mirosława Chojeckiego dla ruchu wolnościowego w Polsce uważamy za zdumiewającą. W „Komunikacie” Komitetu Obrony Robotników nr 3 z 30 października 1976 r. opublikowano następujące zdania w dziale poświęconym represjom: „dnia 30 września zatrzymano w Radomiu Mirosława Chojeckiego, pracownika naukowego Instytutu Badań Jądrowych. W czasie przetrzymywania go w areszcie przybył do Radomia nocą z Warszawy pracownik IBJ i – jak się okazało Służby Bezpieczeństwa, nazwiskiem Skoczylas. W związku z tematyką prac naukowych prowadzonych przez M. Chojeckiego, które stanowią tajemnicę państwową, Chojecki został zmuszony do podpisania oświadczenia, w którym zobowiązał się do informowania Skoczylasa o wszystkim, co mogłoby być szkodliwe dla PRL z punktu widzenia kontrwywiadu. Jednocześnie funkcjonariusze SB grozili Chojeckiemu wyrzuceniem z pracy. 21 października 1976 Chojeckiego usunięto z pracy w trybie natychmiastowym; bezpośrednio po wręczeniu wypowiedzenia został on zatrzymany przez dwóch pracowników SB, a następnie przesłuchiwany przez 13 godzin w Komendzie MO Żoliborz i Komendzie Stołecznej MO. Podczas prób przesłuchania starano się skłonić go do współpracy z SB, a po odmowie szantażowano, twierdząc, że zgodę na to już wyraził podpisując w Radomiu wspomniane oświadczenie.”

W Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej zachowały się materiały dotyczące tej sprawy, sygn.. IPN BU 0248/37/2. Znajduje się tu raport kaprała MO o zatrzymaniu Chojeckiego w mieszkaniu robotnika Waldemara Ząbeckiego oraz obszerna notatka służbowa z 1 października ppor. Z. Skoczylasa i ppor. R. Matlengiewiczza o skierowaniu ich przez naczelnika Wydziału III A Komendy Wojewódzkiej MO do Radomia w związku z zatrzymaniem Chojeckiego. Oficerowie ci zaznaczają, że Chojeckiego doprowadzono z aresztu, przedstawili mu się jako pracownicy kontrwywiadu. W czasie przesłuchania Chojecki przyznał, że przyjechał do Radomia, by pomóc osobom poszkodowanym w zajściach 25 czerwca, odmówił jednak odpowiedzi na pytanie, kto go przysłał. Stwierdził jednak, że nie pierwszy raz przyjeżdża z pomocą dla poszkodowanych i zbiera od nich wiadomości o przebiegu wydarzeń. Nie ukrywał związków z powstałym kilka dni wcześniej Komitetem Obrony Robotników (związane z nim oświadczenia zostały przy Chojeckim znalezione). Pytany o prace w IBJ przyznał, że





„wykonuje prace typu <poufne>” dla celów MOB oraz opracowania dla Doradcy v-ce Ministra Energetyki i Energii Atomowej”. W konsekwencji rozmowy Chojecki podpisał oświadczenie: „Ja, niżej podpisany, zobowiązuję się zachować w tajemnicy kontakt z pracownikami kontrwywiadu PRL oraz tematykę prowadzonych rozmów. Ponadto będę informował o faktach szkodliwych dla PRL w pracy kontrwywiadowczej.” Sprawozdanie Skoczylasa i Matlengiewicza dla przełożonego kończyło się wnioskiem: „Notatkę wykorzystać do opracowania M. Chojeckiego na tajnego współpracownika.”

W notatce insp. Wydz. II Dep. III MSW z 8 października czytamy, że Chojecki spotkał się z adwokat Anielą Steinsbergową, członkiem KOR, opowiedział o przesłuchaniu w Radomiu, o zobowiązaniu go do zachowania tajemnicy o treści przesłuchania i o próbie nakłonienia go do współpracy. (Treść rozmowy SB poznała z podsłuchu mieszkaniowego krypt. Anita, zainstalowanego u Steinsbergowej). Niezależnie od tego ppor. Skoczylas 11 października złożył raport „z doraźnego pozyskania”, wnosząc o wyrażenie zgody na zatwierdzenie Chojeckiego jako tajnego współpracownika. Tymczasem Matlengiewicz zapoznał się z zapisem podsłuchu. We wnioskach pisał, że z próby pozyskania nie należy rezygnować, potrzebna jest jednak rozmowa, która doprowadzi „do właściwego stanu faktu współpracy.”

Jednocześnie Matlengiewicz opracował projekt nawiązania kontaktu z Chojeckim, zaznaczając, że 8 października do niego zatelefonował, ale Chojecki kategorycznie odmówił spotkania; stwierdził, że stawia się tylko na urzędowe wezwanie. Matlengiewicz proponował scenariusz rozmowy, w której miał zagrozić zwolnieniem z pracy.

W tym samym dniu jednak – 14 października – Mirosław Chojecki złożył skargę do Prokuratury Generalnej, w której opisał zatrzymanie 30 września w Radomiu przez cywilnych funkcjonariuszy MO, i ponowne zatrzymanie 1 października, a także rewizję przeprowadzoną w jego mieszkaniu. Skarga kończyła się słowami: „Ponieważ tego rodzaju bezprawne działanie ma charakter karalnego nadużycia władzy ze strony organów MO wnoszę o podjęcie w tej sprawie stanowczych kroków.” Tego samego dnia, 14 października, Chojecki został zwolniony z pracy w Instytucie Badań Jądrowych.

Do rozmowy z Chojeckim w Komendzie Dzielnicowej MO na Żoliborzu doszło 22 października. Ppor. Matlengiewicz w notatce służbowej pisał: „W trwającej 14 godzin próbie rozmowy nie podjął tematu odpowiadając na stawiane pytania odpowiedzi: <Nie odpowiem>, <Nie chcę odpowiadać> itp. Nie podjął również próby wciągnięcia go w dyskusję odnośnie celów działania jego i jego mocodawców. (...) M. Ch. został także przestrzeżony, iż w przypadku odmowy zostaną podjęte w stosunku do niego odpowiednie kroki powodujące różnego rodzaju dolegliwości w życiu – nie przestraszyło go to, nie boi się roli <wiecznego tułacza>.” Jak wynika z notatki służbowej mjr B. Siekierskiego, Chojecki złożył skargę, którą esbek ocenił jako zawierającą „kłamliwe insynuacje gróźb pod jego adresem.” W konkluzji pisał, że „kontakty z w/w zostaną w znacznym stopniu ograniczone.”



Na tym kończyła się próba pozyskania Mirosława Chojeckiego do współpracy. W żadnym z dokumentów nie był on uznany za pozyskanego tajnego współpracownika lub inne źródło informacji.

Z „Komunikatu” nr 3 wydanego tydzień później wszyscy współpracownicy KOR-u dowiedzieli się o próbie pozyskania przez SB Mirosława Chojeckiego. Ujawnienie tego faktu przecinało możliwość dalszych indagacji, gdyż – przypomnijmy – współpraca z SB wymagała zachowania ścisłej tajemnicy.

Jak wynika z akt zachowanych w IPN nigdy więcej prób pozyskania Chojeckiego już nie podejmowano. Był on natomiast objęty śledztwem prowadzonym przeciw członkom KOR, wielokrotnie zatrzymywany, wreszcie aresztowany w maju 1977 r. jako współorganizator wystąpień po śmierci Stanisława Pyjasa i objęty przygotowaniami do postawienia przed sądem. Zwolniony w wyniku amnestii wraz z innymi aresztowanymi w następnych miesiącach i latach zorganizował Niezależną Oficynę Wydawniczą – niecenzurowane wydawnictwo pism i książek, pierwsze takie w całym bloku komunistycznym. Za tą działalność był wiele razy zatrzymywany na 48 godzin, a w 1980 r. przesiedział 3 miesiące w więzieniu.

Ignorowanie tych faktów, dowodzących nieprzeciętnej skali aktywności i odwagi Mirosława Chojeckiego, i przedkładanie ponad nią incydentu, który miał miejsce w październiku 1976 r., ale nie miał nigdy charakteru nawiązania współpracy, uważamy za głęboko krzywdzące i niezgodne z zasadami, jakimi miał się kierować Instytut Pamięci Narodowej.

Byli członkowie Kolegium i Rady IPN:

Prof. dr hab. Andrzej Chojnowski

Prof. dr hab. Antoni Dudek

Prof. dr hab. Andrzej Friszke

Dr Andrzej Grajewski

Prof. dr hab. Grzegorz Motyka

Prof. dr hab. Andrzej Paczkowski

Warszawa, 16 grudnia 2020 r.



Słownik wyfrunął czyli jak Andrzej Słowik nielegalnie wyjechał na Zachód w 1985 r.

Wyjazd czołowego łódzkiego działacza „Solidarności” na Zachód pod koniec 1985 stanowi nadal jeden z najbardziej tajemniczych wątków podziemnych losów Związku w latach 80. Wiadomo, że podczas kilkumiesięcznego pobytu poza krajem przyczynił się on do afiliowania NSZZ „Solidarność” przy Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy. Autor opracowania na temat podziemnych struktur „Solidarności” w regionie Ziemia Łódzka, Leszek Olejnik, w książce „Solidarność podziemna” pod red. A. Friszkego, sugeruje, że wyjazd A. Słowika, choć był konsultowany z doradcami Związku, Tadeuszem Mazowieckim i Bronisławem Geremkiem, to nie pałali [oni] entuzjazmem do tego pomysłu, a po powrocie Słowika z Brukseli liderzy „Solidarności” unikali spotkania z nim. Z kolei Henryk Głębocki pisząc o zagranicznej wyprawie Słowika zauważa, że Inicjatywa ta została zresztą poparta przez Wałęsę. Chodziło o podkreślenie związkowego charakteru „Solidarności” („Droga do niepodległości. Solidarność 1980-2005”). Podobnych, bardzo ogólnikowych i często sprzecznych w ocenie wypowiedzi historyków jest znacznie więcej. Zamieszczona poniżej relacja Romana Bielańskiego, który przygotowywał nielegalny wyjazd A. Słowika, jest w tej sytuacji ważnym przyczynkiem do zrekonstruowania okoliczności i przebiegu wyjazdu łódzkiego działacza na Zachód.

To było chyba na początku 1985 roku. Zapadła wtedy decyzja, żeby jeden z członków kierownictwa krajowego Solidarności wyjechał na Zachód. „Krajówka” wytypowała Andrzeja Słowika, przewodniczącego Zarządu Regionu Łódzkiego, jako osobę, która ma wyjechać, a dokładniej być przerzucona za granicę, ponosząc przy tym największe ryzyko.

Rodziło to dużo problemów, które należało omówić bardziej szczegółowo tam na miejscu. Trudno było wszystko uzgadniać za pośrednictwem kurierów. Z przyczyn mi nieznanых wybór padł na mnie. Być może dlatego, że byłem już we Francji w 1984 roku, poznałem tam Mirka Chojeckiego, może znaczenie miał też fakt, że w czasie śledztwa odmówiłem zeznań?

Dostałem paszport i pojechałem do Paryża chyba na początku października. Cały przerzut organizował Chojecki, który chyba miał to już przećwiczone, w każdym razie sprawiał takie wrażenie. Umówiliśmy hasła, sposób kontaktu. Reszta przygotowań w kraju spadała na moją głowę.

Po powrocie z Paryża zająłem się przygotowaniem przerzutu. Spotkałem się z Andrzejem Słowikiem i ustaliliśmy sposób powiadomienia go o terminie. Nie wiedziałem, kiedy to będzie, musieliśmy czekać, aż ktoś się do mnie zgłosi. Oczywiście, nie mogłem





jechać do Łodzi, bo istniało ryzyko zawleczenia jakiegoś ogona. Ustaliliśmy hasło. Pomysł na przerzut polegał na tym, że przyjeżdżali do Polski Jugosłowianie, w tym przypadku we troje, z czego dwoje zajmowało się przerzutem, a trzeci był „słupem” – i jego rola sprowadzała się do „zgubienia” paszportu. Czekaliśmy więc, bo niewiele można było zrobić. Wreszcie spodziewana ekipa się pojawiła! Fajnie, tylko że przyjechali 24 grudnia! Z punktu widzenia czujności służb może to dobra data, ale straszne utrudnienie w załatwieniu czegokolwiek. Zostawiłem ekipę w domu w Zielonce i pojechałem do Warszawy, aby zadzwonić do Andrzeja i podać hasło. On, po usłyszeniu hasła, miał wsiąść w najbliższy pociąg i przyjechać do Warszawy. Zadzwoiłem do niego z jednego z nielicznych automatów telefonicznych. Ale Andrzeja wciąż nie było w domu, jego żona z coraz większą niecierpliwością odbierała moje telefony, a ja coraz bardziej nerwowo miotałem się po mieście. Wreszcie go zastałem.

Przyjechał do Warszawy i w końcu dotarliśmy do mojego domu. Nigdy wcześniej, ani potem, nie siadałem do kolacji wigilijnej o 23.00. Później zaczęliśmy ustalenia z ekipą Jugosłowian. Okazało się, że potrzebne jest zdjęcie paszportowe Andrzeja. Skąd ja im do diabła znajdę w pierwszy dzień świąt czynny zakład fotograficzny?! W końcu jakoś dopadłem fotografa, który zrobił zdjęcia. Nasi eksperci z Jugosławii obejrzelili i stwierdzili, że papier jest nie taki. Prawdę mówiąc nie powiedzieli wcześniej, jaki ma być, a ja nie pomyślałem, aby to ustalić. W drugi dzień świąt Andrzej sam pojechał do Warszawy i przywiózł właściwe zdjęcia. Ekipa przystąpiła do pracy, przygotowując paszport i w nocy wyjechała (dwoje Jugosłowian i Słowik jako trzeci „Jugosłowianin”).

Czekaliśmy na wiadomość, czy przekroczyli granicę. Denerwowałem się o nich, drogi zaśnieżone, na dodatek w domu został „słup”. Następnego dnia po wyjeździe Słowika, musiałem wyjść z domu. Po powrocie ojciec opowiedział mi historię dość niebezpieczną dla całej sprawy. Mianowicie „słup” zaczął się denerwować, opowiadać coś o pójściu na milicję, bo ojciec najzupełniej słusznie nie chciał go wypuścić z domu. Skończyło się tym, że spił go i położył spać. Później sam próbowałem rozmawiać ze „słupem”, ale skończyło się znów na pijaństwie. Po dwu dniach czuwania mieliśmy już „słupa” dość. Zapakowałem go do ojcowej „warszawy” i wysadziłem przed ambasadą Jugosławii. Mając nadzieję, że nie bardzo wie, gdzie był. A delegat „Krajówki” objechał pół świata i bezpiecznie wrócił do Polski.

Roman Bielański ur. 1947.

Uczestnik robotniczych protestów w Ursusie w 1976. Działacz „Solidarności” w ZM „Ursus”. Po 13 grudnia 1981 członek ścisłego kierownictwa MRK”S”, aresztowany w listopadzie 1982, skazany na 2 lata więzienia, zwolniony w czerwcu 1983 na mocy amnestii.

Oprac. Włodzimierz Domagański
(Bibuła 7/2007)





Siedmiogród przed upadkiem dyktatury Ceaușescu

Bjørn Cato Funnemark

W drugiej połowie lat 80. pojawił się temat mniejszości narodowych jako jedna z najbardziej zapalnych kwestii w Europie Wschodniej. Już w końcu 1984 roku władze komunistyczne w Bułgarii rozprawiły się nadzwyczaj brutalnie z liczną turecką mniejszością w tym kraju. W następnych latach narastały napięcia między narodami i w ówczesnej Jugosławii, które w pierwszej połowie lat 90. doprowadziły do regularnej wojny zarówno w Kosowie, jak i w Bośni i w części Chorwacji. Wskutek tych wojen rozpadła się Jugosławia na siedem nowych państw i państwerek.

Aż tak dramatycznie nie zakończyły się ataki komunistycznego dyktatora Nicolae Ceaușescu na wtedy ponad półtoramilionową węgierską mniejszość w Rumunii, chociaż polityka ucisku wobec Węgrów w tym kraju przyczyniła się do gwałtownego upadku reżymu Ceaușescu w grudniu 1989 roku. Ze względu na to, że Węgry (wtedy część Austro – Węgier) wskutek traktatu wersalskiego straciły dwie trzecie swojego terytorium i prawie dwie trzecie swojej ludności, los Węgrów którzy mieszkają poza granicami Węgier stał się do dziś kwestią pierwszoplanową dla władz państwowych w Budapeszcie. Węgrzy żyjący w sąsiednich krajach, na obszarach które do końca pierwszej wojny światowej należały do Węgier, są dlatego traktowani jako równoważnościowa część całego narodu węgierskiego. Tak na dobrą sprawę też było w socjalistycznych Węgrzech w osiemdziesiątych latach, gdzie socjalizm w tym okresie miał trochę bardziej ludzką twarz niż w pozostałych krajach wschodniej części Europy. Powszechnie uważa się, że Węgrzy w Rumunii mieszkają w Siedmiogrodzie (rumuńska nazwa Transilvania). Dokładniej, obecnie licząca 1,3 – milionowa węgierska mniejszość w tym kraju zamieszkuje Banat, Crișanę (po węgiersku Körösvidék), Maramureș (Máramaros) oraz Siedmiogród (Erdély).

Podróż do Siedmiogrodu

W ramach swojej działalności w Norweskim Komitecie Helsińskim zajmowałem się sprawą Węgrów w Rumunii od 1987 roku aż do upadku dyktatury Ceaușescu i jeszcze trochę dłużej. Dzięki temu, że przyjazd do Rumunii na bazie dwustronnej umowy między Bukaresztem a Oslo nie wymagał wizy, udało mi się w tych latach zwiedzać ten kraj wielokrotnie i tam rozmawiać z ludźmi bez pozwolenia władz. To jednak nie znaczy, że przekraczanie granicy rumuńskiej nie stanowiło żadnego problemu. Żeby nie narażać swoich kontaktów tam na dodatkowy kłopot, musiałem zadbać o to, żeby nie budzić podejrzeń u rumuńskich pograniczników i celników.

Najczęściej przyjeżdżałem do Rumunii, do Siedmiogrodu nocnym pociągiem z dworca Budapest Keleti pályaudvar. Pociąg był zazwyczaj prawie pusty wyjeżdżając z Buda-





pesztu, a tym bardziej jak przekraczaliśmy granicę węgiersko – rumuńską kilka godzin później. Z drugiej strony miał w takim pociągu zarówno kontroler paszportów jak i celnik więcej czasu na każdego pasażera. Z celnikiem było zwykle najprościej. Na szczęście ówczesny rumuński celnik był na tyle skorumpowany, że na ogół wystarczyło mu paczka papierosów marki Kent, żeby nas pasażerów nie dręczył niepotrzebnymi pytaniami czy sprawdzaniem zawartości bagażu. Kładło się paczkę papierosów wymienionej marki na wierzchu tego, co znajdowało się w środku torby. Celnik przychodzi na pierwszej rumuńskiej stacji, czyli w Curtici (Kürtös), otwierał torbę, sprawdzając wnętrze torby ręką, ale nie wzrokiem, szybko znajdował paczkę i pytał: „czy to dla mnie?” Kiwałem tak jak inni głową i mówiłem: „Dla pana!”

Z pogranicznikiem bywało czasem trudniej, bo wśród nich można było znaleźć ludzi ambitnych. Na wszelki wypadek trzeba było dodatkowymi sposobami zniechęcać ich do bliższego kontaktu. Dbałem o to, żeby w miarę możliwości być niedbale ubranym i nie ogolonym. Zostawiałem kilka pustych butelek czy pustych puszek po piwie na widocznym miejscu w przedziale, z których wypilem najwyżej jedną. Pozostałe butelki czy puszki były puste już przy wyjeździe z Budapesztu. To tylko w celu zniechęcania kontrolera paszportów do zbytecznych pytań. Gdyby jednak zadał pytania, odpowiadałem niechętnie, cicho i niewyraźnie. Poza tym brałem ze sobą kilka pism sportowych, które rzeczywiście przeczytałem z zainteresowaniem, ale które poza tym miały stwarzać wrażenie człowieka, na którego nie warto tracić cennego czasu nocnego rumuńskiego kontrolera.

Węgierska opozycja w Siedmiogrodzie

Jeździłem tym pociągiem najczęściej do Klużu (rumuńska nazwa Cluj – Napoca, a na starych polskich mapach można znaleźć nazwę Koloszwär), historycznej stolicy dawnego Wielkiego Księstwa Siedmiogrodu. Tam nawiązałem kontakt z ludźmi którzy wcześniej współpracowali z pismem podziemnym „Ellenpontok”, które ukazywało się tam na początku lat 80. Kontakty przekazał mi redaktor naczelny tego pisma Attila Ara – Kovács, który zmuszony był wyemigrować do Budapesztu w 1983 roku.

Zbierałem wtedy materiały do raportu, a w zasadzie książki, pod tytułem „SOS Transylwania”, która została wydana zarówno w Oslo, jak i w Wiedniu w 1988 roku. Publikacja dotyczy w pierwszym rzędzie uciskaniu Węgrów w Rumunii przez ówczesną rumuńską władzę, ale zawiera również informację o podłym traktowaniu wszystkich obywateli Rumunii. Ivan Chelu w Klużu, który mi bardzo pomagał, zapraszał do swojego mieszkania różnych informatorów, między innymi młodą kobietę, która opowiadała o traktowaniu kobiet. Napisałem wtedy w raporcie: „wszystkie młode kobiety muszą kilka razy w roku poddać się najbardziej prymitywnym badaniom w celu sprawdzenia czy używają środków antykoncepcyjnych. Kobiety opowiadają, że ginekolodzy często nie używają rękawic przy sprawdzaniu”. Przepisy antyaborcyjne w rumuńskiej repub-





lice socjalistycznej należały do najbardziej restrykcyjnych w krajach socjalistycznych, gdyż władzom zależało na tym, żeby kobiety rodziły dużo dzieci.

Wymieniony Ivan Chelu mieszkał w centrum Klużu czyli Koloszwaru. Trzeba było więc być wyjątkowo ostrożnym przy wchodzeniu do budynku w którym mieszkał, żeby nie budzić zainteresowań tajnej policji Securitate. Starałem się być ubranym podobnie jak miejscowi, a przede wszystkim nie wyglądać na człowieka, który czegoś szuka. Cały czas sprawdzałem, czy nie jestem śledzony. I wchodziłem do samego mieszkania szybkimi i zdecydowanymi krokami, często niosąc w rękę jakiś worek plastikowy o rumuńskim wyglądzie. Z tego co mi opowiadano, można było ludzi z Securitate rozpoznać po ich dobrym ubraniu, rzekomo byli wysocy, wysportowani i w ogóle dobrze zbudowani.

Z Ivanem jeździliśmy na różne spotkania w Klużu i w okolicy. A jak już się wsiadło do samochodu trzeba było go efektywnie wykorzystać, dlatego że w Klużu w tym czasie samochodem wolno było jeździć tylko co drugi dzień. W Klużu spotykałem się również z główną postacią Kościoła kalwińskiego w Siedmiogrodzie w tych latach – Istvánem Tökese. Kościół kalwiński jest największym kościołem Węgrów w zachodniej części Siedmiogrodu. Ale jego osoba była ze względu na swoją nieugiętą postawę nie do przyjęcia dla ówczesnych władz państwowych w Rumunii. Tökes pokazał mi swój świeży raport na temat stanu kościoła kalwińskiego w Rumunii. Z tego powodu, że przy wyjeździe z Rumunii mógłbym trafić na nadgorliwego celnika, czy pogranicznika, umówiliśmy się, że zamiast zabrać jego raport, który widziałem w niemieckim tłumaczeniu, ze sobą zagranicę, wezmę dokument ze sobą z jego mieszkania do mojego hotelu w Klużu by tam najciekawsze fragmenty przepisać ręcznie, ale w taki sposób, że nie będzie on rozpoznawalny dla potencjalnych kontrolerów na granicy. Tak zrobiłem, a w rozdziale o "węgierskich kościołach" w Rumunii mojej książki „SOS Transylwania”, znalazłem miejsce dla cennych uwag, obserwacji i konkluzji Tökesa. Ten sam István Tökes był zresztą ojcem księdza i biskupa László Tökesa, który odegrał tak istotną rolę w rewolucji, która obaliła reżym diktatora Ceaușescu w 1989 roku.

Cytowałem w swoim raporcie między innymi następujący fragment z wymienionego dokumentu Istvána Tökesa: „Gyula Nagy (Koloszwar / Kluż) i László Papp (Nagyvárad / Oradea) zostali wbrew życzeniu duchowieństwa mianowani biskupami Koloszwaru (Klużu) i Nagyvárad (Oradea). Świecka rumuńska władza odmawiała innych kandydatów. W maju 87 roku biskup Papp według mojej informacji kazał aresztować ośmiu księży. Wielu z nich torturowano. Jeden z tych księży został skazany na trzy lata więzienia za to, że otrzymał „nielegalne Biblie”. Papp rzekomo prosił o jeszcze wyższą karę. Biskup Koloszwaru Gyula Nagy pozostał na swoim stanowisku po ukończeniu 75 lat. Gdy profesor teologii i zastępca biskupa István Tökes napomknął mu, że taka praktyka jest sprzeczna z kościelnymi przepisami, utracił wszystkie swoje kościelne stanowiska”.



Węgrzy i Rumuni

Drugim miastem w którym się często zatrzymywałem był Sfântu Gheorghe (po węgiersku Sepsiszentgyörgy), które jest położone około 35 kilometrów na północ od Braszowa w środkowej części Rumunii. Mieszkałem u węgierskiego działacza Jozsefa Lörincza, ale ze względu na to, że według obowiązujących przepisów nie wolno było zatrzymywać się na noc w prywatnych mieszkaniach, mieszkałem, o ile to było praktycznie możliwe, co trzecią noc w hotelu. Hotele brałem w sąsiednim Braszowie, gdzie łatwiej było się poruszać anonimowo. Raz miałem mały hotel w Braszowie już wcześniej zamówiony, gdy wróciłem pociągiem osobowym ze Sepsiszentgyörgy do Braszowa dopiero o północy. Z dworca kolejowego w Braszowie pojechałem autobusem do centrum miasta. Z trudem udało mi się wysiąść w miarę blisko tego hotelu, ponieważ na ulicy było całkowicie ciemno. Rumunia oszczędzała elektryczność, a w konsekwencji miasta były w nocy całkiem bez oświetlenia. Orientowałem się wtedy w Braszowie według świateł samochodów na ulicach, aż wreszcie zauważyłem jeden jedyny oświetlony budynek w pobliżu – mój hotel. Portier wiedział że miałem przyjść dość późno wieczorem i postanowił w ten sposób umożliwić mi dojście do hotelu. Gdyby tego nie zrobił, nie wiem, gdzie bym nocował. Pomysł z tą trzecią nocą w hotelu polegał na tym, że nadgorliwemu pogranicznikowi zawsze można byłoby powiedzieć, że pozostałe noce zostały przeze mnie spędzone w nocnych pociągach. Ale opowiadać, że się spędzała każdą noc w ciągu kilku tygodni w pociągu, byłoby mało wiarygodne, a więc podejrzane.

Kiedyś jechaliśmy z Jozsefem i kilkoma innymi Węgrami z Sepsiszentgyörgy do Czikszereda (po rumuńsku Miercurea Ciuc) a dalej do Márosvásárhély (rumuńska nazwa Târgu Mureș) nocnymi pociągami. W Czikszereda zatrzymaliśmy się krótko u jakiegoś kolegi kolegi. Jeden z kolegów powiedział, że nie możemy nocować tam ze względu na „trudny charakter” żony kolegi, który tam mieszkał. Dla mnie jej rzekomo sceptyczne nastawienie do naszego noclegu było skądinąd zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że było nas czworo, ale Węgrzy narzekali mimo wszystko na tę żonę, a jak jeden z nas zapytał dlaczego akurat ją wybrał, to usłyszał że „nie udało mu się znaleźć innej Węgierki”.

Ta historia ilustruje, że Węgrzy i Rumuni w tym czasie żyli obok siebie, a nie razem. Potwierdziła mi się ta prawda jakoś kilka lat później, w 1990 roku, tuż po rumuńskiej rewolucji, która obaliła reżym Ceaușescu, gdy odwiedziłem braszowską siedzibę nowych władz rumuńskich pod nazwą Frontu Ocalenia Narodowego. Tłumacz Frontu również postanowił pojechać do Sepsiszentgyörgy po pracy tego dnia, pojechał ze mną. Poprosił, czy mógłby pójść ze mną na spotkanie, na party u Węgrów wieczorem, na które byłem zaproszony. Trudno mi było odmówić i w ten sposób tłumacz poszedł po raz pierwszy w swoim życiu na prywatkę do Węgrów w Rumunii.

Na plebanii

Jeszcze przed rumuńską rewolucją jeździłem po Rumunii z dziennikarzem Jonem Røssumem. Jon zrobił z naszej podróży reportaż dla norweskiego radia. Kilka lat póź-





niej napisał książkę na temat upadku komunizmu w Europie pod tytułem „Den austeuropeiske revolusjonen”. Na stronie 216 i 217 tej książki Jon opisuje nasze spotkanie wtedy z węgierskimi działaczami niedaleko wymienionego miasta Csikszereda (Miercurea Ciuc), tym razem z katolickim księdzem i jego otoczeniem na plebanii: „Przyjechaliliśmy do miasta Miercurea Ciuc w środku Szekélyföld (Seklerszczyzna). Na dworcu kolejowym Funnemark miał jako znak zapoznawczy zdjąć okulary, żeby je czyścić. Dwaj węgierscy studenci, którzy przyjechali pociągiem z Budapesztu, mają skontaktować się z nim i nas zaprowadzić do działaczy węgierskiej opozycji. Węgrzy w Siedmiogrodzie są teraz ostrożni, bo wielu z nich zostało pobitych po tym jak rozmawiali z zagranicznymi dziennikarzami. W Miercurea Ciuc roi się od umundorowanej policji. Jak wyjeżdżamy z miasta, jedzie biała Dacia za nami. Po jakimś czasie, jak wcześniej umówiono, wyprzedza nas. Ci dwaj węgierscy studenci mówią nam, żebyśmy się trzymali możliwie daleko za tym samochodem, tak aż go prawie nie będzie widać. Przejeżdżamy wiele punktów kontrolnych policji, ale nikt nas nie zatrzymuje. Gdy dojeżdżamy do plebanii, ludzie księdza chowają nasz w Belgradzie wynajęty samochód w stajni. Samochody z cywilnie ubranymi agentami Securitate nieustannie przejeżdżają przez tę węgierską wioskę”.

Przy wyjeżdżaniu ze stajni nikt nie zwrócił uwagi na fakt, że stajnia znajdowała się tylko dziesięć centymetrów wyżej od dróżki prowadzącej do niej. Nasz wynajęty samochód spadł więc tak niefortunnie, że się mu zepsuł tłumik. Po tym wszystkim trudno było przejeżdżać incognito przez Siedmiogród, ale wszystkie umówione tam spotkania mieliśmy na szczęście już za sobą. Tak, że bez nadmiernej troski kontynuowaliśmy podróż, tym razem już dość hałaśliwie, dalej do Bukaresztu.

Po rewolucji

Jak przyjechałem do Rumunii kilka lat później, na początku lat dziewięćdziesiąt, zobaczyłem rumuńskich pograniczników z innej i zupełnie nowej strony. Przyjechałem małym pociągiem, który składał się tylko z jednego wagonu, z węgierskiego miasta Gyula do rumuńskiego miasteczka Salonta (węgierski Nagyszalonta) w prowincji Bihor w zachodniej części Rumunii, przy węgierskiej granicy. Wsiadam z pociągu w Salonta, która jest końcową stacją i idę dalej do budki z kontrolą paszportową. Kontroler prosi uprzejmie o paszport. Daję mu swój czerwony norweski paszport. Wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby pieczęć u rumuńskich kontrolerów nie była zupełnie sucha. Prawdopodobnie Salonta nie należy do najbardziej popularnych rumuńskich przejść granicznych. Zostałem uprzejmie poproszony o zaczekanie aż rumuńska straż graniczna przyniesie nową pieczęć. Czekam jedną godzinę, dwie godziny a nawet trzy godziny. W końcu udało im się znaleźć jakąś nową pieczęć. I wręcz uroczyście stawiają mi ładną rumuńską pieczęć w paszporcie. Na dworze od dawna ciemno. Było im głupio i zaprosili mnie dlatego do lokalnego klubu nocnego z restauracją, gdzie





zjadłem znakomity obiad, to znaczy kolację i piłem wykwintne rumuńskie czerwone wino, zanim jeden z pograniczników zawiózł mnie z powrotem na dworzec kolejowy w Salonta, tak że zdążyłem na nocny pociąg osobowy dalej do Oradea, które po węgiersku nazywa się Nagyvárad. Chociaż przyjechałem tam już po północy, udało mi się znaleźć jakiś hotel niedaleko dworca kolejowego.

Węgrzy w Rumunii dzisiaj

Niezależnie od tego, że krytyczni dziennikarze od lat zarzucają rumuńskiej władzy zarówno korupcję jak i inne niedobre rzeczy, dzisiejsza Rumunia jest mimo to w pełni demokratycznym państwem, gdzie władza po wyborach się zmienia, przechodząc z rąk prawicy na lewicę i z powrotem itd. Węgierska mniejszość ma swoje własne partie polityczne, a największa z nich RMDSz (po rumuńsku UDMR) jest reprezentowana w obecnym rządzie narodowego liberała Nicolae Ciucă. W dużej koalicji między jego prawicową partią, Socjaldemokratami a węgierską partią RMDSz, lider tej partii Hunor Kelemen piastuje funkcję wicepremiera.



bibula

Siedzą baby w areszcie

103





Noc generałów

W nocy z 12/13 grudnia 1981 r., nazwanej przez francuskiego publicystę Gabriela Meretika „nocą generałów”, internowano, czyli zamknięto w przeróżnych ośrodkach odosobnienia, blisko 3,2 tys. osób, w tym przewodniczącego NSZZ „Solidarność” Lecha Wałęsę.

Prawo stanu wojennego

Prawo stanu wojennego ograniczyło wolność obywateli do minimum, m.in.:

- zamknięto granice,
- wprowadzono godzinę milicyjną (22.00-6.00 rano),
- zakazano strajków i zgromadzeń,
- zawieszono działalności związków zawodowych oraz ponad stu organizacji społecznych (wkrótce wiele z nich rozwiązano),
- wprowadzono tryb doraźny w postępowaniu sądowym,
- zawieszono wydawanie ogromnej większości gazet (13 grudnia ukazały się tylko reżimowe tytuły: „Trybuna Ludu” i „Żołnierz Wolności” oraz wojewódzkie organy PZPR),
- radio i telewizję ograniczono do jednego programu,
- wprowadzono oficjalną kontrolę korespondencji i jawnie podsłuchiwano rozmowy telefoniczne,
- zawieszono zajęcia w szkołach i na uczelniach do odwołania,
- zmilitaryzowano kluczowe zakłady pracy,
- ograniczono wyjazdy poza teren rodzimego województwa (wyjeżdżający musieli mieć specjalną zgodę władz województwa),
- zakazano sprzedaży benzyny osobom fizycznym (potem sprzedaż limitowano),
- ograniczono wypłaty z kont osobistych, konta walutowe zablokowano,
- wznowiono zagłuszanie zagranicznych rozgłośni nadających w języku polskim.

Ofiary stanu wojennego

Do dziś nie ustalono liczby ofiar stanu wojennego. Sejmowa Komisja Nadzwyczajna do Zbadania Działalności MSW, utworzona w 1989 r., spośród 122 niewyjaśnionych przypadków zgonów działaczy w 88 przypadkach skierowała do prokuratury wnioski o wszczęcie, wznowienie lub podjęcie postępowania karnego w celu ustalenia zakresu ewentualnej odpowiedzialności karnej funkcjonariuszy MSW, a także innych osób współodpowiedzialnych za ukrywanie sprawców (zwłaszcza prokuratorów).

Małgorzata Zaremba





Śmierć z rąk ZOMO

Kazimierz Michalczyk 1955– 31 sierpnia 1982

„Zjechaliśmy na dół, właśnie podjechała karetka pogotowia i do klatki schodowej wszedł lekarz w białym kitlu. Poszedłem za nim do mieszkania, w którym na podłodze leżał Kazimierz Michalczyk. Drzwi na korytarz były otwarte na oścież. Był już nieprzytomny, zwróciła moją uwagę jego bardzo blada twarz, prawdopodobnie z upływu krwi. Lekarz zapytał, gdzie otrzymał postrzał, gdyż korpus miał całkowicie zabandażowany, jak u mumii. Jeden z mężczyzn pokazał miejsce na brzuchu.

– Zabieramy go – powiedział lekarz.

Kiedy nieśliśmy go na noszach do karetki (byłem jedną z osób, która trzymała za tylną rączkę) usłyszałem, że nie jest dobrze, bo kula prawdopodobnie przebiła wątrobę, ale nie wiem kto to powiedział. Lekarz, dowiedziawszy się, że jest jeszcze drugi ranny, też chciał go zabrać do karetki, ale ten, kuśtykając pospiesznie oddał się w kierunku ulicy Poznańskiej.

Kiedy karetka odjechała rozejrzałem się i zobaczyłem, że oprócz kilku osób, które były przy samochodzie zabierającym rannego, na placu strzegomskim było już praktycznie pusto. Gapie, wyglądający chyba ze wszystkich okien okolicznych bloków, obserwowali, jak wolniutko poruszający się podwójny kordon ZOMO na ul. Legnickiej dochodził już praktycznie do placu Strzegomskiego”.

*Zapiski dla wnuka
Bogumił Nowicki*

Kazimierz Michalczyk był jedną z ofiar stanu wojennego. Zginął od kuli milicjanta w 1982 roku, podczas protestów zorganizowanych w rocznicę porozumień sierpniowych. Został postrzelony na ulicy Lubińskiej we Wrocławiu prawdopodobnie przez funkcjonariusza ZOMO Artura Olecha, milicjanta srebrnego medalistę igrzysk olimpijskich w boksie.



STAN WOJENNY

MEFISTO

Poprzysięgliśmy sobie z bratem, że nie damy się wciągnąć we wspominki typu „Jak mnie brali trzynastego”. Witek nie żyje i już na zawsze dochowa wierności tej zasadzie. Ja – niestety – czasem ją łamię, argumentując obłudnie, że są szczegóły, które coś tam mówią, o czymś tam świadczą i szkoda, żeby się rozplynęły. W rzeczywistości jestem po prostu notoryczną gadułą, o czym aż za dobrze wiedzą moi przyjaciele.

Jak mnie brali trzynastego, to był straszny mróz. Kot Mefisto był poza domem, co mu się coraz częściej zdarzało. Za to w domu, na widocznym miejscu stały dwa opasłe segregatory z napisem: „Solidarność – Komisja Rewizyjna”. Bibuła (wciąż była jednak bibuła) i materiały poligraficzne były nieco ukryte. Ale ci, co mnie zabierali, najwidoczniej mieli jedno zadanie: jak najszybciej mnie wyprowadzić.

Potem, już na dołku w Sieradzu i na wszystkich etapach internowania, nie przestałam myśleć o zabłąkanym kocie i materiałach regionalnej komisji. Kot, gdyby został w domu, mógłby się wydostać dopiero w styczniu, kiedy po raz pierwszy odwiedziła mnie Adela czyli teściowa i dałam jej klucze do domu. Jacka zabrali z Warszawy do Jaworza i z nim się jeszcze nie widziała. Powiedziałam Adeli o materiałach solidarnościowych, które mogą być łakomym kąskiem dla SB. Po jakimś czasie dowiedziałam się, że są bezpieczne.

Kiedy 22 lipca 1982 wróciłam na dobre do domu, najbliższa sąsiadka* opowiedziała mi o losach Mefista. Nasz kot błąkał się jakiś czas w okolicach domu zatrzymując się coraz oporniej na dźwięk swojego imienia. Potem już nie reagował, coraz rzadziej się pokazywał, aż przestano go widywać. Chcę wierzyć, że przeniósł się w inne rejony dość zadrzewionej okolicy. Był jeszcze młody, silny i zawsze bardzo samodzielny.

Materiały solidarnościowe zostały tak dobrze ukryte, że w żaden sposób nie mogłam się dowiedzieć, gdzie są. Nie było już zresztą tak ważne ich odnalezienie, jak to, że się nie dostaną w niepowołane ręce. W ćwierć wieku później i w trzy lata po powrocie do Polski dowiedziałam się, że jakiś czas leżały gdzieś na terenie ogrodu zoologicznego. Ojciec Eli, świetnej alpinistki nazywanej w Klubie Wysokogórskim Glajzą**, był dyrektorem łódzkiego Zoo. Potem musiały być stamtąd zabrane i podzieliły los Mefista: ślad po nich zaginął.

KRZYŚ***

Próbowałam zastosować wybieg, który na nic się nie zdał: zaczęłam opis stanu wojennego od kota i zmęczenia. W rzeczywistości stan wojenny jest dla mnie nierozwalnie związany ze śmiercią Krzysia, który odszedł na własne życzenie na początku listopada. Od tamtego czasu myślę o jego dramatycznej decyzji jak o złowieszczej zapowiedzi zdarzeń zapoczątkowanych 13 grudnia 1981 roku. I dopóki nie uporam





się z tym tematem, nie potrafię potraktować wspomnień ze stanu wojennego tak, jak zaplanowałam: jako ciągu opowiadań zaskakujących, zabawnych lub pouczających.

Może opisanie TEJ historii pomoże mi zrozumieć, dlaczego stan wojenny to dla mnie w pierwszym odruchu ZAWSZE początek listopada i ta śmierć.

Krzyś był jak sejsmograf, najdrobniejszy fałsz, nawet podyktowany zasadami dobrego wychowania, odczuwał boleśnie jak zamach na świat – świat jedynie możliwy do życia. Od jakiegoś czasu sprawy „Solidarności”, którym oddał się duszą i ciałem po okresie brawurowej działalności opozycyjnej, zaczęły go mierzić. Mówił o stagnacji, prywatnie, politycznych interesach i układach, odchodzeniu od celu, zapomnianiu o zasadach.

Ta nadwrażliwość i bezkompromisowość brały się po części z nienajlepszego stanu zdrowia – fizycznego i psychicznego. Po części, bo nie były to czynniki kreujące, a jedynie wyostrzające jego odczucia i reakcje.

W tym czasie byłam nieustannie głodna, niewyspana i zaganiana. Delikatność nigdy nie była moją mocną stroną. Zapomniałam, że wobec Krzysia trzeba szczególnie zważać na słowa.

Zanim poznałam wszystkie okoliczności i wydarzenia poprzedzające jego desperacką decyzję, przyjmowałam pokornie wszelkie na ten temat zarzuty, a nawet próby zdyskontowania całej sprawy przez SB. Gdy 12 grudnia wieczorem na pytanie „kto tam?” odpowiedziano mi zza drzwi: „milicja”, pomyślałam, że jakimś cudem udało im się znaleźć coś, co pozwoliło na tego typu szykanę.

Może właśnie to związało w mojej świadomości sprawę Krzysia ze stanem wojennym? A może przekonanie graniczące z pewnością, że stan wojenny i internowanie (na pewno był na liście) uratowałyby go? Nadałyby z powrotem jakiś sens jego życiu?

Przez wiele lat uważałam śmierć Krzysia za najgorsze, co mnie spotkało. Naturalnie, myliłam się. Jednak dopiero strata dwóch najbliższych mi ludzi sprawiła, że o odejściu Krzysia zaczęłam myśleć spokojnie, jak o kimś bliskim, kto – jako pierwszy – znalazł się po tamtej stronie.

Z PANIĄ? NIGDY!

Podczas strajku w Zakładach im. Marchlewskiego, gdzie Krzyś był jednym z bardziej znanych członków ekipy poligraficznej, natknęłam się na dziennikarkę, o której powiedziano mi, że jest „czerwona”. „Z Głosu Robotniczego” [Iwona Śledzińska-Katarasińska] – padło wyjaśnienie.

Były to czasy, kiedy uważałam siebie za osobę otwartą i tolerancyjną. Przekonanie to legło w gruzach podczas moich pierwszych kontaktów w USA: nie tylko z Amerykanami, ale również z osiadłymi tam emigrantami drugiej wojny światowej i – ogólnie rzecz biorąc – środowiskiem polskiej inteligencji (wyodrębnienie to jest istotne, ponieważ później zetknęłam się ze szczególnym fanatyzmem części Polonii chicagowskiej).

Ale – do rzeczy: po deklaracji tej pani, że teraz „będziemy wszyscy razem”, oświadczyłam buńczucznie: – Z panią? Nigdy!





Kiedy cywilno-mundurowa ekipa zawiozła mnie w nocy z 12 na 13 grudnia na Komen-
dę MO, wśród coraz liczniej wprowadzanych przyjaciół i znajomych (zorientowałam się
wtedy, że to jakaś rozgrywka z „Solidarnością”) rozpoznałam, nie bez zdumienia, ową
dziennikarkę. Iwonka towarzyszyła mi później, razem z Małgosią [Bartyzel], w dwóch
koszmarnych transportach: najpierw do Sieradza „na dołek”, a następnie do aresztu
śledczego w Olszynie Grochowskiej. Był to dla Iwony prawdziwy początek drogi do
opozycji. Bardzo dotkliwy początek, bo poważnie odmroziła nogi aż po uda podczas
wielogodzinnej jazdy do Warszawy w lodowatej ciężarówce. Ona jedna – kompletnie
w tej materii zielona – ubrała się lekko, nie wzięła ciepłej bielizny, ani niczego, co się
w wypadkach nagłego zatrzymania bierze ze sobą.

TRANSPORT

Od kilku dni chodziły słuchy, że będzie transport, czyli gdzieś nas wywiozą. My tym-
czasem zadomowiliśmy się nieco. Zaczęły nadchodzić paczki z żywnością, z ubra-
niem i środkami higienicznymi. Od rodzin, od nieznajomych przyjaciół i z Międzyna-
rodowego Czerwonego Krzyża.

Transport to – jak wiadomo z opowiadań delikwentów i z literatury – jeden wielki stres.

Budziłyśmy się ze ściśniętym gardłem, długo nie zasypiałyśmy po zgaszeniu światła.

Wreszcie kazano nam pakować rzeczy. I wtedy – zanim na dobre zrodziło się uczu-
cie trudnej do opanowania paniki – wszedł młody żołnierz, prawdopodobnie przy-
dzielony do konwoju.

– Niech się panie nie boją, jedziemy do ośrodka umieszczonego w domu wczaso-
wym. Tam będzie paniom lepiej, proszę się NAPRAWDĘ nie obawiać!

CHWAŁA BOGU, JESTEM W GOŁDAPI

Niestety, nie powiedział nawet w przybliżeniu dokąd. Więc zaczęłyśmy się niepo-
koić, kiedy zorientowałyśmy się, że jedziemy na wschód, i że jedziemy bardzo już dłu-
go. W pewnym momencie – nie pamiętam JAK – stało się jasne, że jesteśmy tuż przy
granicy z ZSRR i przeżyłyśmy moment grozy.

Na szczęście ten stan nie trwał długo. Nasza suka dotarła do celu. Cel znajdował się
wprawdzie około pół kilometra od granicy, ale okazał się pięknie położonym domem
wczasowym. Nasz informator nie skłamał.

Dwuosobowe pokoje z łazienką zmieniono w czteroosobowe. Pod celą 202 (nadal
nazywałyśmy nasze pokoje CELAMI, ponieważ – jako uwięzione – wciąż byłyśmy „pod
cełą”) były oprócz mnie: Marysia [Dmochowska], Zenia [Łukasiewicz] i Krysia [Skole-
cka-Kona] Później miejsce Marysi i Krysi zajmą: Zosia [a raczej Helena Zofia Gromiec]
i Teresa [Brodzka] z Gliwic.

Nasze życie wchodzi w koleiny, z których ani dramatyczne wypadki, ani nasze bun-
ty, ani ubeckie szykany nie zdołają wyrwać nas na dłużej niż na dzień-dwa.





Zdarzają się – jak to w życiu – momenty komiczne, wzruszające i groźne, ale i one odpływają w przeszłość. Realna jest tylko monotonna terażniejszość.

Paczki przychodzą regularnie, mamy kawę i inne frykasy. Brakuje alkoholu. Szczególny apetyt na alkohol, odczuwany nawet przez osoby na wolności „niepijące”, dopada większość z nas. Alkohol pomaga wyrwać się ze stojącej – jak woda w sadzawce – terażniejszości.

Mniej-więcej w pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego dostałam – wynegocjowane przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż – cztery dni „urlopu” na „widzenie” z Jackiem. Dziewczyny nakazały mi zdobycie cennego płynu. Gdy wracałam z powrotem do Gołdapi, teściowa próbowała przygotować mi paczkę. – Mamy tam wszystko, ale chciałabym jakoś przemyć z pół litra... – wyjąkałam.

Adeli odebrało głos tylko na chwilę. – Nnno, jak TY MÓWISZ, że to potrzebne, to znaczy, że potrzebne... Zabarwiła „wyborową” kieliszeczką wiśniowego kompotu i kilkoma wisienkami. Miksturę wlała do termosu. Słusznie, bo w naczyniu przeźroczystym wyglądałoby to wypisz wymaluj jak denaturat.

Termosu nie sprawdzono mi, podobnie jak przy wyjeździe. Przez cztery doby przerwy w internowaniu prawie wcale nie spałam. Po powrocie odsypiałam bez końca i braku snu, i kolację popijaną kompicikiem. Miałam koszmarne sny. Sprowadzano nas pod pokład jakiejś łodzi, wywożono w nieznane. Uciekłam, ale nie mogłam nigdzie trafić.

Gdy otworzyłam oczy zobaczyłam matę na ścianie, znajomą do najdrobniejszego zadrapania.

– Chwała Bogu, jestem w Gołdapi...

Nie wiem, czy bardziej uspokoiłby mnie widok własnego, pustego domu, w którym uschły wszystkie rośliny.

Ewa Sulowska-Bierezin

* ś.p. doktor Daniela Walasik, matka muzyka i aktora Wojciecha Walasika

** Elżbieta Fijałkowska z domu Sosnowska; ona, Janek Fijałkowski, Ewa Szcześniak, a w szczególności Sławek Pietrzyk i kilkoro innych członków Klubu Wysokogórskiego stanowili zaplecze, na które zawsze można było liczyć

***Krzysztof Ostromęcki, ur. w 1959 r., studiował chemię na Politechnice Łódzkiej. Drukarz (na zainstalowanej na działkach maszynie), współpracownik KOR. Z Mirosławem Michalikiem wspierał strajk taksówkarzy w Łodzi, a później jesienny strajk (listopad 1980) w ZPB im. Marchlewskiego. Latem 1981 zatrzymany podczas przewożenia niezarejestrowanej maszyny drukarskiej. Zwolniony na skutek interwencji „Marchlewskiego”, w którym zagrożono natychmiastowym zatrzymaniem produkcji (władze regionalne „S” odmówiły interwencji).

(Bibuła 9/2011)



Druki ulotne i grafika obozowa milicyjnych związkowców w 1981 i 1982 r.

Wiktor J. Mikusiński

W połowie maja 1981 r. w różnych jednostkach MO powstał ruch założycielski Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO. Poparło go od 18 do 20% zatrudnionych funkcjonariuszy. Od początku spotkał się z przeciwdziałaniem kierownictwa służbowego milicji i resortu.

Do czasu wprowadzenia zakazu działalności związkowej i rozpoczęcia represji, tj. do połowy czerwca 1981 r., komunikaty organizacyjne Ogólnopolskiego Komitetu Założycielskiego ZZFMO i komitetów garnizonowych rozpowszechniane były, przede wszystkim, środkami łączności służbowej (wydruki z dalekopisów), tylko zestaw trzech komunikatów udało się wydrukować na powielaczu spirytusowym, a jeden na offsecie (przed 16 czerwca). Oficjalnie nie prowadzono kolportażu komunikatów związkowych poza resortem, nieoficjalnie trafiały one do dziennikarzy pism solidarnościowych np. w Warszawie.

Dopiero represje spowodowały, że zwolnieni ze służby milicjanci – członkowie komitetów założycielskich – których już nie wiązała dyscyplina służbowa zaczęli publicznie protestować, informując o swoim ruchu oraz zwracając się do społeczeństwa o poparcie.

Pierwsze ulotki, wykonane ręcznie, z protestem przeciwko zwolnieniom, pojawiły się 19 czerwca w Lublinie, na przystankach komunikacji miejskiej, a następnego dnia ulotka wykonana już na powielaczu spirytusowym. 23 czerwca w Szczecinie kolportowano powielaną ulotkę garnizonowego KZ ZZFMO, a 13 lipca w Bielsku Białej i Cieszynie ujawniono kilkanaście ulotek ZZFMO sporządzonych na maszynie do pisania, na papierze przebitkowym.

Nawiązanie kontaktów represjonowanych milicyjnych związkowców z zarządami regionów NSZZ „Solidarność” przyniosło druk offsetowy w wielotysięcznych nakładach, czy mniejszych na powielaczach bialkowych lub w sitodruku. Największym i najważniejszym wydawcą bezdebitowych druków ulotnych był Ogólnopolski Komitet Założycielski ZZFMO w Warszawie. Zanim jednak ruszyła oficjalnie poligrafia Zarządu Regionu „Mazowsze”, Jan Strękowski wraz z Ewą Nawój na prośbę działaczy OKZ, z którymi skontaktował go sąsiad – funkcjonariusz MO, wykonał pierwszy plakat w podziemnej drukarni sitodrukowej znajdującej się w ich mieszkaniu w Zalesiu Dolnym, przy pomocy Witolda Łuczywo, szefa poligrafii Regionu Mazowsze, który bez wiedzy władz Regionu przygotował diapozytyw plakatu. W tym czasie Zbigniew Bujak był nastawiony sceptycznie i dopiero później obsługę milicyjnych związkowców zlecił Markowi Nowickiemu, szefowi Biura Interwencji Zarządu Regionu.





OKZ ZZFMO wydawał dwa rodzaje ulotek: hasłowe i tekstowe. Hasłowe zawierają proste stwierdzenia wzywające do poparcia rejestracji związku zawodowego funkcjonariuszy MO, protestujące przeciwko represjom wobec milicyjnych związkowców, informujące o celach związku i dacie posiedzenia sądu. Litery rysowane są ręcznie lub z szablonów, autorem grafiki był Tadeusz Bartczak. Ukazało się 10 rodzajów takich ulotek, drukowanych offsetowo w nakładzie 1000 egz. i więcej, w formacie A5 i A4. Nie były datowane, w moim katalogu nadałem im oznaczenia literą H i kolejnym numerem wg prawdopodobnej kolejności ukazywania się. Niektóre rodzaje miały kilka wersji, różniących się krojem czcionki lub kolorem druku (odcień fioletowy). Ponadto w moich zbiorach znajduje się szablon do malowania hasła: „Żądamy Rejestracji Związku Zawodowego Funkcjonariuszy MO”, pokryty resztkami farby koloru zielonego.

Ulotki tekstowe zawierają teksty programowe, polemiki, oświadczenia, apele do władz, społeczeństwa i funkcjonariuszy a także kopie dokumentów rejestracyjnych związku. Najczęściej sygnowane są przez OKZ lub jego Prezydium. Ukazało się 27 wzorów z tego 23 formatu A4 często dwustronne i 4 formatu A5. Druk czarno-biały, najczęściej offsetowy, także powielacz białkowy i sitodruk. Niektóre występują w kilku wersjach, różniących się wielkością lub krojem czcionek lub układem tekstu. W moim katalogu nadałem im oznaczenia T i kolejny numer. Część z nich jest datowanych, datę innych można ustalić na podstawie treści. Natomiast wnioski do sądu o rejestrację związku datowany 2 czerwca, wydrukowany został dopiero we wrześniu. Nie wszystkie są zatytułowane, rozróżniam je na podstawie pierwszego zdania. Autorami byli warszawscy członkowie Prezydium OKZ ZZFMO. Wiele tekstów cechuje pewna nieporadność językowa, występują błędy gramatyczne i stylistyczne, natomiast kilka wyraźnie przewyższa poziom reszty. Nie można więc wykluczyć, że w redagowaniu niektórych z tych ulotek brał udział Jan Strękowski, a także Marek Nowicki lub ktoś z jego zespołu.

Matryce niektórych ulotek OKZ wydawanych w Warszawie przekazywane były członkom komitetów garnizonowych w Lublinie, Krakowie i Białymstoku, gdzie drukowano z nich ulotki w drukarniach tamtejszych Zarządów Regionów lub Komisji Zakładowych „Solidarności”, np. Komisji Robotniczej Hutników w Nowej Hucie, ponadto pewne ilości ulotek otrzymywali do kolportażu członkowie mieszkający w innych miastach.

Największa akcja ulotkowa zorganizowana została na miesiąc przed terminem posiedzenia Sądu Wojewódzkiego w sprawie rejestracji ZZFMO tj. 25 września oraz po wystąpieniu 28 września podczas I KZD „Solidarności” w hali Olivii przedstawiciela OKZ Zbigniewa Żmudziaka. W Warszawie i innych miastach pojawiły się tysiące ulotek informujących o tych wydarzeniach, wydawanych z inicjatywy OKZ lub Zarządów Regionów.

M.in. 18 września na przystankach komunikacji miejskiej w Warszawie pojawiły się w dużych ilościach ulotki hasłowe, a funkcjonariusze komisariatu kolejowego Warsza-





wa Centralna przekazywali podróżującym funkcjonariuszom z innych miejscowości, m.in. z Częstochowy i Katowic, paczki z ulotkami a także kolportowali je poprzez załogi pociągów. Np. kierownik pociągu „Krakus” otrzymane ulotki przekazał milicjantom z Komisariatu Kolejowego w Radomiu i w Kielcach. Wydarzenia te spowodowały założenie przez Wydział III-1 SB KSMO sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Rozłam”. Do Komendanta Głównego MO wpłynęło anonimowe pismo z dn.18.09., podpisane „Grupa obywateli”, w którym skarżący się informowali, że na Saskiej Kępie (w Warszawie) pojawiły się ulotki milicyjnych związkowców, a interwencje w miejscowym komisariacie spotykają się z ironicznymi uwagami funkcjonariuszy „my nie umiemy czytać”, co podrywa prestiż milicji. (Na Saskiej Kępie mieszkali licznie pracownicy MSW i b. MBP oraz nomenklatury PZPR).

Ulotki kolportowali byli milicjanci – członkowie komitetów założycielskich, czasami przy pomocy pracujących kolegów. W mojej ocenie mogło to być kilkadziesiąt (ok.40) osób w całej Polsce. W kolportażu brali także udział pracownicy i działacze zarządów regionów, np. 6 października zatrzymany został podczas rozklejania ulotek KZ ZZFMO na ul. Kruczej w Warszawie Grzegorz Kołnierzak. Przeciwdziałając akcji ulotkowej kierownictwo jednostek MO podejmowało działania skierowane bezpośrednio przeciwko członkom komitetów założycielskich, podejrzewanym o kolportaż. Najczęściej przeprowadzano z nimi rozmowy ostrzegawcze, starano się środkami operacyjnymi uniemożliwić korzystanie z powielarni struktur organizacyjnych „Solidarności”, a także przejmować nakłady wydrukowanych ulotek. Na przykład 19 października w ramach dochodzenia w sprawie okupacji Hali Gwardii, prowadzonego przez Wydział Dochodzeniowo-Śledczy KSMO dokonano przeszukania w mieszkaniu Ireneusza Sierańskiego, odbierając po kilkaset egzemplarzy różnych ulotek. Z kolei 28 listopada w Lublinie Służba Bezpieczeństwa odebrała dwóm milicyjnym związkowcom ładunek ulotek wieziony z Warszawy samochodem Zarządu Regionu, a ponadto 3 matryce metalowe i ponad tysiąc egz. innych ulotek przechowywanych w ich mieszkaniach.

Oprócz komitetu ogólnopolskiego, ulotki wydawały także garnizonowe komitety założycielskie ZZFMO, złożone z byłych już milicjantów, będących jednocześnie członkami OKZ ZZFMO:

- Białostocki Komitet Założycielski ZZFMO wydał w dużych nakładach 7 ulotek i zestaw broszurowy 18 ulotek OKZ ZZFMO, druk poligrafii ZR Białostok,
- Komitet Założycielski ZZFMO woj. Bielskiego wydał w postaci maszynopisów 7 ulotek, natomiast Zarząd Regionu z własnej inicjatywy przedrukował 2 ulotki OKZ ZZFMO,
- Garnizonowy Komitet Założycielski ZZFMO w Krakowie wydał przy pomocy Komisji Robotniczej Hutników jedną, dwustronna ulotkę, ponadto rozprawdzał ulotki z Warszawy,
- Tymczasowy Komitet Założycielski ZZFMO w Lublinie wydał 5 ulotek (3 na powielaczu spirytusowym i 2 białkowym), ponadto rozprawdzał ulotki z Warszawy,





- Wojewódzki Komitet Założycielski ZZFMO Garnizonu Siedleckiego wydał 2 ulotki na powielaczu białkowym Oddziału NSZZ „Solidarność” w Siedlcach,
- Warszawski Komitet Założycielski ZZFMO (lokalna struktura obok OKZ) wydał 2 ulotki na powielaczu białkowym ZR Mazowsze.

Prawie półroczna, do grudnia 1981 r. akcja ulotowa KZ ZZFMO miała miejsce w zasadzie w tych miastach, w których mieszkali zwolnieni ze służby funkcjonariusze MO, członkowie ogólnopolskiego i regionalnych komitetów założycielskich, a więc miała niewielki zasięg, ograniczony dodatkowo przeciwdziałaniem służb patrolowych i SB. Nie wywarła większego wrażenia na funkcjonariuszach MO. Znalezione ulotki najczęściej przekazywali przełożonym, a ze zwolnionymi kolegami unikali kontaktów. Nawiązanie bliskich kontaktów z „Solidarnością”, nie przysparzało zwolenników Komitetowi Założycielskiemu ZZFMO, który w ulotkach zapewniał, że pomoc „Solidarność” jest bezwarunkowa i bezinteresowna. Środowisko funkcjonariuszy odbierało wystąpienie delegacji ZZFMO na zjeździe „Solidarność” jako dowód sterowania Komitetem Założycielskim przez Solidarność, co uwiarygodniało antyzwiązkową propagandę resortu.

Ponadto akcja plakatowa milicyjnych związkowców ginęła zapewne w powodzi ulotek i plakatów „Solidarność”, i innych organizacji. Nie znalazłem potwierdzenia, aby spełniła swe podstawowe zadanie, jakim było dotarcie do społeczeństwa, upowszechnienie informacji o ruchu związkowym funkcjonariuszy i uzyskanie szerokiego poparcia społecznego. Komisja Krajowa NSZZ „Solidarność” dopiero na posiedzeniu 11-12 grudnia 1982 r. uchwaliła dodanie do procedowanego w Sejmie projektu ustawy o związkach zawodowych uprawnień związkowych dla funkcjonariuszy MO, potępiła represje i zażądała powrotu zwolnionych do służby. Po kilku dniach działacze obu związków spotkali się w obozach internowania.

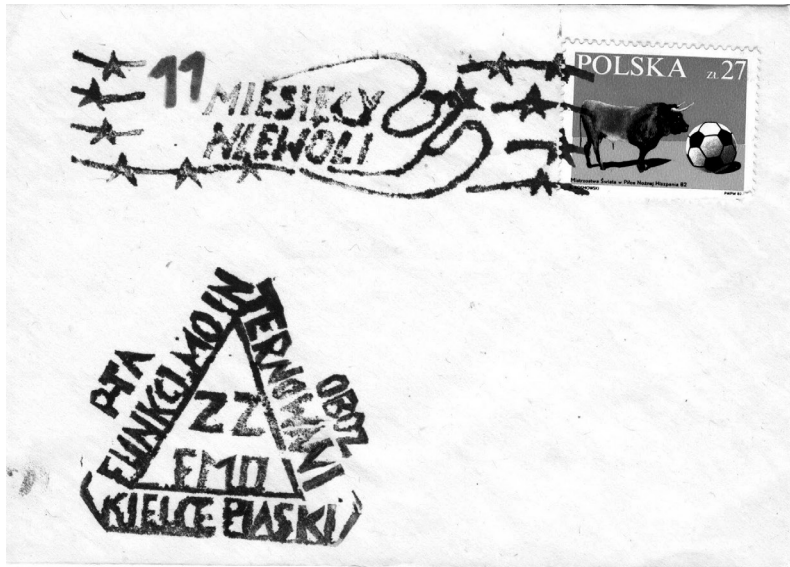
Grafika obozowa

W stanie wojennym na okres od 2 tygodni do 12 miesięcy internowanych zostało 25 milicyjnych związkowców. Niektórzy z nich włączyli się w obozowe życie opozycyjne, m.in. upamiętniając ruch związkowy stemplami poczty obozowej z napisem ZZFMO. Stemple wycinano w kawałkach linoleum wydartego z podłogi lub w dużych gumkach do wycierania typu „myszka”. Barwiono atramentem, tuszami z długopisów czy flamastrów, używano także własnych „wynałazków”. W Białogórze, absolwent kursów graficznych, utalentowany Tadeusz Bartzak stworzył kilkadziesiąt wielobarwnych stempli o różnej tematyce i wysokim poziomie artystycznym na zamówienia kolegów z innych cel, w tym kilkanaście „milicyjnych”. Znacznie prostsze w formie wykonał Wiktor Mikuśński, który upamiętnił ZZFMO także po przewiezieniu do ZK Kielce-Piaski (4 białogórskie i 2 kieleckie). Natomiast w ZK Wierchowie Pomorskim talentem wykazał się autor kilkudziesięciu wzorów, w tym trzech milicyjnych, Mirosław Kłyszko ze Szczecina. Pozostali internowani byli milicjanci nie pozostawili po sobie takich pamiątek.





bibula





SIEDZĄ BABY W ARESZCIE

Siedzą baby na grochu
I myją się po trochu – chlap!

Że żal babie urody
Więcej kremu niż wody – tu!

Siedzą baby w areszcie
Mają spokój nareszcie – ach!

Z łóżek długo nie wstają
I nogami fikają – bach!

Robią mały roberek
Karteczkami z pudełek – szlem!

Angielskiego się uczą
I paczkami się tuczą – Am!

Kiedy wrócą do życia
Pewnie pękną z utycia – w szwach!

Jedna za mąż wychodzi
Mąż daleko – nie szkodzi – ślub!

Na spacerek biegają
Potem sobie śpiewają – ach!

Jak wrócimy do domu
Nie powiemy nikomu, jak nam było – tu!

Mówią o nas, że siły
chcą byśmy tu pogniły – fe!

My się wronie nie damy
I wyjdziemy jak damy – he!



A wy – nasze chłopaki -
Kto was wsadził do paki – kto?

Wsadzili was ubeki
Ze stołecznej bezpieki i już!

Cela nr 4 w Olszynie Grochowskiej, styczeń 1982

W celi nr 4 były wówczas: Elżbieta Jezierska-Ziemkiewicz, Ewa Komorowska, Gaja Kuroniowa, Renata Majewska, Iwona Matuszek, Agnieszka Romaszewska,-Guzy (Panna Młoda), Halina Stefanowska, Grażyna Zajączkowska. esb (za: Ewa Sułkowska – Bierezin)





Białoleka

Internowani w areszcie śledczym w Białolece
(lista sporządzona 4 stycznia 1982)

Cela 1:

Wiktor Woroszyński, Maciej Cisło, Jerzy Dyner, Mirosław Odorowski, Oskar Czarnik, Maciej Zembaty, Antoni Matusiak, Tomasz Rossa, Ryszard Rubinstein, Tadeusz Kaim, Piotr Koszarkiewicz, Janusz Głuszkowski, Włodzimierz Przybył

Cela 2:

Bogumił Bartolik, Andrzej Ciechowski, Jerzy Holzer, Jan Tomasz Lipski, Eligiusz Miernicki, Adam Romaniuk, Andrzej Suwalski, Jan Walc, Zygmunt Zadrozny

Cela 3:

Krzysztof Ostrzycki, Paweł Kabak, Zenon Cieślak, Andrzej Stojda, Piotr Szwajcer, Andrzej Kubacki, Andrzej Kruszyński, Tadeusz Rachowski, Janusz Kucharski, Stefan Starczewski

Cela 5:

Tadeusz Diem, Witold Ferens, Gabriel Janowski, Sergiusz Kowalski, Marek Kępka, Dariusz Kopeć, Zbigniew Rykowski, Zygmunt Łuczyński

Cela 6:

Marek Beylin, Marek Chimiak, Andrzej Jeleński, Marek Końka, Waldemar Kuczyński, Maciej Kwiatkowski, Piotr Marszałek, Włodzimierz Sibilski, Andrzej Stawicki, Jerzy Wocial, Marek Zieliński

Cela 7:

Józef Ruszar, Wojciech Celiński, Robert Terentiew, Bogusław Mozga, Bogumił Studziński, Henryk Dembrat, Aleksander Wiśniowski, Wiesław Węgliński, Piotr Małaszkiwicz, Konrad Małaszkiwicz, Grzegorz Lindenberg?

Cela 8:

Krzysztof Łypacewicz, Jerzy Brykczyński, Józef Chajn, Antoni Ludwikowski, Krzysztof Mordziński, Emil Morgiewicz, Zbigniew Pądzik, Stanisław Siemion, Tadeusz Skoczko, Józef Wilczyński

Cela 9:

Adam Michnik, Tomasz Rossa, Grzegorz Rossa, Marek Miecznikowski, Ryszard Sęk-Nowicki, Bogdan Pawlak, Piotr Mroczyk, Piotr Skurzyński, Rabanowski?, Ryszard Giza, Jan Jabłkowski, Marek Barański

Cela 10:

Henryk Trębacz, Mieczysław Kowalski, Kazimierz Wóycicki, Jan Chomicki, Andrzej Gorożankin, Tadeusz Stachnik, Krzysztof Klinger, Jarosław Goliszewski, Andrzej Ginsburg, Aleksander Janiszewski



Cela 11:

Piotr Wierzbicki, Jan Lityński, Marek Mazurek, Krzysztof Łazarski, Grzegorz Nowogórski, Saturnin Żurek, Bogusław Hołubek, Marcin Przybyłowicz, Adam Broziak, Włodzimierz Wypych, Stefan Melak

Cela 12:

Andrzej Celiński, Anatol Lawina, Wiesław Kracher, Stanisław Drabczyński, Edward Świątkowski, Józef Wojciechowski, Wojciech Gilewski, Witold Sielewicz, Piotr Amsterdamski, Janusz Cypryjak, Marian Srebrny

Cela 13:

Jarosław Guzy, Wojciech Czajkowski, Marek Borowik, Maciej Madeyski, Marian Hassa, Bogdan Sielewicz, Dariusz Mackiewicz, Zygmunt Gutowski, Andrzej Żurowski, Wiktor Nagórski

Cela 14:

Grzegorz Boguta, Sławomir Kretkowski, Krzysztof Juras, Roman Chęciński, Kazimierz Janusz, Jan Łojak, Andrzej Rosner, Tadeusz Szozda, Jan Mieszkowski?

Cela 15:

Bogdan Trąbiński, Stanisław Karpezo, Ryszard Jaworski, Andrzej Newelski, Krzysztof Paluszkiewicz, Czesław Perkowski, Bolesław Tęcza, Bernard Koleśnik, Roman Misztal, Janusz Krzyżewski, Konrad Bieliński, Maciej Rayzacher

Cela 16:

Piotr Waszul, Zbigniew Jabłoński, Józef Sopoćko, Eugeniusz Górski, Janusz Brodzik, Eugeniusz Łaski, Wojciech Marlikowski, Henryk Dalgiewicz, Andrzej Morek, Jerzy Otulakowski, Bogdan Grzesiak?

Cela 17:

Krzysztof Germański, Andrzej Czuma, Andrzej Jordan, Damian Kalbarczyk, Józef Kandys, Andrzej Jaworski, Tadeusz Borowski, Jan Moczulak, Piotr Domański, Wojciech Makowiecki, Sławomir Chojecki

Cela 18:

Andrzej Błasiak, Jerzy Krzysztof Borowicki, Jerzy Buława, Witold Chodakiewicz, Jan Dworak, Stanisław Hausner, Janusz Kondrasiuk, Stanisław Kujawa, Eugeniusz Obręczarek, Ryszard Olechnowicz, Stanisław Ugniewski, Mieczysław Górski

Cela 19:

Wiesław Molasy, Józef Tomczak, Jerzy Bielec, Jerzy Okipny, Wincenty Kazańczuk, Andrzej Skowron, Leszek Truchlewski, Wojciech Kamiński

Cela 20:

Piotr Topiński, Mieczysław Kaliński, Jerzy Szostak, Tadeusz Kostrzyński, Ryszard Rachwalski, Włodzimierz Żuromski, Krzysztof Strachalski, Andrzej Bulc, Jerzy Bieniaszewski, Ryszard Sikora, Andrzej Tysza, Andrzej Werner





Cela 21:

Wojciech Borowik, Jacek Polkowski, Jan Skórzyński, Edward Welcer, Andrzej Wierusz, Ryszard Herczyński, Władysław Gajewski, Jerzy Kalicki, Andrzej Róy, Stanisław Strokacz, Czesław Dwojak, Andrzej Polasik

Cela 22:

Adam Chrabąszcz, Wiktor Ćwiklik, Antoni Heda „Szary”, Aleksander Kociszewski, Mieczysław Jankowski, Jacek Knap, Tomasz Łubieński, Tomasz Umiński, Edmund Sałas, Juliusz Wiśniowski

Cela 23:

Henryk Bąk, Ludwik Chełmicki, Jacek Czaputowicz, Krzysztof Chrystowski, Mieczysław Grudziński, Marek Skuza, Janusz Sokulski, Marek Tabin, Antoni Zambrowski, Eugeniusz Garal, Eugeniusz Temkin, Romand Zimand

Cela 24:

Henryk Komorowski, Krzysztof Śliwiński, Jacek Świątek, Janusz Szpotański, Bronisław Komorowski, Eugeniusz Kościanek, Zbigniew Skudniewski, Lech Trusiński, Janusz Przewłocki, Jan Sobieszek, Marek Kossakowski

Cela 25:

Krzysztof Chmiel, Zbigniew Sarata, Edward Staniewski, Sylwester Olkowicz, Zbigniew Kokosza, Lech Przetacki, Przemysław Cieślak, Bronisław Geremek, Andrzej Reński, Franciszek Kosiński, Stefan Amsterdamski, Zbigniew Szadkowski?

Cela 26:

Jerzy Stasiak, Eugeniusz Kloc, Marek Karpiński, Wojciech Frąckiewicz, Ireneusz Gugulski, Zdzisław Hulewicz, Norbert Mastalerz, Piotr Ruszczewski, Jan Olszewski, Eugeniusz Lipszyc, Maciej Samsel?

Cela 27:

Ryszard Walczak, Dariusz Kupiecki, Tadeusz Nowicki, Andrzej Zozula, Wojciech Włodarczyk, Kazimierz Orlik, Marian Parchowski, Zdzisław Szpakowski, Zbigniew Knap, Jacek Szymanderski, Andrzej Drawicz

Cela 28:

Antoni Pawlak, Wojciech Majcherek, Franciszek Drzewiński, Adam Winiarczyk, Sławomir Borowski, Jarosław Potapowicz, Stefan Kawalec, Franciszek Wróblewski, Marek Trela

Jan Krzysztof Kelus

przepraszam i podaj dalej!

Piosenki białotopckie

Od autora Tak się złożyło, że od pewnego czasu już wymyślają mi się piosenki. Piosenka to wierszyk plus melodyjka, czasami jedno jest pierwsza, czasami drugie (czasami - i to jest najsłabsze - w ogóle nie da się nikiegogo pierwszeństwa ustalić. W każdym wypadku - wierszyk i melodyjka, działając wspólnie i we wzajemnym porozumieniu, staje się piosenką dokładnie w tym momencie, gdy ktoś ją zaśpiewa. Tak się również złożyło, że nie znamy ani jednej nuty. Dlatego walczyłem sobie z tym w ten sposób, że śpiewałem to co wymyśliło mi się - starałem się w miarę młotniście zbliżyć to za każdym razem tak samo. Dla pewności również nagrywałem piosenki na kasetę i muszałem je w szwiat. Jak wieszcy drugi sci- (tożem to głośniej z dźwiękiem. Także z płonoscia.

W związku z tymże, opisanyj proceduram znajduj się obecnie w "osrodku osobniczym" (paw. ul. 44, 45, 46, 47, 48, 49, 50, 51, 52, 53, 54, 55, 56, 57, 58, 59, 60, 61, 62, 63, 64, 65, 66, 67, 68, 69, 70, 71, 72, 73, 74, 75, 76, 77, 78, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 86, 87, 88, 89, 90, 91, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000).

Muszę więc coś z nimi zrobić. Teksty piosenek - same wierszami nie są. Jako wiersze nie bronią się - co najwyżej ktoś inny może je obronić wymyślając do nich melodyjkę i sporządzając z nich w ten sposób (składowo w imieniu i zastępstwie) piosenki.

Na to właśnie ogłaszam nieograniczony przetarg. Mogą w nim wziąć udział osoby cywilne i wojskowe, partyjni i bezpartyjni, awerscy i awerscy. Nagrodą może być pobyt w atrakcyjnych ośrodkach.

SNY LEKOWE W STANIE WOJNY. PIOSENKA W ODCINKACH

Odcinek 1 :

- wszystkim, z którymi siedziałem, w szczególności :
- R. Wierzale (dyrektorowi)
- Wiktorowi K. (zadzierejowi diamantowi)
- Piotrowi Mitzenowi (pacie)
- H. Wojcisi
- J. Oudzielniczowi (prywidcom związkowym)
- K. Wojcisi (praktycystom)
- J. Tobińcyzowi (agentowi MSW)

Nasze sny w stanie wojny jakies są zbyt dostojne trudno się w nich dotrzeć nadzaczem taki, ot - socrealizm zwykłe dniennie obawy syndykali nie trzeba tłumaczyć. Bo - na przykład - zasypiamy przytuleni. Nie wiem czemu często się mi się Twoje ciało a nie ciało ze snu kobiet. Brzomek. Do daw. Tomotanie - odjeżdżamy rozdzieleni przez tajniaków w milicyjnym radiowozie

Jak dworcowa porządkalnia niernormalnie wielka cela wprowadzają mnie. Poznały Chyba stolicy dwustu upłotyżen Wystąpił tych z którymi kładły choc przez jedną noc siedziałem po Komendach dzielnicowych i aresztach

VERTE



Jak Polak z Polakiem

Jan Strękowski

Plener. Ranek

Dziedziniec przed budynkiem MSW. Rakowiecka 2.

Do pracy idą esbecy. Jednym z wchodzących jest Zeniu.

Przechodzi przez wartownię w bramie.

Wartownik sprawdza mu dokumenty.

Nad bramą w łuku wielki napis:

TYLKO BEZPIEKA WYKIERUJE CIĘ NA CZŁOWIEKA.

(...)

Wnętrze. Dzień.

Schody i korytarze w budynkach MSW.

Zeniu zbiega szybko schodami na dół. Kiedy mija już toaletę męską przypomina sobie o czymś. Zawraca i wchodzi do magazynu. W otwartych drzwiach magazynu widzimy zestaw narzędzi wiszących na ścianach, jak pałki, łopaty, łomy, polewaczki ogrodnicze itp.

Wnętrze. Dzień

Korytarz w budynku MSW. Na drzwiach napis: BIURO DS.INTERNOWAŃ.

Ogromna kolejka chętnych, ktoś odczytuje z listy społecznej kolejny pseudonim przyszłego internowanego.

KTOŚ

Kubuś Extremista!

Z tłumu wychodzi chuderławy inteligent w drucianych okularach.

KUBUŚ EXTREMISTA

To ja!

KTOŚ

Dzisiaj pierwszy na liście. Przygotowuje się Turkuć Podjadek.

Zeniu nie niepokojony przez kolejkowiczów wchodzi do wnętrza biura. W rękach trzyma łom, czym wzbudza odpowiedni szacunek kolejki.



Wnętrze. Dzień
W biurze ds. internowań.
Zeniu siada przy biurku. Okienko przyjęć jeszcze jest zamknięte.
Siedząca przy sąsiednim biurku dziewczyna podaje mu coś, co przypomina z wyglądu katalog.

DZIEWCZYNA
Cenniki...

Zeniu zaczyna przeglądać cenniki, ale do okienka ktoś zaczyna stukać. Zeniu odsuwa szybkę.
Widzi pierwszego interesanta, czyli Kubusia Extremistę.

KUBUŚ EXTREMISTA
Wrona skona! Dzień dobry!

ZENIU
Dźźzdobry... Ccooo???

KUBUŚ EXTREMISTA
Wypuścić Lecha
Wsadzić Wojciecha!

ZENIU
(krzyczy)
Wariat! Wariat!

KUBUŚ EXTREMISTA
Nie wariat! Nie wariat!
Zima wasza wiosna nasza! Oto co!

ZENIU
Ot co?

KUBUŚ EXTREMISTA
Ot co! Chcę się dać internować! Ot co! In - ter - no - wać! (śpiewa)
Siekiera motyka smok wawelski przegra wojnę Jaruzelski...
I jak Irena... N jak Nikodem... T jak Teresa, E jak Ewa...





Zeniu przerywa mu.

ZENIU
Zaraz wezwę lekarza!

KUBUŚ EXTREMISTA
Po co mi lekarz! Panie władzo! Jestem zdrow jak ryba! Nadaję się nawet w Bieszczady! Taka miejscowość... Arłamów. Słyszałem, że Lechu sobie chwali...
A jakie dziś stawki?

ZENIU
(zrozpaczony krzyczy)
Za co?

KUBUŚ EXTREMISTA
(spokojnie)
No, ile kosztuje internowanie?

Zeniu rozgląda się bezradnie. Patrzy pytająco na koleżankę, która wzrokiem wskazuje mu katalog. Zeniu otwiera cennik i widzi kolumny nazw i cyfr: Darłówek ... Arłamów... Załęże... Białoleka... Łupków... Kwidzyń...

ZENIU
Jaką miejscowość szanowny ekstremista sobie życzy?

KUBUŚ EXTREMISTA
Gdyby były wolne miejsca, to najchętniej Białoleka. Blisko stolicy. Prędzej będzie wiza...

Zeniu sprawdza cenę.

ZENIU
Białoleka... Białoleka kosztuje... dwieście tysięcy.

Kubuś Extremista wyciąga spod koszuli wypchaną papierową torbę po cukrze. Wydobywa z niej plik banknotów.

KUBUŚ EXTREMISTA
Dwieście pięćdziesiąt. Reszty nie trzeba...



Płaci i odchodzi nucąc.

KUBUŚ EXTREMISTA
Zielona wrona
Dzióbek ma szamerowany...

(...)

Wnętrze. Ranek
Biuro ds. Internowań.
Przy biurku przed zamkniętym okienkiem Zeniu. Przekłada cenniki, otwiera pancerną kasetkę na pieniądze. Potem otwiera okienko.
Jako pierwszy pojawia się przy okienku jakiś sapiący Grubas. Zeniu niezbyt mu się przygląda, zajęty studiowaniem aktualnych cen internowań.

ZENIU
(machinalnie)
Szanowny pan sobie życzy? Wron...

GRUBAS
Wron won za Don! Cicha miejscowość. Najlepiej nad morzem. Z możliwością prędkiego wyjazdu. W grę wchodzi... Szwecja... Dania...

Zeniu przegląda wykaz miejscowości.

ZENIU
Może Gołdap? Nie... bliżej morza będzie Darłówek. Wrona do...

GRUBAS
Wrona do schrona! Czy po odsiedzeniu swego będę mógł zabrać za granicę rodzinę?

ZENIU
Oczywiście! Takie są przepisy! Kisz...

GRUBAS
Kiszczaki do paki! Dwa tygodnie w luksusowych warunkach, a potem adieu! Instytucja internowania to prawdziwe okno na świat! Generał Jaruzelski to jest dopiero gość! PZPR do ZSRR! Od kiedy i ile?





Zeniu zagląda do cennika.

ZENIU

Oczywiście, od zaraz. A ile? Niestety... Miejscowość luksusowa. To i koszty są odpowiednio wysokie. Milion!

Grubas wsuwa mu przez okienko otwartą dyplomatkę z grzecznie ułożonym milionem dolarów.

Zeniowi na ten widok oczy okrągłej ze zdumienia. Po chwili jednak przytomnieje i zamiast do kasetki wkłada pieniądze do swojej aktówki, stojącej przy biurku.

(...)

(fragm. powstałego w 1982 r. scenariusza dyplomowego, po złożeniu którego autor przestał być studentem łódzkiej szkoły filmowej)





Wojskowe Obozy Specjalne Czerwony Bór

Oprac. Leszek Jaranowski

„Mężczyzn skoszarowano po 50 w barakach. Barak to były trzy bydłące wagony. Takich baraków – gotowych na przyjęcie nawet 2 tys. ludzi – było kilkadziesiąt. W środku piecyk na drewno, który miał ogrzewać barak przy 15-stopniowym mrozie. [...] W nocy zaczęliśmy przymarzać do łóżek. Ci, którzy spali dalej od „kozy” zamieniali się na łóżka z tymi, którzy spali bliżej. Przy piecyku całą noc ktoś dyżurował, bo inaczej byśmy tam po prostu pomarli z zimna”.

Gdyby zapytać, z jakiego okresu pochodzą te wspomnienia, zapewne niewielu wiedziałoby, że jest to opis doświadczeń działaczy „Solidarności”, którzy w listopadzie 1982 r. trafili do Wojskowego Obozu Specjalnego w Czerwonym Borze. Ta nazwa, jak i sama informacja o istnieniu wojskowych obozów, w których więziono działaczy Solidarności nadal jest „białą plamą” stanu wojennego”.

Akta IPN 0236 / 263 tom 1

21 października 1982 roku dyrektor Departamentu V MSW w Warszawie płk. Józef Sasin wystosował do zastępców komendantów wojewódzkich MO do spraw SB pismo, w którym nakazał do 23 października 1982 roku wytypować osoby rekrutujące się głównie z dużych zakładów pracy, podejrzane o inspirowanie i organizowanie strajków i zajęć ulicznych, druk, kolportaż, łącznikowanie, a nie nadających się (czyt. z braku dowodów) do internowania lub zatrzymania.

29 października 1982 roku Departament III MSW sporządził wykaz osób wytypowanych do odbycia zasadniczej służby wojskowej lub ćwiczeń wojskowych. Tego rodzaju wykazy trafiły do kilkadziesiąciu WKU w całym kraju. Z powyższego wynika, że SB ściśle współpracowała z WSW.

Leszek Jaranowski — Czerwony Bór – nikt z nas nie wiedział, gdzie to jest. Na mapie, nazwa Czerwony Bór nie istniała. Co to za białe niedźwiedzie, jakieś takie? Potem się okazało, że to głęboko na północnym wschodzie. Między Łomżą, a Zambrowem. Poligon wojskowy.

Jarosław Szarek (IPN Kraków) — Pierwsze osoby do tych obozów trafiły przed ogłoszonym przez podziemne kierownictwo Solidarności na 10 listopada 1982 roku strajkiem generalnym, który miał być odpowiedzią na delegalizację „Solidarności” przez ówczesny Sejm PRL. Potem były również gorące daty: pierwsza rocznica stanu wojennego 13 grudnia, kolejna rocznica wydarzeń grudnia 1970 na Wybrzeżu, rocznica strza-





łów pod kopalnią „Wujek” 16 grudnia. Władza przewidywała, że te daty, te rocznice będą w jakiś sposób momentem aktywniejszej działalności „Solidarności”. Chcąc się przed tym zabezpieczyć, a nie chcąc przeprowadzać aresztowań, wykorzystano te obozy wojskowe, żeby odizolować ludzi.

Leszek Jaranowski — Jak się znalazłem na dworcu, sprawa zupełnie się wyjaśniła. Patrzę, stoi multum ludzi młodych, wszyscy do tego samego pociągu wsiadają. Wysiedliśmy w Czerwonym Borze, dołączyli do nas ludzie z innych miejscowości. Okazało się potem, że w zasadzie byli z całej Polski. Potężny teren, poligon wojskowy, czołgowisko, obrośnięte lasem. Dla kogoś, kto nie zna terenu, żadnego ogrodzenia nawet nie trzeba było – nie wiedziałby, w którą stronę iść i jak długo, bo to wielkie, potężne przestrzenie. Potężne lasy i nic w koło.

Kazimierz Łapczyński — Z Krakowa jest nas dokładnie 123 osoby, głównie z Huty. Część osób z „Solidarności”, tej sprzed stanu wojennego. Część osób, które były wcześniej internowane i wypuszczone. Biorą ich po wypuszczeniu po dwóch tygodniach. Są tam podoficerowie, oficerowie i osoby, które nigdy nie były w wojsku. Jedna osoba poruszała się o kulach. Na stołówkę mamy około 3 kilometry, więc ta osoba robi około 18 kilometrów dziennie.

Leszek Jaranowski — Człowiek podpierał się laską, wyraźnie utykał. Jeden z nich nie miał trzech palców. Co to za wojsko?

Adam Siatka — Dwie trzecie stanu osobowego to byli ludzie, którzy nie mieli za sobą wcześniejszej służby w wojsku.

Kazimierz Łapczyński — Jesteśmy zakwaterowani w wagonach towarowych. To jest dla nas przyszykowane i jeszcze nie wykończone. Obite deskami, przykryte eternitem falistym. Jest bardzo ciasno, w koło są piętrowe łóżka. Dla jednej osoby było jakieś 50 do 60 cm miejsca. Nie można się było ubrać. Przesłuchiwani jesteśmy cały czas przez Wojskowe Służby Informacyjne „Czerwonych Beretów”.

Adam Siatka — Przedstawiono nas tam troszkę inaczej. Naszym dowódcą powiedziano, że mają do czynienia z jakimś elementem przestępczym, z kryminalistami z jakimiś tam wyrokami.

Leszek Jaranowski — Przebrali nas. Ostrzygli paskudnie, bardzo wysoko. Pagonów nam nie dali. Większa część osób zamkniętych w tym Czerwonym Borze to byli żołnierze, którzy już mieli jakieś stopnie wojskowe.

Adam Siatka — Miałem specjalność wojskową, byłem łącznościowcem. Zostałem „zaproszony” do zrobienia łączności telefonicznej między tym obozem, a jednostką macierzystą, która w odległości około trzech kilometrów była od tego obozu. Nawiasem mówiąc, dowódca tej jednostki to był członek Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego. Bliski współpracownik generała Jaruzelskiego.

Leszek Jaranowski — Próbowali nas szkolić. Śmiech z tym całym szkoleniem. Oni chcieli, myśmy się nie dawali – to normalna sprawa. Próbowali nam robić tzw. szko-





lenia polityczne. Bardzo szybko z tych szkoleń zrezygnowano, bo ciężko się z nami rozmawiało.

Adam Siatka — Wielką głupotą było robienie ze wszystkich saperów. Każdy się z tego śmiał. Jak można zrobić z chłopaka, który nigdy nie był w wojsku, od razu sapera. Były ćwiczenia z tymi minami, oczywiście atrapami, z tym, że istniało takie niebezpieczeństwo, że w każdej chwili ktoś może zamienić. Może stać się jakaś tragedia.

Kazimierz Łapczyński — Na drodze są ustawione posterunki, żeby nikt tam nie dojechał. Rygor typowo wojskowy. Budują nami drogę ze śniegu donikąd. Łopaty, gułag taki polski. Taczki i ze śniegu budujemy drogę przez poligon wojskowy. Pisałem zażalenie do Głównego Zarządu Wojska Politycznego, z tego względu, że tam są łamane wszelkie regulaminy. Bo regulamin jest między innymi taki, że podoficerowie, oficerowie mogą pracować w wojsku, ale tylko z równymi sobie stopniem. Nie mogą pracować z szeregowcami. To wszystko zostało złamane. Pozbawieni jesteśmy pójścia do kościoła. Konstytucja to zapewnia.

Adam Siatka — Wyprowadzanie w nocy w samych tenisóweczkach do lasu za to, że śpiewaliśmy pieśni w naszych domkach. Czyli byli oficerowie naprawdę gorliwi, którzy wierzyli w to, co robią.

Kazimierz Łapczyński — Nie było żadnego kontaktu z rodzinami. Nie było wiadomo gdzie jesteśmy.

Adam Siatka — Miałem pierwsze odwiedziny całkiem przypadkowo. Rodzina do mnie przyjechała, bo nie były jeszcze rogatki zorganizowane. Obóz się dopiero organizował. Podjechali pod same domki dużym fiatem. Moja żona pochodzi z Mrągowa na Mazurach i stamtąd jej siostry z mężami, wsiedli w auto i przyjechali do mnie. To widzenie się odbyło w asyście oficera z kontrwywiadu. Od razu im oznajmiono, żeby więcej się nie wybierali, bo i tak nie zostaną wpuszczeni. Nie było praktycznie żadnych odwiedzin do momentu, kiedy przyjechał ks. Władysław Palmowski.

Kazimierz Łapczyński — To było po około trzech tygodniach naszego tam uwięzienia i nie wiem skąd się udało księdzu Palmowskiemu skombinować autobus PKS-u. Przyjechały do nas rodziny. Posterunki, które były ustawione na drodze. Szlaban. Wojsko pod bronią. Podnieśli ten szlaban, bo myśleli, że to jedzie kursowy autobus i wpuścili. Oni wjechali na teren obozu. Z autobusu wyspały się żony, wyspały się małe dzieci. Zapanowała panika. Do mnie jeden z oficerów mówi, że tak nie można. Ja mówię mu – panie, wie pan co mówią w Krakowie? Że mamy gorzej niż w Oświęcimiu, niech zobaczą jak to wygląda. Nie zapanował nad sytuacją. Trudno było strzelać do dzieci. Na koniec po odwiedzinach ks. Palmowski udzielił błogosławieństwa. Jeden z oficerów się przeżegnał. Na drugi dzień już go nie było.

Leszek Jaranowski — Ksiądz Palmowski był dwa razy z taką samą „wycieczką”, ale zdarzały się też inne sytuacje. Żołnierze, którzy nas pilnowali i pierwotnie byli uprzedzeni, że jesteśmy nierobami, cinkciarzami – siłą rzeczy też młodzi ludzie – w rozmo-





wach bezpośrednich przekonywali się, że jesteśmy normalnie pracujący. Jak umieli, tak pomagali. Grypsy wynosili.

Kazimierz Łapczyński — Był tam jeden z lekarzy. W Wigilię składaliśmy wszystkim życzenia. Między innymi tym, co nas pilnowali. Pamiętam, powiedział, że miał być lekarzem wojskowym, a teraz jest klawiszem. Żał mi było tego chłopaka – poszedł do kąta i płakał jak małe dziecko. Nie wytrzymał psychicznie. Odszedł. Byli między nami tacy, którzy donosili, tacy szpicle. U nas była wyrwana podłoga i w piasku przechowywaliśmy materiały do druku. Chowaliśmy tam też radio. Kiedyś zaspaliśmy i nie chcieliśmy odrywać tej podłogi, żeby wszyscy nie widzieli, gdzie jest ta nasza skrytka. Więc schowaliśmy radio pod piecyk zakopując w piasku. Oni przyszli, ustawili nas w dwuszeregu. Wykrywaczem do min przeglądnęli cały obóz. Znaleźli nasza „drukarnię”. Niesiono ją jak zdobycz wojenną. Radia nie znaleźli, zostało do końca.

Leszek Jaranowski – Ważnym dniem był dzień 10 listopada. Postanowiliśmy, że skoro jest strajk ogólnopolski – to my zrobimy protest głodowy. Okazało się, że jest to wielkie przestępstwo. Nie wolno czegoś takiego robić. Żołnierz nie ma prawa odmówić jedzenia, bo osłabia obronność kraju?! Wyglądało to tak. Podchodziliśmy do okienka. Pobieraliśmy jedzenie. Siadaliśmy przy stoliku. Łyżką się pomerdało w tej całej zupie, w tej bryi. Po czym się wstawało i odnosiło pełny talerz do okienka. Manifestacja się z tego zrobiła – czterysta parę osób. WSW przyjechało, wyciągali nas. Ustawili nas w szeregu – awantura. Straszili nas aresztem, że odmowa rozkazu, bo jedzenie w wojsku traktowane jest jak rozkaz. Czterech chłopaków wybrali – chłopaki przyznali, „ja nie jadłem” – i mieli problem z głowy. Oni wiedzieli, że myśmy wszyscy nie jedliśmy, ale ukarać się wszystkich nie da. Zabrali ich do aresztu. Sprawa wojskowa. Proces sądowy. W okresie stanu wojennego zaostrome to wszystko jest. Przynajmniej teoretycznie, wchodzi w rachubę kara śmierci. Obrona w zasadzie też była absurdalna. Koledzy wyszli na podstawie tego, że jeden miał wrzody na żołądku, że jedzenie nie było przystosowane. Jednym z głównych argumentów było to, że ludzie przed pobraniem posiłku nie mieli możliwości umycia rąk. Śmieszne, jak się opowiada po czasie.

Leszek Jaranowski — Wypuszczono nas generalnie wszystkich naraz, poza paroma ludźmi, którzy próbowali podczas pobytu w obozie – jak to się mówi po wojskowemu – samowolnie się oddalać poza teren i otrzymywali kary aresztu. Musieli „dostażyć”.

Leszek Jaranowski — Tego Czerwonego Boru już nie ma. Zlikwidowali go. Nie ma śladu po tym. W „nowych czasach” byli chłopcy u Wałęsy, więc przy okazji starali się coś z tym fantem zrobić. Żeby świat się dowiedział, że były wojskowe obozy specjalne. Wałęsa oczywiście obiecał. Świat się o tym nie dowiedział. Nic się w tym kierunku nie działo. Wojsko już nie ma z tym nic wspólnego. Poligonu tam nie ma. Tych domków też nie ma.





Ewa Szkurlat — Czy w zasobach IPN-u są jakieś ślady działalności tych specjalnych obozów wojskowych?

Jarosław Szarek — Z tego co się orientuję w tej chwili raczej tych śladów jest bardzo niewiele. Ponieważ dokumentacja dotycząca powoływania działaczy „Solidarności” na ćwiczenia wojskowe, była w gestii wojska. Ta dokumentacja znajduje się w poszczególnych okręgach wojskowych. Wiemy już dzisiaj, że tę formę represji zaczęto stosować jesienią 1982 r., gdy było wiadomo, że obozy internowania zostaną zlikwidowane. Stosowano tę formę represji do lutego 1983 r. Działaczy „Solidarności” z Małopolski kierowano do Czerwonego Boru, ale był obóz również w Chełmnie, przez który przewinęło się około 300 osób. Wiemy, że taką formą powołania działaczy „Solidarności” na ćwiczenia wojskowe objęto około 1500 działaczy.

Leszek Jaranowski — Ja myślę, że to jest bardzo niewygodny temat – zarówno dla dzisiaj rządzących jak i wtedy. W końcu to wojsko. Wojsko przejęło rolę obozów internowania. Doszła do nas informacja – jeszcze tam w obozie – że jesteśmy Wojskowym Obozem Specjalnym nr 6. Odpowiedź z MON-u na nasze zapytanie o dokumenty dotyczące obozów wojskowych jest wymijająca: „wszystkie dokumenty zostały odtajnione i przekazane do archiwów IPN”. Na powtórne nasze zapytanie o ujawnienie naszych dokumentów odpowiedź z MON-u brzmiała podobnie: „wszystkie dokumenty zostały odtajnione i przekazane do archiwów IPN poza tymi objętymi klauzulą 30 i 50 tajności”. Trzydzieści lat mija za rok – ciekawe, co odtajnią? – bo tych najciekawszych objętych klauzulą 50-letnią to już nigdy nie obejrzymy.

Adam Siatka — Na pewno są w strukturach wojskowych jeszcze ludzie, którzy są za to odpowiedzialni. Za to, że nam stworzyli tam takie trzymiesięczne piekielko.

(Bibuła 9/2011)





Oleszno – Czerwony Bór – Kępa Panieńska

Józek Śreniowski

13. grudnia 1981 r., poza znanymi bliżej ponad 50 ośrodkami internowania z reguły w wydzielonych częściach więzień PRL, powstał jeszcze jeden – dotąd bliżej nieznanymi. Obóz w Olesznie (pow. drawski). Mógł stanowić prototyp obozów wojskowych, jakie władze polityczne zdecydowały się utworzyć po delegalizacji „Solidarności”, zamiennie z istniejącymi wówczas jeszcze ośrodkami internowania – rzecz można – cywilnego.

Staralem się zebrać informacje o Olesznie, ale doznałem niepowodzenia. Wszystko więc, co o nim powiem, dopóki nie znajdą się źródła, na których wiedzę o tym ośrodku będzie można oprzeć, stanowi zdania warunkowe. Ponawiane apele do osób, które tam przetrzymywano albo tych, które próbowały wówczas bliskich odwiedzić, pracowały w tym ośrodku lub wiedzą bliżej, jak funkcjonował – spotkało milczenie. Jakby nikt tam się nie znalazł. Jeden z mieszkańców Drawska, kierowca ciężarówki, mówił, że z trasy pamięta, że ośrodek był poza samym Olesznom – w Konotopie, koszarach i strzelnicy podległej jednostce wojskowej w Olesznie. Wspominam o tym na wstępie, ponieważ w pozostałych ośrodkach internowania (odosobnienia – pisano niekiedy) strażę pełniła służba więzienna, a kuratelę nad całością sprawowała SB. W Olesznie natomiast, ośrodku wojskowym, służby więziennej nie było, tylko żołnierze WSW oraz oficerowie kontrwywiadu (tej służby). Jedyne pewny ślad po ośrodku znajduje się w Raporcie o likwidacji WSI na s.77 (<http://www.raport-wsi.info/str.77>).

Nie wiemy jak ten test wojskowym wówczas wypadł i czy tylko nastawieni byli na oswojenie internowanych z sytuacją stanu wojennego, czy bardziej chodziło o rozpracowanie ofiar i próby werbunku. Bliższa, oparta na źródłach, odpowiedź na pytanie o to, co się działo w tym czasie za murami ośrodka w Olesznie, mogłaby przybliżyć zrozumienie działań prowadzonych rutynowo albo wrywkowo wobec prawie półtora tysiąca działaczy „Solidarności” zabranych „na szkolenie” od listopada 1982 do lutego 1983 w wielu ośrodkach wojskowych w kraju, nie licząc ponad dwustu wcielonych z tego samego powodu do służby zasadniczej. Przybliżyłaby zapewne powody, dla których z eksperymentu Oleszno zrezygnowano, wywołując osadzonych w Konotopie mężczyzn.

Trzeba zauważyć, że warunki przebywania w ośrodku internowania w Olesznie były najpewniej jak w inkubatorze – w porównaniu z wojskowymi obozami specjalnymi, utworzonymi blisko 11 miesięcy później w jednostkach i poligonach w Czerwonym Borze, Chełmnie – na Kępie Panieńskiej, Rawiczu, Czarnem, Unieściu, Wędrzynie, Budowie i innych dotąd nie opisanych bliżej miejscach.





Rządzący generalowie, nie mogąc dłużej więzić w trybie administracyjnym a nie sądowym, pragnąc jednak oznajmić światu, że odeszli od tych nadzwyczajnych środków wielkodusznie zawieszając z upływem roku 1982 stan wojenny w kraju, dokonali „literackiego zabiegu” – jak był łaskaw rzecz nazwać przesłuchiwany przez prokuraturę IPN świadek Wojciech Jaruzelski – i zastąpili zwykłe obozy dla internowanych wojskowymi, by poborowych i rezerwistów wyszkolić. Obozy miały na celu odizolować ekstremę przed spodziewanymi na 10 listopada wystąpieniami ulicznymi i strajkami po delegalizacji Związku „Solidarność” ogłoszonej 8 października 1982. Być próbą złamania charakterów powołanych na nie działaczy, poddania ich socjalistycznej resocjalizacji przez pracę i politgramotę, wychowania przez nadludzki wysiłek, narażanie zdrowia i życia. Za oczekiwane dobre rezultaty tej zimowej szkoły wojsku należała się wdzięczność, skoro niektórzy dowódcy zwracali owemu wojsku uwagę, że „za płotem jest rosyjski poligon, a obóz to – do czasu – ochrona przed wywózką czy likwidacją”. To są zapamiętane przez niejednego cytaty z Chełmna czy Czerwonego Boru. Obozy pozwoliły równocześnie objąć izolacją kolejne setki działaczy, nie mieszczących się już w dotychczasowych ośrodkach odosobnienia i przedłużyć istnienie tych instytucji (hucznie rozwiązywanych do grudnia 1982 włącznie) aż do lutego 1983. Było to nieobwieszczone zwycięstwo propagandowe „liberalizującej rygory stanu wojennego” władzy. Dlatego obozy zostały inteligentnie ukryte pod nazwą szkoleń wojskowych.) Zamieszczona w tym samym zeszycie „Bibuły” relacja Leszka Jaranowskiego świetnie obrazuje realia jednego z takich obozów (http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=L00110_Leszek_Jaranowski).

Autor rozmawiał z jednym z internowanych, Andrzejem Niedbałą, który miał wcześniej za sobą pobyt w cywilnym obozie internowanych w Łowiczu (maj – lipiec 1982). To był wojskowy radiotelegrafista po służbie czynnej w lotnictwie marynarki wojennej, działacz podziemnej „Solidarności” szczebla zakładowego (Przędzalni Czesankowej „Polanil” w Łodzi) i ponadzakładowego (MKS w tym mieście) (http://www.slownikniezalezniidlakultury.pl/lo dz/index.php?page=wysyp_l&sel=N&klucz=7). Gdy trafił w trybie nagłym na szkolenie do jednostki w Chełmnie, pierwsze czynności, jakie wobec szkolonych podjęło wojsko uprzytomniły mu, że nie znalazł się w prawdziwym wojsku i nie zabrano go na szkolenie przypadkiem. Ludzie przyjmowali różną taktykę słysząc od oficerów, że nie są społeczeństwu potrzebni i będą w obozie trzymani, by zmienili spojrzenie na sytuację, poczuli izolację lub mogli wrócić do cywilnego życia, gdy się zresocjalizują. Mój rozmówca wybrał odpowiedź równie otwartym tekstem meldując się któregoś dnia: „Zapluty karzeł reakcji starszy szeregowy Niedbała”, na co oburzony oficer polityczny krzyknął: „Wy wiecie co to jest zapluty karzeł reakcji?”. „Tak jest” – padła odpowiedź. Taki wybór przerywał grę pozorów i gwarantował, że człowiek będzie traktowany bez ulg przez przełożonych. Byli oni zresztą zwiezieni z rozmaitych garnizonów Pomorskiego Okręgu Wojskowego, wielu oficerów z jednostki





w Podjuchach, inni – miejscowi, jeden nawet z Łodzi. Nie znali się w roli kadry i nie mieli do siebie zaufania, za to dostali dokładne wytyczne i podlegali kontroli wojskowej na równi z kuratelą WSW i SB. Uczestników obozu kontrolowali z podsłuchów, doniesień agentury zainstalowanej pomiędzy rezerwistami, głównie wśród obozowej kadry. (TW o kryptonimie „Porzeczką” i inne ziółka), starając się z jednej strony rygorystycznie egzekwować regulamin wojskowy, z drugiej – zadania polityczne, wychowawcze i werbunkowe stawiane przez politruków i oficerów kontrwywiadu wojskowego i policyjnego.

„Mieli nas zapuszkowanych. Nie musieli szukać, mieli wszystkich w garści. I właściwie tacy, którzy >>uniknęli<< dalszej służby to byli ci, których nocą SB zabierała do śledztwa, na przykład do Słupska. Mogli nas sponiewierać przez te miesiące i folgowali sobie. Byli wyposażeni w wiedzę, że trzymają niebezpiecznych przeciwników ustroju i trzeba im dać szkołę, i fizyczną i propagandową. Były jakieś granice, których niektórzy z oficerów starali się nie przekraczać a inni – wykonując rozkazy – narażali życie niektórych podkomendnych, a zdrowie – wszystkich. Na uraz kręgosłupa deska do prasowania pod plecy, a nie kontakt z lekarzem. A takie urazy następowały raz po raz przy pracach pontonowych wykonywanych gołymi rękami...” – wspomina Andrzej Niedbała.

W przypadku „wojskowych obozów specjalnych” z przełomu 1982/1983 mamy do czynienia z czymś jak tworzenie niewielkiego sowieckiego skansenu albo wręcz łagru w kilkadziesiąt lat po śmierci Stalina. Na szczęście na czas trzech miesięcy – nie dziesięcioleci. Internowani tam mężczyźni przeżyli podwójny szok. Jedni – pierwszy raz za drutami – zobaczyli, czym jest władza, kiedy nie liczy się z obywatelami, poddając ich socjalistycznej resocjalizacji. Doświadczyli jednak więcej. Przeżyli szok widząc, czym potrafi być wojsko w robotniczym państwie w takiej szczególnej sytuacji. Jak bez trudu to samo wojsko, które znali z wcześniejszych doświadczeń, kreuje wroga klasowego (z robotników) i jak go bez ceregieli „wychowuje”. Podstawową stroną roszczeń tych ludzi powinno być wysokie zadośćuczynienie, a nie odszkodowanie za straty materialne. Przeżycia każdego z nich, stres jakiego doświadczyli oni sami i rodziny, są różne. Często ekstremalne i nie można się z nich otrząsnąć latami.

Podstawowy problem, jest po stronie nas wszystkich, którzy nie byliśmy w „wojskowych obozach specjalnych”. Ci żołnierze zostali sami. Ustawodawca wyłączył ich przypadki z ustawy odszkodowawczej i nikt z internowanych, którzy mogli z niej korzystać dotąd, nikt z więźniów politycznych i innych kategorii osób represjonowanych nie upomniął się znacząco o równe prawo tych naszych kolegów, których LWP szkoliło po delegalizacji „Solidarności”. Jak mówi jeden z nich, przytaczając opinię senatora (wówczas), Jana Rulewskiego: „tort został dawno podzielony i raczej trudno dziś coś zmienić” –parlamentaryzista rozkładał ręce (<http://www.13grudnia81.pl/sw/inteligentna-formaint/9526,Inteligenta-forma-internowaniaquot.html>).

(Bibuła 12/2014)





Geta grafika na „Trybunie Ludu” i nie tylko...

Szczepan Rudka

Eugeniusz Get-Stankiewicz plastyk – grafik, rysownik i miedziorytnik to jeden z najwybitniejszych polskich artystów. Jak napisała Monika Małkowska w jednym ze swoich artykułów: „Sprzeciwiał się socjalizmowi ironią, żartem oraz... perfekcyjną robotą”. Jednym z dzieł, które dobrze oddają tę postawę, była grafika „Superman”, wykonana w 1976 roku. Artysta sparafrazował w ten sposób propagandowy plakat Włodzimierza Zakrzewskiego „Partia” z roku 1968. Przedstawiał on robotnika dzierżące koło sterowe, symbolizującego siłę i przywództwo Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, sprawującej dyktatorską władzę w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. W późniejszym czasie – zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego – odnosił się do niego działający w konspiracji wydawcy. Zaczepniętą z niego sylwetkę robotnika – np. wykonującego „gest Kozakiewicza” – wykorzystywali w wydawnictwach antykomunistycznych, takich jak ulotki, plakaty, znaczki a także oznaki.

Po Sierpniu '80 artysta wykonywał między innymi zlecenia działaczy NSZZ „Solidarność”. Był wśród nich plakat oraz oznaka dla członków Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”, utworzonego w roku 1981. Artysta wykonał je tuż po powstaniu tej organizacji i na obu tych artefaktach występował identyczny znak graficzny. Było to połączeniem krzyża – nawiązującym do tradycyjnej religijności rolników – z kłosem zboża, będącym najbardziej rozpoznawalnym symbolem pracy na roli. Brał też udział w Aukcji Plastyki – Solidarności, zorganizowanej 5 kwietnia 1981 roku przez Związek Polskich Artystów Plastyków we wrocławskiej Galerii Na Solnym. Wydarzeniu temu artysta poświęcił plakat z dwoma krukami. Jeden z nich jest biały, drugi czerwony, siedząc obok siebie tworzą parę w narodowych barwach.

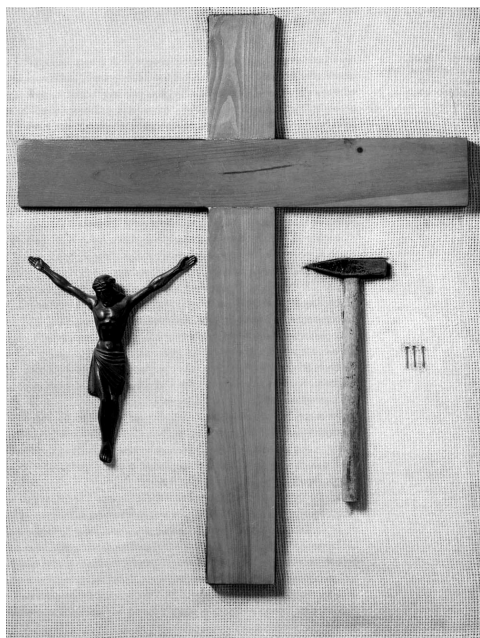
Reagując na wprowadzenie stanu wojennego, 3 stycznia 1982 r. stworzył grafikę „M.B.Cz. 82”. Przedstawia Matkę Boską Częstochowską w czerni i na takim samym tle, okaleczoną dwoma cięciami, które mają narodowe barwy. Jej wizerunek – patronki Polski – często wykorzystywali twórcy związani lub sympatyzujący z antykomunistyczną opozycją. Bardzo popularne były oznaki i medale, zwłaszcza w 1982 r., kiedy obchodzono Jubileusz 600-lecia obecności Cudownego Obrazu Matki Bożej i założenia Klasztoru Paulinów na Jasnej Górze.

W tym samym roku artysta stworzył cykl grafik „Ośrodek doskonalenia kadr”. Motywem je łączącym była czerwony kolor i w tej samej barwie gwiazda. Elementy te są najczęściej kojarzone z komunizmem. Jedną z prac artysta poświęcił Pawlikowi Moro-





zowowi. Zasłynął on z tego, że doniósł na własnych rodziców i stał się ikoną radzieckiej organizacji młodzieży Komsomol. Twórcę docenił w tym czasie Komitet Kultury Niezależnej „Solidarności”, który przyznał mu nagrodę kulturalną za lata 1981–1982. Artysta otrzymał ją za wykonany w 1976 roku asamblaż. To prowokujące do głębokiej refleksji dzieło składa się z płótna, do którego przymocowano prosty drewniany krzyż, figurkę ukrzyżowanego Chrystusa, trzy gwoździe oraz podpis „zrób to sam / do it yourself”.



*Asamblaż „Zrób to sam”,
zbiory Muzeum Narodowego
we Wrocławiu*

Zamordowanie przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa księdza Jerzego Popiełuszki wstrząsnęło znaczącą częścią społeczeństwa. Artysty związani z antykomunistyczną opozycją lub jej sprzyjający w reakcji na to wydarzenie zorganizowali zbiorową wystawę „Przeciw Złu, Przeciw Przemocy”, dedykowaną zabitemu kapłanowi. Ekspozycję otwarto w lutym 1985 roku, tuż po zakończeniu procesu jego morderców, w kościele św. Maksymiliana M. Kolbego w krakowskich Mistrzejowicach. Później, w tym samym roku, trafiła

do parafii w Podkowie Leśnej i Zielonce. Eugeniusz Get-Stankiewicz poświęcił temu morderstwu dwie prace. Powstały one na prośbę Jerzego Ryby, wrocławskiego twórcy, krytyka i animatora kultury związanego z antykomunistyczną opozycją. Pierwszą z nich była grafika. Na stronę gazety sitodrukiem naniesiono tekst informujący o wystawie oraz grafikę przedstawiającą flagę Polski i wkomponowaną w nią przypominającą Chrystusa postać dźwigającą krzyż, symbolizującą mękę, której doświadczył także ksiądz Jerzy Popiełuszko. Gazetą, której strony artysta wykorzystał do wykonania kolażu, była „Trybuna Ludu”, ogólnopolski dziennik wydawany przez Centralny Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Toczył się wówczas w Toruniu proces morderców ks. Jerzego Popiełuszki i na łamach tego czasopisma ukazywały się teksty go dotyczące. Były one zgodne z narracją komunistycznego reżimu, odpowiedzialnego za to zabicie, starającego się ukryć mocodawców morderców oraz wzbudzać niechęć do kościoła.





Do wykonania tej pracy artysta starał się wybierać te strony z gazety, na których wydrukowane były artykuły mówiące o procesie oraz okolicznościach z nim związanych. Informację o wystawie razem z grafiką drukowano bezpośrednio na nich. Tak skomponowana grafika bardzo dobrze oddawała intencje autorów wystawy. Wymowa grafiki Geta-Stankiewicza kontrastowała z komunistyczną propagandą, przedstawiającą w krzywym zwierciadle sylwetkę bohaterskiego kapłana. „Trybuna Ludu”, oprócz radia i telewizji, najważniejszym nośnikiem tej propagandy.

Powstało około 300 egzemplarzy tej pracy. Jak wspomina brat artysty Janusz, który wspomagał artystę, całe przedsięwzięcie wymagało nabycia kilkuset egzemplarzy gazety. „Trybuna Ludu” nie cieszyła się popularnością wśród osób nabywających prasę.



Osoba, która chciała kupić większą ilość tego czasopisma w jednym miejscu, zwróciłaby uwagę. Artysta oraz jego brat, chcąc tego uniknąć, kupowali w każdym kiosku tylko kilka egzemplarzy periodyku. Obok sporego wysiłku wiązało się to też z niełatwymi emocjami.

Druga z grafik Eugeniusza Geta-Stankiewicza prezentowana na wspomnianej wystawie, ma mniejsze wymiary. Również wyobraża postać przypominającą Chrystusa dźwigającego krzyż. Całość przedstawiona jest w narodowych barwach na czarnym tle.

*„Przeciw Złu, Przeciw Przemocy”
druga z serii grafika Eugeniusza
Geta-Stankiewicza.*

Wystawę eksponowano na terenie parafii rzymsko-katolickich, co było wynikiem sytuacji powstałej po wprowadzeniu 13 grudnia 1981 r. stanu wojennego. Rozpoczął się wówczas bojkot państwowych galerii, trwający praktycznie aż do wyborów 4 czerwca 1989 r., a plastycy przenieśli swoje prezentacje do miejsc nie kojarzących się z władzą. Malarz Marek Sapetto zainicjował akcję „Walizka”, polegającą na organizowaniu wystaw w prywatnych pracowniach, mieszkaniach lub przestrzeniach publicznych, na przykład w parkach. Eksponowane tam prace nie mogły mieć większych rozmiarów niż walizki, w których je





przynoszono. Dzięki temu w jednym neseserze mogły zmieścić się eksponaty tworzące całą wystawę. To zaś bardzo ułatwiało organizowanie takich pokazów.

Przed niezależnymi twórcami swoje podwoje otworzył Kościół katolicki, który bardzo liberalnie podchodził do twórczości artystów, którzy zdecydowali się z nim na współpracę. Nurt ten przybrał znaczne rozmiary, stając się znaczącą konkurencją dla oficjalnych przedsięwzięć kulturalnych. Oblicza się, że na terenie parafii swe prace wystawiało około 1700 artystów. Ich dzieła poznało tysiące widzów. Dzięki temu też powstało kilkadziesiąt galerii, które obok wystaw prowadziły działalność wydawniczą, związaną najczęściej z organizowanymi ekspozycjami (przede wszystkim plakaty, ulotki i katalogi). Organizowano też sesje popularno-naukowe.

„Mojżesz 84” to grafika, którą artysta prezentował na wystawie „Droga i Prawda”, otwartej 20 czerwca 1985 r. w kościele Świętego Krzyża we Wrocławiu. Przedstawia ona postać samego artysty naśladującego Mojżesza, trzymającego tablice w barwach narodowych z dziesięcioma przykazaniami. Można to odczytać jako aluzję do braku ich przestrzegania przez ówczesny reżim i potrzeby ich przywrócenia, czego domagał się autor tego dzieła.

Eugeniusz Get-Stankiewicz pozostawił po sobie bardzo bogatą spuściznę artystyczną. Wspomniane wyżej dzieła stanowią niewielką część jego dorobku. Mimo ich wysokiego poziomu artystycznego, nie są szerzej znane. Ich wymowa nie pozostawia wątpliwości co do tego, jak artysta oceniał stosunki panujące w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Mimo ich negatywnej oceny nie angażował się bezpośrednio w działalność opozycji antykomunistycznej, z którą sympatyzował. Poświęcił się przede wszystkim artystycznej twórczości.



Plakat Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego Rolników Indywidualnych „Solidarność”



Sąd Wojewódzki w Toruniu ogłasza wyrok:

Przeciw złu przeciw przemocy

WYSTAWA DEDYKOWANA PAMIĘCI KS JERZEGO POPIELUSZKI

7 km. Sąd Wojewódzki w Toruniu ogłosił wyrok w sprawie o uprawienie nielegalnego pobytu.

Sąd w sprawie uprawienia nielegalnego pobytu w mieszkaniu w Toruniu ogłosił wyrok. Wyrok w sprawie o uprawienie nielegalnego pobytu w mieszkaniu w Toruniu ogłosił wyrok. Wyrok w sprawie o uprawienie nielegalnego pobytu w mieszkaniu w Toruniu ogłosił wyrok.

Wystawa poświęcona pamięci ks. Jerzego Popiełuszki. Wykres przedstawia sylwetkę człowieka z krzyżem na plecach, symbolizującą męczeństwo.

Wystawa poświęcona pamięci ks. Jerzego Popiełuszki. Wykres przedstawia sylwetkę człowieka z krzyżem na plecach, symbolizującą męczeństwo.

Wystawa poświęcona pamięci ks. Jerzego Popiełuszki. Wykres przedstawia sylwetkę człowieka z krzyżem na plecach, symbolizującą męczeństwo.

Przeciw złu, przeciw przemocy. Tekst główny artykułu, który jest częściowo zasłonięty przez tytuł.

Przeciw złu, przeciw przemocy. Tekst boczny artykułu.

Grafika dotycząca ekspozycji poświęconej pamięci ks. Jerzego Popiełuszki, wykonana na stronie siódmej „Trybuny Ludu” z 8 lutego 1985 roku. Znany jest też egzemplarz tej pracy powstały na stronie tej gazety wydanej trzy dni wcześniej.



bibula

Zielony nosek i inne opowiadania

139







Norbert Pietrzak 1957 – 1985

Norbert Pietrzak urodził się w 1957 roku w Warszawie. Dzieciństwo miał szczęśliwe, ale młodość dramatyczną. Mamę, Irenę stracił, gdy miał 7 lat. Babcia, Marianna Majkowska, która pomagała go wychowywać, zmarła 3 lata później, a ojciec, Tadeusz po kolejnych 4 latach. 14-letni Norbert został całkowicie sam. Zagubił się w alkoholu i narkotykach. Szczęśliwie, jako 20-letni narkoman trafił w 1977 roku do Szpitala Neurologiczno-Psychologicznego dla Dzieci i Młodzieży w Garwolinie, na Oddział Leczenia Uzależnień. Tu spotkał grupę terapeutów, Stasię Domagałską, Janka Doktora i Janka Bryłowskiego, którzy pomogli Mu wydobyć się z choroby i odnaleźć sens życia. Skontaktowali Go z Mirkiem Chojeckim i środowiskiem pierwszego antykomunistycznego wydawnictwa podziemnego NOWA, jeszcze nim pojawiła się „Solidarność”.

Norbert nauczył się drukować na powielaczu i sitodrukiem. Należał do podstawowego zespołu drukarzy niezależnych. W stanie wojennym powiełał „Tygodnik Wojenny”. Uczestniczył w powstaniu Wydawnictwa LOS wydającego w latach 80. poza cenzurą teksty Józefa Mackiewicza i Orwella. Jeżdżąc po Polsce nauczył dziesiątki młodych ludzi sztuki sitodruku. Dzięki temu podziemne wydawnictwa powstawały nawet w małych ośrodkach Polski. Był młodzieńcem wrażliwym i utalentowanym. Kochał poezję, Mickiewicza, Słowackiego, Herberta, a nade wszystko Grochowiaka. Pisał opowiadania i historyczne eseje. Zmarł tragicznie w wieku 28 lat w czasie ataku padaczki, 3 października 1985 roku. Po mszy pogrzebowej odprawionej przez kapelana podziemnej „Solidarności”, księdza Józefa Maja, w kościele św. Katarzyny na Służewie, został pochowany w rodzinnym grobie Majkowskich i Pietrzaków na cmentarzu przy ul. Wałbrzyskiej (p. 33). Po tej śmierci LOS wydał esej Norberta „Policje Tajne Typu Rosyjskiego”, drukowany przez Jego współpracowników.

Wspomniany grób, pamiętający czas drugiej wojny światowej, zwieńczony pomnikiem z lastriko, był w opłakanym stanie już w czasie pochówku Norberta. Kolejne niemal 40 lat pogłębiło naturalne zniszczenia. Nagrobek przechylił się, napisy ryte w szarym cemencie zwietrzały i były nie do odczytania. Grupa przyjaciół Norberta postanowiła pomnik naprawić w 35. rocznicę śmierci drukarza: nagrobek wypoziomować, napisy pogłębić. Okazało się jednak, że grób Majkowskich i Pietrzaków został objęty przez Instytut Pamięci Narodowej opieką jako „grób weterana”. Spoczywają w nim bowiem powstańcy warszawscy: dziad Norberta, Ludwik oraz dwaj wujowie, Czesław, ps. „Toporczyk” i Edward, ps. „Mikrut”, bracia Matki Norberta, żołnierze Zgrupowania AK „Baszta”. Wszyscy trzej zginęli w czasie walk na Mokotowie w sierpniu i wrześniu 1944 roku. IPN zaoferował nam znaczącą pomoc materialną przy realizacji zamierzenia. Dzięki temu można było pomyśleć o wystawieniu całkowicie nowego pomnika z ciemnego granitu. Czas pandemii opóźnił o 2 lata nasze plany, tak że dopiero w 37. rocznicę śmierci Norberta, 3 października 2022 roku mogliśmy się spotkać przy nowym grobie, by wspominać i pomodlić się za Norberta, za dusze bohaterów i wszystkich zmarłych z Jego Rodziny.

Wojciech Brojer





[xxxxx]

Bardzo lubiłem tam przychodzić. Stojący na wzniesieniu, skromny, dwupiętrowy dom, otoczony rzadko rosnącymi drzewami. Dom umierających, ale nigdy nie znikających tradycji. Elitarny dom starców. Stary pólenny portier z niejakim trudem wypinał pierś uzbrojoną w order. Zawsze uśmiechał się na mój widok, robiąc oko, jakby dawał znać, że mnie rozumie.

W dzień wizyt zaopatrywałem się w suchy prowiant dla siebie, słodycze dla gospodarzy i litr wódki, którą wypijaliśmy wspólnie. Oni byli potrzebni mnie, a ja im. Musiałem tam przychodzić...

W pokoju na pierwszym piętrze mieszkało ich trzech. Trzech dziadków najbardziej zasłużonych i sprawiających wrażenie najstarszych na świecie. Przeżyli chyba wszystko, o czym pisze się na kartach najnowszej historii. Nadmierna ilość tych przeżyć spowodowała, że sami dokładnie nie wiedzieli, co w ich życiu było prawdą, co legendą, a co zwykłym fałszerstwem. Swoje wspomnienia odbudowywali na fundamentach orderów, albumów i obchodzonych rocznic. Często kłócili się i skakali sobie do oczu, i chyba te właśnie spory były ich przeszłością najautentyczniejszą z autentycznych.

x x x

Wincenty wyglądał najstarzej. Długie siwe włosy i taka sama broda musiały wzbudzać szacunek. Nosił się zawsze skromnie, żeby nie powiedzieć – biednie. Historia zaprosiła go do ponurego tańca we wczesnej młodości. Zobaczył wtedy cara. Imperator nie spodobał mu się od pierwszego momentu. Osobista niechęć do Najjaśniejszego Pana, demonstrowanie jej oraz kontakty z socjalami nie wyszły mu na zdrowie. Musiał wkrótce odbyć daleką podróż pod eskortą żandarmów. Z początku żyło mu się uciążliwie, ale w końcu jakoś się urządził. Dużo polował i nauczył się dobrze strzelać. Polubił broń i gdy wreszcie dane mu było powrócić do rodzinnej krainy, często robił z niej użytek. Tym razem nie dał się złapać. Później wybuchła wielka wojna. Na terenie Kongresówki powstała organizacja wojskowa, która stała się wymarzonym miejscem działania dla ambitnego i dzielnego bojowca.

W okresie niepodległości działał w obozie Komendanta. Pomagał mu w maju i w latach następnych. Szybko dochrapał się zaszczytów, wybudował sobie nawet dworek na Kresach. Pamięta i żali się do dziś, że ktoś kiedyś wybił mu szyby, że na ścianach domu często pojawiały się obelżywe napisy, nie zawsze w polskim języku. Starał się walczyć z tą plagą aż do drugiej wielkiej wojny.

Każde dziecko wtedy wiedziało, że agresji dokonał Hitler, więc Wincenty zdziwił się bardzo, gdy zarościł się od sowieckich uniformów. Widać na Moskali skazany był do końca życia. Kiedy go wieźli, przekonał się, że człowiecze losy lubią się odbijać nieprzyjemną czkawką. Tylko, że tym razem znacznie dotkliwiej odczuł tę nie-





wolę. Niechętnie o tym opowiada i z zadowoleniem stwierdza, że temat ten także innych nie interesuje.

Fryderyk to znajomy Wincentego jeszcze z czasów carskich. Jest chyba jego rówieśnikiem, ale wygląda znacznie korzystniej. Wyprostowany, gładko wygolony. Wzrok ma bystry. Stara się chodzić sprężystym krokiem. Drogi ich wcześniej się rozeszły. Fryderyk postawił wtedy na substancję narodową i mimo licznych dowodów kompromitujących jego doktrynę nie zrezygnował z niej do tej pory. Więziony nigdy nie był. Starzeje się, można powiedzieć, naturalnie. Czasem, gdy się pokłócą, wyzywa Wincentego od takich różnych, ale później podają sobie ręce i wszystko wraca do starczej, sennej normy.

Fredek znacznie częściej i dotkliwiej znęca się nad Leonem – trzecim mieszkańcem pokoju. Leon nic sobie z tego nie robi, bo wie, że racja i przede wszystkim siła Historii są po jego stronie. Fryderyk może się zresztą o tym przekonać na każdym kroku, więc też szybko spuszcza z tonu, pofukując tylko z cicha pod nieskazitelnym nosem.

Od swej politycznej kołyski Leon szedł zawsze skrajem lewej strony. Jego młodość to głównie więzienia. Ostatni pobyt w pudle uratował mu życie. W tym to bowiem czasie pewien geniusz postanowił „oczyścić” nieco szeregi swoich wielbicieli. Są to fakty ogólnie znane, zna je również Leon. Nie zmienił mimo to swej opcji, bo stałe pamięta o nieubłaganych prawach rządzących światem.

Nauczył się jednak ostrożności i gdy po wojnie poszerzono znacznie raj na ziemi, mógł być prawie pewien, że do więzienia więcej nie trafi. Starał się zatem jak mógł, żeby wyeliminować to „prawie” i gorliwie zasłużyć na pobyt na wolności. Udało się w stu procentach.

Leon jest siwym, drobnym staruszkim. Zawsze chodzi w czarnym garniturze, do którego w państwowe święta przypina niezliczoną ilość medali.

x x x

Dotkliwie odczuwane i wielce nam wszystkim niemiłe wydarzenia sprawiły, że zaniedbałem swych staruszków.

Dopiero, gdy przyszła wiosna, postanowiłem, że muszę koniecznie złożyć im ciągle odkładaną wizytę. Przyznać muszę, że trochę się jej bałem. Nie tylko dlatego, że dłużej nie pokazywałem się, ale także – a może przede wszystkim – bałem się ich reakcji na wydarzenie ogólne. Nie byli to przecież zwykli staruszkowie.

Wyjąłem z kredensu zapas łakoci, dwie butelki czystej i wyruszyłem w drogę. Na dworze było bardzo przyjemnie. Radosnego wiosennego nastroju nie potrafiły nawet zakłócić gęste patrole milicji, boleśnie rozbudzające pamięć ubiegłych miesięcy. Autobus jechał szybko. Z radiodbiornika kierowcy rozlegała się nachalnie muzyka wojskowa. Bez przeszkód minęliśmy wojskowo-milicyjną czujkę na umownej granicy miasta i po chwili byłem już na miejscu. Z zewnątrz wszystko wyglądało jak dawniej. W środku też, z wyjątkiem szklanej gabloty straszącej nieopłutym i niezamalowanym, nadal





znajdującym się w dobrym stanie, obwieszczeniem swoją treścią świadczącym o stanie umysłowym partii i rządu.

Zastałem dziadków w ponurych nastrojach. Raczej głupawo zapytałem, czy coś się stało. W odpowiedzi podskoczyli do mnie Wincenty z Fryderykiem. Wykrzykiwali coś, co trudno było zrozumieć i obaj pokazywali palcami na Leona jak na uosobienie całego zła. Fredek ukradkiem pokazywał również na Wicka, a ten na Fredka – za jego plecami. Tylko Leon uśmiechał się triumfująco i zacierał ręce. Zdawał się mówić – JA WIEM.

Z trudem uspokoiłem zacierzwionych starców i wyjąłem smakotyki. Emocje wygasły, prawiliśmy sobie konwencjonalne grzeczności. Obawiałem się toastu, mogącego zaognić sytuację, dlatego szybko nalałem do kieliszków i wypilem dawszy przykład. Niestety, znowu się zakotłowało. Zaczął Fryderyk. Krzyczał coś o obcych po obu stronach; w przerwach dyszał ciężko i pluł na Leona. Leon wycierał się i chichotał, a Wincenty płakał, upodabniając się coraz bardziej do starej baby. Jego siwa, patriarchalna broda cała zalana łzami i zapluta straciła cały swój majestat. Wszyscy trzej byli godni politowania.

Cóż mi, biednemu było robić? Postanowiłem upić skłóconych i ululać ich do zgodnego snu. Z rozmów nic dobrego wyjść nie mogło, a gdy się prześpią, to mogą zapomnieć o swych racjach. Tak czy inaczej nie byłem zadowolony z tej wizyty. Nalałem. Wypiliśmy po raz drugi, trzeci i kolejny, ale ci, choć już trochę ochłonęli, to nadal spoglądali na siebie złowrogo.

W pewnym momencie Wincenty wstał z okrzykiem „Niech żyje!”. Fredka to zaniepokoiło. Zastanowił się chwilę, zmarszczył i podskoczył do niego, z całych sił kopiąc go między nogi. Wicuś popuścił po lewej nogawce, napastnik również, ale po prawej. Skrzywiłem się z niesmakiem i wycofałem do drzwi. Stamtąd obserwowałem, co będzie dalej. Teraz obiektem zmasowanego ataku stał się Leon. Dwa koguty podskoczyły do niego. Fryderyk złapał go za gardło, a Wincenty za uszy. Z wysiłku i bólu popuścili wszyscy trzej. Zrobiło się nie do wytrzymania. Po chwili stare, skłębione ciała kotłowały się na podłodze. Starcy byli rozjuszeni i jakby przybyło im jeszcze więcej energii. Słowo daję – bałem się czynnie interweniować, choć nie jestem ułomkiem. W tym momencie byli silniejsi ode mnie. Ożyły w nich duchy naszych sławnych przodków.

Była to jakaś koszmarna, obrzydliwa i cuchnąca zarazem karykatura dziejów, odtwarzana w małej salce przytułku w niemal kosmicznie przyspieszonym tempie. Reprezentowane przez nich idee pomieszały się dokładnie. Trudno było odróżnić kto kogo dusi, kto na kim leży, który z nich sika i popierduje...

Słychać było tylko charczenie i strzępy słów, niekiedy zabarwionych fałszywą melodią.

- Bogurodzica...
- Chrrr... ew naszą długo leją...
- Ufff...cim ziemi...
- Bij Żyda!





- Jeszcze Polska...
- Wodzuuuu...!
- Maryjooo...!

Nie wiem jak długo trwał ten patriotyczny dance makabrę, przywołujący pamięć Grodów Czerwieńskich, Grunwaldu, Chocimia, Legionów, Wielkiego Proletariatu i innych zdarzeń. Aż po czasy współczesne. Chyba jednak czasu upłynęło wiele. Nie wysiedziałem do końca – wyszedłem na korytarz, smród stawał się zabójczy.

W dyżurce pielęgniarki zapalało się to znów gąsło czerwone światełko – znak, że ktoś z pensjonariuszy łamie obowiązujące normy. Nie czekałem na dalszy rozwój sytuacji, bo aż za dobrze wiedziałem, co się wkrótce stanie. Oto za chwilę pielęgniarka – wysoka, chuda jak bocian jędza – sunąc będzie korytarzem, trzymając w ręce ogromną strzykawkę. Z pokoju numer 13 wysłiznie się jak zawsze usłużny pan Teofil i wskaże jej drzwi niepokornej sali. Pielęgniarka pogardliwie kiwnie głową i wkroczy tam w swym pełnym służbowej powagi rynsztunku. Prawdopodobnie sama jej obecność wystarczy, żeby zrobiło się normalnie. Waleczni ustawią się w szeregu i pokornie wypną pomarszczone pośladki. Siostra wymierzy każdemu po równo środek uspokajający, a Leonowi nawet zaklei ranę plasterem. Na odchodne pogrozi im palcem, a oni poślą jej lizusowski uśmiechy...

A tak w ogóle, sądzę z doświadczenia, że interwencja wcale nie była konieczna. Prędej czy później dojdą do porozumienia i przy niedokończonej przed walką wódce dogadają się jak Polak z Polakiem.

Nie wiem tylko, kiedy znowu zdecyduję się tam pojechać. Chyba dopiero, gdy także poza domem starców atmosfera stanie się mniej duszna i śmierdząca.

Zielony nosek

– Cały ten bajzel wynika z tego, że nie ma zagrożenia życia – zwykły do znudzenia gadać pewien grubas. Każdy błąd, każde drobne wykroczenie poza reguły konspiracji były w ten sposób przez niego kwitowane.

Grubas bardzo wcześnie zaczął wiercić dziury w polskiej łódce. Za Gierka warcholił w okolicach KOR-u. Po sierpniu został aparaczką średniego szczebla w strukturach „Solidarności”, a gdy kompania pewnego idioty ogłosiła w paranoi stan wojenny, nadal mącił ze zdwojoną energią.

Kiedyś rzucił hasło: „Drukarnia w każdym polskim domu!” – po czym starał się robić wszystko, aby słowo wcielić w czyn. Dwoił się i troił, woził bibułę, organizował na prowincji kursy małej, w związku z czym większość czasu poświęcał niewygodom podróży. Zdawał się być niezniszczalny. Wszystkich zadziwiła jego odporność na wszelkie trudy i niebezpieczeństwa. Dużo wymagał od siebie, a i wobec innych nie miał zamiaru stosować taryfy ulgowej. Jak już zostało powiedziane, miał alergiczną wręcz odra-



zę do choroby lekkomyślności. Choroby dość powszechnej w naszych kręgach: organizowaliśmy się prawie wyłącznie na zasadach koleżeństwa i przyjaźni, darzyliśmy się naturalnym zaufaniem, i wydawało nam się – może nawet słusznie – że przekształcenie układów towarzyskich w sztywne ramy organizacyjne niewiele by pomogło „sprawie”, natomiast pogorszyłyby znacznie nasze samopoczucie.

Jemu śniła się organizacja typu na wpół wojskowego: dyscyplina, hierarchia, tajemnica i tak dalej. – Gdyby za to rozwalali, to nauczylibyście się rozumu.

Żadnemu z nas perspektywa „czapy” nie uśmiechała się czemuś i postępowaliśmy nadal tak, jakby zagrożenie życia nie istniało. I złośliwym zrządzeniem losu nikomu nic się nie przytrafiło, tylko właśnie grubas trzy razy wpadł w ręce policji. Wypadki te były wprawdzie drobne i ofiara dzięki zimnej krwi zawsze zdołała się jakoś wykręcić. Zrobił się tylko jeszcze bardziej ostrożny, bardziej uwrażliwiony na naszą nieostrożność i trzy razy silniej nienawidzący komuny.

Któregoś wiosennego dnia zjawił się u mnie z torbą podróżną. Sprawa z jaką zwrócił się do mnie, kształty wypchanej torby i zacięta mina pozwalały się domyślać, że prosto ode mnie pobiegnie na dworzec. Tak też się stało.

Nie było go kilka dni. Byliśmy o niego trochę niespokojni, bo przecież najostrożniejszym nawet ludziom – a jak doświadczenie podpowiada, zwłaszcza im – mogą się przytrafić policyjne przykrości. Pojechał do nieznanego miasta, gdzie diabeł mówi dobranoc; nikt z nas nie znał miejsca jego pobytu, ludzi, którzy go przyjęli, sytuacji w jakiej się znalazł. Poza tym byliśmy ciekawi jego wrażeń z kontrewolucyjnej podróży. To co działo się u nas – w centrum wszelkich działań i wydarzeń – mogło napawać jako takim optymizmem. Tam na obrzeżach kraju nie działo się chyba najlepiej. Tak przynajmniej głośno wieści dochodzące do nas od czasu do czasu.

Czekaliśmy więc z utęsknieniem na naoczego świadka, aby zaspokoił trawiące nas wątpliwości informacjami z pierwszej ręki.

Źle sypiam ostatnio. Sen przychodzi dopiero nad ranem i byle szmer potrafi mi go zakłócić. Tego dnia obudziła mnie winda, która zatrzymała się na moim piętrze około szóstej rano. Czuję wstręt do takich przebudzeń. Wstręt i niepokój wzmogły się, gdy usłyszałem walenie do własnych drzwi. Mimo wszystko zwlokłem się z wyra i poszedłem otworzyć. Gdy jestem zaspany wizja więzienia jakoś nie wydaje mi się groźna. Tym razem nie była to jeszcze Bezpieka. W drzwiach stał wycieńczony i jakby chudszy grubas.

– Przepraszam, że tak wcześnie – powiedział tonem wcale nie przepraszającym .
– Idę do ciebie prosto z pociągu. Głośno pukałem, bo sądziłem, że śpisz.

– Słusznie sądziłeś – odpowiadam zirytowany – no, wchodzi skoro już jesteś. Ja i tak teraz nie zasnę.

– Przemylem spuchnięty pysk, nastawiłem wodę na kawę i dopiero spostrzegłem, że grubas jest nie tylko zmęczony, ale także wściekły.

– Co ci jest? Opowiadaj jak było.





Grubas bez słowa wyskoczył do przedpokoju i chichocząc nerwowo grzebał w swojej torbie. Gdy wrócił zdębiałem. Oczy miał zasłonięte maską a la Zorro, a na jego nosie tkwił sztuczny, zielony nos, taki jakie noszą clowni w cyrku.

Starąłem się zachować spokój.

– Czy przypadkiem, kolego, nie jesteście pierdolnięci?

– To oni, kurwa, są pierdolnięci! – wrzasnął tak głośno, że chyba obudził wszystkich sąsiadów. – Zaraz ci wszystko opowiem, tylko usiądź i rozluźnij się, bo możesz wykitować na serce.

Po chwili zaczął snuć swą straszliwą opowieść.

– Wyszedłem wtedy od ciebie. Wsiadłem do pociągu zatłoczonego i śmierdzącego jak cały Blok Wschodni. Z miejsca się przeraziłem, bo czekało mnie jeszcze wiele, wiele godzin jazdy i dwie przesiadki, gdyż do dziury, w której wyznaczono miejsce spotkania żaden bezpośredni pociąg nie dociera.

– A dokąd jechałeś? – spytałem nieśmiało i z lękiem, bo choć co prawda zdjął maskę, zapomniał o nosie.

– Bardzo proszę, nie przerywaj mi. Zresztą miejsce nie jest najbardziej istotne. Siedź cicho i słuchaj.

Jechałem kilkanaście godzin, a każdy następny pociąg był coraz silniej zatłoczony i śmierdzący. Przypomniała mi się trasa Moskwa – Pietuszki ze znanej ci książki Jerofiejewa. Wagony – piętrusy. W nich pijani chłoporobotnicy doprawiali się alpagami i wódką. Wśród tego towarzystwa wyglądałem jak dziwak z obcej planety. Czekałem tylko, kiedy dostanę po mordzie za swoją inność. Wreszcie dojechałem na miejsce, na szczęście bez niemiłych konsekwencji. Wsiadłem i założyłem czapkę z pomponem jak głowa noworodka. Czapka była znakiem rozpoznawczym. Domyślasz się chyba, że wyglądałem w niej jak idiota i wszyscy się za mną oglądali.

– Domyślam się. Nie jestem Szwedem, żebyś mi musiał objaśniać oczywistości, wskazywał miejsca w których mam się śmiać. Opowiadaj tylko fakty.

– Dobra, spróbuję. Stanąłem więc w umówionym miejscu i czekam. Mija dziesięć, piętnaście minut. I gdyby nie było ciemno, ani chybi wokół mnie zrobiłoby się zbiegowisko. Czekałem, denerwuję się i zaczynam kombinować, czym w razie czego wrócę do domu. Już miałem zrezygnować, gdy podszedł do mnie stu pięćdziesięciocentymetrowy garbus i wyklepał hasło. Opanowałem się błyskawicznie i półgębkiem podałem odzew.

„Pójdziesz za mną w bezpiecznej odległości – mamrotał karzeł – a następnie udasz się za osobą, od której przypalę papierosa.”

Odszedł, a ja za nim. Na wszelki wypadek zdjąłem czapkę, aby nie powiełać dziwności. Idę więc sobie z garbuskiem jakimś alejkami, gdzie prócz nas nie ma żywego ducha. Idę i klnę w ducha niedoskonałości natury, aż wreszcie w oddali zamajaczyła jakaś postać. Po chwili garbus odpalił od niej papierosa. Zgodnie z instrukcją skierowałem się za tą osobą. Był to mężczyzna nie dotknięty na szczęś-



cie żadnym kalectwem. Znaleźliśmy się na ulicy. Mój nowy przewodnik wsiadł do samochodu. Ja za nim.

– Jedziemy do... – i tu wymienił nazwę miejscowości oddalonej o sześćdziesiąt kilometrów, w której, o zgrozo przesiadałem się po raz pierwszy. Podczas jazdy z rzadka wymienialiśmy uprzejme póśłówka. Gdzieś tak w połowie trasy samochód zatrzymuje się.

– Tu jest dla ciebie kartka – mówi kierowca i podaje mi arkusik papieru zapisanego mniej więcej taką treścią:

„Witaj. Cieszymy się, że szczęśliwie dojechałeś. Kurs rozpocznie się w poniedziałek (– cholera, myślę sobie, przecież dopiero jest środa!) – W okresie pobytu nie wolno ci opuszczać mieszkania. O sprawy bytowe zadba gospodarz, u którego będziesz mieszkał. Uczniów będzie czterech. Pierwszy przyjdzie o osiemnastej, a następni w odstępach dziesięciminutowych. Każdy z nich musi od początku do końca wykonać samodzielne zadanie. Zwolnisz ich dopiero wtedy, gdy uznasz, że zrobili majstersztyk. Ze względów bezpieczeństwa będziecie występować w maskach i noskach. Ty otrzymasz nosek zielony. Z żółtym noskiem będziesz wymieniał uwagi techniczne. Na razie tyle. Powodzenia. SZEŃ.”

– Przeczytałeś? To odpowiedz na odwrocie tej kartki.

Odpowiedziałem pisemnie, że proszę o natychmiastowy kontakt. Oddałem kartkę kierowcy, a on wręczył mi tego kulfona i maskę.

– To dla ciebie.

W odpowiedzi zgrzytnąłem zębami. Może trochę zbyt głośno.

Samochód ruszył w dalszą drogę. Wjechaliśmy do miasta. Kierowca pokrążył nieco i zatrzymał się w pobliżu jakiegoś osiedla. Pójdiesz prosto, skrócisz w lewo za tamtym domem, później w prawo za następnym, zobaczysz wtedy cztery domy nieco wyższe. Wejdiesz do trzeciego do drugiej klatki. Zapukasz do drzwi po lewej stronie na drugim piętrze. Tam już czekają na ciebie.

– A nosek i maskę kiedy mam założyć?

– Tego nie wiem. Cześć.

I prawie wypchnął mnie z samochodu. Łażę, łażę i tylko dzięki Opatrzności trafiam pod wskazany adres.

Wchodzę na klatkę, staję przed drzwiami. Na wszelki wypadek zakładam maskę i nochal.

Pukam z drżeniem serca. Niech się dzieje co chce – zdaję się na swojego Anioła Stróża. Otwiera mi kobieta w średnim wieku.

– Czego pan chce? Co to za wyglupy?

– Ja... ja jestem umówiony... – jąkam się i głos grzęźnie mi w gardle.

– Wariat! Ratunku!!! – wrzeszczy wstrętna baba.

Zaraz przybiegną zawsze rządni sensacji sąsiedzi i żegnaj wolności...

Moje obawy nie potwierdziły się; z głębi mieszkania wyskoczył facet i rzucił mi się na szyję.





– Chodź stary osie! Czekałem na ciebie. Poznajcie się. To jest właśnie moja żona, o której ci tyle opowiadałem, a to Kazik – koleś z dawnych lat. Że też zawsze muszą się siebie trzymać jakieś wygłupy. He, he, he – zaśmiał się nienaturalnie, a ja cały czas łudziłem się, że to tylko bardzo zły sen. Z takich jakie ty miewasz ostatnio. Żona wymusiła z siebie uśmiech i na wszelki wypadek zniknęła z kuchni. Do końca mojego pobytu, o którym zaraz, unikała mnie jak mogła.

Weszliśmy do pokoju. Oczywiście natychmiast zażądałem wyjaśnień.

– Przepraszam za ten nieprzyjemny zgrzyt, ale nie przejmuj się. Ona jest troszkę nerwowa. Rozumiesz: dom, dzieci... Lepiej nie wtajemniczać jej w nasze sprawy. Po co ma wiedzieć i nie spać po nocach.

– No to wobec tego jak sobie wyobrażasz całe przedsięwzięcie w tajemnicy przed nią?

– Nic się nie martw, skoro wyraziłem zgodę na udostępnienie mieszkania to chyba wiedziałem co robię? Wyśle się gdzieś babę pod byle jakim pretekstem, dzieci zamknę w pokoju i całe mieszkanie będzie do naszej dyspozycji.

– A czy nie lepiej jednak cokolwiek jej powiedzieć?. Chyba masz do niej zaufanie?

– Zaufanie mam, tylko jak już mówiłem, nie chcę jej denerwować. Zrobiłaby wszystko, cokolwiek bym jej kazał, ale w tej sprawie jest uparta jak osioł. Zwłaszcza od czasu mojego wyjścia z więzienia i późniejszych perypetii.

Poczułem strugi potu na plecach. Miałem dość całej afery, SZEFA, gospodarza i życia.

Byłem nieludzko zmęczony i na dodatek podskoczyła mi temperatura. A koszmar dopiero się zaczynał. Gdzieś po godzinie usłyszeliśmy pukanie. Gospodarz wyszedł do przedpokoju.

Wrócił po krótkiej chwili, wyjął z szuflady, no zgadnij, co? Owszem, cholerny strój błażeński, założył na twarz i poszedł przywitać gościa. Poszeptał troszkę i znowu się pojawił.

Wręczył mi kartkę od SZEFA. SZEFA przeproszał za przekroczenie terminu. Oczekiwali mnie w zeszłym tygodniu. Wtenczas nie mogłem przyjechać i ustaliłem inny termin. Kartka, którą otrzymałem w samochodzie, wykorzystana miała być przed półtora tygodniem, Poza tym wszystko „w porządku”.

Zwróciłem się do gospodarza ze słabo już ukrywaną irytacją.

– Po jaką cholere ta cała maskarada, skoro i tak macie razem pracować?

– To zarządzenie SZEFA, tylko on zna nasze twarze. Od ostatniej wpadki, kiedy wszyscy się posypali, można być pewnym tylko siebie.

Było już bardzo późno. Zmaltretowany powlokłem się do łóżka. W nocy miałem dreszcze i lał się ze mnie pot. Ze strachem myślałem o następnym dniu. Przeczucie przestrzegało przed czymś wysoce nieprzyjemnym. Jak na jeden zaledwie wieczór końska dawka złych doświadczeń pozwoliła bezbłędnie przewidzieć przyszłość.

Nazajutrz opóźniałem jak tylko można wstanie z łóżka. Powodem była perspektywa nieuchronnego kontaktu z żoną i dziećmi – dwoma chłopcami w szkolnym wieku. Miałem wielkie poczucie winy wobec tej trójki. Dekonspiracja wisiła na włosku.





Byłaby ona tylko jak się wydaje – potwierdzeniem domysłów pani domu, cwanej żaby, czującej pismo nosem /bynajmniej nie zielonym/.

Ukrywanie się nie było takie proste. Po pierwsze gwałtownie dał mi znać o sobie nocny mocz. Na szczęście w mieszkaniu było dużo kwiatów w doniczkach. Po długim wahaniu i mękach skorzystałem z największej z nich. Siedziałem jak więzień, napięcie rośnie.

Zdając sobie sprawę, że nienaturalnym zachowaniem pogarszam głupawą sytuację zdecydowałem się wyjść. Żona robiła coś w kuchni. Powiedziałem pod nosem „dzień dobry” i wszedłem do pokoju męża udawać jego przyjaciela. Nienaturalny w mowie i gestach nie mogłem w żaden sposób spełnić oczekiwań gospodarza. Wypadało tylko czekać kiedy wyrzuci babę z domu. Nie do wiary, ale przekonał ją, żeby sobie poszła. Stosunek jego wyobraźni do autorytetu okazał się cudownie odwrotnie proporcjonalny. Jak na mój gust perswazja była trochę za głośna, ale w tym momencie ważny był przecież skutek. Żałowałem tylko, że nie wygnał jej na tydzień.

Godzina osiemnasta zbliżała się nieubłaganie i ponownie nawiedził mnie atak czarnej futurologii. Oddałbym wtedy pół życia za możliwość przeniesienia w czasie i przestrzeni

Na kilkanaście minut przed szóstą tatuś groźnie huknął na dzieci, które uprzednio wróciły ze szkoły:

– Macie natychmiast zamknąć się w swoim pokoju i nie wychodzić z niego pod żadnym pozorem!

Chłopcy popatrzyli na mnie z wyrzutem, a na niego jakby dostał pomieszania zmysłów. Ja też wszedłem do pokoju i przebrany czekałem na pierwszego ucznia. Dzwonek. Następuje znany ceremoniał: gospodarz – przebieraniec wprowadza nowego przebierańca. Po nosku poznaję, że to ten, z którym mam wymieniać uwagi techniczne. Pytam, czy wszystko przygotowali. Oczywiście okazuje się, że brakuje kilku niezbędnych elementów. Kursu dzisiaj nie będzie. Czekamy na następnych tylko po to, żeby ich o tym zawiadomić. Przychodzi i drugi i ostatni, pozostali nie dotarli.

Oświadczam złotemu noskowi, że w takich warunkach praca nie jest możliwa.

– Powiedz SZEFOWI – akcentuję zgryźliwie – że jeśli do jutra nie załatwi odpowiedniego lokalu i brakującego sprzętu, to wyjeżdżam stąd i radźcie sobie sami. Czekam na odpowiedź do piątej po południu. Żegnam.

Wychodzą w odstępach dziesięciominutowych. Gdy zostałem sam, wpadł zdenerwowany gospodarz.

– Kogo on mi przysłał! Przecież wie doskonale, że się znamy!!

Macham ręką. Milczę i po cichu łudzę się, że do jutra nie uda im się niczego załatwić. Ogłupiałe dzieci zostają uwolnione. Mnie znowu trzepie gorączka. Z przeziębienia czy z nerwów – nie wiadomo. Pewnie z jednego i drugiego. Właściciel zdekonspirowanego mieszkania biega i liczy na to, że będę go pocieszał. Trochę mi go żal, próbuję więc zlekceważyć problem. Mówię, że przecież nie widzieli jego twarzy, a jeśli nawet poznali adres, i okażą się kapusiami, nie będą mieli przeciw niemu żadnych dowodów!





– Dlaczego wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby zniszczyć listę lokatorów! – szarpie się głuchy na moje argumenty.

Niech żyje zaufanie. Wściekłość przeradza się we współczucie. Żal mi po prostu tych ludzi. Nie wróżę im nic dobrego w niedalekiej przyszłości. Żona wróciła, gdy już spałem.

Następny dzień niczym się nie różni od poprzedniego. Staralem się tylko na siłę przełamać wszelkie opory i „śmiać” poruszać po mieszkaniu. Nienaturalnie głośno kilkakrotnie poinformowałem gospodarza o wyjeździe, żeby uspokoić żonę. Musiało jej to sprawić ogromną radość.

O piątej rzeczywiście rozległ się dzwonek i stałem się świadkiem kolejnej komedii. Gospodarz otworzył i dało się słyszeć:

– Cześć! Skąd się tu wzięłeś??? – słowa zdziwionego gościa

– Cześć, ja tak...

– Poproś gospodarza

Drzwi stuknęły. Do mojego pokoju weszło przerażone widmo.

– Ty, co mam robić? On pyta o właściciela

– Wyjdź i powiedz, że to TY jesteś właścicielem

– T – Tak?

– NO TAK!

Chyba przez pięć minut szeptali coś sobie, pewnie się wzajemnie uwiarygodniając. Po chwili znów wszedł gospodarz.

– On się pyta czy może wejść bez charakteryzacji.

– Może, może. Niech wchodzi jak najszybciej.

Wszedł, odprowadzany nic nie rozumiejącym wzrokiem domowników. Podał mi list od SZEFA:

„Jest nam bardzo przykro, ale nie jesteśmy w stanie spełnić twoich warunków. Proponuję wobec tego następny termin. Przyjedź za dwa tygodnie w to samo miejsce. Kolega, który przyniósł list da ci torbę – znak rozpoznawczy i ustali z tobą hasło. Jeżeli do jedziesz szczęśliwie to, żeby nie trzymać mnie w niepewności, zadzwoń w poniedziałek w godzinach pracy pod numer.... poproś... i powiedz, że Józio jest zdrowy i wysłała pozdrowienia od babci. Jeżeli tej osoby nie będzie w pokoju, zostaw wiadomość współpracownikom. Jedź z Bogiem. SZEFA.”

Po wszystkim co przeżyłem, treść listu nie mogła stanowić zaskoczenia, jak i to, że kolega zapomniał przynieść torbę, której i tak bym nie przyjął. Nie odmówiłem sobie tylko podwędzenia noska i maski. Powieszę je nad łóżkiem jako trofea.

Pożegnałem się i z ulgą wyszedłem z mieszkania. O podróży nie będę opowiadał. Zwycły tłok i smród.

Grubas skończył nieprawdopodobną opowieść, co jakiś czas przerywaną moimi wybuchami śmiechu. Musiałem mu wierzyć, bo nigdy nie błagował. Zresztą na stole jak wół leżała maska i nosek.



– Wiesz co – odezwałem się – poczekajmy do trzynastej i skoczę po pół litra. Napijemy się wódki, a o tamtym lepiej zapomnieć.

– Tak uważasz? Chyba masz rację. Ale czy to takie proste?

O trzynastej ustawiłem się w długim ogonku skacowanych jegomościów. Dokonałem zakupu i po chwili znowu siedzieliśmy przy stole, z którego tymczasem zniknęła maska i nosek za to pojawiło się „żyto”.

Pijąc wódkę nie mogliśmy jednak zapomnieć o przygodzie grubasa. Temat powracał do nas jak przykra czkawka. Z tym tylko, że wpadliśmy w tonację współczucia i żalu. Żalu, że gdzieś tam istnieje grupa energicznych, zapalonych i fajnych skądinąd ludzi, którzy całą swą energię marnotrawią w rekwizytach i pozornych gestach. Nie znalazł się nikt, kto by im to uświadomił. Smutne to i beznadziejne, ale niestety prawdziwe.

xxx

Wszystko, co wyżej zostało opisane miało miejsce w rzeczywistości. Zmienione tylko zostały niektóre szczególiki z wiadomych, konspiracyjnych powodów. Jak widać istnieje zagrożenie życia – można skonać ze śmiechu.

Autor zaręcza ewentualnym wrogom tego tekstu, że nie jest:

- ubekiem,
- prowokatorem,
- wykonawcą czyichkolwiek zaleceń,

Autor jest natomiast:

- zaprzysiężonym wrogiem idiotyzmów występujących gdziekolwiek i pod każdą postacią,
- antykomunistą,
- wielbicielem bimbru, soplicy i pstrąga soute,
- zwolennikiem: „Solidarności”, KSS „KOR”, TKK, podziemia, praw człowieka i obywatela, wolności zrzeszeń, pluralizmu politycznego, niezależnej prasy i książki, świętego Franciszka oraz Papieża.

Nie lubi tylko Glempa...

Ale to już całkiem inna historia.

Tygodnik Wojenny 100/1985 str. 4

Zielony nosek

(Ze wspomnień drukarza)

Podróż była długa. Łłok i smród do towarzystwa. Dwie przesiadki. Jak zwykle chodziło o instruktaż małej poligrafii w jednym z bratnich, a odległych regionów. Spotkanie wyznaczono w mieście, gdzie pociągi zatrzymują się chyba raz, może dwa razy na dobę. Po kilkunastu godzinach męczącej jazdy – z diapozytywami „Tygodnika Wojen-





nego” i paroma jeszcze drukarskimi niezbędnikami w torbie – dotarłem na miejsce. Okutałem się już pstrokatym szalem, który miał być znakiem rozpoznawczym i czekam. Bardzo zimno. Po kwadransie podszedł facet, podał hasło, ja wymamrotałem odzew. W porządku...

– Pójdiesz ze mną zachowując bezpieczną odległość, potem za osobą, od której przypalę papierosa...

Weszliśmy w ni to park ni las. Poza nami nie było tam chyba żywego ducha. Po paru minutach marszu w ciemnościach z ośnieżonych zarośli wyszła jakaś postać. Mój łącznik odpalił od niej papierosa i znikł. Zgodnie z instrukcją podążyłem za nowym przewodnikiem. Wyszliśmy na jakąś ulicę. Czekał tam na nas samochód.

– Jedziemy do... – padła nazwa miejscowości odległej o 70 kilometrów, do której mogłem dojechać bez przesiadek...

Mniej więcej w połowie trasy auto zjechało na pobocze.

– To dla ciebie – kierowca podał mi kartkę następującej treści: „Witaj w ... Kurs rozpocznie w poniedziałek. Uczniów będzie czterech. Pierwszy przyjdzie o 18⁰⁰, następni co dziesięć minut. Zapukają. Wasze twarze będą znane tylko gospodarzowi. Występujecie w kapturach. Każdy uczeń powinien wykonać zadanie samodzielnie od początku do końca. Uwagi techniczne i inne kieruj do człowieka z „żółtym noskiem”. Sam dostaniesz zielony. Do chwili zakończenia kursu nie wolno ci pod żadnym pozorem opuszczać mieszkania. Wikt masz na miejscu. Życzę powodzenia. Szef”.

– Jeśli masz jakieś uwagi – szepnął konspiracyjnie kierowca – napisz je na odwrocie kartki i oddaj mi ją. Najbardziej zszokował mnie termin rozpoczęcia kursu. Była dopiero środa. Napisałem, że proszę o natychmiastowy kontakt z kimś kompetentnym, oddałem kartkę, a w zamian otrzymałem plaketkę z uśmiechniętą gębą błazna o zielonym nosku...

– W mieście samochód pokrzyżł jeszcze po ulicach, zanim zatrzymał się w pobliżu jakiegoś osiedla.

– Pójdiesz prosto, za rogim w lewo, potem w prawo i zobaczysz cztery wieżowce. Wejdziesz do trzeciego, w drugą klatkę. Drugie piętro, drzwi na lewo. Nie dzwoń, tylko pukaj.

Po drodze namiary mi się nie zgadzają, ale w końcu pukam. Zielony noszek podsuwam pod wizjer. Otworzył mi młody mężczyzna, lekko zaaferowany, lecz serdecznie uśmiechnięty. To tu. Poprosiłem o gorącą herbatę i parę wyjaśnień. Herbatę miał, gorzej z wyjaśnieniami. Powiedziałem mu, że nie mogę czekać do poniedziałku. Zmieszał się. Z lokalu można korzystać tylko przez dwa najbliższe dni i to po południu. Żona w tym tygodniu pracuje na drugą zmianę. Nie jest wtajemniczona, no i dzieci... Uff! Będę udawał kolegę z wojska. Nic to. Czekamy na kogoś od szefa...

Przyszedł. W przedpokoju nałożył kaptur. Ja cichaczem też się zakapturzyłem. Przeprosił za pokręcenie terminów. Myśleli, że przyjadę w zeszłą niedzielę. Ale w sumie wszystko gra – kurs zaczynamy jutro. Pożegnał się i wyszedł. Z ulgą zdjąłem kaptur. Konspiracja w konspiracji. Tego jeszcze nie znałem...





Przy herbacie gawędzimy z gospodarzem. W regionie sytuacja niewesoła. Nikt do nikogo nie ma zaufania od czasu, kiedy wszyscy się wzajemnie posypali. Ubecja znała wszystko, nawet rotę przysięgi konspiracyjnej. Nie wiedziałem, kogo teraz bardziej się bać: ubeków, szefa czy żony. Zasnęłam pełen najgorszych myśli.

Następnego dnia żony nie dało się oszukać, starała się jednak zachowywać pozory niewiedzy. Bez wymówek dała nam śniadanie i później obiad, by przed czternastą wyjść do pracy.

Z dziećmi było trudniej, więc ojciec przezornie zamknął je w jednym z pokoiów. Około osiemnastej pierwszy dzwonek (znowu coś pokręcili), potem co dziesięć minut następne. Przy jednym z kapturów widzę żółty nosek. Pytam czy sprzęt przygotowany, jak było ustalone. Mówi, że tak, ale to, co pokazuje nadaje się do wszystkiego, lecz nie do drukowania. Nie wytrzymałem – wyskoczyłem z pyskiem.

– Powiedz szefowi, że do jutra ma załatwić lokal i właściwy sprzęt, inaczej o dwunastej wyjeżdżam i nie chcę mieć z wami nic wspólnego !

Wyszli. Gospodarz, bliski apopleksji, mówi, że doskonale zna tych ludzi. RzUCA niewybredne gromy na szefa.

– Trzeba mi było sprzątnąć listę lokatorów ! – konkluduje.

Rano, w obecności żony, kilkakrotnie nienaturalnie głośno poinformowałem gospodarza o swym wyjeździe. Wyrażnie się rozluźniła. Po śniadaniu „nadprogramowe” pukanie – niewątpliwa oznaka kompetencji.

– Cześć. Co ty tu robisz ? – słyCHAĆ zdziwiony głos przybysza. – Poproś właściciela...

Do kuchni wpadł zdyszany i poirytowany gospodarz.

– Co mam zrobić ? Zdekonspirować się ?!

Z pięć minut szeptali pod drzwiami, wzajemnie się uwiarygodniając. I znów gospodarz do mnie, jak do wyroczni:

– On się pyta, czy może wejść niezamaskowany...

Wszedł witany aż nazbyt rozumiejącym spojrzeniem żony. Podał mi list od szefa.

„Jest nam bardzo przykro, ale na razie nie jesteśmy w stanie spełnić Twoich warunków. Proponuję następny termin. Przyjeźdź za dwa tygodnie w to samo miejsce. Kolega, który przyniósł list, da Ci torbę – znak rozpoznawczy i nowe hasło. Jeśli dojedziesz szczęśliwie, zadzwoń – żeby nie trzymać mnie w niepewności – w poniedziałek między siódmą a piętnastą – pod numer..., proś Krysię i powiedz: JÓZIO JEST JUŻ ZDROWY I PRZESYŁA POZDROWIENIA OD BABCI. Jeśli nie zastaniesz tej osoby – zostaw wiadomość współpracownikom. Jedź z Bogiem. Szef”.

Nic już nie mogło mnie zaskoczyć. Kolega, oczywiście zapomniał o torbie, której i tak bym nie przyjął. Nie odmówiłem sobie tylko podwędzenia „zielonego noska”. Wiś nad moim łóżkiem – ni to trofeum, ni to fatum.

Pierwodruk: „Tygodnik Wojenny” nr 100 z 19.12.1984 r. s.4

Tytuł: Ze wspomnień drukarza. Pseud.: Majster





Człowiek – to brzmi dumnie

Pewnego popołudnia wybitny naukowiec Jan Wilk pisał właśnie pracę, która, według niego miała być rewelacją XX wieku. Z wielkim poświęceniem i ogromnym wysiłkiem po nitce do kłębka dochodził do wspaniałych odkryć, które niebawem miały zapewnić mu sławę i zadziwić świat. Był bardzo dumny z siebie, wierzył w swą potężną wiedzę. Uważany był za jednego z najmądrzejszych ludzi naszego globu i w stu procentach sam był o tym przekonany.

Leżał właśnie znudzony na kanapie i bawił się encyklopedią, niedbale przerzucając kartki. Znał tę księgę na pamięć i teraz wyszukiwał pominięte w niej hasła. Wymyślał również nowe określenia, bardziej precyzyjne od encyklopedycznych. Nagle jego wzrok zatrzymał się na czteroliterowym wyrazie m ó z g. Uśmiechnął się dumnie, gdyż ten organ był jego atutową kartą, mającą mu zapewnić sławę i pieniądze.

„...Mózg. Budowa. Składa się z dwóch półkul. Powierzchnia pofałdowana, liczne zagłębienia. 75 % wody. Podstawową jednostkę czynnościową stanowią neurony. Poza wymienionymi jednostkami istnieją jeszcze włókna i komórki asocjacyjne, przekazujące ‘wiadomości’...”

I tu zawahał się: dlaczego „wiadomości” umieszczono w cudzysłowie? Czym właściwie człowiek myśli? Czy tą cholerną wodą? Czy pieprzonymi neuronami? Czy jakimś innym głównym w postaci galarety? Po co to wszystko? Dla kogo? Po co? W imię czego? Zdawało mu się, że znikło wszystko, cały jego świat i on sam.

Niespodziewanie przypomniał sobie Ewę. Przecież ją kocha i ona jego też. Odkrył w sobie to uczucie. Ten wielki uczony ciągle coś musiał odkrywać. Miłość może być treścią życia; zaraz, zaraz... jak to powiedział słynny wieszcz? – „miej serce i patrzaj w serce”.

Nie był mu jednak pisany spokój tego wieczoru. – Serce – pomyślał i sięgnął do pamięci po encyklopedyczne określenie:

„...Serce. Podstawowy mięsień spełniający rolę pompy ssąco – tłoczącej.”

To wystarczyło. Spuścił głowę i z wściekłością myślał o tym ostatnim, jakże bolesnym odkryciu.

Kiedy jakoś doszedł do siebie, sięgnął po leżące pod ręką czasopismo. Z nonszalancką przerzucał kartka po kartce i powoli zapominał o prawach odkrytych przed chwilą. Jeden z artykułów ponownie wytrącił go z równowagi:

„...Uczeni obliczyli, że wartość materiałów i substancji, z których składa się człowiek jest obecnie nieco wyższa niż kilka lat temu i wynosi około trzech dolarów...”

Jak to? Ja? Ja kosztuję trzy dolary? Można mnie sprzedać za tak śmieszny sumę? Gdyby dolar nie stracił na wartości, a mięso nie podrożało – kosztowałbym chyba dolara? – zamyślił się, a twarz wykrzywiała mu się w coraz bardziej straszliwym grymasie.





x x x

Ewa wbiegła radośnie po schodach do mieszkania ukochanego. Każde spotkanie było dla niej tym, co niektórzy nazywają pełnią szczęścia.

– Biedny Jasio tak zapracowany – myślała o nim czule – może choć przez chwilę zapomni o swoich badaniach? – miała już dość jego pracy, chociaż była z niego dumna. Byli w sumie dobraną parą i nieźle im się razem żyło.

Drzwi były otwarte. Ewa weszła cichutko, chcąc zrobić niespodziankę. Jednak zaskoczyła ją cisza. Nic nie wskazywało na obecność Jana.

Usłyszała nagle miarowe stuknięcia i delikatne skrzypienie dobiegające gdzieś z łazienki. Weszła tam. Jan Wilk uderzał stopami o ścianę, a skrzypienie było odgłosem napiętej liny, na której wisił posiadacz jednego z najtęższych mózgów naszego stulecia. Nie wytrzymała tego widoku pompa ssąco – tłocząca Ewy i żaden już monter nie był w stanie naprawić tego ważnego podzespołu w tak dziwnej maszynie, jaką jest człowiek.

[xxxxx]

Do dziś nie wiadomo z jakiego powodu Księżę wrócił z wyprawy bez warg i nosa. Mogło to być wynikiem wyjątkowo złośliwego cięcia szablą, mógł to być również dobrze objaw nagle ujawnionego syfilisa, którego Księżę złapał podczas owocnego polowania na urodziwe czarownice.

Mniejsza o to... Tak fatalnie oszpecony zamknął się w swym pałacu i już nawet zgnitego miejsca po nosie nie wychylał: rządzić jednak nie przestał.

Teraz jednak, zapewne przez swą ułomność, stał się władcą złośliwym i okrutnym. Jego poddani byli gnębieni i torturowani przez wiadome organy po trzykroć mocniej aniżeli za dawnych lat, też niezbyt dobrych czasów. I tak na ten przykład, nieco głośniejsze kichnięcie natychmiast kończyło się rendez – vous z oprawcą (wg. nowego ustawodawstwa kichnięcie zwało się „demonstracją członka wężowego” i było zaliczane do kategorii czynów lubieżnych)... Jak na ironię do licznych tytułów Księżę dodał sobie nowy przydomek – Słodkousty !

Co prawda ludzie zdążyli już przywyknąć do ordynarnej propagandy, która miała się do rzeczywistości jak ambrozja do śmierdzącej skarpety, jednakże to ostatnie posunięcie było tak bezczelne i obrzydliwe, że niektórym (trzeba dodać – najważniejszym) mieszkańcom księstwa mrowie przeszło po krzyżu...

Księżę rządził za pośrednictwem dziesięciu wiernych heroldów, którzy jako jedyni w księstwie mogli go oglądać i którym żyło się nienajgorzej. To oni przekazywali ministerstwom i innym ważnym urządům wszystkie rozporządzenia, również oni składali despotycznie sprawozdania z działalności tychże instytucji. Sprawozdania były zresztą totalną fikcją, bowiem administracja prawie przestała funkcjonować.

Z biegiem lat przestał także funkcjonować stary, zgrzybiały i szpetny Księżę, ale naród nic o tym nie wiedział. Natomiast heroldowie nie chcieli nowego władcy, bo





ze starym było im dobrze, choć śmierdział i zaczynał się rozkładać. Z czasem smród wydoszał się na ulice i już wszyscy wiedzieli, że stary pokurcz, a raczej Wielki Książę praktycznie nie istnieje – ale każdy dyskretnie zatykał sobie nos i udawał, że nic się nie stało. Dlaczego?!

Najprościej byłoby odpowiedzieć, że nikt z szarych obywateli nie był upoważniony do ogłaszania czegokolwiek.

Ponadto każdy wnikliwy badacz, pochylający się nad ówczesnymi rocznikami księstwa, musi sobie wyliczyć co następuje:

a/ 0,01% obywateli było zadowolonych ze starego porządku

b/ niezadowoleni nie znali lepszego życia i nie przypuszczali, że takowe kiedykolwiek nastąpi

c/ 100% społeczeństwa...

Dość, dość!!! dajmy spokój starym księgom – niech leżą i butwieją, a duch Księcia Paskudy nigdy nie powraca! Dużo się przecież zmieniło od tamtych czasów: VIVA RES P U B L I C A ! A PSIK!

sierpień 1981 r.

Dodatek nadzwyczajny

Uczestnicy seansu spirytystycznego w popłochu zbiegali po drewnianych skrzypiących schodach. Jeszcze na ulicy dochodziły do ich uszu jęki, zgrzytanie zębów i szczęk łańcuchów. Każdy z nich, ocierając zroszone zimnym potem czoło, obiecywał sobie, że więcej na taki numer namówić się nie da, a ten przeklęty dom będzie omijał do końca życia.

Jeden tylko człowiek był zadowolony i dumny. Był nim oczywiście właściciel mieszkania i organizator seansu. Od wielu lat było to jego jedyne zajęcie, dające mu dużo satysfakcji i znacznie większe dochody. Zaczął od naiwnych sztuczek z talerzykami, lusterkami, które mogły sprawić jako takie wrażenie na sklerotycznych staruszkach i znerwicowanych dzieciach.

Później, kiedy wzrósł postęp ogólny, musiał czym prędzej doskonalić się w swoich wyczynach i zdobywać odpowiednie akcesoria. Doszedł do znakomitej wprawy i w całym kraju zasłynął jako jedyne w swoim rodzaju medium. Mógł sobie teraz pozwolić na zakup najnowocześniejszych urządzeń iluminacyjnych, kamer, mikserów, magnetofonów. A kiedy to wszystko poszło w ruch, tylko ludzie o wybitnie silnych nerwach mogli być tego świadkami.

On sam z początku był równie zabobonny jak jego klienci, ale z biegiem czasu uodpornił się i przestał wierzyć w jakieś, choćby najbardziej pociągające herezje, wiedząc jakich cudów może dokonać swoją aparaturą. Musiał być odporny, bo w każdym kącie czyhały najprzeróżniejsze niespodzianki. Czarownice, wampiry i wisielcy



na stałe bowiem zagościli w jego mieszkaniu. Z niewzruszonym spokojem doskonalił te straszdyła, zapraszał chętnych i zgarniał grubą forszę. Na początku zajmował tylko jedno piętro kamienicy, później jednak kupił cały dom i oczywiście odpowiednio go urządził. Dorobił się olbrzymiego majątku i miał zamiar powoli wycofać się z interesu nie przekazując nikomu swej tajemnicy, potomstwa nie posiadał a uczucia rodzinne miał silnie rozwinięte – szczerze nienawidził obcych.

Ostatnim jego marzeniem było zrobienie super seansu, który przypieczętowałby jego tak wiekopomną działalność. Do tej kropki nad „i” przygotowywał się bardzo długo.

Gdy prawie wszystko było już przygotowane i tylko kilka dni dzieliło jego i gości od mrozącego krew w żyłach wieczoru, usiadł wygodnie w fotelu i z lubością wyobrażał sobie przyszły popłoch wśród widzów: – cudowny, śliczny, zna-ko-mi-ty !

Nagle ku swemu zdumieniu ujrzał przed sobą przerażającą zjawę.

Czyżbym zapomniał wyłączyć urządzenia? – zastanawiał się i aż podszedł do tablicy rozdzielczej. Wszystkie wyłączniki nastawione były na zero.

– To niemożliwe – szepnął i jeszcze raz spojrzął na przybysza.

– To jest jak najbardziej możliwe – uprzejmie odpowiedział wampir i z wprawą mistrza, delikatnie przegryzł mu tętnicę.

Dyżur ostry jak górskie powietrze

Schronisko powoli zapełniało się ludźmi. Nadchodził halny i żaden śmiałek nie odważyłby się wyjść teraz w góry. Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe ogłosiło stan wyjątkowy i czuwało bez przerwy. Tej doby dyżurowało pięciu najwytrawniejszych ratowników. Specjalnie dobrano tak silną grupę, bo dzień zapowiadał się wyjątkowo niebezpiecznie.

Szef grupy ratowniczej gromkim głosem zwrócił się do swoich kolegów.

– Słuchajcie chłopaki, sezon jest wyjątkowo obfity w turystów, wszyscy teraz pchają się w góry. Nadeszły dla nas ciężkie dni, a w tym cholernym schronisku hołoty już się nabierało. Musimy bacznie ich obserwować. Na mój sygnał zaczynamy – skończył, otarł pot z czoła i opadł na zydel.

Tymczasem zgromadzeni turyści zaczęli tłoczyć się w barze. Jediną atrakcją w tak paskudny dzień było piwo, którego też nikt sobie nie żałował. Panienska w bufecie uwiłała się jak w ukropie, a kierownik schroniska zacierając ręce z zadęciem obserwował pęczniejącą kasę. Główny ratownik z zaniepokojeniem co chwilę wchodził na salę.

– Są wszyscy, nikt nie ubył – oświadczył z ulgą kolegom.

Goście byli coraz bardziej weseli. Nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, pogoda pod psem, ale można nareszcie zaprzyjaźnić się ze współmieszkańcami, pogawędzić wesoło, no i przede wszystkim wprowadzić się w uroczy stan upojenia alkoholowego. Kierownik był coraz bardziej zadowolony, bufetowa coraz bardziej zmęczona.





A ratownicy – coraz bardziej napięci. Na sali wrzało. Rozlegały się chóralne śpiewy. Powoli znikwały bariery towarzyskie i oszczędnościowe. Alkohol lał się strumieniami i nikogo już nie dręczyła fatalna pogoda. Szeł goprowców nerwowo przemierzał pokój.

– Może jeszcze nic się nie wydarzyło, może wszyscy piją jak pili i wszystko jest w normie?

A jednak nie wytrzymał nerwowo.

– Pójdę sprawdzić – zdecydował i wybiegł z dyżurki. Pozostała czwórka czekała na niego ogryzając paznokcie. Przecucie mówiło im, że długo nie posiedzą spokojnie przy herbacie, jeżeli takie czekanie można nazwać spokojnym. I nie pomylili się, bo oto drzwi otworzyły się z hukiem.

– Ruszamy chłopaki! Zdarzył się wypadek – i wszyscy czym prędzej poderwali się na równe nogi. W mgnieniu oka wpadli do baru. Leżeli tam czterej nieprzytomni mężczyźni spici na umór. Goprowcy ślizgając się mimo podkutych butów po zarzyganej podłodze, dotarli szczęśliwie do ofiar. Załadowawszy na tobogany cztery bezwładne ciała, odjechali do goprówki, gdzie też udzielili im pierwszej pomocy. Z górami nie na żartów!

[xxxxx]

Gdy mały Wołodia ukończył 12 lat, ojciec podarował mu na urodziny książkę. Chłopiec z zaciekawieniem spojrzął na tytuł powieści. Były to „Wesołe przygody Robin Hooda”. Odtąd Wołodia nie rozstawał się z tą książką. Robin Hood stał się dla niego wzorem. Zgromadził wokół siebie grono swych najbliższych kolegów i bawili się strzelając z łuków do swych rówieśników.

Mijały lata. Rodzice z zaniepokojeniem obserwowali Włodzimierza. 20-letni już młodzieniec nadal fascynował się Robin Hoodem. Nie sięgał po ambitniejszą lekturę w przeciwieństwie do swych kolegów, którzy teraz wyśmiewali się z niego i z jego zainteresowań. W wieku 25 lat Włodzimierz nadal przypominał 12-letniego Wołodię. Sypnął mu się zarost, zmęźniał, nawet już zaczął lekko łysieć, lecz nadal myślał poważnie o zorganizowaniu bandy na wzór rozbójnika z XIII – wiecznej Anglii. Dzięki swym infantylnym zamiłowaniom stracił wszystkich kumpi i samotnie spędzał czas w swoim pokoju.

W nocy dręczyły go sny o łupieniu bogaczy i opatów. Pewnego dnia wpadł na genialny pomysł: w pobliskiej księgarni wykupił wszystkie egzemplarze „Robin Hooda” i zaczął je rozprowadzać wśród robotników pracujących w okolicznych fabrykach. Z kolei robotnicy zafascynowani tematyką książki w tajnych drukarniach powielali tekst i rozprowadzali go dalej. Wkrótce „Wesołe przygody Robin Hooda” znalazły się na indeksie. Policja carska była jednak bezsilna, gdyż wiadomo, że zakazany owoc smakuje lepiej.

„Robin Hood” już w formie bibuły trafił do robotniczych mieszkań i pod strzechy umiejących czytać chłopów. Cały proletariats rosyjski, jak w transie, w chwilach wolnych strugał sobie łuki, robił proce i z ukrycia atakował przechodniów.





Minęło kilka lat, aż wreszcie nadszedł rok 1917. Niebezpieczna zabawa niższych warstw społecznych osiągnęła szczytowy punkt nasilenia. Całym światem zatrzęsała wiadomość o szalejącej rewolucji w państwie rosyjskim. Jeszcze wtedy nikt nie przewidywał, że będzie to jeden z największych przewrotów w historii ludzkość

Gdzieś czyli tu (Szczur)

*Wszystkim moim kolegom
i koleżankom (przepraszam, nie zauważyłem)*

.....

*„... samochody, bezbarwne budynki, z których
każdy jest inny, szkielety świetlnych reklam
unoszące się we mgle, szare południe. W jakim
momencie Peru tak się skurwiło?”*

Mario Vargas Llosa „Rozmowa w katedrze”

Tramwaj podskakiwał na zwrotnicach, a nierówne szyny sprawiały, że szarpało nim na wszystkie strony. Nierówne szyny i tramwaje są utrapieniem ludu pracującego naszych miast. Lud ten kłębi się i gniecie, chucha na siebie i przeklina bliźnich, gdy rano zaspąny jedzie spełnić swój zaszczytny obowiązek, a po południu udaje się na ustawowo zasłużony odpoczynek. Zgnieceni przedstawiciele klasy robotniczej szukają wzrokiem obiektu swojej nienawiści. Raz będzie to ekstrawagancko ubrana dziewczyna, innym razem pijak, niekiedy milicjant, rzadziej kaleka.

Żle się dzieje, kiedy nie ma na kim zaczepić złych myśli – wtedy najczęściej wybuchają zbiorowe awantury. Szybko formują się strony, zauszniczy i poplecznicy. W takim momencie niebezpiecznie jest być neutralnym. Jedyne rozwiązanie to szybko odszukać młodą osobę, która zajmuje miejsce siedzące i na nią skierować frontalny atak. Gdy ofiara wysiądzie lub zostanie wyrzucona, następuje rozejm i zgodna dyskusja na temat chamstwa pleniącego się, zwłaszcza wśród młodzieży.

W takim właśnie tłumie wracałem do domu. Tym razem czułem wyraźnie, że to ja jestem tarczą, w którą wbite są strzały nienawiści pasażerów.

Po pierwsze, siedziałem. Obok mnie stała gruba, uszmiękowana, śmierdząca potem i perfumami baba. Patrzyła na mnie z pogardą, wydymając grube i czerwone wargi. Pogarda była uzasadniona. Ona miała lisi kołnierz, ja wytartą, zieloną kurtkę. Jej smród był niejako koktajlem, ja śmierdziałem tylko wódką. I najważniejsze – ona wracała z pracy, a ja z pijaństwa. Widok tak nędzny, jaki sobą przedstawiałem, nie mógł nie wzbudzić agresji. Mierzyła mnie z taką zjadłością, jakbym był winien śmierci jej ojca, matki i wszystkich innych niewinnych istnień. Nie miała jednak odwagi atakować w pojedynkę, a pozostałym jakoś nie chciało się wypowiadać mi jawnej wojny. Sądzę,





że gdybym jechał w porze powrotu „białych kołnierzyków”, nie uszło by mi na sucho. Teraz było dopiero po czternastej i tłok stanowili głównie „fizyczni”. Ci mają większą tolerancję. Równie dobrze ta wstrętna baba mogła tkwić im solą w oku. Chyba zdawała sobie z tego sprawę, więc pozostało jej tylko wyniosłe milczenie i mimika tłustej gęby – „żeby sobie łobuz nie myślał...”

Miałem szczęście, że startowałem z pętli. W takim stanie miejsce siedzące zapewnia minimum egzystencji. Można wyglądać przez okno, obserwować mrówczy ruch na ulicach, długie ogonki przed sklepami i jeszcze dłuższe po gazety. Jeżeli się wyjdzie ze sklepu i ustawi w kolejce po gazety, więcej – kiedy już ją się kupi i przeczyta – pozwala to człowiekowi stwierdzić, że nie jest jeszcze najgorzej. Znane to i sprawdzone.

Na ulicach wiosenna chlapa. Ludzie brodzą w błocie, klną na czym świat stoi i mimo wszystko usiłują stworzyć sobie pozory normalnego życia. Ja już dawno zrezygnowałem z tych dobrodziejstw. Zadawałam się tym co mam. A mam jeszcze niemało. Nie wszyscy wiedzą ile radości może sprawić jedno spotkanie w bardzo już wątlym kręgu znajomych. Zostało nas – to prawda – garstka. Kiedyś tworzyliśmy większą grupę, ale to stare dzieje i nie warto ich wspominać, jako że...

Jest nas kilku. Paru facetów i dwie dziewczyny całkowicie wyprane z erotyzmu. Razem pijemy, kombinujemy pieniądze, uchylamy się od pracy i nie bacząc na dokuczliwe represje, bronimy zębami i pazurami resztek wolności, która lada chwila może się przecież skończyć.

Oj, tak trzęsie ten tramwaj. A jeszcze przed chwilą było tak dobrze...

xxx

Obudziłem się w okolicy stołu. W głowie szumiało, ręce delikatnie wibrowały, w nogach mrowiło przyjemnie. Podniosłem wzrok na stojące w pobliżu butelki – jest fajnie – pomyślałem, widząc niedopity płyn. Po chwili obudzili się inni. Z resztek wódki i oranżady sporządziliśmy long-drink: po całej szklanie dla każdego. Cudowne są chwile takich przebudzeń. Jeszcze chce się żyć. Rozmowa wtacza się na tory intelektualne, łatwo jest wypowiadać się i spierać na temat książek, filmu, sztuk plastycznych. Ktoś nawet czasem coś napisze, inny to odczyta i znów dyskusje i znów spory...

Pod warunkiem, że wystarczy wódki. Gorzej jak jej zabraknie albo reszta ma już dosyć, a ty nie. Wtedy wszyscy rozchodzą się do domów (swoją drogą ciekawe, że jeszcze nam ich nie odebrano), powoli narasta obrzydzenie do świata, często nieomal fizyczny wstręt do siebie. Ręce i głowa trzęsą się nieregularnie, nieskoordynowane ruchy potęgują rozdrażnienie. Mózg, można by powiedzieć, kurczy się prawie namacalnie. I już nic nie możesz zrobić. Bezsilność, wściekłość, nieokiełznane myśli prowadzą tylko do jednego. Niektórzy mądrale nazywają to głupstwem. Leżysz, chodzisz, bełkoczesz do siebie bezsensowne zdania – aż do następnego razu, kiedy znowu...





xxx

Jadę do domu przeklętym tramwajem w tym cholernym tłumie. Jadę i myślę co robić, mimo, że i tak nic nie będę w stanie zdziałać. Sen trzeba odłożyć do nocy. Nikogo nie można odwiedzić, ani nikt nie przyjdzie do mnie z prostej przyczyny – wszyscy moi znajomi rozjechali się przed chwilą z tymi samymi problemami. Spędziliśmy ze sobą pięć dni, i na jakieś trzy doby trzeba od siebie odpocząć, żeby następne spotkanie miało sens i nie było wymuszone. Bądź co bądź spotykamy się dla czystej przyjemności, nie licząc oczywiście łączących nas interesów, które są wyłącznie bytową koniecznością.

Nie widzę innego wyjścia, jak tylko – przełamując strach – wejść do „spożywcze-go”, kupić pół litra i zamknąć się w domu. W sklepie na szczęście niewiele osób. Kładę na ladę pieniądze i łamiącym się głosem proszę o wódkę. Dzięki Bogu twarz ekspedientki wyraża współczucie. Ani śladu oburzenia. Mam ochotę za to ją pocałować. Szybko chowam towar do torby i rozdygotanymi rękami niezgrabnie zgarniam drobne. Udało się bez większych problemów. No, to do domu.

Dom, w którym mieszkam, stoi u zbiegu granic trzech dzielnic. Gdybym wyskoczył przez okno swojego mieszkania, zabiłbym się na Ochocie. Czyniąc to samo u sąsiadów mieszkających naprzeciw, rymnąłbym na Woli. Gdybym natomiast wyskoczył z okna klatki schodowej, zdrapywali by mnie w Śródmieściu.

Tak w skrócie wygląda lokalizacja budynku. Winda jest cała obsmarowana różnymi napisami. Najbardziej rzuca się w oczy wydrapane nożem wyznaczenie: ŁĄCZAK KOCHA WALCZAK. Nieścistość języka. Nie wiadomo kto kogo kocha, kto w tym związku jest mężczyzną, a kto kobietą i czy miłość jest wzajemna. Zupełnie jak w innym znanym skądinąd stwierdzeniu, że „byt określa świadomość”. Zawsze o tym myślę jadąc windą. Signum temporis.

Wsiadła ze mną jakaś kobieta. Staralem się oddychać rzadko i tylko nosem. Jeszcze tyle zostało we mnie z dzentelmena, żeby nie raczyć przygodnych dam pięciodniowym chuchem. Obeszło się bez dwuznacznych spojrzeń i komentarzy. Widać pasażerka windy była osobą kulturalną i znającą życie. Wczesny kac dawkuje nienawiść wybiórczo. Dopiero później wrogami stają się wszyscy. Wobec tego miałem ochotę pocałować także i tę kobietę, jak wcześniej sprzedawczynię. W obu przypadkach skończyło się na zamiarach.

Wszedłem do mieszkania coraz bardziej przypominającego klitkę Raskolnikowa i zacząłem zastanawiać się jak spożyć pół litra.

Są trzy sposoby1;

Wypić od razu wszystko i paść nieprzytomny do rana, wypić trochę, a z resztą poczekać do wieczora i trzeci sposób – całość zostawić na wieczór.

Ostatni sposób jest najlepszy, ale nierealny. Pozostają dwa wyjścia. Pierwsze jest nierozsądne, bo nikt nigdy nie może przewidzieć kiedy odzyska przytomność, a gdy się to stanie za wcześniej – wtedy rób co chcesz, męcz się i módl, nic nie pomoże.





Teraz mogłem usiąść i pomyśleć co dalej. Udało się myśleć do wieczora. Spojrzałem na zegarek, była dziewiąta. Czas na mnie, pomyślałem i poszedłem do kibla. Należy tu wyznać, że dwa razy dziennie idę do ubikacji o ustalonej porze. O jedenastej rano, gdy rzygam i o dziewiątej wieczorem, kiedy mogę się wyrzygać. W ciągu dnia też tam zaglądam, ale nieregularnie z innych powodów.

Wziąłem szklankę, butelkę i poszedłem piechotą jak król. Oparłszy się o umywalkę już zabierałem się do konsumpcji, gdy z kiblowych czeluści dotarł do mnie cieniutki, ale donośny głos.

– Witaj mistrzu!

Szybko pociągnąłem z szyjki i dopiero wtedy spojrzałem na muszlę. Na klozetową deskę wgramolił się szczur rozmiarów kota. Miał bardzo ładną sierść i gęste wąsy. Ogon elegancko podwinął na tylne łapy. Jeżeli można tak powiedzieć, położył go na swych kolanach. W wyraźnie ironicznym uśmiechu odkrył lśniące zęby. Przednie łapki założył na pierś, a plecami oparł się o podniesioną klapę. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że się przecież odezwał. Postanowiłem nie zdradzać zdziwienia. Co prawda do Wigilii było jeszcze daleko, ale jako człowiek nowoczesny nie wierzę w przesady. Skłoniłem się delikatnie i spytałem czego sobie życzy.

– Niczego. Chciałem cię zwyczajnie odwiedzić. Przepraszam za wścibstwo, ale z moich wstępnych obserwacji wynika, że jesteś samotny, brakuje ci towarzystwa, więc tak sobie wpadłem na chwilę. Chyba się nie gniewasz?...

– Skądże. Może wejdiesz do mieszkania. Mam herbatę...

– Nie piję herbaty. – skrzywił się – Wchodzić do środka też nie mam ochoty. Tu mi jest najlepiej. Nie kłopotcz się mną, zamienimy parę słów i słydam.

Starałem się co nieco pociągnąć go za język, ale okazał się bardzo powściągliwy. Delikatnie wypytywał o różne szczegóły, a przy tym cały czas pilnie baczył, czy nie mam wobec niego wrogich zamiarów. Zwróciłem mu uwagę, że to niegrzecznie okazywać brak zaufania do ludzi, którzy podejmują gościa u siebie w domu. Odpowiedział szczerze, że nie zna na tyle ludzi i tym samym mnie, żeby całkowicie zarzucić wszelkie środki ostrożności. Spotykamy się przecież po raz pierwszy i diabli wiedzą, co też mi może przyjść do głowy. Jeżeli jednak sobie życzę, odwiedzi mnie jutro o tej samej porze. Z czasem – wyraził taką nadzieję – nawiążemy bliższe stosunki. Teraz musi odejść.

– Nie zapomnij tylko zostawić jutro otwartej klapy – dodał na pożegnanie – i zniknął.

Wróciłem do pokoju. Piłem małymi łykami i zastanawiałem się nad niecodzienną wizytą. Dlaczego akurat na mnie wypadło? Mówił, że przyciągnęła jego uwagę moja samotność, ale czy ja jeden żyję w ten sposób? Pal licha! Tak czy owak jestem wybrańcem losu. Do szarawej, wieczornej codzienności doszedł jeden ważny element. Jeżeli szczur jest słowny i nie rozmyśli się w ciągu dnia, będę miał nowe i całkiem ciekawe towarzystwo. Cóż mnie to obchodzi, że to tylko zwierzę nie posiadające duszy? Waż-





ne, że potrafi mówić – robi to całkiem elegancko – zna życie od innej strony i ma na pewno interesujące doświadczenia. Za wszelką cenę muszę tę znajomość utrzymać. Byłem naprawdę zadowolony. Tak jakoś lekko zrobiło mi się na duszy, że nie wypilem do końca wódki, zostawiłem setkę na rano. Zasnąłem spokojnie i do świtu żadne dolegliwości nie zakłócały mi snu.

Nazajutrz obudziły mnie rury. Budziki i rury, podobnie jak na wsi koguty, mają to do siebie, że hałasują i rozstrajają nerwowo już i tak dostatecznie rozdygotanych ludzi. Z wysiłkiem odtworzyłem sobie miniony dzień. A zatem po kolei: końcówka pijaństwa, tramwaj, sklep, winda, mieszkanie, no i szczur. Cholera jasna, zbyt wyraźne było to wszystko i za mało wypilem, żeby spędzić szczura w majaki senne czy też zwalić go na karb delirki.

Zdarzenie to było jednak mało prawdopodobne. Wypilem ocalałą wódkę, powalczylem z pawiem i podochocony postanowiłem wyjść na spacer. Nie znając dnia ani godziny, nie wiedząc o której wrócę i czy wrócę, dotrzymałem obietnicy danej szczurowi – nie zamknąłem kłapy.

Miasto – jak zwykle, szare i brudne. Ohyda. Wszyscy wyglądają jednakowo. Matki i ich dzieci, stare baby, milicjanci, psy, gołębie. Taka sobie zwykła wydzielina. Całość zlewa się w jedną, bezkształtną masę. Szarą jak te rolki papieru toaletowego, którego wianuszki dyndają właśnie na ramionach, co dziesiątej mniej więcej osoby. Widać znowu gdzieś rzucili – palce lizać.

Ja też wyglądałem podobnie. Chociaż może nie, bo dlaczego patrol spośród tylu wymiętych twarzy właśnie moją sobie upodobał.

– Dowód! – pokazuje. – Pracuje? – oglądają podrobioną pieczętkę – dlaczego nie w pracy?

– Bo chory...

Odeszli. Im też się nie chce. Mają to wszystko w dupie. Każą im bić to biją, każą zabić – ukatrupią, ale własnej inicjatywy wykazują niewiele.

Wałęsam się bez celu, oglądam wystawy sklepowe, pluję na chodnik, palę papierosy. Powoli ogarnia mnie zmęczenie, ale nie chcę za wcześnie wracać do domu. Może by pójść do kina? Pomysł upada szybko. Repertuar dziadowski, a poza tym w takim stanie trudno mi będzie wysiedzieć dłużej niż godzinę. Najgorsze są te chwile, kiedy nie można nic ze sobą zrobić i człowiek popada w obrzydliwy nastrój. Histeryzuję sam przed sobą i rozczulam się jak pensjonarka, mimo iż wiem, że dokonałem wyboru najlepszego z możliwych. Przecież nigdy, przenigdy nie zamieniłbym się na życie z żadnym z tych przechodniów. Oni też się męczą. Męczą ich stokroć więcej problemów. Te nigdy nie zostaną rozwiązane. Nawet gdyby się wypilo pół litra i więcej, na co i tak szkoda im pieniędzy. Ciufajcie więc dalej grosz do grosza w nadziei, że kiedyś to wam zaowocuje.

Przeczytałem gdzieś, że Onassis, zapytany jak można stać się bogaczem, odpowiedział – „Wystarczy zawsze, wyłącznie i bez przerwy myśleć o pieniądzech”.





Myślcie tedy o pieniądzech, a na pewno zrobicie fortunę. Ja wysiadam. Wracam do domu. Trzeba odczekać parę dni, przeżyć kaca i czymś się zająć. Nie do wiary, ale mam jeszcze na tym świecie co nieco do zrobienia. Nie wiem nawet dokładnie co to takiego. Najbardziej u nas rozpowszechnioną i radosną twórczością jest dziecioróbstwo. O to najłatwiej, ale ja jestem artystą ambitnym. Jeżeli czegoś kiedyś dokonam – dokonam na pewno – będzie to miało głęboki sens i wzbudzi zachwyt mój oraz otoczenia. O, nie! Precz z łatwizną i tanioczą!

I znowu nic ciekawego nie zauważyłem, a cel mojej włączki był przecież całkiem inny. Kiedy tylko zaobserwuję coś interesującego, zaraz odnotowuję to w zeszytcie. Zeszyt prowadzę od dawna. Zapisalem już cztery strony.

Gdy zajrzałem do łazienki już tam był. Siedział, jak wczoraj, na desce klozetowej. Tym razem, na trzeźwo jawił mi się jeszcze większy. Skinął uprzejmie łapką, uśmiechając się przy tym. A zatem nie była to delirka.

– Uszanowanie, mistrzu – rzekł całkiem poważnie – jestem zgodnie z obietnicą. Przepraszam z miejsca za wczorajszą rezerwę, ale z natury jestem nieufny. Pewnie dzięki temu dosyć długo żyję i mam zamiar pożyć jeszcze trochę.

Ucieszyłem się, że przyszedł. Rzuciłem kilka zdawkowych uwag o pogodzie i o czymś tam jeszcze, jednakże z jego miny widać było, że lubi rozmawiać o rzeczach konkretnych.

– Opowiedz mi coś o sobie – poprosiłem wobec tego.

– Zgaś najpierw papierosa. Nie znoszę dymu. O, tak, teraz świetnie. Jestem wędrownym szczurem wodno – kanalizacyjno – lądowym. Znam świat od piwnic i kanałów, na ziemi bywam rzadko. Do mieszkań raczej nie wchodzę. Dla ciebie zrobiłem wyjątek.

– No dobrze, ale dlaczego mnie właśnie spotkał ten zaszczyt?

– Mówiłem ci już, że od jakiegoś czasu obserwuję cię. Jesteś odludkiem – to był pierwszy sygnał. Co prawda odludki też są tylko ludźmi, ale ty wyglądasz na odludka szczególnego. Ludzie nie lubią takich, wiem coś o tym. Ludzie też nie lubią szczurów. Pozwoliło mi to wysnuć wniosek, że są podstawy ku temu, abyśmy się bliżej poznali bez szwanku dla mojego życia i zdrowia.

– Ale dlaczego tak bardzo ci na tym zależy?

– Jak już powiedziałem, poznałem kawał świata, ale tylko z jednej strony. Niezbyt dobrze się orientuję jak to widać z ludzkiej perspektywy, a ty mi możesz w tym pomóc. Postanowiłem, że zanim zdechnę, muszę się jak najwięcej dowiedzieć dla dobra szczurzego gatunku. Inni pójda w moje ślady.

– Ach tak. Wyobraź sobie, że i ja myślałem bardzo podobnie. Powiedz mi, jeśli łaska, w jakich to ciekawych miejscach bywałeś?

– Ho, ho! Byłem już nawet za granicą, w KC i w pałacu prymasowskim...

– Zagranicę na razie zostawmy, ale pozostałe dwa miejsca bardzo mnie interesują...

– Nic nadzwyczajnego. Śmierdzi tam tylko potwornie. Za dobrze jedzą.

Trochę się zawiodłem. Ale właściwie jakich spostrzeżeń mogłem się po nim spodzie-



wać? Poza tym nie mogłem okazać, że mnie zawiódł, bo szczur – jak zdążyłem zauważyć – był bardzo czuły na punkcie miłości własnej. Inna rzecz, że nie musiał odkrywać od razu wszystkich swoich kart. Pewnie wiedział o wiele więcej, z tym tylko, że czekał najpierw na moje rewelacje, a te okazały się niewiele wartościowsze. Nie zrażony tym stwierdził, że taki stan rzeczy przewidywał od dawna. Pogadaliśmy jeszcze trochę. Zapropnowałem coś na ząb.

– Nie, dziękuję, przed chwilą jadłem.

Zapewnił mnie, że jak będzie głodny, to nie omieszka skorzystać z mojej spiżarni. Pożegnaliśmy się serdeczniej, niż za pierwszym razem.

Od tej pory szczur odwiedzał mnie codziennie. Zaczęła się nawet między nami zawiązywać swego rodzaju przyjaźń. Wpadał na krótko. Pół godziny, czasem trochę dłużej. Opowiadał o sobie coraz więcej, a i ja zacząłem mu się zwierzać z codziennych, drobnych i większych kłopotów. Swoim przyjaciółom rodzaju ludzkiego nic o nim nie powiedziałem. Zdawało mi się, że chwając się nową znajomością nie tylko ryzykowałem utratę człowieczej kompanii, ale także – to było ważniejsze – zdradziłem jakąś tajemnicę. Co prawda szczur nie prosił o dyskrecję, ale czułem, że byłby bardzo niezadowolony, gdybym komuś o nim opowiedział. Było nam ze sobą dobrze. Rozmowy stawały się coraz bardziej interesujące, o coraz więcej problemów zahaczaliśmy.

– Dlaczego jesteś samotny? – zapytał kiedyś – przecież wiem, widziałem, że ludzie na ogół żyją w grupach. Samiec, samica i potomstwo.

Odpowiedziałem, że moje życie nie tak dawno również wyglądało podobnie. W różnych okresach mieszkali tu różne dziewczyny, które kochałem i które mnie kochały. Znalazły się jednak powody – jasne i mniej jasne – z jakich mnie porzuciły.

Nie dotarło to do niego. Przecież – mówił – rozmnożyć się można wszędzie i z każdą. Na szczurzy rozum to właśnie ja żyłem normalnie, a inni zachowywali się przez całe życie jak w obliczu grożącego niebezpieczeństwa, skupiając się w stado.

Trudno mi było wyjaśnić mu to wszystko. Mówiłem o nieprzystosowaniu małych ludzi do tzw. naturalnych warunków, o degeneracji gatunku, który nie mógł żyć bez sztucznego ubrania i mieszkań, o wielu jeszcze innych istotniejszych sprawach.

– Użyłeś przed chwilą niezrozumiałego słowa. Co to znaczy „kochać”?

Westchnąłem i z przykrością w głosie powiedziałem mu, że ludzie nie wiążą się tylko dla samego rozmnażania.

– Człowiek, wybac mi to stwierdzenie, jest istotą wyższego gatunku. Ma zdolność i potrzebę miłości innej osoby. Zawsze dąży do tego, aby tę potrzebę zaspokoić. Najłatwiej i najczęściej łączą się osobniki przeciwnej płci. Najpierw chcą, a potem z wielu względów także muszą żyć ze sobą.

Nie bardzo rozumiał. Pofukiwał i kręcił z niedowierzaniem łbem. W końcu dał za wygraną.

– Nie wyglądasz mi na takiego... – dodał na odchodne.





Mijał tydzień za tygodniem. Dni upływały podobnie jak kiedyś, za to wieczory zmieniły się radykalnie.

Zadawaliśmy sobie coraz więcej pytań dotyczących nas i naszych gatunków. Zdawaliśmy też jeden drugiemu bardzo dokładne sprawozdanie z przeżytego dnia. Wszystkie tematy i spostrzeżenia wydawały się nam wielce godne uwagi. Mój zeszyt kronika wypełnił się nieco. Zacząłem inaczej patrzeć na świat. Drobiazgi, obok których przechodziłem dotychczas obojętnie, stały się teraz warte zapisu. Co prawda, nadal życie toczyło się starym wytartym torem i nic nie mogło wywołać we mnie silniejszych wzruszeń, jednak skrzętnie gromadziłem fakty, falciki i nowinki, które dla szczura stanowiły zupełnie novum.

On też wylażił ze skóry, żeby zainteresować mnie swoimi spostrzeżeniami. Dzięki niemu przekonałem się, że taki podziemny sposób życia może mieć wielkie plusy. Rozbudowana sieć kanalizacji pozwala dotrzeć dosłownie wszędzie, wydostać się na powierzchnię, zobaczyć to i owo, i niepostrzeżenie zniknąć. Wszystkie relacje szczura skierowywałem na interesujący mnie temat. Zwykle zaczynał od wrażeń zapachowych, ale pozostałe zmysły również go nie zawodziły. Obserwatorem był znakomitym.

Postanowiłem – może to niezbyt ładnie z mojej strony – wykorzystać go w celach prywatnych. Podczas jakiejś rozmowy powróciliśmy do spraw damsko – męskich.

– Może chciałbyś zobaczyć którąś z moich byłych kobiet? – spytałem podstępnie.

Dostrzegłem w jego oczach błysk zainteresowania. Bez chwili wahania wyraził zgodę. Wytłumaczyłem mu dokładnie, gdzie mieszka moja ostatnia. Pomyślał chwilę, opracowując zapewne kanalizacyjny plan dojścia do celu. Zmrużył po cwaniacku oko i chlupnął w otworze klozetu.

Powrócił po dwóch godzinach. Podenerwowany wbiegłem do łazienki.

– Opowiadaj!

– Jak na mój szczurzy gust – zaczął niedbale i z nutą pogardy w głosie – nie zauważyłem w jej urodzie niczego nadzwyczajnego. Nie masz czego żałować.

– A może niewłaściwe było pole twojej obserwacji. Domyślasz się chyba o co mi chodzi? Od pewnej strony wszyscy wyglądają nieciekawie i raczej mało estetycznie.

– Nic podobnego. Obejrzałem ją ze wszystkich możliwych stron, narażając przy tym życie.

Spytałem, czy była sama.

– Z całą pewnością sama.

Chyba rzeczywiście miał dobry gust. Teraz, z dystansu i mnie jej uroda nie wydawała się niczym nadzwyczajnym. O pozostałych cechach nie wspomnę. A wtedy...

Zwykle zaślepienie. Szczurza psychoterapia bardzo podniosła mnie na duchu. Obiecałem sobie częściej z niej korzystać i nie tylko w układach sercowych.



xxx

Wiosna daje się już odczuć w pełni. Słońce grzeje mocniej, z ulic zniknęła chlapa. Ludzie powoli zrzucają wierzchnie okrycia, dzięki czemu ulice wyglądają barwniej. Ja też czuję się znacznie lepiej. Odnajduję coraz więcej ważnych spraw. Nie wiem tylko czyja to zasługa. Może wiosny, a może...

xxx

Nadal spotykamy się w niezmiennym ludzkim składzie. Pozostali także wydają się być radośni. Niby nadal pijemy, wygłupiamy się i robimy rzeczy poważne – niby tak samo, a jednak jakoś inaczej. O szczurze, rzecz jasna, nikomu nie powiedziałem i mam zamiar wytrwać do końca w utrzymaniu sekretu. Posiadanie tajemnicy poprawiło mój wizerunek we własnych oczach. Czuję się kimś ważnym i wprowadzonym w wielkie rzeczy świata tego. Powroty do domu, których kiedyś tak bardzo nie znosiłem, nie są już dla mnie katogą. Wieczory mam teraz wypełnione konwersacją z piwnicznym towarzyszem. Zdarza się, co prawda rzadziej niż kiedyś, że nie wracam na noc, jednak zawsze wtedy zostawiam otwartą klapę i kładę na podłodze łazienki coś do jedzenia. Kiedy przewiduję, że będę nocował poza domem, staram się w miarę możliwości uprzedzać o tym szczura. Oczywiście, nie zniknęły z tramwajów rozmaite wściekłe baby. Odchyłeń od normy nie przewiduje się w najbliższym czasie. Baby, tłok, smród i kolejki ciągle te same, ale mniej przygnębiają i nie tak bardzo denerwują.

Nie jestem pewny odczuć pozostałych kumpli. Nie chcę ich jednak szczegółowo o to wypytywać. Nasz niepisany kodeks zakazuje włączenia z butami do wnętrza drugiej osoby.

Siedziałem zamyślony na krześle, gdy usłyszałem drapanie. Błyskawicznie znalazłem się w łazience. Podniosłem klapę. Siedział w muszli trochę obrażony.

– Zapomniałeś podnieść, czy już masz mnie dosyć?

Zapewniłem go skwapliwie, że to tylko przez roztargnienie. Gdzieżby mi mogło przyjść na myśl, żeby się go pozbywać! Musiałbym być chyba niespełna rozumu.

Udobruchałem go szybko. Zapytał, czy mam coś do żarcia, bo od rana nic nie miał w pysku. Niestety nie miałem. Kolację zjadłem w barze, domowa szafka z jedzeniem była pusta. Zrobiłem głupią, przepraszącą minę.

– Nic nie szkodzi. Skoczę do piwnicy i na śmietnik. Tam zawsze coś sobie znajdę.

– Uważaj – ostrzegłem go – mogli wyłożyć trutkę!

– Nie boję się trucizny. Jestem uodporniony. Zupełnie na mnie nie działa. Od dawna uodporniłem się przyjmując zrazu dawki minimalne, aż do największych. Teraz robią tak wszystkie światłe szczury. Trucizna zagraża przede wszystkim zwierzętom domowym i małym ludziom. Poczekaj chwilę, zjem coś i zaraz wracam.

Wrócił rzeczywiście po chwili i jak zwykle wywiązała się rozmowa. Tym razem dał się namówić na przejście do pokoju. Rozparł się wygodnie na krześle, upewniwszy się





przedtem czy nikogo poza nami na pewno w mieszkaniu nie ma. Mimo zaawansowanej przyjaźni jego czujność nie słabła.

Na wstępie spytał mnie jak ludzie organizują sobie życie. Zacząłem mówić o rodzinie, układach społecznych i systemach politycznych. O państwach, granicach, rządach. Pytania, jakie wtrącał od czasu do czasu, świadczyły, że orientował się już cokolwiek w tych zagadnieniach. Wyjaśniłem mu system działania demokracji i totalitaryzmu, metody sprawowania władzy, politykę wewnętrzną i zagraniczną. Dzięki temu i moja wiedza znacznie się powiększyła, gdyż co chwila musiałem korzystać z materiałów pomocniczych. Wszystko to bardzo go interesowało.

– To zupełnie inaczej niż u nas... – zadumał się.

Cofnąłem się więc do zamierzchłej przeszłości. Do człowieka pierwotnego i układów plemiennych. Wspólnie odnajdowaliśmy analogie i różnice pomiędzy światem ludzkim, a zwierzęcym. Wyjaśniając mu teorię ewolucji, nie mogłem nie wspomnieć o religii i systemach filozoficznych. Słuchał z zapartym tchem. Mówiłem o Bogu i stworzeniu świata. W wielkim skrócie streściłem Biblię. Wspomniałem także o innych religiach, wierzeniach i mitach.

– Aż mi się w głowie zakręciło – szepnął w zachwycie. – nadzwyczajne, co opowiadasz...

Później poprosił, żeby mu opowiedzieć dokładniej o wojnie. Opowiedziałem. Najpierw trochę faktów historycznych, następnie skupiłem się na celach i różnych metodach prowadzenia wojen.

Siedzieliśmy prawie do rana. Przy pożegnaniu mieliśmy chęć się uściskać. Po tej rozmowie sam już wchodził do pokoju, siadał w krzesło i z własnej inicjatywy bardzo barwnie opowiadał o szcurzym życiu.

W ich środowisku panuje większy liberalizm. Z pozoru mogłoby się wydawać, że żyją w gromadzie podporządkowanej sztywnym regułom. Nic bardziej mylnego. Każdy szcur ma swoją norę, do której nikt z pozostałych nie może samowolnie wchodzić. Każdy troszczy się o siebie i żyje jak mu się podoba, na własny koszt, przestrzegając przy tym wszelkich norm moralnych. Nie znaczy to jednak, że obce im jest poczucie solidarności. Wystarczy, w obliczu zagrożenia, zwrócić się do któregośkolwiek z towarzyszy. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby komuś odmówiono pomocy lub poparcia. Co innego myszy. Ich solidarność jest tylko pozorna. Chwalą się nią i naczalnie demonstrują, ale jak przyjdzie bieda, każda z nich sama stara się ratować, choćby po trupach pozostałych.

– Myszy – zapiszczał lekko poirytowany – są najbardziej wrednymi, egoistycznymi i bezwzględными gryzoniami pod, że się tak wyrażę, słońcem.

Z niejaką ulgą powrócił do szcurów.

– Starsze i doświadczone są, oczywiście, darzone większym szacunkiem. Można zwrócić się do nich o pomoc, poprosić o rozwiązanie trudnej sytuacji. Nie czerpią jednak z tego żadnych materialnych korzyści i faktycznie nie sprawują żadnej władzy...





Cały ten fragment wywodu mogłem skomentować słowami wypowiedzianymi niedawno przez niego: „to zupełnie inaczej niż u nas...”

– W naszym środowisku – ciągnął – można ostatnio zauważyć wzmożoną chęć doskonalenia się. Wszyscy chcą wiedzieć jak najwięcej, żeby żyć bezpiecznie i na wyższym poziomie. Chyba nie pogniewasz się, gdy powiem, że między innymi dzięki tobie, w niedalekiej przyszłości osiągniemy dużo wyższy pułap rozwoju.

Odpowiedziałem, że z tego powodu czuję się niezmiernie zaszczycony.

Przy którymś tam z kolei spotkaniu wróciliśmy do wojen. Dowiedział się ode mnie o systemie broni nuklearnej. Wcale go to nie przerażyło.

– My, szczury, jesteśmy ze śmiercią za pan brat. Codziennie ktoś bliski nam ginie. Nie zastanawiamy się co będzie, gdy nas nie będzie. Staramy się tworzyć tu i teraz, z myślą o sobie. Co z tego zostanie dla przyszłych pokoleń – to już inna sprawa. Ale, skoro jak mówisz, tych następnych ma już nie być, to o czym w ogóle rozmawiamy? Jeżeli postanowicie unicestwić siebie i innych, róbcie to jak najlepiej potraficie, a na zapas radziłbym się nie martwić. Możecie przez to sparaliżować wiele własnych, cennych inicjatyw.

Mądrość i prostota szczurzych wywodów często zapędzały mnie w kozi róg. Czasem wprost używałem jego argumentów w przeróżnych dyskusjach i argumentacja ta prawie zawsze zwyciężała. Śmiałem się w duchu, wyobrażając sobie miny tych, którzy dowiedzieliby się, kto jest właściwie autorem wielu zaskakujących sądów. Myślałem nawet o napisaniu kilku artykułów opartych głównie na toku myślenia swojego współlokatora, bo szczur był ostatnio częściej u mnie niż w piwnicy.

Niekiedy żałowałem, że nie mogę wyjść z nim na spacer, wstąpić do kawiarni, poznać go z ludźmi. On ze swojej strony miewał podobne rozterki. Tak samo miał ochotę zabrać mnie na wycieczki po kanałach i piwnicach...

Czasem zdarzały się zabawne historie. Kiedyś na przykład przyszedł i bełkocącym głosem skarżył się, że nie mógł do mnie trafić. Zrozumiałem, że jest pijany. Chwiał się na swoich czterech łapkach, czekał i nie mógł pozbierać myśli. Z trudem wyciągnąłem z niego gdzie był. Okazało się, że płynął ściekiem obok gorzelni i chcąc nie chcąc nażłopał się alkoholu. Przygotowałem mu posłanie i radziłem się położyć. Zasnął natychmiast. Następnego dnia wstał późno. Widać było wyraźnie, że ma kaca. Biegły w porannej fizjologii, zaproponowałem klina.

– Co to, to nie! – odparł rezolutnie – nie rozumiem, jak możesz dobrowolnie pić to świństwo.

Odpowiedziałem zdawkowo, że co innego szczury, co innego ludzie. Ludziom, zwłaszcza takim jak ja, jest to bardzo często potrzebne. Udał, że wierzy. Zjedliśmy śniadanie i jakoś doszedł do siebie.

Ani się spostrzegłem jak nadeszło lato. Wszystkim zaczęły dokuczać upały. Ładne dziewczyny poodkrywały swe wdzięki. Coraz łaskawiej spoglądałem na świat. Piłem już tylko rozcieńczoną wódkę z lodem i prawie nigdy nie zalewałem się na umór. Aż





dziw bierze jak bardzo liczyłem się z opinią szczura. Kontrolowałem się na każdym kroku, by uniknąć kompromitacji. Wstyd mi było nawet załatwiać w jego obecności potrzeby fizjologiczne, choć on czynił to przy mnie bez skrępowania.

Lato zepchnęło w ukrycie wstrętne baby. Jedyne co mogły pokazać, to lisie kołnierze, a teraz nie pora na to.

Wpadłem w szaleńczo radosny nastrój. Znajomi nie poznawali mnie. Wszystkich zadziwiała moja energia i inicjatywa. Stałem się w tym czasie duszą towarzystwa. Mój nastrój udzielał się innym. Stanowiliśmy najweselszą grupę na tym łez padole i tylko ja wiedziałem komu to zawdzięczamy.

Trwałoby to nie wiadomo jak długo, gdyby nagle szczur nie przestał przychodzić. Nie przyszedł jednego dnia, nie zajął też w dzień następny.

Z początku sądziłem, że tylko dłużej gdzieś zabawił czy prowadzi długofalowe eksperymenty na odległych od mego domu obiektach. Czekałem, będąc pewnym, że pojawi się lada dzień. Kłapa nadal była podniesiona. Na podłodze leżało nietknięte jedzenie.

Najpierw włoczyłem się po pobliskich śmietnikach i piwnicach, później zamknąłem się w domu i ciągle czekałem. Na próżno.

Trzeba się było w końcu z tym pogodzić. Może go gdzieś zatłukli albo musiał się dokądś przenieść lub też po prostu nigdy go nie było...

Świat znowu wydał się okropny. Opalona i obiektywnie piękna golizna dziewczyn nie przyciągała mojej uwagi. Z uroków lata dostrzegałem tylko skwar i kurz. W rzadkich momentach trzeźwości wyglądałem godzinami przez okno, niczego nie widząc i o niczym nie myśląc.

Tak upłynęły dwa puste tygodnie. Nadszedł trzeci i czwarty. Coraz rzadziej myślałem o szczurze, a gdy już go sobie przypominałem, to bez żalu i raczej z rozbawieniem. Nadal nikomu o nim nie mówiłem – miałoby to jeszcze mniejszy sens niż w okresie znajomości.

Po powrocie z jakiejś popijawy, jak zwykle siedziałem zadumany, kiedy zadzwonił telefon.

– Co jest u diabła?! – zdziwiłem się głośno, jako że telefon już dawno mi wyłączyli z powodu nieopłacenia rachunków.

Przetarłem uszy. Telefon dzwonił uparcie. Podeszedłem do aparatu i z niejakim trudem oderwałem od widełek klejącą się od brudu słuchawkę.

– To ja, mistrzu – usłyszałem znajomy alt – chciałbym cię przeprosić za niespodziewane zniknięcie. Należy ci się kilka słów wytłumaczenia. Otóż, wyobraź sobie, że znalazłem samicę, w której się zakochałem. Pamiętasz chyba tę rozmowę, kiedy przekonywałeś mnie, że tylko ludzie są zdolni do uczuć wyższych. Myliłeś się. Nie tylko wy macie rozbudowaną tę sferę osobowości. Ja na przykład znalazłem sobie żonę, z którą chcę spędzić resztę życia. O tobie na razie nic jej nie mówiłem. Wybacz, że się nie pokazuję, ale jestem bardzo zajęty organizacją życia rodzinnego, tej, jak wiesz, pod-



stawowej komórki.... Planujemy niebawem podróż zagraniczną. Kanałami oczywiście. Jak wrócimy, to może i ty skorzystasz z przetartych szlaków? Wybralibyśmy się wtedy wspólnie. Co ty na to, mistrzu?

Chciałem się odezwać, ale w tym momencie przerwano nam rozmowę. Odłożyłem słuchawkę.

Wyciągnąłem spod stołu butelkę wódki. Napeliłem szklankę i zanim wypilem, długo, bardzo długo wpatrywałem się w nią jak w szklaną kulę.

31.III.1984

Kopciuszek

W pewnym miasteczku mieszkała biedna wdowa z córką. Córka była ładną, sądząc z faktów, interesującą dziewczyną, lecz matka nie miała z niej żadnej pociechy, bo dziewczę nigdy niczego w domu samo nie zrobiło. Była wielką egoistką i tylko rozrywki chodziły jej po głowie. Bardzo często wymykała się z domu, by nie wracać przez kilka dni i nocy. Po tych eskapadach była tak wymęczona, że całymi godzinami wylegała się w łóżku. Matka była załamana – nigdy nie dawała jej pieniędzy bo sama ich zresztą nie miała: a córka – zastanawiała się – tak bez troski żyje?

Nie można się dziwić starej kobiecie, że sposób zarobkowania córki stanowił dla niej zagadkę. Była wychowana w surowej dyscyplinie i takiejże moralności, co w gruncie rzeczy nie ułatwiało jej życia.

Któregoś dnia w drzwiach remizy wywieszono ogłoszenie o dyskotecie mającej się odbyć w najbliższą sobotę. Muzykanci po kryjomu stroili już instrumenty, no bo wiadomo: człowiek nie magnetofon i napije się, i zażartuje, jak trzeba beknie, i życzenia za pieniądze komu trzeba przez mikrofon złoży. Wszystkie dziewczyny rozpoczęły przygotowania.

Zainteresowanie wzrosło jeszcze bardziej, gdy ludzie zaczęli rozpowiadać o przyjeździe nowego, młodego naczelnika gminy. Córka ubogiej wdowy była wściekła. Skończyły się jej ostatnie pieniądze i nie miała za co kupić sobie nowych ciuchów. Nie bacząc na to, co robi, nocą wymknęła się z domu i zrobiła włamanie do GS-u. Wzięła piękną balową suknię i jeszcze piękniejsze buciki.

Nadeszła wreszcie upragniona sobota. Orkiestra strażacka grała wesoło i wszyscy bawili się doskonale. Chłopaki obłapiali dziewczyny w tańcu, chuchali lekko przetrawionym jabolom w ich roześmiane, czerwone z zachwyty gębuchy. Żonaci, jak na mężów i ojców przystało, chlali wodę przy prosto, lecz suto zastawionych stołach, wytrzepywali na podłogę ze szklanek ostatnie krople czystej i krzywiąc się zagryzali tłustym boczkciem. Tylko młody traktorzysta z SKR-u nie jadł nic. Tydzień temu w czasie przyjacielskiej bójki stracił wszystkie zęby, chyba ze trzy. Gwar tętnił jak mleko w cyckach rasowej krasuli. Gdy nagle uciszyło się, wiadomo było, że na salę wszedł nowy naczel-





nik gminy. Uśmiechnął się na powitanie błyskając złotym zębem, że aż wszystkim panom przestały na moment bić serca. Naczelnik odczekał chwilę i następnie wygłosił krótkie przemówienie pełne optymizmu. Łyknął z musztardówki, a gdy w zgiełku okłasków orkiestra znów zaczęła grać, skierował swe kroki prosto w stronę wyrodnej córki. Dziewczyna była wniebowzięta. Dumnie krzyżowała wzrok z zazdrosnymi spojrzeniami innych. Na nieszczęście ujrzała także sprzedawczynię z GSu.

– Jedna baba drugiej babie... – Podśpiewywał w tańcu jeden z utrudzonych wódką żonatych.

Wyrwała się z objęć naczelnika i czym prędzej uciekła z remizy – pech chciał – gubiąc na prog, niezupełnie swój, piękny bucik. Nie miała już czasu wrócić po niego, szybko pobiegła do domu, zatrzaskała za sobą drzwi i czekała.

Tymczasem w remizie wrzało. Naczelnik podniósł bucik i ogłupiałym wzrokiem szukał właścicielki. Zgłosiła się sprzedawczyni. Miała duże spuchnięte stopy i brzydką nalaną twarz. Obuwie rzeczywiście należało do niej. Faktura była w najlepszym porządku z metką. Wzięła naczelnika pod rękę, mocno tuląc się do jego naprawdę męskiego ramienia. Dwaj miejscowi milicjanci, choć służba nie drużba, byli świadkami na ich ślubie. Młodzi żyli długo.

Ostatnia stacja

Gdyby mógł teraz wysiąść z pociągu, uczyniłby to natychmiast. Zrobiłby tak na pewno, by pędem zawrócić do miejsca, z którego zaczął swą podróż. Do miejsca, gdzie pozostawił to wszystko, co już w tej chwili przestało być nawet wspomnieniem.

Nie dalej jak przed godziną Abel wszedł na dworzec. Nowoczesne zabudowania i urządzenia z drugiej połowy dwudziestego wieku pełniły jakoś swe funkcje, mimo brudu, zaniedbania i ciągłej, rabunkowej eksploatacji. Drugo-połowo-dwudziestowieczni podróżni i odprowadzający przelewali się z miejsca na miejsce, wkomponowując się w ogólną atmosferę dworca i dopełniając swym wyglądem jego apatyczny i ponury obraz. Abel długo stał na peronie zanim nadjechał jego pociąg. Pociągu nikt nie zapowiedział, toteż ledwo zdążył się zorientować, że to właśnie ten i w ostatniej chwili znalazł się w przedziale. Nie było tłoku, z łatwością więc zajął miejsce siedzące. Nie zdążył usadowić się porządnie, a już pociąg ruszał leniwie, zachowując incognito, bowiem nie ogłoszono również jego odejścia.

W miarę oddalania się od stacji odczuwał dziwną, smutną ulgę. Bez przerwy palił papierosy i bezmyślnie wodził oczami po twarzach podróżnych, oknach i ścianach przedziału. Prawie na siłę starał się nad niczym nie zastanawiać, nie słuchać wewnętrznych głosów stanowiących liczny chór. Wyjeżdża, aby już nigdy nie powrócić. Wyjeżdża zupełnie sam i nie chce ze sobą zabierać nawet własnych myśli. Decyzja głęboko przemyślana. Podróż jest tylko kropką nad „i”. Zamiana bezludnej wyspy swego „tam”,





na bezludną wyspę „tam” jeszcze nieznanego. Na razie i tym bardziej w takiej chwili, niczego nie wolno sądzić i zastanawiać się. Jedzie.

W przedziale zrobiło się jakby luźniej. Większość pasażerów wysiadła, a ci nieliczni, którzy weszli na jednej z gęsto rozrzuconych stacyjek, wydali się jacyś inni i chyba naprawdę takimi byli. Zajmowali mniej miejsca, ciszej się zachowywali, twarze mieli jaśniejsze. Pociąg jechał teraz bardzo powoli i zatrzymywał się coraz częściej. Robiło się ciepłej, przytulnie, leniwie i – Abel zasnął.

Przyśniło mu się, że jak zwykle leży na tapczanie w swoim domu. Z braku lepszego zajęcia obserwował okna kamienicy stojącej naprzeciwko. Wtem, w blasku księżyca, dostrzegł na parapecie jednego z okien duży puchar wysadzany mieniącymi się kamieniami. Tak wspaniały kielich mógł stać tylko na królewskim stole. Wszystkie inne miejsca musiałyby go splugawić. Ten jednak stał na najzwyczajszym, najordynarniejszym parapecie. Abel utkwił wzrok w kielichu i nie spuszczał już zeń oczu. Przypomniały mu się bajki opowiadane i przeczytane, królowie i królowe, zatrute wina w szczerzółotych pucharach. Złoty kielich prawie w każdej baśni raz służy dobru, raz złu. Innym razem jest symbolem przepychu. Do kielicha wlewano truciznę albo lubczyk. To on był najważniejszy, on decydował o losie bohaterów. I tego wieczoru kielich przybył do niego. Skąd? Z baśni? Z dzieciństwa? A może z czasów zamierzchłych? Z czasów Chrystusa, Karola Wielkiego, Borgii. Kielich liturgii, uczy i zbrodni.

Abel coraz intensywniej wpatrywał się w puchar. W pewnym momencie dostrzegł za nim czyjąś postać. Smukła sylwetka mężczyzny, a może kobiety w jasnej, podświetlonej promieniem księżyca szacie. Przybysz skinął lekko głową, chwycił kielich, uniósł go i opuścił jakby miał zamiar przepić do Abła. Abel zaniepokoił się lekko. Toast został powtórzony jeszcze raz, drugi i trzeci. Nie było wątpliwości, do kogo był wznoszony. Po kilkukrotnym zachęcającym i coraz mniej cierpliwym geście przybysza, Abel w oczekiwanej odpowiedzi uniósł zdecydowanie pustą dłoń i, obudził się.

W przedziale, prócz niego, był tylko jeden mężczyzna o niecodziennej aparycji i takim ubraniu. Zarośnięta, pociągła twarz, brązowy płaszcz przypominający habit, sandały na bosych nogach. Zerkał co pewien czas na Abła, po czym natychmiast spuszczał wzrok na ziemię. Abel nie zwracał na niego szczególnej uwagi – już od dawna przestał się dziwić czemukolwiek. Zaskoczenie było obcym mu uczuciem. Nie zaskoczyło go więc także i to, że pociąg łnił od czystości, jakby przed chwilą poddany został gruntownemu sprzątanu, z myciem podłóg i okien włącznie. Było cicho, a delikatny stukot kół ciszę tę jeszcze bardziej zdawał się uzupełniać. Nie wiedzieć czemu Abel uznał, że zbliża się kres jego podróży. Pociąg zwolnił, potoczył się jeszcze trochę i niebawem stanął. Pasażer z przedziału nie ruszał się z miejsca, patrząc wyczekująco na Abła. Po dłuższej chwili wstał, zrobił ręką nieokreślony ruch i opuścił przedział. Abel postanowił wyjść za nim. Na peronie nie było już jednak nikogo. Peronu też właściwie nie było. Rozejrzał się po pustej okolicy. Wszędzie tylko pola i drzewa, donośny





i dźwięczny śpiew ptaków. Bezludna, dziewicza wyspa cywilizacji, a na niej Robinson – Abel. Oglądał się długo na wszystkie strony i nie od razu dotarło do niego, że pociągu, który go przywiózł, także już nie ma. Gdyby, jak to przed chwilą zostało powiedziane, nie utracił zdolności zdziwienia, zniknięcie torów musiałyby uznać za cud. Nie uznał nic, machnął tylko z rezygnacją ręką i ruszył przed siebie ścieżką, która ułatwiła mu wybór kierunku, a to dlatego, że była jedyna. Nie wiedział jak długo szedł i ile zrobił kilometrów. Po drodze nie spotkał nikogo i nawet był z tego zadowolony. Nie miał ochoty na przypadkowe kontakty z ludźmi.

Staął wreszcie przed gęstym żywopłotem kończącym ścieżkę. Podeszedł bliżej i spostrzegł ukrytą w zaroślach furtkę. Klamka ustąpiła i drzwi, z trudem pokonując opór roślinności, otworzyły się przed nim. Szybko przeszedł na drugą stronę. Przed oczami roztoczył się rozległy teren, urozmaicony różnorodną, miejscami nawet egzotyczną roślinnością, kilkoma stawami i eleganckimi alejkami parkowymi, przy których w niewielkich odstępach stały ławki. W oddali można było zobaczyć średniej wielkości, jednopiętrowy budynek. Abel poszedł w stronę tego domu. Kiedy stanął przed wejściem, ktoś już tam na niego czekał. Tym kimś okazał się mężczyzna o nieokreślonym wieku i mistycznym obliczu. Pozdrowił go dobrotliwym uśmiechem, ujął pod ramię i zaprowadził do pomieszczenia. Tam wskazał ręką na duży, drewniany stół. Abel usiadł, a jego opiekun stanął tuż przed nim. Nachylił się ku niemu jeszcze bliżej i wypowiedział słowa powitania, coś może nawet na kształt chrześcijańskiego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

- Tak ...pochwalony... – odpowiedział Abel podobnymi słowy.
- Cieszę się, że cię widzę, choć nie ukrywam, że radbym wiedzieć, co cię do nas przywiodło. Jaka potrzeba?
- Chciałbym, proszę... – Abel znowu się zająknął.
- Nazywam się Andrzej. Ojciec Andrzej. Tak możesz zwracać się do mnie.
- Mam na imię Abel. Ciężko mi będzie od razu wszystko ojcu wytłumaczyć. Przybyłem tu, bo szukam. Czego – nie wiem jeszcze. Na razie wiem tylko – od czego odszedłem.
- Śmiało. Mów śmiało – zachęcał ojciec Andrzej.
- To takie trudne. Gdyby chciać to wszystko jakoś ująć, opisać w przerośni, strywializować, można by – Abel uśmiechnął się nagle, a twarz jego przybrała grymas gorzkiej lecz łagodnej ironii – można by – ciągnął – w skrócie tak opowiedzieć: kiedy mnie swędziało, to zawsze w miejscu, do którego nie miałem dostępu, gdy kupiłem piwo, przeważnie było kwaśne, książki z białymi stronami w najbardziej istotnych fragmentach i ciągłe badanie pulsu, czy jeszcze tętni. A! I czytałem jeszcze rosyjskie powieści dziewiętnastowieczne. To wszystko. Na razie inaczej nie potrafię.
- Bo nie chcesz. Dajmy spokój przerośniom. Tu nie miejsce na nie. Na pewno z czasem otworzysz się, zaznasz spokoju. On – wzniósł oczy ku górze – i my – dodał skromnie – będziemy czuwać nad tobą.





- Chciałem jeszcze ojca ostrzec, że jestem troszeczkę heretykiem.
- Dobrze, że przynajmniej dostrzegasz to. On i my miłujemy także heretyków.

Oczywiście nawróconych.

- Postaram się.
- Musisz się starać. W nagrodę za to zostaniesz obdarowany prawdziwym pięknem, pięknem kosmicznym – miłością. Staniesz się jednym z nas. Już nim po prawdzie jesteś. Zwątpienie duszy przegnamy wspólnymi siłami. Idź teraz do ogrodu. Na pewno spotkasz tam kogoś. Spróbuj z nim rozmawiać, od razu wziąć udział w naszym życiu. Zawsze też możesz przyjść do mnie, z prośbą o radę.

- Dziękuję.
- Aha, jeszcze jedna sprawa. My wszyscy tu po przybyciu wybieramy sobie imiona. Zastanów się dobrze i powiedz jakiego patrona chciałbyś sobie wybrać.

– Nie proszę ojca. Jedyne co chciałbym sobie stamtąd zostawić, to moje imię. Dziękuję – i wyszedł.

Przechadzał się alejkami co i raz napotykal ICH grupki. Uduchowione twarze wielokroć przerastały mistycyzmem oblicze ojca Andrzeja. Niektórzy stali w miejscu z przykniętymi oczami i błogim uśmiechem, trzymając się za ręce. Coś tam sobie szepotali – właśnie sobie, nie ze sobą i zdawało się, że nie zauważali niczego prócz własnej duszy. Abel wałęsał się bez określonego celu i nie miał najmniejszej ochoty nawiązywania z kimkolwiek znajomości. Na razie było mu dobrze. Złe sprawy pozostawił miastom i ludziom w nich przebywającym. Wszystko wskazywało na to, że nikt tu nie będzie go niepokoił, chyba, że sam o to poprosi. Na razie chciał tylko odczekać kilka dni zanim cokolwiek postanowi.

Trochę znużony spacerem spoczął na jednej z ławek. Po chwili odczuł czyjąś obecność. Z lewej strony siedział obok niego ktoś z nich. Wyglądał jak pozostali, którym Abel zdążył się już trochę przyjrzeć. Szklany wzrok, anielska twarz, ascetyczna sylwetka. Abel uśmiechnął się do niego półgębkiem, a ten odpowiedział pełnym, radosnym uśmiechem.

- Przyjemnie tu? Prawda? Przybyłeś do nas niedawno? – zapytał twierdzeniem.
- Przyjechałem przed chwilą i na razie rozglądam się.
- O, tak. Musisz się dobrze rozejrzeć. A przede wszystkim powinieneś jak najszybciej włączyć się, rozmawiać, brać czynny udział we wszystkim, co robimy. Ojciec Andrzej i my pomożemy ci odnaleźć siebie tutaj i w życiu. Zobaczysz, jeszcze parę dni i łaska spłynie także i na ciebie.
- Od dawna tu jesteś? – bez ciekawości spytał Abel.
- Od dawna. Czasem wydaje mi się, że od zawsze.
- I jesteś szczęśliwy?
- Oczywiście. Uczucie szczęścia nigdy mnie nie opuszcza.
- Nigdy? – Abel spojrzał na niego uważnie.





– Nigdy – zdecydowanie odpowiedział młodzieniec.

Abel gwałtownie wstał i odszedł spacerować dalej.

Następne dni Abła mijały monotonnie. Spacerował, z rzadka rozmawiał z Nimi, spżywał skromne posiłki w refektarzu. Często zaglądał do biblioteki, wypożyczał książki lub przeglądał je na miejscu. Włócząc się po terenie rozmyślał o tamtym życiu. Rozmyślenia jego miały charakter szczegółowy. Były one raczej wspomnieniami, od których – teraz okazało się to ponad wszelką wątpliwość – uciec nie mógł.

Ostatnie chwile tam. Samotność okraszana sporadycznymi spotkaniami z Cygankami. Wróżyły mu. Później wróżyła tylko jedna i już nie w parku, lecz u niego w domu. Silny związek. Miłość osobliwa – dzika i wolna. Wkrótce stracił i ją. Cyganie nie tolerują zażyłych kontaktów swoich współbratymców z innymi, nie swoimi. Oboje zostali dotkliwie ukarani. Abel walczył dalej z samotnością piórem. Pisywał listy do nieistniejących adresatów. Pisał nawet do duchów i dawno wymarłych stworów.

Tu i teraz – w nowym życiu nie pisał nic. Zadawała go konsumpcyjny stosunek do literatury. Co prawda, dla ulubionej prozy rosyjskiej w bibliotece miejsca nie było, ale kluczowe problemy tamtych powieści, jego problemy – prawdy stare jak świat, a raczej wieczne jak Bóg – starał się odnajdywać, i odnajdywał w zbiorach tu dostępnych. Cicho tu było, spokojnie. Lubił przebywać pośród starych zwojów, ksiąg i pajaków bawiących w gościnnym zapachu bibliotecznej ciszy. Rzadko spotykał kogoś, a gdy przypadkiem natknął się na kogoś z Nich, tamten niebawem odchodził i Abel mógł do woli upajać się spokojem samotności.

Jednak pewnego razu stało się inaczej. Abel wszedł do biblioteki i zastał tam sporą gromadkę Ich, żywo o czymś dyskutujących. Podeszedł bliżej i począł przysłuchiwać się. Rozmawiali o śmierci. Szybko można się było zorientować, że podzieleni są na dwa obozy. Dla jednych śmierć była tajemnicą strachu. Obóz przeciwny skłaniał się ku ostrożnej gloryfikacji.

Ktoś powoływał się na Sokratesa:

– Głupim być trzeba, żeby bać się śmierci. Przecież nic o niej nie wiemy. Wierzmy, że tam coś jest, że nie jesteśmy skazani na wieczne nieistnienie. A jeżeli, w co oczywiście nie wierzmy – zastrzegł skwapliwie – po śmierci skazani jesteśmy na niebyt, to przyjmując nawet takie rozwiązanie, nie mamy się czego obawiać. Sokrates przed wypiciem trucizny...

Przeciwnicy nie dali mu skończyć. Zakrzyczeli go, atakując przesłanki, nie wnioski. Że Sokrates to poganin i – jakby tego było nie dość – poganin wśród pogan, że piekło, że męki i tym podobne zarzuty.

Abel stał chwilę bez ruchu, wreszcie odezwał się bardzo silnym głosem:

– Lęk przed śmiercią? To nie lęk, to trema. – i nie czekając na reakcję odszedł od nich.

Odchodził od nich często. Chwilami wydawało mu się, że te odejścia mają jakiś niejasny związek z opuszczeniem dawnego życia, świata tamtych ludzi i chcąc nie chcąc /bardziej jednak nie chcąc/ swego własnego.





W tamtym świecie – zasadnicza różnica z tym tutaj – wypominano mu wzrokiem jego istnienie, nie uzasadniając tego. Abel nie pytał. Nie interesowały go powody wyimaginowane czy rzeczywiste. Przestał cegokolwiek żądać i cokolwiek dawać. I nagle imperatyw wyjazdu, któremu natychmiast się poddał..

xxx

A teraz wiedzie Abel senne życie Tu. Zagląda niekiedy do ojca Andrzeja, rozmawia z nim, sprzecza się łagodnie. Przełożony łagodnie oponuje, odpłacając delikatnością za delikatność. Lubią się.

Czytanie, wspomnienia, kontemplacja. Posiłki, a w nocy głęboki sen.

Co jakiś czas nawiedza Abła senne widzenie z pociągu. Nie wytrąca go ono jednak ze spokoju. Abel nauczył się ujarzmić swoje sny. Nie czeka na powtórne wzniesienie toastu, tylko od razu podnosi rękę, która już teraz nie jest pusta. On również uzbrojony jest w kielich. Zdarza mu się nawet dość często wyprzedzić toast przybysza. Budzi się wtedy w momencie unoszenia ramienia i znowu zasypia, nie śniąc już o niczym aż do rana.

Słoneczne popołudnie – który to dzień pobytu Abła u Nich, trudno obliczyć – pogoda wspaniała, falujący staw. Abel leży na trawie poddając się ciepłym promieniom słońca. Błądzi myślami Tam i Tu, od Tamtych do Tych i do siebie. Mruży oczy, to znów je otwiera i błądzi wzrokiem szukając czegoś, czego być może nie ma.

Przeleżał długo prawie nie zmieniając pozycji. Leżałby tak zapewne Bóg wie dokąd, gdyby ktoś nie położył mu ręki na ramieniu. Powoli, z niechęcią otworzył oczy i zdeirzył się z wzrokiem jednego z Nich, tego samego, z którym rozmawiał tu pierwszy raz. Spojrzał niecierpliwie i pytająco.

– Chodź do nas. Właśnie się zbieramy. Tam, pod zagajnikiem, jak co dzień przyjmujemy Pana. Chodź.

– Ależ ja właśnie się modłę.

– Jakże to? Tu? Sam? Leżąc?

Abel uniósł się z ziemi. Słońce zniżyło się i mocno oświetlało mu twarz. Wytarł dłońią lekko spocone czoło, znowu się zadumał i po chwili milczenia zapytał nie na temat:

– Czy odwiedzają Was tu kobiety?

– Nie... My nie obcujemy z kobietami. Przecież wiesz o tym...

Abel odwrócił się. W chwilę potem odwrócił się znowu i podszedł do sparaliżowanego zaskoczeniem braciszka. Poklepał go serdecznie po plecach.

– Przepraszam, nie chciałem ci zrobić przykrości – powiedział suchym, wcale nie przepraszającym tonem – To tylko głupi, nieprzemyślany żart. Nie gniewaj się, przepraszam – oddalił się, nie zwracając już uwagi na niego, choć ten długo jeszcze stał jak wryty w ziemię.





xxx

Mijały dni, a może miesiące. Bywało, że Abel nikogo nie spotykał, ale od czasu do czasu zdarzały mu się łagodne konfrontacje, mające dziwne zakończenia. Jakieś, niby to przypadkowe, niekontrolowane odezwanie powodowało zdumienie, a często coś więcej. Abel nigdy nie czekał na odzew. Sprawiał wrażenie całkowicie nie zainteresowanego reakcją rozmówcy. Po prostu odchodził.

Kiedyś, przechadzając się zobaczył kilkunastu Ich. Stali przed domem i jak wówczas, w bibliotece prowadzili zażartą dysputę. Jednakże teraz byli zanadto poruszeni i bardzo niespokojni. Ich mimika i nieopanowane gesty odwiodły Abła od pierwotnego zamiaru włączenia się do dyskusji. Szybko przeszedł obok nich i wszedł do budynku. Chciał skorzystać z nie okupowanej przez nikogo w tym momencie biblioteki, lecz w ostatniej chwili zmienił decyzję i skierował kroki w stronę celi ojca Andrzeja. Stał przez chwilę niezdecydowany zanim zapukał. Nie czekając na zaproszenie wszedł. Ojciec Andrzej stał przy oknie i wielce zaaferowany obserwował coś. Abel głośnym chrząknięciem zwrócił na siebie uwagę.

– Co mogli ich tak bardzo wzruszyć? – spytał wskazując ręką w stronę okna.

– Sam nie wiem – odparł zatroskany ojciec – nigdy przedtem nie widziałem ich takich. Będę musiał porozmawiać z nimi, choćby zaraz. Dawno już tego nie robiłem. Wydawało mi się, że nie ma pilnej potrzeby. A teraz męczy mnie myśl, że zaniedbałem ich. Ale oni też coraz rzadziej przychodzą do mnie. A ty? Jak się czujesz? Czy lepiej? Czy odnalazłeś to czego szukasz? Czy wydaje ci się, że jesteś już na właściwej drodze? Powiedz – co z tobą?

– Co ze mną? – Abel zawiesił głos. Na jego twarzy, jak zawsze w podobnych momentach, pojawił się dobrze znany, łagodny uśmiech.

– Co ze mną? – powtórzył patrząc gdzieś poza wszystko i w tej samej chwili zatęsknił gwałtownie do swojego Boga. Dobrego znajomego, z którym tak często odbywał rozmowy. Kilka rozmów udanych i kilka niepotrzebnych. Nie prosił go nigdy o nic. Na razie wystarczało mu, że Bóg o nim zapomniał. Tego właśnie zapomnienia żądał modląc się. Tak, modląc. A teraz tęskni.

Położył rękę na ramieniu ojca Andrzeja, jakby to on oczekiwał wsparcia. A może właśnie tak było...

– Ze mną jest dobrze, proszę ojca. Ech, nawet ojciec nie domyśla się jak bardzo dobrze. Ech, a teraz już pójdę. Do zobaczenia.

Wyszedł pozostawiając ojca Andrzeja w pokoju. Przemaszerował prędko przez korytarz i zamknął się w bibliotece. Przesiedział tam do rana. Później zmęczony przeszedł do siebie i zasnął.

W następne dni Abel włóczył się sam po korytarzach i ogrodzie. Nikt go nie zaczepiał. Wszyscy najwyraźniej starali się unikać jego towarzystwa. Abel spostrzegł, że unikają także siebie nawzajem. Skończyły się nawet wspólne modlitwy. Ojciec Andrzej w ogó-





le nie opuszczał swojej celi. Zrezygnował z udzielania pomocy duchowej, nie odpowiadał nawet na coraz radsze pukania do drzwi. Smutek wtargnął do ich przybytku. Resztki radosnego nastroju zachowały się tylko w śpiewie ptaków i zielonej roślinności.

Nie wiadomo ile dni czy tygodni upłynęło od ostatniego spotkania z ojcem Andrzejem do dnia, w którym Abel powiesił się. Zastano go wiszącego na sznurze obok okna. Rysy twarzy miał rozpozgodzone, zupełnie nie jak u wisielca. Na stole leżała kartka papieru. Oglądano ją ze wszystkich stron i pod światło, lecz czysty papier jest tylko czystym papierem.

Nikom nie są znane lch dalsza dzieje. Być może przenieśli się gdzieś, albo rozproszyli w świecie. Świecie dobra czy zła, tego rzecz jasna nie wiadomo. Może żyją gdzieś jak dotąd, z dala od ludzi, albo na odwrót – pełnią swą misję wśród bliźnich? Tego nie wie nikt.

Wiedzą to i widzą ich tylko dwie osoby: Abel i jego Bóg, który choć o nim kiedyś zapomniał, teraz nie zawahał się przesunąć na swym tronie, szerokim na tyle, żeby i Abel mógł na nim usiąść.

Wkrótce też, z małej, zapomnianej stacyjki wyruszy pociąg do jednego z wielkich miast, stanie tam niezapowiedziany na peronie i niezapowiedziany odjedzie, wioząc jakiegos pasażera, który za nic w świecie nie będzie chciał wyrzec się swojego imienia.

13.IX. 1985 r. N. M. P.

Porządek

W naszym ulu któregoś dnia zawrzało. Nie było to jednak zwykłe buczenie, jakie towarzyszyło nam codziennie podczas składania nektaru do plastrów. Różniło się ono również od odgłosów wydawanych na cześć świeżo zapłodnionej królowej. Obce dla naszych zmysłów, budziło powszechną ciekawość, wszyscy więc czym prędzej podążyli do miejsca, z którego dochodziły owe dźwięki. W jednym z pomieszczeń siedziała królowa i kilka robotnic z najbliższego jej otoczenia. Były tam też dwa trutnie, coś zbyt wesołe jak na przyszłych ojców, których przecież niedaleka smutna przyszłość nie budziła wątpliwości. Wszyscy bzycceli na nieznaną dotąd nutę. Nikt z przybyłych nie mógł nic z tego zrozumieć. Dość długiego czasu trzeba było, by uchwycić sens nowych, bezsprzecznie do nas właśnie adresowanych sygnałów. Powoli wszyscy oswoili się z nowym językiem. Co bardziej pojętni informowali innych, tłumaczyli, wyjaśniali, żywo dyskutowali nawet.

– Bracia i siostry! – rozpoczęła królowa uznawszy, że będzie przez ogromną większość zrozumiana. – Dotychczas nasze życie było puste i bezowocne. Zajmowaliśmy się jedynie zbieraniem nektaru i konsumpcją. Żyliśmy wegetując. Od dzisiaj będziemy zajmować się rozwojem naszych umysłów. Prawdziwym naszym pożywieniem będzie nauka, sztuka, kultura. Wiem, że nie możecie mnie teraz w pełni jeszcze zrozumieć.





Nie martwcie się, są pośród was nieliczni, którzy fachowo przeprowadzą realizację nowego programu. Myślałam o tym od dawna i wyhodowałam kilku tzw. profesorów. Od jutra zaczynamy. Od tej pory będziemy zaopatrywać się tylko w minimalne ilości nektaru. Specjalna grupa Głupków, którą za chwilę wyznaczę, będzie nadal spełniać tradycyjne obowiązki. Na razie rozejdźmy się.

Następnego dnia wszyscy z ciekawością czekali na bieg wydarzeń. Dotychczasowe słodkie życie zdawało się mijać bezpowrotnie. Szczęśliwa grupa Głupków, patrząc na resztę ze zwycięskim, głupkowatym uśmiechem wyfrunęła na łąki. Wszystkich dziwił dobór członków tej grupy. Nie różnili się od pozostałych prawie wcale. Trudno było cokolwiek zrozumieć. No, może łebki trochę mniejsze, ale poza tym... Rosła naturalna ciekawość, ale również zaniepokojenie. Wreszcie nadeszła godzina zebrania. Było krótkie, królowa podzieliła nas na grupy: artystyczną, filozoficzną, wynalazczą i literacką. Wszystko to było dla nas co najmniej zagadkowe. Każda grupa miała swojego profesora, który miał dbać o „dobre wyniki i dobre imię grupy”, jak głosiły słowa przysięgi składanej przez królową. Poszczególne grupy dostały swoje pomieszczenia i tam odtąd miały się codziennie zbierać. Co tydzień profesorowie mieli składać przed królową sprawozdanie z osiągniętych wyników.

Wieczorem, po zajęciach wszyscy dzielili się przeżyciami. Padały dziwne, trudne do powtórzenia słowa. „Książka”, „pióro”, „litera” – to grupa literacka, „pędzel”, „muzyka” – artystyczna, „sens życia” – filozoficzna.

– A nam mówią o potrzebie, która jest matką; już nie pamiętam czyją – chwalił się jakiś truteń od wynalazców.

Byliśmy bardzo podnieceni nowymi zajęciami. Tylko grupa Głupków zachowywała niewzruszony spokój, przeżywając nektar i drwiąco patrząc na innych. Przelatując nad którąś z wyselekcjonowanych naszych grup, niby to przypadkowo bekały ordynarnie.

Minął pierwszy tydzień. Królowa pogratulowała nam, stwierdziła, że porozumiewamy się już prawie całkiem inaczej niż dawniej. Codziennie wieczorem wymienialiśmy między sobą doświadczenia.

– „Kultura znacznie wzrosła” – powtarzaliśmy słowa królowej, coraz bardziej dumni z naszej wiedzy i przestaliśmy już zazdrościć Głupkom. Oni (co prawda) nadal zachowywali „stoicki”, jak mawiała grupa filozoficzna, „spokój”, ale już nie drwili z nas i nie czuli się uprzywilejowani.

Mijały dni, tygodnie, miesiące. Dzięki grupie wynalazców rozbłysły w naszym ulu pierwsze żarówki elektryczne, literaci pisali pierwsze książki, filozofowie organizowali jakże interesujące odczyty. Raz w tygodniu odbywały się spotkania z grupą artystów, którzy ze znaczną już wprawą zaspokajali nam potrzeby estetyczne. Wiele dyskutowano. Królowa była zachwycona, dopingowała do dalszych zadań, a my doceniając już w pełni swą pracę i osiągnięcia budowaliśmy z zapałem „gmach naszej wiedzy”, jak określał to jeden z wyróżniających się filozofów.





Pewnego dnia grupa Głupków wracając z bezsensownej swej pracy, być może czując już trochę, prymitywnie bo prymitywnie, na skrzydłach „brzemień alienacji”, dała nam do zrozumienia, że pod ul nadciąga człowiek. Wszyscy stłoczyliśmy się u wejścia i rzeczywiście. Zbliżał się ku nam z zawrotną szybkością. W swoich górnych kończynach trzymał ogromny kij, krzyczał coś. Nie mogliśmy go dobrze zrozumieć, ale nie były to z pewnością słowa przyjazne. Nie był to pszczelarz, parł naprzód z podniesioną przyłbicą, z otworu gębowego leciała mu piana. Z przerażeniem ujrzelśmy nagle, że potężny drąg unosi się i spada na dawno nie remontowany, bo i kiedy, dach ula. Trzeba było czym prędzej uciekać. Człowiek walił raz po raz w naszą watałę budowlę, wydając dzikie wrzaski i sapania. Nie mogliśmy jednak uciec zbyt daleko. Byliśmy słabi. Uratowała się tylko grupa Głupków, którzy w rzeczywistości nie byli chyba tacy głupi.

Leżymy teraz w trawie i powoli konamy. Ta kronika to ostatnia rzecz, która po nas pozostała.

Robaki

– Czy na pewno jesteśmy istotami doskonałymi? – zastanawiał się podczas spożywania posiłku, obierając wygodną pozycję.

Problem ten i inne mu podobne nastrojały go zawsze do filozoficznych rozmyślań. Próbował dyskutować o nich ze znajomymi, ale ci zbywali go pogardliwym mrugnięciem. Nie ulegało dla nich wątpliwości, że oni to właśnie wiodą prym we wszechświecie i nie było sensu brać poważnie rozważań jakiegoś szarlatana. Wszyscy mieszkali w zwartej gromadce. Niczego im nie brakowało, nie mieli zresztą wielu potrzeb. Nie głodowali, wiedli wesołe życie towarzyskie i ogólnie dobrze im się działo. Jedną tylko sprawą od pewnego czasu stała się dla nich zagadką. Co jakiś czas ginął bez wieści jeden lub nawet kilku z ich towarzyszy. Żadne poszukiwania nie przynosiły powodzenia. Tak się jednak już przyzwyczaili do tego zjawiska, że nie było ono w stanie na dłużej zmącić ich spokoju: – przecież i tak na miejsce zaginionych przychodzili nowi. Szybko więc zapominali o żalobie i tylko z naturalną w takich razach ciekawością czekali na następne wypadki, powtarzające się cyklicznie i bez zaskoczenia.

Jedynie on utwierdzał się coraz bardziej w przekonaniu, że w tym wszystkim tkwi jakaś niezgłębiona tajemnica. Nie krył się ze swymi poglądami, przez co żyło mu się ciężiej niż zwykle. Nikt nie starał się do niego zbliżyć, wszyscy go unikali. Stał się pośmiewiskiem otoczenia, częściej niż do tej pory zaszywał się w najciemniejsze zakątki, gdzie oddawał się długim i trudnym analizom. Zawsze przy tym nasuwał mu się jeden wniosek.

Pewnego razu wybrał się na dłuższą przechadzkę. Szedł przez jakieś wąwozy swego pięknego kraju, kręte niczym korytarze dobrze funkcjonującej instytucji. Błądził w dziwnych labiryntach, czasem napotykał ciekawy pejzaż z rur, ścian i bulgotu: myślał wtedy o swojej egzystencji.





Wszedł w jeden z ciemnych korytarzy, coś jakby tunel i właśnie zastanawiał się czy zawrócić czy wędrować dalej, gdy niespodziewanie zajaśniało coś w oddali. Było to bardzo dziwne, o niespotykanej jasności światło. Nie przestraszył się choć czuł, że może wydarzyć się coś nieprzewidzianego. Przed oczami stanęły mu sylwetki zaginionych kolegów. Nie chciał dalej iść sam, zawrócił po kilku znajomych, aby wspólnie przebadać teren. Nie udało się, porwała go gęsta i ciemna maź, która wylewała się z jakiegoś kanału. Resztkami świadomości zdążył odczuć, że leci prosto w ziejący jasnością otwór.

Mamusia małej Ani podeszła z długim patykiem do muszli klozetowej.

– Biedne dziecko – pomyślała grzebiąc w odchodach – już pół roku męczą ją robaki.

Siódmy stos

*„Przy podpalonych bibliotekach
lud sine ręce będzie grzał.
I odnotuje to Bezpieka
Kto przy tym płakał, kto się śmiał”*

J. Kaczmarski „Groźba”

Nad miastem unosiła się luna. Kiedyś był to widok złowrogi. Ogromne pożary znane z historii i literatury: Sodom i Gomora, Rzym, Pałac Zimowy, Reichstag zawsze budziły grozę i często zapowiadały nowy etap dziejów.

Ten pożar nie zaskoczył żadnego z naszych obywateli. Po raz siódmy bowiem Rada Miejska jednogłośnie potępiła kolejną grupę szkodliwych utworów. Tym razem na indeksie: – wszystkie dzieła laureatów nagrody Nobla. Było co popalić!

Zwożono książki czym się dało: ciężarówkami, na taczkach, w bagażnikach samochodów osobowych. Niektórzy przynosili niepożądaną makulaturę w plecakach.

Ogień wesoło buchał w górę, a wielki płomień zapowiadał kilkunastu fetę. Dookoła ogromnego stosu zebrał się tłum. Jedni piekli kielbaski, biedniejsi kromki chleba, a najubożsi z błogim uśmiechem grzali sobie plecy, żeby choć o kilka dni odwlec atak lumbago. Ci ostatni starali się uśmiechać wprost do gęsto zainstalowanych kamer, mając nadzieję, że przy ósmym stosie będą już opiekac chleb. A kto wie, może nawet kielbaski?

Wielu miało łzy w oczach: alści trudno było zgadnąć, kto z nich opłakiwał Sienkiewicza, Singera, Canettiego czy Pasternaka, kto zaś usiłował zarazić innych prowokatorskim płaczem, aby w ten sposób zarobić parę groszy. Przybyła też grupka harcerzy. Druh drużynowy zaintonował „Płonie ognisko”, a młodzież pięknie wykonała pieśń na głosy. Łście rodzinny nastrój utrwalało kilkunastu nerwowych fotografów o rozbieganych acz czujnych oczach. Nie zapomniano bynajmniej o bezpieczeństwie przeciwpożarowym. Wokół stosu, co kilka metrów ustawiono warty strażackie, które miały wkroczyć



do akcji w wypadku przedostania się ognia poza wykopany rów. Strażacy byli starannie dobrani i godni zaufania. Nie istniało niebezpieczeństwo, że któryś z nich nerwowo nie wytrzyma i przedwcześnie uruchomi sikawkę.

Ognisko paliło się już drugą dobę, a materiału palnego ciągle było dosyć. Długie kolejki podtrzymywaczy ognia czekały cierpliwie na swój moment. Niektóre edycje wybuchały szybkim, jasnym płomieniem: te lepsze, elegancko oprawione paliły się długo, jakby chciały stawić opór.

Wywoływało to pomruk oburzenia tłumu, a kiedy wreszcie spłonęły, sprawozdawcy radiowi i telewizyjni obwieszczali ten fakt głosem dobrze znanym wszystkim kibicom piłki nożnej, gdy padnie gol.

– To straszne – szepnął ktoś z tłumu i zniknął.

Jakaś staruszka rozejrzała się trwożliwie i zrobiła znak krzyża, ale generalnie nastrój był bardzo radosny. Właśnie zadudniły werble i ku uciesze gawiedzi na ustawione podium zaczął się wdrapywać wesoły karzeł. Nadeszła pora na część artystyczną. Liliput wywinął na scenie niezliczoną ilość koziołków i zszedł żegnany brawami. Werble zagrały po raz wtóry, witając zespół atletów. Każdy z widzów starał się teraz zająć jak najwygodniejszą pozycję. Rodzice brali dzieci „na barana”... Wtem rytm bębnowy został zakłócony jakimś nieprzewidzianym w programie grzmotem, a nad miastem zapadł mrok. Wszystkim zrobiło się bardzo nieswojo i powoli narastała panika. Ktoś przesądny powiedział, że to cienie czcigodnych noblistów pojawiły się, aby pomóc swą krzywdę...

I naraz z uprzednio jasnego nieba chlusnął nie do opisanego wielki deszcz. W mgnieniu oka ulice stały się rwącymi potokami. Gorliwi jeszcze próbowali ratować ogień, ale niczym nie udało się podtrzymać płomienia zżerającego księgi. Wprawdzie strażacy uruchomili sikawki z benzyną – dzielni chłopcy byli przecież na wszystko przygotowani – lecz woda i z tym sobie poradziła. Ludzie w popłochu uciekali do domów przed wzbierającym strumieniem. Być może niektórzy z nich zabrali sobie na pamiątkę jakąś mokrą książkę? Najprawdopodobniej jednak nikt wówczas nie myślał o drobnostkach. Każdy starał się ratować przede wszystkim siebie.

Kiedy już wszystko wróciło do normy, niejeden rozmyślał nad tym dziwnym kaprysem przyrody.

To pewnie długotrwała susza i nieustanny żar buchający z ziemi spowodowały tę niszczącą ulewę. A może...

A może nie mógł już na to patrzeć Ktoś Różnie Nazywany i w ten oto sposób objawił swój gniew?

Chodząc ulicami od czasu do czasu spoglądałam ukradkiem na niebo.

Jednak ono jest ciągle nieubłagane bezchmurne.

26 X 1982 N.M.P.





Tam w górze

Wisiął na ścianie już drugi dzień. Cudem wytrzymał wielkie zmęczenie i ogromne napięcie psychiczne. Niejeden orzeł spuścił mu na głowę swoją okazałą, zdrową resztkę. Ślepy los nie chciał więc niczego ostatecznie rozstrzygnąć. Kozice zbiegały się na leżące powyżej głazy i drwiąco porykiwały na nieszczęśnika, doprowadzając go do szewskiej pasji.

Jak tonący brzytwy chwycił się najrozmaitszych sposobów ratunku, ale żaden z nich nie był możliwy do zrealizowania. Wisiął więc zmarznięty i nieszczęśliwy, i przy tym tak szczekał zębami, że turyści wędrujący doliną trzysta metrów niżej, myśleli, że to lawina i w popłochu oddalili się od niebezpiecznego terenu. Kozice rozzuchwały się do tego stopnia, że bez żadnych skrępułów, pobekując szczydziły ze straceńca.

Zabawę miały przednią, choć on widział tylko ich złowrogo wypięte zady. Nie dawał jednak za wygraną. Kilka metrów w bok zobaczył całkiem szeroką półkę skalną. Mógłby tam wygodnie się usadowić i dawać znaki dymne.

Te jakże zachęcające wyobrażenia spowodowały, że skumulował cały zapas energii i rozpaczliwie rzucił się w stronę zbawiennej półki. Odbił się wystarczająco silnie, lecz nie dotarł do celu. Potężny podmuch wiatru porwał go i cisnął na pobliskie wystające skałki. Dzięki Bogu nie runął w przepaść, a zaczepił spodniami o sterczący czubaty głaz. Wyżył. Śmierć wybrała okrężną drogę – strach.

Wiatr wzmagął się i kręcił nim jak wiatraczkiem. Tracił co chwila przytomność. W przebłyskach świadomości błagał niebo, aby przez zesłanie szybkiej śmierci położyło kres jego męczarniom. Nadchodziła noc. Ciemna, surowa noc górską. Ustał wiatr i zaległa głucha, złowroźna cisza. W tym pełnym grozy momencie półżywy taternik odzyskał wolę życia. Ale mógł liczyć tylko na cud, a ponieważ – choć jedynie w dzieciństwie – był bardzo religijny, począł się gorączkowo modlić ufny jak dziecko, które często oglądał na zdjęciach w rodzinnym albumie. Z wielkim uczuciem, nie myśląc się ani razu, odmawiał długi pacierz, nie zważając na to, że siły opuszczają go z sekundy na sekundę.

Gdy skończył był już bardzo wypompowany, a cud nie następował. Zapłakał. W tej jednej chwili przysłała cała jego wiara i zaczął złorzeczyć niebu, starannie dobierając obelgi i przekleństwa. Gdy tak bluźnił Bogu i wszystkim świętym, wielka jasność oświetliła okolice. Ponad jego stopami, które teraz służyły mu za głowę, wyłoniła się z chmur brodata twarz tysego męża o wysokim czole. Tenże mąż zagrzmiął potężnym głosem:

– Bluźniąc swojemu Bogu, wyrzekłeś się fałszywej wiary. Tym samym uznałeś mnie za jedynego proroka: ja wiem, a ty wierzysz. Będzie ci to policzone i w nagrodę zostaniesz uratowany. Zaprawdę, powiadam ci – jeszcze dziś staniesz obiema stopami na ziemi i włos ci z nich nie spadnie.

– W tym momencie tajemnicze bóstwo chwyciło w zęby skonanego mężczyznę i poniosło go ponad skałami. Ocalony taternik stracił z wrażenia przytomność. Gdy





się ocknął było już po wszystkim. Leżał na pokrytej trawą hali, a obok stał cap górski i lizał mu opuchniętą twarz.

(za: *Mercuriusz* 1979 nr 1)

Trzymają nas przy życiu

W izolatce dużego, miejskiego szpitala leżał mężczyzna w średnim wieku. Jego stan był beznadziejny. Choroba zaatakowała już cały organizm i lekarze dawali mu co najwyżej kilka dni życia. Dyszał ciężko i co chwila tracił to, co trudno by było nazwać przytomnością. Mówiono o nim, że szczęście dotąd nigdy go nie opuszczało i zawsze obce mu były kłopoty dnia codziennego.

Pielęgniarka właśnie zmieniała kolejną kroplówkę, gdy pod drzwiami izolatki stanęła nieśmiało żona konającego. Postąpiła moment i szybko zawróciła. Pobiegnęła do lekarza dyżurnego.

– Czy będę mogła mu coś powiedzieć? – zapytała niepewnie – To nie będzie zbyt przyjemne, z pewnością bardzo go zaniepokoję

– Śmiało, jemu i tak nic już nie zaszkodzi – odparł znający trochę życia i spory kawał śmierci lekarz.

Kobieta westchnęła i zdecydowanym krokiem weszła do sali dogorywającego. Gdy ją zobaczył jakby się trochę ożywił. Pocałowała go i zaczęła mu coś szeptać do ucha.

– Jezus, Maria! – stęknął chory i postawił oczy w ślup.

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko. Wraz z twoją chorobą nawiedziła nas cała plaga nieszczęść – drążyła dalej żona wyliczając punkt po punkcie

Niestety, sprawdziło się przysłowie, że nieszczęścia chodzą parami.

– Dosyć! – ryknął potwornie i zerwał się ze śmiertelnego łóżka. Wyrwał z żyły przewód od kroplówki i wybiegł na korytarz. Wpadł rozjuszony do gabinetu lekarskiego i kategorycznie zażądał wypisu. Na nic się zdały prośby, przekonywania i zastraszanie, trzeba go było zwolnić ze szpitala.

Gdy dojechał, zbyt wolno jak dla niego pędzącą karetką, do domu, natychmiast z całą energią zabrał się do rozwiązywania powikłanych kłopotów. Bo faktycznie nagromadziło się ich niezmiernie wiele. Wszystko zakończyło się pomyślnie, a choroba już nigdy nie powróciła.

Dobrze postawione problemy stawiają na nogi.

Ukochana przyroda, umiłowana przyroda...

Nad Doliną Chochołowską powoli zapadał zmrok. W schronisku był już prawie komplet. Zmęczeni całodziennym łażeniem po górach turyści siedzieli przy stołach, ogrzewając się gorącą herbatą i zimną wódką. Zdawało się, że nikt więcej już tu nie przybędzie,





a jednak... Rozległ się nagle głośny tupot na schodach, drzwi otworzyły się gwałtownie i siedzący... nie dostrzegli nikogo. Dopiero gdy spojrzeli trochę niżej, skrzyżowali spojrzenia z grupą kilkunastu karzełków w za dużych oficerkach i wojskowych kurtkach. Cała grupa małych ludzików wkroczyła do sali. Jeden usadowił się w dziurce od klucza, bacznie obserwował, co się dzieje na zewnątrz. Inni zgrabnie powskakiwali na ławę i dudniąc piąstkami w stół domagali się szybkiej obsługi.

Natychmiast podeszła do nich gospodyni i zapytała z szacunkiem:

– Co słychać, kapitanie Łoś?

– Nic szczególnego. Zimno i nudno – odpowiedział mały wąsał.

– Zsiadłe mleko dla wszystkich, dobra kobieto!

Gospodyni ze współczuciem pokiwała głową i poszła do kuchni. Pozostali z otwartymi ustami obserwowali dziwnych ludzi, którzy wsparli głowy na rękach, śpiewali smutnym głosem: „Rozszumiały się wierzby płaczące”.

Wypili mleko i mocno zadzierając głowy powiedli wzrokiem po zdziwionych, choć nietrzeźwych już turystach.

– Idziemy – krzyknął dowódca – w razie czego, nas tu nie było! Zrozumiano?!

– Tak jest, panie kapitanie! Odrzekła ogłupiona ludność cywilna.

Oddział wyszedł pogwizdując, do siebie. Wszyscy obserwowali ich przez okna. Ostrożnie wycofali się w stronę kosodrzewinowego lasku. Tam zwarli szyk. Z dziurki od klucza wydobył się nie znający sprzeciwu pisk:

– Na co się gapicie?! Rozejść się! – po chwili przez dziurkę prześwitywał rudy, głupio uśmiechnięty księżyc.

– To leśni – wyjaśniła z obowiązku gospodyni – wieczni kombatanci. Tu u nas w górach jest ich pełno. Pod każdą kosodrzewiną mają swoje ziemianki. Nędzne warunki – chłód i zimno, ale nie skarżą się. Dzielni są, pełni poświęcenia i nieprzekupni, nie biorą łapówek, ręka ciągle na pulsie. Dzięki nim wszystkie, nawet najmniejsze krzaczkę, są spokojne o swoje jutro. Nie straszny im już podkuty but turysty, ani jego zaborczo wyciągnięta łapa. Dzień i noc czuwa potężna Liga Ochrony Przyrody.

Zdrowe społeczeństwo

Mijały epoki, świat się zmieniał i doskonalił. Wyścig o „dolce vita” niezmordowanie toczył się dalej. Zdziesiątkowana przez wojny ludność kuli ziemskiej uparcie dążyła do znalezienia idealnego systemu, w którym to – już bez utopii – wszystkie znajome i jakże piękne hasła urzeczywistnią się, a pokój i dobrobyt zapanują na zawsze i niepodzielnie. Już teraz, po gorzkich doświadczeniach minionych stuleci, postanowiono na dobre znieść granice, zlikwidować podział na państwa i zjednoczyć wszystkie narody. O wojnach w tej sytuacji nie mogło być mowy, bo kto, z kim i przeciw komu miałby teraz walczyć. Władza jako taka jednakże być musiała, bo przecież olbrzymia





machina całego rodzaju ludzkiego kręcić się miała ze zdwojoną energią, zwłaszcza przy tak wzniosłych celach i zadaniach: władza o czystych rękach, władza otwartych umysłów. Schwycili więc ster najmądrzejsi i najszlachetniejsi przedstawiciele wszystkich narodowości. Trzeba było działać zdecydowanie. Wszystkie właściwie sprawy polityczne i pokaźną część niedociągnięć gospodarczych unormowano i wprowadzono ich rozwój na jak najlepsze tory. Teraz trzeba się było tylko zająć rzeczą tak ważną jak problemy społeczne. Mało jest spraw, które nie dadzą się zmienić za pomocą zakazów i nakazów, lecz natury ludzkiej nikomu się jeszcze nie udało do końca ujarzmić, może z powodu jej niejasnej istoty. Myśleli więc wszyscy do tego upoważnieni, dniem i nocą, z mozołem dręczyli sedno. Człowiek – zakładali – jest indywiduum posiadającym dużo cech wartościowych jak i nie wartych nic: skłonny do czynów dobrych, ale też potrafiącym czynić najprzeróżniejsze okropieństwa. Jeżeli zdołalibyśmy wyeliminować u ludzi wszelkie negatywy – o resztę nie trzeba by było się martwić. Ba, ale jak wyeliminować? Nie sposób przecież tego wykorzeńić, ale ... – oto wyjdzie! – u–nie–możliwić!

Postanowiono posegregować ludzi według ich uzdolnień, odizolować od siebie, stworzyć im jak najlepsze warunki do pracy i wydobyć z nich tylko dobro. Na zewnątrz wydostawały się jedynie owoce ich działalności.

Znaleźli się jednak osobnicy, których nie sposób było przydzielić do odpowiednich grup. Byli to przeważnie przestępcy, ludzie skrajnie źli, przez samo swe istnienie ordynarnie urągający zasadzie. Bardzo długo ważył się ich los. Proponowano całkowitą, biologiczną likwidację. Ze względu na swoją jaskrawą niehumanitarność projekt prawie natychmiast upadł. Nikt nie wiedział, co z nimi zrobić. Wreszcie po żmudnych i burzliwych obradach postanowiono, że ludzie z marginesu społecznego, z których nic już się nie da wykrzesać, jako osobna i odrzucona grupa, spędzą resztę swego życia na WOLNOŚCI.

Zejdź, proszę, jeśli możesz

Śmierć jest zjawiskiem powszechnym i nieuniknionym. Kłótnie z nią, nawet najbardziej zajadłe, zawsze prowadzą do wiecznej zgody. Bez niej nie sposób wyobrazić sobie życia. Umiera się różnie: ze starości, w wypadkach, z nudów. Popelniamy samobójstwa, a i nas zabijają inni, podobni wtedy do nieuleczalnych chorób. Zawsze jest taka czy inna przyczyna, która przenosi nas na łono Abrahama. Niekiedy trudno jest ją ustalić i wtedy fachowcy robią truposzowi sekcję. Kroją, grzebią, mędrkują, wreszcie sporządzają oficjalny akt zgonu, w którym czarno na białym zawsze na coś czy na kogoś zgonią.

Panu Iks, który równie dobrze mógłby nazywać się Ski, jakby tej smętnej wiedzy zabrakło. Wrócił z pracy, zjadł obiad, przeczytał gazetę, zakrzętał się tu i ówdzie po czym wyciągnął kopyta. Robił to, co prawda, każdego popołudnia na tym samym





wciąż tapczanie, ale ten dręczący chłód w stosunku do żony był niecodzienny. Trochę to było nawet podniecające. Śmiejąc się próbowała go łaskotać, głaskała, klepała, ciągała, na próżno. Klops. Umęczona zadzwoniła po pogotowie. Pół godziny – karetka – szpital – lekarz stwierdził zgon. Ciało przewieziono do prosektorium. Trup od razu stał się fascynującą zagadką. No bo niby mężczyzna w kwiecie wieku, nigdy nie chorował, zdrowy i silny psychicznie jak traktor.

– Ileż w nim cudownej satysfakcji diagnostycznej – przeczuwali lekarze. Zacierali ręce, jeden przez drugiego rwali się do tej mądrości po szkodzie. Każdy miał nadzieję, że to jemu właśnie przypadnie w udziale rżnięcie. Największe jednak szanse mieli dwaj najbardziej doświadczeni, najlepiej znający swój fach i szczerze nienawidzący się wzajemnie. W przypiływach dobrego humoru zakładali się o pół litra, kto kogo w przyszłości na zimno będzie krajał. Teraz, pewni siebie, bardzo samotni czekali zlecenia. Wyznaczono lepszego. Dlatego lepszego, bo wyznaczonego. Szedł dostojnie zimnym korytarzem ubrany w fartuch z ceraty, pogwizdując niedbale. Spojrzał pogardliwie na rywala, który z początku zzieleniał ze złości, lecz później jakby sobie coś nagle przypomniał, rozchmurzył się i pogratulował koledze. Wszystkich zaskoczył ten szlachetny gest, lecz nie było już czasu na zastanowienie, bo mistrz ceremonii już począł zręcznie kroić dawny okaz zdrowia. Sekcja trwała bardzo długo. Zmęczony lekarz oglądał centymetr po centymetrze nieżywe tkanki, lecz niestety w żaden sposób nie mógł się wypowiedzieć na temat przyczyny zgonu. Zrezygnował. Złożono kawałki w jako tako okazałego teraz trupa i do oględzin przystąpił największy rywal zawstydzonego specja. Zgrabnie zanurzył dłonie we wnętrzościach, poprzyglądał się trochę, odkroił co nieco i zamyślił się głęboko. Znów poszperał delikatnie w korze mózgowej, dmuchnął w ślepą kieszkę, aż wreszcie w triumfalnym uścisku uniósł do góry odciętą rękę denata. – Koledzy! – oświadczył uroczyście, zerkając na swego poprzednika – z przykrością stwierdzam, że przyczyną śmierci była sekcja przeprowadzona przed chwilą przez naszego kolegę.

Zmartwychwstanie /Dramat narodowy w jednym akcie/

I.

HRABIA BENCKENDORFF

(wstaje z grobu i szuka ludzi z trzeciego oddziału)

– Hej, hej! Chłopcy, gdzie jesteście? Do mnie!

AGENCI

(w liczbie trzech zjawiają się natychmiast)

– Słuchamy, Panie Generale BECN

– No i cóż słyhać na warszawskim bruku? (Zamyśla się). Jakie obyczaje, porządek, wierność? Nuu?





(przygasa światło na scenie. Reflektory wylaniają z mroku pokój przesłuchań. Pokój raczej typowy. Przesłuchujący również. Na krześle siedzi przesłuchiwany – młody mężczyzna. Padają pytania i odpowiedzi – głosu nie słycać. Z mimiki obu twarzy wnioskujemy, że jest wściekły, a ofiara przestraszona. Trwa to wszystko niedługo chwilę. Obraz ginie i scena ponownie się rozjaśnia)

AUTOR

(rozpoznajemy w nim przesłuchiwanego) (na razie samotny, z butelką wódki w jednej ręce i gęsim piórem w drugiej. Zaczyna mówić w natchnieniu. Na scenę, pojedynczo zaczynają wchodzić „postacie historyczne”)

– Marzy mi się wielki dramat

Narodowy, epokowy

Strojny barwny, kolorowy

Trupy, króle, wodze mężczy

pokonani i zwycięzcy

Organicznej światło pracy

Napoleon i Prusacy

ten mój dramat

Niechaj będzie tam i dramat (ukazuje się Marks z Piłsudskim)

Legionowy (ukazuje się Stalin)

AUTOR

(jakby co złego przeczuwał, odwraca się gwałtownie w kierunku postaci i łapie się za głowę. Krzyczy)

– cosik mi się poplątało

(zamienia miejscami Stalina z Piłsudskim)

BENC

(wylania się i klepie Autora konfidencjonalnie po ramieniu)

– Pleć pleciugo byle mało

AUTOR

(kontynuuje)

– Jan Sobieski, Wernyhora

Gustaw – Konrad i Cecora

Cytadela, Łukasiński

Książę Pepi i Dzierż...(gryzie się wyraźnie w język)

Cosik mi się poplątało... (pociąga z butelki)





BENC

(groźnie)

– Splataj wążki ty bęcwałe

AUTOR

(wypręża się)

– Tak jest! Panie Generale.

(Splata wążki. Każda z postaci w okolicach kości ogonowej ma przyczepiony sznur, tzn. wążek. Autor splata bez ładu i składu. Światło gaśnie powoli)

II.

BENC I AGENCI

BENC (zastanawia się z wysiłkiem)

– Co robić, co robić, co ja zrobię?

(do agentów)

– No, róbcie coś. Radźcie!

AGENT

– Łukasiński do Szliselburga !

(słysząc brzęk kajdan)

BENC

(puka się w czoło)

– Ty dumniu. To już zrobiono przed nami. Teraz mamy ich wszystkich na głowie. Sytuacja jest groźna. Przeciwnik silny, zdecydowany na wszystko. Sami widzieliście. Musimy działać chytrze.

AGENCI

(rozdziawiają gęby. Chóralnie)

– Co robić?

BENC

– Na razie nie zamykać. Bacznie obserwować, knuć, intrygować i czekać na swój czas.

– Bo, my (cedzi słowa) mamy bardzo dużo czasu (Agenci znikają)

BENC

(do siebie)

– Ale jak ich podejść?! Jak wpuścić w maliny? Nie mam wypróbowanych kadr. Boże, dopomóż (wzdycha i kieruje wzrok w górę. Nad głową wisi oświetlony portret cara Mikołaja I)



BENC

(rozczarowany)

– To ty nie Ojcem świata tylko carem ???

Wpada wściekły Gustaw – Konrad

G – K

– To chamstwo, to złodziejstwo, to plagiat panie Benckendorff

BENC

(odskakuje jak poparzony)

– Kija na nich nie ma

Demaskacja

Miałem tu być incognito (znika)

III.

AUTOR

(chwije się, opierając jedną ręką o góralską chatę)

– Marzy mi się wielki dramat...

(wrzaski, krzyki, szum skrzydeł i rzenie koni).

Na scenę wpada Sobieski, za nim grupa husarii. Podbiegają do domku. Śpiewają

– Przybyli ułani pod okienko

Pukają, stukają

Wpuść panienko

Z okienka wychyla się Miss Zakopanego, Zofia Grzyb

SOBIESKI (prosząco)

Wpuść, Zosiu

ZOŚKA

– Oj, nie wpusce

(przekomarzanie trwa, huzarzy dowcipkują, autor pije. Zjawiają się dwaj agenci.

Jeden podchodzi do Sobieskiego, drugi ukazuje się w oknie obok Zosi)

AGENT I

(do Zosi)

– Co ci tam zależy. Wpuść go. Jest bogaty

AGENT II

– Jasiu, bierz ją siłą





(Zosia otwiera drzwi i rozkłada ramiona i nie tylko. Sobieski rzuca się na nią w progu (Husarzy dyskretnie odchodzą. Autor pije)

Wpada trzeci agent, przebrany za Pana Tadeusza

PT

– Ja ci dam Zosię, łobuzie deprawatorze. Zabieraj swoje śmierdzące łapska i co tam jeszcze. Precz z tego domu, kanalio !

Sobieski zdezorientowany i wystraszony bierze nogi za pas. Za nim husaria. Słychać oddalający się tętent koni i szum skrzydeł.

Agent (PT) zamyka się z Zośką w chałupie.

IV.

Ten sam pokój przesłuchań co w odsłonie pierwszej. Przesłuchiwany jest Autor.

Śledczy (wzdycha, sztucznie zatroskany)

– Zapoznałem się z pańskimi utworami. Nawet mi się podobają, ale... Niech pan nie będzie dzieckiem, radzę panu. Po co te paszkwile, to szarganie najwyższych wartości, śmieszki? Ja rozumiem, że teraz taka moda, na takich różnych... Wiem, wiem. Sam czytałem. Mam na razie jedno pytanie. Komu pokazywał pan swoje teksty?

AUTOR (lękliwie ale stanowczo)

– Nie mogę powiedzieć !

ŚLED CZY (sztucznie zdumiony)

– A dlaczego? Czytać każdemu wolno, nic nikomu za to nie grozi, a nam przyda się taka informacja w celach czysto naukowych. Zmieniliśmy ostatnio nie tylko metody, ale też zainteresowania. Jesteśmy, że tak powiem, czymś w rodzaju uniwersytetu. Placówki o szerokim zakresie badań. Pan pomoże nam, my panu. Chciałby pan zapewne być wydawanym, w wydawnictwach oczywiście. No więc?

AUTOR (zacina się)

– Nie, nie powiem

ŚLED CZY (groźnie, urzędowo)

– Ach tak! Wobec tego będę zmuszony zmienić stosunek do was na oficjalny. Miałem nadzieję, że się dogadamy. Tymczasem – samiście tego chcieli – zostawmy na boku te wycieczki i przejdźmy do spraw innych. Poważniejszych. Dochodzą do nas ciekawe informacje na temat waszej osoby. Wiemy o waszych kontaktach z zagranicą. O wypowiedziach, obelgach... A to już stanowi przestępstwo (wyczekuje, bębniąc palcami. Autor milczy) Trudno. W takim razie jedziemy do prokuratora. Ja umyłam ręce. Robiłem co mogłem.



(Zakuwa Autora w kajdanki i wychodzą)

V.

(Ciemna scena. Reflektor oświetla cełę, w niej Autor)

AUTOR

– Przysiadłem. Mogłem się tego spodziewać. Stało się. Głowa do góry ! Grunt to nie poddawać się i pisać dalej. Na szczęście udało się przemyścić papier i pióro. (wyciąga z zakamarków pryczy gęsie pióro i papier)

Dramat narodowy trwa (pisze zawzięcie)

(i nuci)

– Zemsta, zemsta, zemsta na wroga.

Z Bogiem, a choćby mimo Boga”

VI.

(knajpa)

Przy barku chwieją się Piłsudski, Wokulski

– Wojna, dorobię się!

Ks. Józef, ?, i agent nieco dalej

– Bić się czy nie bić ?!

EPILOG

Zgodna libacja przy narodowym stole. Nie zabrakło nikogo, łącznie ze Stalinem i wszystkimi innymi kompleksami Polaków. Do stołu podaje Dzierżyński.

Zawiedziony i krańcowo zrezygnowany Benckendorff woła Chochół

Benc

– przyjdź Chochole!

Chochół (wchodzi zataczając się)

– Kto mnie wołał, czego chciał ?

Wpada Autor

– Amnestiaaaa !!!

Benc

– Co się tutaj porobiło ?

Chochół (bełkoce)

– A to Polska właśnie

Benc zanosi się konwulsyjnym szlochem. Wchodzi na drabinę i wiesza się na lampie, za żadne skarby nie zamierzając zmartwychwstać po raz drugi.

Biesiadnicy zwracają się w kierunku wisielca i śpiewają

– Miałeś chamie złoty róg





Po odśpiewaniu powstają od stołu, tworzą pary – wszystko jedno kto z kim i schodzą ze sceny tańcząc poloneza Ogińskiego. Poloneza gra Jankiel. Widać, że się wstydzi. Scena pustoszeje. Jankiel odchodzi od cymbałów, chwytając walizkę i wyrusza w drogę. Muzyka mimo to nie ustaje a nawet się wzmacnia...

Zmierzch

O zmierzchu wszystkie knajpy wyglądają podobnie. Podobny gwar, zapach, podobny brud i podobni ludzie. Śpiewają, biją się, ktoś w kącie roni pijackie łzy. O siódmej po południu, gdyby nie szyld, nie zgadłbyś czy to jest „Kameralna”, „Dzik” czy może „Herod”. I trzeba nie lada psychologa, który byłby w stanie orzec bez pudła: ten klient cierpi, ten udaje, tamten pije z radości, a ten pije, bo pije.

Nad poplamionym obrusem kiwał się zalany facet. Mieszkańcy tych okolic, a zwłaszcza obsługa i bywalcy lokalu oswoili się już z jego opuchniętą „twarzą”. Ostatnio coraz częściej trzeba go było podnosić z chodnika. Nie jest to jeszcze dno, do którego prędzej czy później dobija każdy alkoholik. Naszego bohatera czekał kolejny etap, kiedy to bliźni nie zatrzymują się już nad leżącym i oszczędzają sobie trudu, aby go podnieść, zdając sobie sprawę z tego, że podopieczny ujdzie o własnych siłach najwyżej dziesięć kroków. Na razie jednak tylko siedział i od czasu do czasu, przy mocniejszym kiwnięciu, strącał czołem puste kieliszki – dla zabawy czy z upojenia – trudno było zgadnąć. W każdym razie ostatni pełny kieliszek stał na baczność i pokornie czekał na swoje przeznaczenie.

Kazik – tak było na imię pijakowi – wstrząsnął się, wypił i znów się wstrząsnął. To go trochę doprowadziło do równowagi. Przestał się kiwać i omiół stół wzrokiem bardzo niespokojnym. Pogrzebał chwilę w kieszeni i stwierdziwszy, że wypije za swoje jeszcze co najmniej dwa kieliszki, wysilił się na uśmiech. Jak to zazwyczaj bywa w miejscach picia wódki, grymas ów stał się zachętą dla drugiego samotnika, który kiwał się podobnie nad sąsiednim stolikiem. Jegomość drgał, skulił ramiona, zmarszczył spoczone czoło i przetoczył się do Kazika. Na powitanie wypuścił z warg bańkę. Kazik bez entuzjazmu kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Nowy towarzysz był bardziej zniszczony na ciele, umyśle i ubraniu. Twarz miał już mocno oplecioną różowo – sinymi żyłkami, ręce trzęsły się przerażająco. Gęba na wpół otwarta i obrzydliwie zaśliniona, uzewnętrzniała stan jego półkul mózgowych. Na czoło miał szramę, ledwo widoczną z powodu sporej warstwy brudu. Ubranie niczym się nie różniło od właściciela zarówno wyglądem, jak i odorem. Od pierwszego spojrzenia widać było, że ex-homo sapiens należy do tej generacji, która powoli zstępuje z mało zaszczytnej sceny, a właściwie to już z widowni.

– Papierosa... – zachrypiął.

Zapalili, Kazik wlepił w niego zaropiałe oczy. Kiedyś często oglądał podobne twarze... Ech, nie – wtedy jeszcze tak nie wyglądali. Czas, przeżycia, hektolitry gorzały





swoje piętno odcisnęły, ale jakieś ślady przeszłości pozostały przecież. Jakieś resztki dumy przemieszanej z brawurą; wzrok, choć mętny, z odrobiną wyzywającego błysku. Odruchowo spojrzął na ręce nowego kompana. Zauważył dość wyraźne zgrubienia na stawach palców. Te potwierdziły słuszność socjologicznej diagnozy. Tak czy owak, Kazik wobec zetknięcia się z taką ruiną poczuł się mocno podbudowany i nawet trochę otrzeźwiał.

Nieznamy-znajomy też się w niego wpatrywał. Może z mniejszą ciekawością, ale za to z respektem.

– Ktoś ty? – Kazik przerwał milczenie.

– AK – pudło – ZBOWID – wybełkotał skrócony życiorys i zdusił peta w niedojeżdżonym ozorku.

– A więc jednak. Ma się jeszcze oko – pomyślał Kazik. – Ciekawe czy tamten jest równie bystry?

– Osiem lat siedziałem. – Z trudem wstał, czknął, wyciągnął łapę i przedstawił się – Poorucznik jestem. Jest Nowy Rok, rozumiesz? – zaczął swą pijacką gawędę, przerywaną co chwila czkawką i bekaniem, – Czterdziesty ósmy, rozumiesz? Zimno, yk! oj jak zimno, chce się jeść, a ja i moi chłopcy śpiewamy piosenki, karabiny w kozłach, yk! I ja bohater pół bitewnych – znów wstał i dumnie wypiął pierś – poczułem wtedy strach, jakbym przeczuł nieszczęście. I miałem rację, bo nieszczęście, moje nieszczęście jechało do nas tego dnia. To był generał! Duży, gruby, z orderami, job jego mać! I od razu wali do mnie z historycznym pytaniem: „Dlaczego jeszcze nie przerwaliście walk, wielki poruczniku?” To ja mu na to... – przerwał i zmarszczył się z wysiłku.

Kazik mu nie przerywał. Cisza trwała dłuższą chwilę, aż wreszcie pijak zawył:

– To ja mu na to: „Nie mam radiostacji, skurwy ty synu!” Piętnaście lat za to dostałem. Siedziałem osiem – dodał prawie szeptem i czknął tak głośno, że wszyscy się obejrzeni.

– Długo cię badali?

– Pół roku. Niejaki Gąska prowadził śledztwo.

– Partacz, – pomyślał Kazik. – Po półrocznym badaniu facet wytrzymał osiem lat w pudle i jeszcze się rusza. Ja bym cię, bracie tak urządził, że jadłbyś dupą a srał gębą. Jednak nie odważył się tego głośno powiedzieć, tylko też się przedstawił.

– Ja... też ZBOWID.

– To napijmy się, braciszku.

Kazik postawił kolejkę za ostatnie pieniądze, wypili. Partyzant, mimo upojenia, był w stanie ocenić stan majątku współbiesiadnika. Od tego momentu stosunki między nimi zaczęły się oziębiać.

Kazik też przestał zwracać na niego uwagę. Wraz z uderzeniem ostatniego kieliszka dopadła go chwila pijackiej refleksji. Przypomniały mu się stare i dobre czasy...

Gdy rozwiązano Urząd przeszedł do pracy w redakcji wysokonakładowego pisma. W dalszym ciągu nieźle płacili. Właściwie nic się nie zmieniło. Kolesie w większo-





ści ci sami albo podobni, te same rozmowy i dowcipy. Jeśli trunki, to najprzedniejsze z wyborną zakąską. Brzuszyzna rosla, żonka już tłuściutka, ale całkiem jeszcze ponęt-
na; wychowywała syna. Syn...

Kazika naszła fala czarnych myśli. Ten łobuz spędza mu teraz sen z powiek. Ta stara kurwa też. Znęcają się nad nim – ona moralnie, on przede wszystkim fizycznie.

– Biję mnie, bandzior, moją własną, wysłużoną łolą oficerską. Składana. Fajna pamiętka. Podarowałem mu ją na dwunaste urodziny. Wtedy jeszcze byłem mu bogiem. Uwielbiał mnie. Chłonał wszystkie moje opowieści. A teraz... Teraz właśnie on mi pokazał, że i pałka ma dwa końce – jak zwykły mawiać pewien wesoły major. Z rodzinnego gniazda zrobiło się piekło, a i poza domem nie jest różowo. Ciężkie czasy. Starzy awansowali, zadzierają nosa, młodych się nie zna. Przykre to i trudne do przyjęcia bez bólu. Najlepiej nie myśleć o terażniejszości i jak najszybciej zapomnieć przeszłość.

Rozejrzał się wokół. Partyzanta już przy nim nie było. Minęła właśnie godzina, po której trzeźwym na salę wstęp był raczej wzbroniony.

– Trzeba się będzie zakręcić za jakimś fundatorem. Na razie jelenie jeszcze zbyt trzeźwi, należy troszeczkę poczekać. Coś zakłuło w bebechach. To po operacji. Czego też oni mi nie wycięli?! Brzuch wygląda jak sflaczały worek. Ślady po dawnej tuszy. Teraz żarcie nie sprawia żadnej przyjemności. Jedyne efekty to bóle. Gęba tylko puchnie i to nie symetrycznie, najczęściej z prawej strony. Wtedy ten skurwysyn /jakież to trafny epitet!/ jak wpadnie w szal, bije mnie po lewej „żeby równo puchło”. Na pewno bydlę nie jest normalne. Można by go wsadzić do psychiatryka, ale tej kurwie wstyd i nigdy się nie przyzna, że ma, syna wariata.

Teraz już można było przyszturmować. Kiedyś robił to sprawniej. Dowcipkował, zaczepiał dziewczyny. Stawiano mu, bo był duszą towarzystwa i przyjemnie się z nim piło. W lepszych czasach, jeszcze całkiem niedawno, bywało, że stoliki walczyły między sobą o względy „pana redaktora”. Można było pić całą noc, chodząc od lokalu do lokalu. Dziś coraz częściej przypomina to zebranie. Trzeba się dosiąść do stolika mimo niechętnych spojrzeń. Czasem nawet ktoś da w mordę. Trzeba opowiadać zmyślone lub – co gorsza – prawdziwe historie, zwierzać się, płakać i czekać aż zamówią kolejkę. Dopiero po tym ceremoniale atmosfera się rozluźnia i brzemień intruza powoli odpływa.

Znów podniósł mętne oczy i powlókł wzrokiem po gościach. Niestety, towarzystwo głównie mieszane. Dawniej kobiety nadawały smaczku tej osobliwej grze, teraz na baby działa odpychająco.

– Ciekawe, czy naprawdę tak zdziałałem?...

– Trzeba znaleźć samych facetów, najlepiej mocno podpitych – spekulował.

Umysł miał znacznie trzeźwiejszy od ciała. Właśnie obudziła się w nim i mobilizowała go myśliwska żyłka. Rozpoczęło się polowanie na jelenia.

Wzdrygnął się gwałtownie, bo mu coś przebiegło po kręgosłupie. Jeszcze jedno spojrzenie. Pełna po brzegie, mroczna sala rozkołysała się na dobre. Ssaki obojga poci





dawały konsekwentny odpór teorii Darwina, ewoluując w stronę przeciwną. Jednakże wszystkie tępe mordy nie miały w sobie cienia przychylności i Kazikowi oczy niemal nie wyszły z orbit w poszukiwaniu życzliwej duszy.

O, nareszcie, tam daleko, w drugim końcu sali ściskają się dwaj kolesie. Ta rybka powinna wziąć. A więc do dzieła! Naprzód, panie kapitanie!

Wybrał dobry moment, nowi koledzy byli nastawieni przyjaźnie. Najpierw rytuał.

– Można? Rączka. Kazik jestem...

– A ja Zenek, on Wiesiek... – od słowa do słowa, aż na stole pojawi się trunek.

Zjawił się. Poszło jak z płatka. Co prawda, nowa znajomość nieciekawa i bez przyszłościowa: starszy – fryzjer w typie dobrze znanych Kazikowi faciów, z tych, co piszą donosy. Kiedyś takimi pogardzał, teraz musi być im wdzięczny. Młodszy, zięć tamtego – magister inżynier. Jednym słowem gnojki, ale stawiać będą – to pewne.

W tym czasie kilka upiornych par podrygiwało na parkiecie w takt modnych i banalnych przebojów Połomskiego. Na dworze zrobiło się zupełnie ciemno. Na razie nie ma po co wychodzić. Fryzjer opowiadał swoje przygody miłosne i zawodowe, a zięć słuchał go z lekceważącym uśmiechem. Obaj byli bardzo nudni. Po kolejnym kieliszku jakby trochę wytrzeźwiali, ale Kazika nadal traktowali dobrze.

– A pan kim jest z zawodu, jeśli można spytać?

– Ja? Jestem redaktorem...

– Ooo, to pan musi być mądry człowiek i liczą się z panem na pewno.

– Kazik jestem...

– A, prawda, zapomniałem, Zenek, a to mój zięć Wiesław. Magister.

– Wypijmy.

– Wypijemy, wypijemy. Ale dlaczego pan redaktor taki smutny?

– Kłopoty rodzinne, rozwodzę się – odpowiedział nie całkiem zgodnie z prawdą.

Tak, do rozwodu o mały włos nie doszło. Na samo wspomnienie tamtej historii chciałoby się wypić pół litra duszkiem. Stara wyjechała na wczasy. Został wtedy sam na sam z jej kurewskim pomiotem, który kiedyś był również jego synem. Bili się przez parę dni, a później założyli spółę. Podzielili między siebie jej oszczędności i biźuterię. Było za co popić. Znalazły się też kurewki. Już dawno nie pławił się w takich rozkoszach natury i materii nieożywionej. Ale wszystko co dobre szybko się kończy. Przyjechała wiedźma i ciskając wszystkim, co miała pod ręką, zażądała wyjaśnień. Sytuacja była jeszcze do wygrania. Miał już nawet pewien pomysł. Plan był prosty, ale do kupienia – wystarczyło zwalić winę na synalka. Przecież nieraz się zdarzało, że okradła skarb domowy. Niestety, wszystko wzięło w łeb. Łobuz przewidział zdradę i żeby mieć alibi nagrał na taśmę harce z kurwami, po czym odtworzył je matce. Lepiej nie wspominać, co się wtedy działo. Tfu!

– A, rozwód – zasępił się Zenek. – Wśród inteligencji to teraz modne.

– Co epoka, to moda – zauważył mądrze zięć-magister.





Kazik znowu się zadumał. Wspomnienia wracały nachalnie i bezlitośnie. Okropne, że pewne rzeczy minęły bezpowrotnie. Autorytet, strach podwładnych, bezkarniebrane łapówki, no i dziwki. Nawet później, w redakcji było uroczo. I do dziś nie wie, kto go załatwił. Doprawdy, takie upadki zdarzają się nadzwyczaj rzadko.

Wypili jeszcze kilka kolejek. Na szczęście myśli wirowały już swobodnie i nawet jeśli zamajaczyło coś przykrego, umysł nie miał już siły na pobieżne choćby zgłębienie problemu. Instynktem kierowała teraz tylko jedna potrzeba – pić, pić jak najwięcej. Do całkowitego zamroczenia. A potem... Co będzie potem zrosłinniały mózg nie mógł przewidzieć. Tymczasem zbliżała się godzina zamknięcia lokalu.

Kiedy go wypraszali, Kazik był już bardzo pijany, ale resztkami sił trzymał się na własnych nogach. Przy krawężniku czekał na niego czarny Mercedes. Wsiadł do samochodu, kierowca ruszył. Noc była czarna, bezgwiezdna i bezksiężycowa. Na ulicach żywej duszy. Było tak ciemno, że nie widział nawet budynków stojących przy jezdni. Podróż bardzo się dłużyła i Kazik był mocno zniecierpliwiony. Chciał jak najszybciej znaleźć się na miejscu, przecież nie tak bardzo odległym. Wreszcie wjechali na ciemny dziedziniec.

Kazik wysiadł, szybkim krokiem przeszedł przez podwórze i zniknął w monumentalnym budynku. Znalazł się w wąskim i długim korytarzu z mnóstwem drzwi po obu stronach. Nad niektórymi świeciły czerwone lampki. Szedł krokiem coraz szybszym i pewniejszym w kierunku pokoju znajdującego się na końcu korytarza. Bardzo wyraźnie czuł teraz grunt pod nogami.

Drzwi obite skórą przybliżyły się coraz bardziej, a on prawie unosił się w powietrzu. Po chwili wplotnął do pokoju. Czekał już tam na niego znajomy partyzant z lokalu.

– Przeszedłeś wreszcie. Czekam na ciebie od dwóch godzin – dodał z wyrzutem, – Chciałbym uzupełnić swoje zeznania.

Kazik westchnął. Nie był zmęczony, było to raczej westchnięcie zawodowe. Każdy jego ruch odznaczał się nonszalancją i pewnością. Czuł się znowu Kimś.

Wyciągnął z szuflady papier i pałkę. Partyzant bez słowa zdjął koszulę i odwrócił się do niego plecami, Kazikowi zrobiło się mdło. Plecy przesłuchiwanego były wielką, posiekaną, pulsującą raną. W takim momencie trudno było zachować zimną krew. Bądź co bądź był to kumpel od kieliszka. Jednakże nie mógł pozwolić sobie na sentymenty. Chciał na niego krzyknąć, walnąć pałą w stół, zdławić swoje skrupuły i rozpocząć normalne przesłuchanie... Nie było to jednak możliwe, bo coś go trzymało za gardło, tak że nie mógł z siebie wydusić słowa. Przeraziło go to, oblał się potem i wszystko jawiło mu się jak w krzywym zwierciadle. Ogarnęła go totalna impotencja. Powiało grozą. Partyzant spojrzał na niego. Bardzo mu teraz przypominał syna. Twarz miał zniecierpliwioną i złą.

– Na co czekasz? Badaj! – wrzasnął.

Tak, to był jego rodzony syn, tego już było za wiele dla Kazika. Wściekł się, usiłował chwycić pałkę i rzucić się na niego, ale nie mógł ruszyć nawet palcem.



Tymczasem przesłuchiwany wpatrywał się w niego wzrokiem bazyliuszka. To już nie był partyzant ani nawet synalek. Zateęsknił teraz do nich, do ich ludzkich postaci, do zwykłych ludzkich konfliktów, a nawet ciężkiego, lecz przecież też ludzkiego mordobicia. To bowiem, co miał przed sobą, napawało go ogromnym przerażeniem. Takie historie zdarzały się dotąd tylko w bajkach dla bardzo niegrzecznych bachorów. Maszkary uśmiercające wzrokiem nie miały raczej dostępu do rzeczywistości, choćby najbardziej ponurej. Taki obraz przerastał wytrzymałość nerwową nawet najodważniejszych, a Kazik przecież do takich nie należał.

Potworna, obrzydliwa maskara ruszyła w kierunku swojego kata. Przypominała wyglądem olbrzymiego trupa w rozkładzie. Oczy tylko pały jakimś upiornym, nadnaturalnie żywym ogniem. Straszdyło wydawało przy tym brzmiać jak spod grobu odgłosy.

Kazik poczuł, że musi się bronić. Jeszcze raz spróbował się szarpnąć, lecz wysiłek okazał się daremny, nie udało się i tym razem. Usłyszał tylko piekielny, skrzeczący głos, wzmacniany echem:

– Role od początku były przestawione. Zmarnowałeś ostatnią szansę. Straciłeś stanowisko, rodzinę, przyjaciół, a teraz stracisz swe nędzne życie – pluskwo.

Ciałem Kazika miotaly drgawki. Cały był ogarnięty strachem. To już nie był strach ludzki ani zwierzęcy, to nawet nie był jego strach. Ten strach był jego Panem. Kazik został niewolnikiem swego strachu, Strachu Mordercy.

Jeszcze tylko instynkt samozachowawczy mógł go uratować. Jakies jego resztki podpowiedziały mu: „krzycz!” i w tym momencie nieszczęśnik przeraźliwie zawył...

Ryczał długo i głośno. Gdy skończył swój zwykły koncert, spostrzegł, że leży przywiązany do znajomej leżanki. Rozglądał się jednak nieufnie, a serce nadal biło mu w tempie patologicznym. Nad pryczą stał barczysty pielęgniarz, w każdej chwili gotowy przyłożyć mu brudną piąchą. Na szczęście „anioł stróż” znał go z licznych pobytów. Zresztą tego dnia miał dobry humor.

– Te, Kazik, jeszcze raz przywiozą cię bez pieniędzy, to nie będziemy się pierdolić z jakimiś rachunkami, których i tak nie płacisz. Dostaniesz wpierdol, zastrzyk i wyrzucimy cię do rowu. Zdychaj tam sobie i nie licz na dobrych ludzi.

Kazik potulnie kiwnął głową i odpluł różową pianę.

– Wyłeś, jakby ci jaja w imadle ściskali, he, he, „panie redaktorze”, to już chyba końcówka. Dobra już, dobra, po co te dąsy, teraz dostaniesz jeszcze jeden zastrzyk w dupę, poleżysz trochę i wypuścimy cię.

Wypuścili go wczesnym popołudniem. Nie bardzo wiedział co z sobą zrobić. Włóczył się bez sensu po jakichś brudnych ulicach. Wszystko go bołało i potwornie chciało mu się pić. We łbie waliły wszystkie srebrne dzwony. Przechodnie omijali go z daleka, bo wyglądał obrzydliwie i śmierdział. Lęku się jeszcze nie pozbył; co chwila rozglądał się trwożliwie i starał się trzymać z dala od jezdni. Na tak ciężki stan była tylko jedna rada... Ba, ale ten uniwersalny lek nie pada z nieba jak manna. Począł z wysiłkiem zbierać myśli i... oślnięło go!





Tak, prawda! Przecież nogi same go tam niosą. To właśnie niedaleko stąd mieszka dawny kolega z redakcji. Jemu się jeszcze ciągle bardzo dobrze powodzi.

– Na pewno nie opuści mnie w potrzebie, zlituje się i pożyczy na kielicha. Pewnie ma też barek, ale chyba już się mnie wstydzi i nie zaprosi do siebie. A niech tam! Byleby tylko pożyczył. Tak więc, kieliszek, dwa, może trzy i do domu. Na razie nie ma tam po co wracać. Nie ciekawego się nie zdarzy. O tej porze można tam co najwyżej zarobić w mordę.

Nawet nie zauważył, jak zaczęło się ściemniać.

PISANE KU POKRZEPIENIU SERC

25.07.1983 r.

Zoologu ciąg dalszy

Stół zastawiony był popielniczką z kopcem petów, szklanką wypełnioną do połowy herbatą koloru smółki, stosikiem prasy drugiej świeżości i niezliczonymi plamami koloru białego. Plamy te świadczyły o zamitowaniu właściciela stołu do wódek czystych.

Krzysztof tępo wpatrywał się w stronicę książki, nie czytając jej wcale.

– Co robić w tak zasrany wieczór majowy, kiedy pada i gdy postanowiłem, że dłużej kieliszka, ani szklanki, ani szyjki do ust nie podniosę?

Prześladujące go pytanie było następstwem ciężkich, ostatnich dni. Zaczęło się jak zwykle: kilkunastodniowy ciąg, koledzy, jakaś dziewczyna. Potem gwałtowne wyhamowanie, bo brakło szmalu, i walka wycieńczonego ducha i ciała o lepsze jutro. Jednym z elementów tejże walki, nie stosowanym dotychczas, było uroczyste ślubowanie w kiblu przed lustrem, że w tym momencie nastąpił rozbrat z zakałą ludzkości.

Drażniło go wszystko: kiepska powieść, samotność, beztrasko panoszące się karaluchy, niesłusznie zwane przez germanofobów „prusakami”. Są już one nieodłącznymi towarzyszami wielkomiejskich cywilizacji. I każdy rozsądny człowiek składa przed nimi dzidę.

– Co robić, co robić? – kołatało mu się we łbie. Myśli biegały jak oszalałe, a uwaga skupiała się raz po raz na dokuczliwej dolegliwości gdzieś koło mostka. Bóle te miewał od dawna. Gdy się skarżył, jedni mówili mu, że to żołądek, inni, że wątroba, a jeszcze inni, że serce. On sam twierdził, że zapewne wszystko na raz. Najlepiej mógłby to ocenić fachowiec, ale Krzysztof nie zamierzał na razie korzystać z usług służby zdrowia. Postanowił leczyć się sam. Wiedząc co nieco o nowoczesnej terapii, zdawał sobie sprawę, że ważniejsze od skutków są przyczyny. Bez większego trudu wysnuł następujący logiczny wniosek: wszelkie bóle są skutkiem alkoholizmu, alkoholizm jest odbiciem rzeczywistości, więc to jej zawdzięcza wszystko co złe. Teraz, gdy od jakiegoś czasu nie pije, a bóle jak były, tak pozostały, cały wywód szlag trafił. Do rzeczywistości jednak się nie przekonał...





Na domiar wszystkiego złego odwiedzili go dzisiaj życzliwi znajomi. Bardzo znane są z licznych literackich opisów i życiowych doświadczeń takie gratulacyjne wizyty oraz ich skutki. „Brawo, trzymaj się, nareszcie wziąłeś się w garść. Pokaż, że na coś cię jeszcze stać.” Cały dzień musiał nadrabiać miną i „pokazywać, że na coś go jeszcze stać”, udawać zadowolonego i zdrowego. Dopiero gdy sobie poszli, otworzył na całą szerokość furtkę swojego organizmu, by wielka armia chorób i bólów mogła sobie doń wkroczyć. Tak się też stało. Skręcał się, chodził w kółko, kładł się na łóżku, to znów wstawał. Zmiany pozycji pomagały tylko na chwilę – ból się cofał, ale tylko po to, by zaraz zaatakować ze zdwojoną siłą.

Podszedł do okna i otworzył je, aby zaczerpnąć powietrza, nazwanego prawem kaduka „świeżym”. Rzeczywiście trochę pomogło. Wobec tego postanowił nie ruszać się stamtąd i poobserwować świat. Za oknem jednak było czarno. Ani jedna latarnia nie oświetlała okolicy. W nielicznych tylko mieszkaniach świeciły żarówki. Kończyła się sobota i ludzie położyli się spać, żeby zebrać siły przed niedzielnym spacerem.

Całkowita ciemnica sprawiała wrażenie, że niejaki Edison, ba, nawet Łukasiewicz, nie obciążyli jeszcze bocianich bagaży.

– Co się stało? – zdziwił się Krzysztof – znowu oszczędzają?

I w tym momencie ciszę zakłócił brzęk tłuczonego szkła, tupot nóg uciekających osób i donośny, wściekły wrzask.

– O zesz ty chuju! Ty chuliganie pierdolony, niech ja cię dorwę owieczko w dupę jebana... – wymyślna wiącha zdawała się nie mieć końca, jednak z czasem osłabła, aż do całkowitego wyciszenia.

Wtedy zrozumiał. To procarze wyszli na ulice. Przypomniał mu się wczorajszy komunikat. Nie wiedząc co zrobić z czasem oglądał telewizję. Od programu kontrolnego do hymnu. Po dzienniku jeszcze raz ukazało się popiersie spikera, który z zatroskaną miną i takimż głosem obwieścił:

„Uwaga mieszkańcy Warszawy. Podajemy komunikat Ministerstwa Zdrowia i Miejskiej Rady Narodowej: Niepohamowany wzrost populacji gołębi w Warszawie. Wiadomo już dziś z pewnością, że gołąb skalny po przekroczeniu pewnego progu liczbowego, jest sąsiadem niebezpiecznym dla człowieka, szczególnie w okresach skąpych w opady i wietrznych. Odchody gołębia na gzymsach, półkach i okapach domów, gdzie nocuje gromadnie, unoszą się w powietrzu w postaci niewidocznego pyłu i powodują ostre lub przewlekłe nieżyty i zapalenia górnych dróg oddechowych oraz spojówek, co gorsza pyły z odchodów gołębic, dostając się przez okna do pomieszczeń, osiadają na pożywieniu, zanieczyszczają napoje, zwłaszcza mleko, stwarzając, poważne zagrożenie dla przewodu pokarmowego, a pośrednio także dla ośrodkowego układu nerwowego małych dzieci.

Populacja gołębi wzrasta z każdym dniem. Wobec tego władze apelują do wszystkich obywateli, ażeby wraz ze służbami porządkowymi wzięli udział w akcji tępienia





gołębi. Akcja została wyznaczona na najbliższą niedzielę. W czasie jej trwania mogą być używane proce i sidła, i inne podobne środki. Jednocześnie zabrania się osobom posiadającym pozwolenie na broń palną używania jej w akcji bez rozkazu bezpośrednich zwierzchników.

Pamiętajmy, że bezpieczeństwo nasze zależy od nas samych!”

Krzysztof wzruszył ramionami. Nie podejrzewał, żeby ktokolwiek wzięt sobie do serca ten apel. Od zawsze przecież wszelkie prace społeczne traktowane były po macoszemu, a ostatnio, gdy przestano do nich przymuszać, nikt nawet palcem nie kiwnął, żeby brać udział w czymkolwiek oficjalnym i pozaobowiązkowym. Dlatego też szybko zapomniał o tej dziwacznej akcji i dopiero wybita nocą szyba przywróciła mu pamięć. A jednak. Czyżby tym razem wezwanie poskutkowało? Chyba nie. Prawdopodobnie – myślał – kolejny idiotyzm potraktowali serio tylko chuligani, którzy skorzystają z uprawnień i będą walić do wszystkiego co żywe, szklane i bezbronne.

Machnął na to ręką i położył się do łóżka. Czuł się dużo lepiej mimo dręczącej go bezsenności. Za oknem szalała burza, co jeszcze bardziej utrudnia sen. Oddał się więc rozmyślaniam. Najpierw o kobietach na różne sposoby, później wspomnienia z dzieciństwa. Jednym z jego stałych sposobów zabijania czasu było odszukiwanie takich momentów z przeszłości, które jeszcze nigdy nie odwiedziły jego pamięci. Bardzo rzadko udawało mu się to, więc tym bardziej był zadowolony, gdy osiągnął sukces. Zdało mu się, że odkrywa wtedy nieznaną część samego siebie... Tym razem pamięć go zawiodła. Chwyił się tedy innego sposobu, po wielokroć sprawdzonego w czasie bezsennych nocy. Wybierał dowolną literę alfabetu i starał się odnaleźć jak najwięcej imion, najpierw męskich, potem żeńskich, zaczynających się na tę literę. Zaczął od imion męskich na „m”. Doszedł do dwudziestu sześciu – był to Manfred – i zasnął.

Po nocy nastaje dzień. Dzieje tak się, pewnie, od początku świata. Tak dzieje się też zawsze w życiu Krzysztofa. Dzień jest dla Krzysztofa jego „niestety” i „na szczęście”. „Na szczęście” – bo w tym momencie kończą się nocne koszmary przerywane, co chwila bezsennością. „Niestety” – bo zaczyna się koszmar na jawie, który może być nawet straszniejszy z tego choćby powodu, że realny.

Obudził się późno, a właściwie to dopiero otworzył oczy. Wymacał leżące obok łóżka papierosy i zapalił jednego, żeby jak zwykły mawiać – się orzeźwić. Leżał jeszcze długą chwilę w łóżku zastanawiając się jak wykorzystać kilkanaście najbliższych godzin. Minął już okres kiedy samotność jest najpewniejszym gwarantem trzeźwości. Trzeba wyjść na świat, przyjrzeć się ludziom, może nawet zawitać do kogoś. Wstał i po dokonaniu kilku porannych, rutynowych czynności wyszedł z mieszkania. Schodził powoli ze schodów myśląc bez entuzjazmu o niespodziankach jakie zgotuje mu bieżący dzień. Długo nie czekał.

Pierwsza niespodzianka leżała na posadzce parteru klatki schodowej. Był nią marwty gołąb. Widać ludzie przejęli się poważnie wypowiedzeniem kolejnej wojny. Tym



razem przeciwko gołębiom. To, co zobaczył na zewnątrz, przeszło najśmielsze oczekiwania. Prawie wszyscy z amokiem w oczach biegali dzierżąc w rękach proce. Na trawnikach i balkonach rozpięte były sieci. Rozmaitych rozmiarów kamienie krzyżowały linie swych lotów waląc w gołębie i we wszystko co na drodze. Gdy jakiś nieszczęsny ptak zaplątał się w sieci, natychmiast zmieniał się w nieruchomy już cel dla kilkudziesięciu procarzy, którzy z dzikim okrzykiem triumfu napinali gumy, aby go uśmiercić. W fecie brały udział dzieci z dobrych domów i chuligani, urzędnicy i prywatna inicjatywa, robotnicy i studenci. Nawet starcy ze złośliwym uśmiechem, takim jaki tylko oni mogą u siebie wywołać, brali czynny udział w zabawie na serio. Odkryto magazyn z ogromnymi pokładami agresji. Magazyn do tej pory skrzętnie maskowany. Ciar ki przechodziły po krzyżu, kiedy się to widziało. Takim obrazkiem można by z pełnym poczuciem odpowiedzialności i bez cienia przesady zilustrować ostatni krąg piekieł.

Przemykał się nieśmiało wśród rozhisteryzowanego tłumu. Co jakiś czas uskakiwał w bok przed lecącym kamieniem lub spadającym gołębiem. Zastanawiał się przy tym jak wygląda sytuacja w innych punktach miasta. Z braku lepszych pomysłów postanowił pojechać do odległej dzielnicy i tam zlustrować teren. Stał więc na przystanku. Stał samotny, wyróżniając się innością. Stał i wstyd mu było, że modli się w tej chwili o to, by nie zabrakło gołębi. Gdyby to się stało, szybko znalazłoby się sobie inny cel. Bardzo łatwo jest rozkręcić maszynę barbarzyństwa, znacznie trudniej ją później zatrzymać. Ta banalna prawda była tym okrutniejsza, że właśnie banalna.

Autobusu na razie nie było (widać). Widocznie pojazdy nie miały możliwości swobodnego poruszania się wśród biegających i ignorujących przepisy ruchu drogowego ludzi. Poza tym te kamienie... No właśnie. Przecież nie zauważył jeszcze ani jednego samochodu. Nie do wiary, ale nawet żaden radiowóz nie przejechał do tej pory, mimo sytuacji bądź co bądź rozruchowej.

Krzysztof czekał cierpliwie, trwożliwie zerkając na wszystkie strony. Miał rozbiegany, niespokojny wzrok i męczyły go mdłości. Stał tak około trzydziestu minut zanim podjechał autobus. Nareszcie. (Krzysztof) wsiał obrzucony niechętnym wzrokiem szofera. Nie bacząc jednak na to spojrzenie zbliżył się (do siedzenia kierowcy) do niego i zagadnął.

– Widzi pan co się dzieje?

– Hm – mruknął tamten.

W normalnej sytuacji Krzysztof nie podejmowałby rozmowy z takim mrukiem, ale teraz męczyła go nieodparta chęć pogadania z kimkolwiek i o czymkolwiek, w imię ratowania zdrowia psychicznego. Rozmowa z kierowcą – chciał w to wierzyć – spełnić miała funkcję uszczypnięcia, gdy jeszcze nie wiadomo czy to sen czy jawa. Spróbował jeszcze raz.

– No i co pan na to?

– Na co?

– Na gołębie. Nie boi się pan?





– Czego?

– Kamieni na przykład.

– Nie.

– A ptaków panu nie żal?

– Żal??? – kierowca nagle i gwałtownie przyhamował, i odwrócił się – Żal! Tych gównianych bydłaków? Coś pan zwariował? Gazet pan nie czytasz. Wszyscy starają się jak mogą, ciężko pracują, a to ściervo rozpanoszyło się już wszędzie i nie dość, że żre za darmo to jeszcze ludzi zatruwa! Ja sam od rana ubiłem ze dwadzieścia skurwysynów, a moje chłopaki to chyba do setki doszły. Z byka pan spadł czy co? Naród się truje, a temu ptaszków żal. Święty Franciszek się znalazł!

Po reprimendzie przyspieszył gwałtownie i tym samym pozbył się natrętnego pasażera, którego odrzuciło prawie na sam koniec autobusu. Nic dziwnego, że Krzysztof nie próbował więcej podejmować rozmów z kierowcą. Usiadł potulnie przy oknie i obserwował ulice. Na zewnątrz wciąż ten sam widok. Bieganina, okrzyki, sidła i proce. Wszystko to dawało dużo do ponurego myślenia, ale i myślenie zostało przerwane brutalnym głosem kierowcy.

– Wsiadać! Koniec trasy. To jest autobus, tu się nie śpi!

Wsiadł. Na pętli było znacznie spokojniej. Gdzieniedzie zieleniły się drzewa odświeżone wczorajszym deszczem. Między drzewami był klomb, na którym prócz kwiatów walały się puste butelki. Obok klombu stała ławka. Siedział na niej jakiś emeryt i czytał świąteczne wydanie gazety. Tylko ptaków nigdzie nie było widać ani słychać. Dziwne to, ale śpiew ptasi stanowi jeden z nieodłącznych akustycznych elementów życia – nawet w zacczadzonym mieście. Nasze uszy są do tego przyzwyczajone tak samo jak do gwaru wszystkich innych stałych, codziennych i conocnych nadawców. Nie odróżniamy ich na co dzień, ale gdy jednego z nich zabraknie, brak ów nieprzyjemnie daje się odczuć.

Grupa kilkunastu osób czekała na autobus, który jakoś nie kwapił się z podjazdem. Krzysztof podszedł do oczekujących i z niejaką przyjemnością skonstatował, że wyglądają w miarę trzeźwo. Próbował przysłuchiwać się, o czym też, między sobą rozmawiają. Rozmowy jak rozmowy. O imieninach, o pracy i drożyznie. Autobus nadal stał jak zaklęty. Gdy naraz...

– Mamusiuuu, czy gołębie są wielkimi szkodnikami?

– Tak, dziecko. Są to bardzo wielkie szkodniki.

– A czy to prawda, że należy je tępić?

– Oczywiście synku. Trzeba je tępić.

Krzysztofem telepnęło. Przed nim stała para z dziesięcioletnim może chłopcem. Chyba jechali na jakieś przyjęcie, bo ojciec trzymał kwiaty w ręce, a cała trójka była wypindrzona jak na sumę w Sędziszowie. Zwykła rodzinka, taka jakich wiele. Dwa plus jeden, na razie bez samochodu. Niebieskooki, amorkowaty chłopczyzna niecierp-





liwił się, przestępując z nogi na nogę. Z kieszeni spodni zwisła mu gumka od procy, przez co Krzysztof wzdrygnął się ponownie.

Odszedł nieco dalej, aby już więcej nic przypadkowo nie usłyszeć. Postanowił nie włóczyć się już po ulicach. Uznał, że dla poprawienia nastroju musi z kimś pogadać. Wybór padł na Michała. Stary to kumpel – pasożyt, kpiarz, cynik i pijak z bardzo zdrowym spojrzeniem na rzeczywistość. Pomysł niezły i wygodny, bo Michał mieszkał całkiem niedaleko (od miejsca, w którym Krzysztof się teraz znajdował). Znali się od lat i wypili oceaną wódki. Że też od razu nie wpadł na ten pomysł! Jeżeli kumpel będzie trzeźwy, to chwila rozmowy wystarczy, żeby świat realny skurczył się do wymiarów jego mieszkania, a cała reszta umiejscowiona zostanie w gigantycznym domu wariatów, lub w, najlepszym wypadku, w cyrku. Uradowany własnym pomysłem uśmiechnąłem się do siebie, i w tym samym momencie podjechał autobus. Wsiadanie do „środka komunikacji” zawsze wygląda jednakowo i tym razem też nie odbiegło od normy. Obojętnie czy na przystanku stoi pięć osób czy jest ich pięćdziesiąt wszyscy naraz rzucają się do otwartych drzwi, depczą się i popychają, po czym pędzą, aby zająć miejsca siedzące. Krzysztof odczekał, aż szturm minie i wszedł do autobusu. Znow usiadł i zamknął oczy, ażeby nie oglądać już więcej oszalałych ulic i wałającej się wszędzie padliny. Trochę się zresztą uspokoiło, gdyż zbliżała się pora obiadowa i większość mieszkańców pozamykała się w swoich domach.

– Jak to dobrze, że mamy niedzielę – pomyślał. Nigdy nie lubił niedziel. Są one martwymi dniami tygodnia. Kac, telewizja i obiadki zatrzymują większość ludzi w domach. Ten niedzielny magnes od lat działa nadzwyczaj skutecznie. Tym razem również nie zawiódł. Dzięki temu pogrom zelżał, a w niektórych dzielnicach nawet ustał zupełnie.

Błogosławiona upiorna niedziela. Błogosławione odruchy warunkowe stworzone przez nudę. One to, nawet gdyby działały się rzeczy niestworzone, każą zabijać czas w identyczny sposób zawsze i wszędzie.

Krzysztof zbliżał się do celu, mijając autobusem skrzyżowanie za skrzyżowaniem. Wiercił się i niecierpliwił. Czuł, że jest osamotniony jak jeszcze nigdy dotąd, co było zapewne złudzeniem chwili.

– Planeta małp, planeta małp – powtarzał wściekle w myślach – żeby tylko Michał był w domu. Inaczej przyjdzie oszaleć.

Autobus wjechał na most. Przejeżdżali przez Wisłę. Zanieczyszczona od lat rzeka zdawała mu się teraz sikać krwią. Najprawdopodobniej była to łagodna halucynacja, ale Krzysztof dałby sobie głowę uciąć /tfu!/, że woda ma kolor różowy. Może zresztą rzeczywiście tak było...

Poczuł, że się potwornie poci i gdyby miał jechać jeszcze trochę dłużej, niechybnie utopiłby się we własnym płynie. Na szczęście pojazd zatrzymał się na przystanku. Co prawda przystanek Krzysztofa znajdował się nieco dalej, ale on wolał wysiąść wcześniej i przejść pozostałe kilkaset metrów.





Był na Pradze. Dzielnicy, która mimo burz, wojen, naporów, odbudowy, modernizacji, rewaloryzacji i diabli wiedzą czego jeszcze, zachowała swoje niezmienione oblicze. Tak samo wygląda na dawnych rycinach, przedwojennych fotografiach i z okien współczesnych nam pojazdów i mieszkań. Dzielnica zakapiorów i przekepek. Ci nadal wodzą tu rej mimo socjologicznego wymieszania. W bramach stoją handlarze wódką, na trotuarze leżą ich klienci. W studziennych podwórzach, pod oświetlonymi figurami Marii Panny, stoją ławki, a na nich siedzą dziewczyny. W tym miejscu wszystkie dziewczyny wyglądają jednakowo: obowiązkowo posiniaczone twarze, kilka plastrów pod oczami, na podbródku łączy się to ze starą szminką i pudrem w coś w rodzaju makijażu. Tutejsze dziewczyny muszą mieć koniecznie zachrypnięty głos, niepełne uzębienie, podbite, błędnie krążące oczy, podarte rajstopy, etc. W tej scenerii i atmosferze swą kobiecą indywidualność zachować może tylko Matka Boża, której postać umiejscowiona jest na każdym z tych podwórek. Pod jej figurami modlą się pobożne babcie, bawią się dzieci, a nocą uliczni meliniarze gromadzą wódkę. I nikt nikomu nie wchodzi w drogę. Wtajemniczeni twierdzą, że nawet Przenajświętsza Panienka nie ma o to do nikogo pretensji.

W jednym z domów tego skansenu mieszkał Michał. Krzysztof skrzył w boczną ulicę, wszedł w podwórze i skierował się do klatki schodowej. Szybko pokonał dwa piętra drewnianych schodów i zapukał do drzwi. Ku swojej ogromnej radości usłyszał człapiące kroki.

Chrobot zamka, bardzo niekonwencjonalne i nie przebiegające w wyszukanych słowach powitanie i Krzysztof jest już w środku. Mieszkanie Michała to pokój z kuchnią. Wciąż te same kąty, te same meble. Tu nigdy nic się nie zmieniło. I dobrze. Ilekroć tam wchodził zawsze odnosił wrażenie, że był tu nie dalej jak przed godziną. Czterdzieści metrów. Na nich materac, stół, kilka krzesel. Pod ścianą stosik książek – Michał do tej pory nie zdobył się na zrobienie półek. Bo i też nie przydały by mu się one. W jego zwyczaju leży czytanie kilkunastu książek naraz, które musi mieć ciągle pod ręką, a raczej pod nogami. Wiadomo – artysta.

Na ścianach, między pajęczynami wiszą obrazy. Są one dziełem znajomych oraz gospodarza. Bawił się kiedyś w malarstwo i choć teraz trochę się tego krępuje, nie zdjął i nie schował dowodów swoich uzdolnień. Chyba nawet trochę jest dumny ze swojej galeryjki, bo obrusza się, gdy ujdzie ona czyjejs uwadze. Ale w jego mniemaniu, prawdziwą dumą i powodem do chwały są olbrzymie pajęczyny, symbol kawalerstwa i niezależności. Zabiłyby, gdyby ktoś nieopatrznie uszkodził mu którąś z sieci, nie mówiąc już o dokładniejszym zmieceniu pajęczej konstrukcji. Jest tam jeszcze wielka, stylowa szafa, oklejona różnymi świrnistwami i hasłami wyciętymi z gazet. Brudne szyby i bataliony pustych butelek dopełniają obrazu wnętrza.

– Długośmy się nie widzieli – zaczął Michał – a, ładnie to, tak?

Za karę obarczam cię zadaniem.





– Daj spokój. Zresztą dzisiaj niedziela, a na melinę mnie nie stać.

Krzysztof bronił się słabo. Nie miał już wątpliwości czym skończy się wizyta. Ale jednak nie żałował.

– Dobra, dobra, o tym później. Na razie za karę wyniesiesz butelki na śmietnik, bo cholera, nie można się już swobodnie poruszać po tej norze.

Krzysztof uśmiechnął się i zaczął pokornie wyciągać ze wszystkich kątów puste flaszki. Uporał się z tym jakoś. Zebrał około pięćdziesiątki.

– Masz tu torbę na zbędne szkło i wypieprz je na śmietnik. Harcerze nas pobłogosławią, a i w niebie zapiszą nam dobry uczynek. O przyszłości pomyśleć czas najwyższy.

Krzysztof wrócił po kilkuminutowej nieobecności i zakomunikował:

– Flaszki zostały wyrzucone.

– No to pierwsze grzechy wymazałeś. Wstawiłem już wodę. Możemy teraz usiąść i zająć się sobą.

– Co u ciebie?

– Głupie pytanie. Byłoby ono całkiem na miejscu, gdybyś odwiedził mnie w pałacu, w otoczeniu służby, a w powietrzu unosiłby się zapach olejków różanych. W komnatach roiłoby się od pięknych gejszy...

– Przestań truć – przerwał Krzysztof.

Michał musiał mieć dużego kaca. Zawsze na drugi, trzeci dzień trzeźwości był gadatliwy nie do wytrzymania. Jednak tym razem jego gadatliwość mogła okazać się zbawienna. Zawsze to lepsze od udręki własnych myśli. Postanowił nie zwlekać i podzielić się nimi z Michałem.

– Pewnie już wiesz o polowaniu?

– A pewnie. Głupota znowu górą. Tak jest o wiele wygodniej. Samodzielne myślenie, to przecież nie łąda wysiłek.

– Nie strasz. Ktoś wreszcie, do jasnej maci, musi wykrzyczeć parę słów prawdy! Usiłowałem rozmawiać już z kimś przypadkowym na ten temat. Niestety, kierowca autobusu, bo – naiwny – do niego się z tym zwróciłem, okazał się wszak wcale nie mniejszym idiotą od tych, pozał się Boże, myśliwych.

– A coś ty myślał, że tak łatwo jest znaleźć normalnego w tłumie idiotów? Coś ci powiem: nie wychodziłem z domu od kilku dni, ale odnoszę wrażenie, że w tej bandyckiej dzielnicy jest pod tym względem najzdrowiej. Oni tu mają swoje ciemne interesy i gównem ich obchodzą wszystkie apele i ptasie odchody. Ale widzisz, dzieje się tak dlatego, że nie znane jest tu życie na niby. Tej dyscypliny tu się nie uprawia. A cała reszta? Owszem, postawić się niekiedy potrafimy. Nieraz tego dowodziliśmy. Sęk jednak w tym, że nie umiemy wychwytywać i demaskować super groźniejszych niebezpieczeństw i manipulacji. Jeśli biją nas po mózgach, uznajemy to za głaskanie. No i masz efekty. Być może dzięki temu, że tu mieszkam, za swojego rodzaju żelazną kurtyną, duch mój jest odrobinę mniej zmącony.





Krzysztof słuchał tyrady Michała i tylko od czasu do czasu coś wtrącał.

– Ależ to zbiorowa paranoja w pełnym, medycznym znaczeniu tego słowa, która nie wiem czym może się skończyć.

– Skończy się – ciągnął Michał – łagodniej niż przypuszczasz. Już oni mają na to sposoby. Na razie walimy do gołębi. Klasówka absolutnie zdana na piątkę. Wytępimy gołębie, znajdzie się inny szkodnik. Dziwię się tylko, że dopiero teraz tak cię to przeraziło. Przecież polowanie na gołębie trwa od lat. My także nie mamy czystego sumienia; tak, tak mój drogi, tobie i mnie też się w życiu zdarzyły jakieś polowanka. Może tylko w innej postaci, bardziej łagodnie... może. Ale, jak powiedziałem, dojrzeliliśmy już do egzaminu. Na szczęście my obaj zostaliśmy wcześniej usunięci z tej szkoły. A jej program łatwo można przewidzieć. Tu nie może być zaskoczenia. Być może, nam ludziom dany będzie teraz fizyczny spokój na czas jakiś. Ot tam, najwyżej jakiś niesforny uczeń z oślej ławki dostanie klapsa i tyle. Cy-wi-li-zu-je-my się. Będą natomiast gołąbki, wróbelki, pieski, kotki, koziołki matolki z nominacji... Tych się będzie załatwiać. A dziećmiędziesiąt procent durniów, którzy wykonywać będą egzekucje, nie zda nigdy sobie sprawy, że własnoręcznie dokonali na sobie lobotomii. W momencie, gdyby się za bardzo rozchulali, wkroczą do akcji również odmóżdżone, lecz zorganizowane oddziały kładąc kres zabawie. A za jakiś czas od początku...

– Przestań krakać. To o czym mówisz upokarza nie tylko tych tam, ale także mnie, ciebie i innych podobnych. W jakimś tam stopniu jesteśmy jednymi z nich i tak samo narażamy się na politowanie, śmieszność, nie mówiąc już o potępieniu.

– Śmieszność. A w jaki sposób chcesz temu zapobiec? Wybiegniesz na ulicę i rozdrzesz szaty? Według mnie ośmieszysz się jeszcze bardziej. Bojąc się własnej śmieszności i starając się z nią walczyć, miotamy się i co najwyżej mamy głupie miny; a już stokroć bardziej narażamy się na śmieszność, zwalczając ją u innych, zwłaszcza nieuleczalnych chroniczków. Przestań o tym myśleć i skończmy temat, bo zbzikujemy. Na zakończenie dam ci radę: jedyne co nam zostało to obrona własna, a bronić możemy się tylko całkowitą odmową uczestnictwa. Poza tym stać nas wyłącznie na gesty, a one stwarzają jedynie iluzję. Szkoda na nie czasu i zdrowia. Zajmijmy się własnymi sprawami, wypnijmy się i niech nas w dupę pocałują. Ale chyba nawet na to ich nie stać. Nie było dyrektyw.

– Ale co nam z tego wypięcia?

– Gówno, gówno, aż do śmierci. A propos, miałem dzisiaj sen. Przyśniło mi się, że leżę w gównie, w najzwyczajniejszej gnojówce. Żółtej, śmierdzącej sraczcze. Leżę sobie zanurzony do połowy, w uszach mi chlupie, ale mimo wszystko czuję się nienajgorzej i nie mam najmniejszej ochoty ruszyć się stamtąd. Zresztą i tak wiem, że to niemożliwe by podjąć walkę z żywiołem, oceanem ekskrementów. Jestem syty i niczego mi nie brakuje. Zdaje się, że leżę tam jak noworodek w niezmienianej nigdy pieluszcze i będę tak leżał zaspokojony, aż do śmierci. I nagle ujrzałem przed sobą dwie postacie, jak-





by za mgłą. Znajomi – nieznajomi, jak to we snach bywa. Podeszli, podali mi ręce, a ja bezwolny i słaby dałem się podnieść i uprowadzić w nieznanym kierunku. To był mój sen, ale – i dzięki ci stary za to – nasza rozmowa wiele mi uświadomiła i potwierdziły się moje rozważania. To gównu, w jakim żyjemy, może zwyciężyć tylko śmierć. Walczyć można z wrogiem, z ideologią, z jakąś siłą. A gówno pozbawione jest siły i idei, rozumu i czego tam jeszcze. Gówno tylko śmierdzi i nie ma na nie rady... Widzę, że rozdziawiłeś japę i siedzisz zasępiony. Pozwól, że przez chwilę będę górnołotny i polecę klasyką polityczną: „Żadnych złudzeń, panowie”. Są to słowa wstępującego na tron Aleksandra II, „Żadnych złudzeń”. On sam też ich chyba sobie nie robił, zwłaszcza, gdy jego szczęśliwi poddani kilkakrotnie usiłowali go ukatrupić. Wreszcie, za którymś razem, po dwudziestu kilku latach panowania zdrapano batiuszkę z jezdni i z murów okolicznych domów. „Żadnych złudzeń”.

– I sądzisz, że długo można w ten sposób, bez złudzeń i z daleka?

– Sądzę, że długo, choć po cichu marzę, żeby jak najkrócej.

– Pamiętasz bardzo popularną idiotkę, która śpiewała jeszcze bardziej idiotyczny przebój o tym, że najświętszy i najważniejszy jest święty spokój? Czy właśnie to jest twoją dewizą?

– Nie zrozumiałeś mnie – skrzywił się Michał. – To o czym mówisz – pamiętam dość dobrze słowa tej piosenki – jest chwalstwem odmóżdzenia i wegetacji. Ja po prostu wypinam dupę – czego i tobie z całego serca życzę i radzę – nie rezygnując przy tym z myślenia i robienia czegokolwiek własnego. Robię i myślę po swojemu, a rezygnacja z odgrywania którychś tam skrzypiec w orkiestrze kretyków pod batutą kretyna do n-tej potęgi, może się okazać i na pewno okaże się zbawienna.

– Tfu, do diabła! Jestem zmęczony. Nie katujmy się więcej, wszak nie jesteśmy masochistami.

– Racja, racja, czas najwyższy porozmawiać przy literku o rzeczach lekkich, łatwych i przyjemnych, choćby na ten przykład o babach.

Krzysztof na myśl o literku poruszył się niespokojnie. Nie był to jeszcze czas, w którym mógłby zdecydowanie odmówić, a jednocześnie chciał wytrwać w swoim postanowieniu. Począł więc bronić się nieśmiało i bez wewnętrznego przekonania:

– Nie powinniśmy raczej pić. To znaczy, ja nie mogę – poprawił się widząc, że kolega patrzy na niego jak na okaz w formalinie.

– Jak to nie możesz? Zaszyleś się, czy leczysz kiłę?

– Ani jedno, ani drugie. Chciałem trochę odpocząć, organizm mi wysiada...

Michał pokiwał głową i roześmiał się.

– Biedny i nieszczęśliwy. A myślisz, że ktokolwiek z nas jest filarem zdrowia? Jeśli chcesz, to siedź dalej przy tym stole i popijaj herbatkę, ale w takim razie nie masz co liczyć na odmianę nastroju. Przeżywamy kolejny moment dziejowy, no i jest okazja do wypicia.





– A jutro? – to była już ostatnia próba obrony.

– Jutro? Jutro pewnie zwariujemy, albo nas zaciukają. „Nasze jutro na pewno będzie gorsze od naszego wczoraj” – gdzieś to wyczytałem, ale już nie pamiętam gdzie. Zapamiętaj sobie: jutra nie ma i nie będzie.

I rzeczywiście, po niedługiej chwili rozmawiali już tylko o rzeczach łatwych, lekkich i przyjemnych. Słońce dawno przeszło na zachodnią stronę i podgrzewało wódkę w kieliszkach. Warto zauważyć, że wszystkie kieliszki Michała miały poutrącane stopki. Aby nie trzeba było cały czas trzymać ich w rękach, wymyślili kiedyś sposób tyleż prosty, co wywołujący zgorszenie u niektórych: kalekie nóżki kieliszków najzwyczajniej wbijało się w bochenek chleba i naczynia mogły już sobie stać do sądnego dnia nie roniąc ni kropli alkoholu. Michał miał nawet taki dyżurny bochenek wyschnięty na kamień dzięki czemu nie było konieczności profanacji kolejnych darów bożych podczas każdej libacji.

Pili sobie teraz spokojnie, sięgając co chwila w stronę podziurawionego bochenka i powoli zapominali o bożym świecie, który od dawna zdawał się zmieniać właściciela.

W pomieszczeniu powoli szarzało, rozmowa toczyła się wartko, a literek coraz bardziej zmniejszała swe parametry. Wrócili do wspomnień z dawnych czasów i niemiłosiernie obgadywali znajomych. Krzysztof – taki miał zwyczaj – wstawał co jakiś czas i podchodził do okna, nie przerywając dyskusji. Kierował spojrzenia na ulicę. A tam całkowity spokój, a raczej parszywa nuda. Nuda ziejąca z wnętrza ziemi i wsiąkająca w ziemię, przenikająca wnętrza domów i nawet ludzkie dusze.

Krzysztof wyłączył się na moment. Przypomniał sobie przekleństwo jakim Chińczycy obdarowywali swoich wrogów: „obyś żył w ciekawych czasach”. Na miarę schyłku dwudziestego wieku można by wymyślić przekleństwo jeszcze gorsze: Obyś żył w ciekawych czasach i oby zżerała cię nuda. – Kto wie – myślał – czy nie jest ona stokroć bardziej dotkliwsza od wszystkich innych cierpień. Od niej nie można uciec. Nie można o niej zapomnieć. Trzeba z nią żyć.

Odrywał się od parapetu, odrywał się od nudy i ochoczo powracał do kolegi przy stole, aby znów po chwili znaleźć się przy oknie.

Cienie wieczoru wraz z papierosowym dymem zasłoniły już ciemniejsze kąty. Pająki poszły spać, a w butelkach brakło wódki. Mimo niemałej ilości wypitej gorzały, żaden nie czuł się pijany i pewnie piliby do rana, gdyby nie nagły nawrót silnej woli Krzysztofa.

– Pójdę już sobie. Wypiliśmy akurat tyle, żeby czuć się dobrze i nie mieć specjalnej ochoty zakatowania się na amen. Dzięki za miły wieczór.

Michał wyciągnął dłoń.

– Cześć. Szkoda, że tak wcześniej, ale jak koniecznie chcesz, to pies cię trącał. Odezwij się prędko.

Krzysztof wyszedł podochocony i pewny siebie. Rzeczywiście czuł się dobrze. Raz po raz zaczepiali go uliczni handlarze wódką.





– Trzeba co?

– Nie trzeba – odpowiadał wesoło, mijając jednych i zbliżając się do następnych, aby wymienić te same słowa.

Postanowił przejechać na drugą stronę Wisły. I zrobić dłuższy spacer piechotą do domu. Nie obawiał się żadnych przykrych niespodzianek. Odezwiała się w nim żyłka obserwatora.

Podjechał jakiś tramwaj. Krzysztof wskoczył i po chwili z powrotem przemierzał Wisłę.

– Nie uciekniesz przed własnym gównem, nie uciekniesz przed gównem, nie uciekniesz... – szeptała natrętna myśl i choć nie zawierała ona cienia nadziei i nie powinna była się podobać, Krzysztof uśmiechnął się pod nosem, dopuszczając do siebie tylko pierwszą warstwę zdania. Nie analizował treści. Bawiło go samo sformułowanie.

Wreszcie tramwaj dowieźł go do miejsca, z którego postanowił ruszyć w stronę domu na własnych nogach. Od celu dzieliło go jeszcze sporo ulic, kilka placów, osiedli, pomników i zamykanych już obiektów gastronomicznych.

O tej porze na ulicy spotyka się już tylko konsumentów powracających do złych żon, śpiących dzieci, zatroskanych matek, czy – jak w przypadku Krzysztofa – zniechęconych i lubianych zarazem, czterech kątów. Można też jeszcze nadziać się na gliniarza, który zaczepi przeważnie tylko w momencie, gdy oceni, że jest szansa na łapówkę.

Krzysztof mijał powoli obiekt za obiektem i rozglądał się na prawo i na lewo. Patrzył też uważnie na ziemię, by znaleźć ślady nagonki, która zburzyła mu cały miniony dzień. Śladów tych już jednak nie było. Najprawdopodobniej ostatnim śladem będzie brak reakcji. Wstydlive i tak powszechne, że aż głośnie milczenie. Całe zdarzenie zostanie odesłane w niebyt nieistniejący od nigdy. Proceder ten jest podstawą naszych czasów i gwarancją spokojnego istnienia ślepych i głuchych.

Z zadumy wyrwał go pijacki śpiew: – Mona Lisa, Mona Lisa, Mona Lisaaa!!! – ryczał rozanielony grubas, chwiejący się u drzwi zamkniętej knajpy. Wyciągnął przed siebie ręce jak ślepiec i zrobił dwa dziwne kroki w kierunku Krzysztofa.

– Gdzie moja ukochana, nie wie pan? Oddajcie mi ją! – wrzeszczał płaczkliwie, nie przestając jednak śpiewać. Krzysztof rozejrzał się. Kompletnie pijana Mona Lisa opierała się o słup ogłoszeniowy. – Pewnie za chwilę rzygnie – ze znajomością rzeczy stwierdził Krzysztof i zwrócił się do jej partnera.

– Tam stoi pana dziewczyna. Niech się pan wysili i spojrzysz.

– Aaa!!! Jesteś!!! Mona Lisa, Mona Lisa, Mona Lisaaa!!! – zatoczył się i teraz razem opierali się o słup wykonując dziwny taniec godowy. Jutro już pewnie o sobie zapomną. Ona wróci do męża, on do żony i więcej nigdy się nie spotkają. Spotkają natomiast na swej drodze innych i inne, ażeby uciec z nimi na jedną noc od szaro brudnej codzienności.

Krzysztof ruszył dalej. Myślał o sobie, o nie-swoich przeżytych latach, które zostały mu brutalnie odebrane. Po części oddawał je dobrowolnie, nieraz inaczej nie moż-





na było zrobić. Myślał także o innych jemu podobnych i całkiem różnych. Trzydzie-
sto i siedemdziesięcioletnich, którzy oddali już o wiele więcej i niedługo odejdą bez
niczego i być może donikąd.

W miarę przebywanej drogi i niewesołych rozmyślań tracił dobry, choć przecież
sztuczny nastrój.

– Nie uciekniesz przed własnym gównem – powiedział głośno i już nie wesoło.

Wszedł w nowe osiedle. To go zawsze dobijało. Na szczęście było ciemno i nie wszyst-
kie koszmarki musiały zostać dostrzeżone. Bunkry-giganty, przy których architektura
stalinowska wydaje się szczytem pomysłowości, estetycznego myślenia i humanitar-
nego traktowania ludzi, były już zasnute mrokiem. Okropne dzieci jak złośliwe kras-
nale – szkodniki, poruszające się po placach, zdolne wszystko zepsuć i wyprowadzić
z równowagi samego Pana Jezusa – spały w swoich seryjnie wyprodukowanych, iden-
tycznie obrzydliwych łóżeczkach. A co najistotniejsze, dorośli pozamykali się w swych
klatkach i nie straszą swą żalosną elegancją i nadętymi gębami. „Ludzie ludziom zgo-
towali ten los” i gotują dalej z coraz większą wprawą.

Przez osiedle przechodził szybkim, prawie nienaturalnym krokiem. Tęsknił już za łóż-
kiem, chciał zatem jak najszybciej dotrzeć do siebie. Starał się nie myśleć o niczym,
nie analizować siebie i otoczenia. Wyżywał się na wszystkich napotkanych kamie-
niach kopiąc je bezlitośnie. Zostało jeszcze kilkaset metrów, kilkadziesiąt, schody... Uff!

Nie miał siły się myć. Może zrobi to jutro. I tak żadna dziewczyna do niego nie przyjdzie.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Wszystko na swoim miejscu. Tak jak i w życiu. Żad-
nej rewolucji nie będzie. Rewolucje są tylko pozorne, a rzeczy bardzo rzadko zmie-
niają swe miejsca.

Kładł się z myślą, że jutro – którego nie będzie – że pojutrze, za rok, całe wieki, polo-
wania nie ustaną. Być może są one potrzebne jak tlen, zwłaszcza te łagodne, bardziej
„humanitarne”. Takie wyrwania zdrowych zębów, po to tylko, żeby wszystko – sprzęt,
dentyści, no i pacjenci – trwało na własnych, przeznaczonych miejscach.

Po podłodze pełznął w jego kierunku karaluch. Odruchowo chwycił za but, żeby roz-
płaszczyć robaka. Nie zrobił jednak tego. Wypuścił broń z ręki i niepomny niedawnej
rozmowy z Michałem o śmieszności gestów i ich pozornym znaczeniu, uchylił kołdry
i przyjaznym kiwnięciem dłoni zaprosił insekta do ciepłego posłania.

30.VI.1984 N.M.P Norbert Pietrzak

*Powyższe opowiadania nigdy nie były publikowane za wyjątkiem dwu tekstów.
Dziękujemy Marii Eberhardt za ich udostępnienie.*





STRES

Grzegorz Eberhardt

- Czy tu można normalnie żyć?! – pyta zdenerwowany Jakub.
- Gdzie „tu”...?! – Norbert rozgląda się po pokoju, zerka na sufit – on tylko tak wygląda, trzyma się mocno – komentuje stan żyrandola.
- Nie pieprz, człowieku! – Teraz dopiero spostrzega ledwo, ledwo trzymającą się konstrukcję z brązu, odsuwa się bliżej ściany. – Ja mówię o tej krainie prywislanskiej, święniętych ludziach i stosunkach!
- Norbert poprawia się na tapczanie, nogi w butach ostrożnie układa na poręczy, nie chcąc urazić czystej pościeli. Na słowa kolegi nie reaguje, ma dość swej walki z kaczem, który teraz, w południe, a przed trzynastą, najmocniej chwytą, obłapia i wniwecz obraca wczorajsze ambicje, plany. Przybysz właściwie odczytuje jego milczenie, sam jest wyspany, do kaca daleko. Zresztą tym bardziej noszą go wąpły, czyli nerwy.
- Tyś już się przyzwyczaił – szybko wyłapawszy niezręczność i fałsz takiego sformułowania, prostuje – ja też... To już jednak tyle lat!... Ale pytam, czy tak wypada?! Czy tak wypada żyć?! – wbrew chęciom słyszy, że krzyczy.
- Jadłeś coś dziś, jakieś śniadanie...? – pyta troskliwie kolega, niechętnie skupiając swe zmęczone oczy na podskakującym przybyszu.
- Jadłem, jadłem! Polak, chciałeś rzec – głodny to zły...
- Sam powiedziałeś – umęczony wzdycha z tapczanu.
- „Polak”, co to znaczy?! – ale nie podnosi głosu.
- Daj spokój, łeb mi urywa, a ty...
- Chociażbyś miał z głowy! – ale nie do śmiechu mu. – Męczę się...
- Twój wybór – mruczy Norbert skupiwszy się na widocznym z łóżka tomie Huizingi: niepewien czy warto go obejrzeć... Ale dalej się nie rusza, Huizinga nie ucieknie.
- Dobra! Powiedz mi, czy mam prawo, ja, docent, uważać, że jest cacy?!
- Nie masz – zgadza się kumpel. – Nikt nie ma – niezbyt potrzebnie dodaje.
- Nie, na pewno nie! Ale czy ja mam prawo, na ten przykład, zakochać się...?!
- Dlaczego nie...? – dziwi się pytany.
- Tu?! – czuje niedokładność pytania, szybko uzupełnia – no, tak... ja już to uczyniłem!
- To i o co chodzi?! – niby pyta, ale współczuje.
- No, właśnie!... o to, że mi – często, oj często – głupio! Miłość to coś dla normalnych ludzi i w normalnym świecie. Wyobraź sobie, że – bo i tak może być, do kurwy nędzy! – że zakochałem się z... rozpaczy! – Usiłuje prostować – To znaczy, że i taka może być wersja. Rozumiesz! Miłość w miejsce pustki! Ba, panicznej pustki!
- Norbert woli nie komentować, słucha i jakby mu lżej tylko z kaczem.





– Taaa! Właściwie tu zawsze odczuwa się pustkę. Owszem, kiedyś nauka, wiedza i tym podobne miazmaty...Mówię „miazmaty”, bo tym było dla mnie, jeśli po kilku kopniakach przestały być dla mnie tym, czym miały być. No, tak! Polityka! Na chuj było budowanie szklanej wieży, gdy nie ma muru by obronić się przed tą kurwą rzeczywistością...?! Dałem się wciągnąć, kurwa!

Norbert zaczyna podejrzewać kolegę o pokątne kiblowe pociąganie wódy albo bimburu, za co – w swoim stanie – może mieć autentyczny żal. Pijany Jakub to oznacza słyścić „kurwę” w co drugim zdaniu.

– A później trzynasty grudnia, znowu kop w mój romantyczny tyłek – tu chwilę się zamyślił nad „romantycznym tyłkiem”, ale machnął ręką i swoje dalej ciągnął – później robota, tygodnie, miesiące, które – kurwa – w lata poszły!

– Na diabła ci ta powtórka z historii?!

– Dobra! Dość! W każdym razie cynkuję ci o tym, iż mogła narastać we mnie rozpacz! – z ulgą oddycha, jak po bardzo ważnym, a wstydliwym wyznaniu.

– W każdym z nas uspokaja kolega.

– Wiem. Lecz to akurat dotyczy mnie. Mnie osobiście! To ja pytam czy ta dziewczyna czasem nie jest w miejsce czegoś...?! – i co na to może słuchacz odpowiedzieć, więc sam musi kontynuować. – Wiara w cud polityczny przeszła w constans, gdy kiedyś była oczekiwaniem poranka, tfu!, że się tak wyrażę... Więc co?! Czym wypełniać siebie?! – górnolotnie, choć w trakcie zapalania kolejnego papierosa – bo nagle, fru!, jest ona, dziewczyna!

– I jesteś szczęśliwy – podrzuca Norbert.

– I jestem – przyznaje gość.

– Ale masz wątpliwości... A tego, kolego, tak łatwo nie ukoisz! Musiałbyś...sprawdzić, ot co! Musiałbyś, kretynie jeszcze raz to przeżyć – powoli ciągnie kolega – musiałbyś żyć w normalnym kraju, tam spotkać tę dziewczynę, zakochać się... Albo i nie zakochać! – rechocze, ale zaraz się hamuje i poważnie pyta.

– A o co, właściwie, tak się wkurzyłeś?!

– No, bo czy to normalny kraj, kurwa, że nigdzie nie można „Komfortu” dostać?!

Przyp. autora: „Komfort” – nazwa własna pasty do prania. Pasta ta była używana jako jeden ze składników farby drukarskiej przy podziemnej produkcji np. „Tygodnika Wojennego” czy pomniejszych druków ulotnych (mowa tu o technice sitodruku). W miejsce „Komfortu” można także było stosować pastę do rąk BHP, mocno ona jednak pogarszała jakość druku.

Przyp. redakcji: Jednym z bohaterów opowiadania Grzegorza Eberhardta jest jego przyjaciel Norbert Pietrzak

Opowiadanie ze zbioru „Puenty”,
Własna Inicjatywa Wydawnicza EGO, W-wa 1997. (Bibuła 2/2004)





Spis treści

Bezpieka i buty.....	3
KARTKA Z PODZIEMIA	5
Pożegnania	15
Jacek Arct	17
Kasztanka mnie bił!	22
Agenci kontra podziemie.....	25
Pierwsza wpadka i następne.....	26
Świąteczny kocioł	39
Tajemnice wpadki Borusewicza	41
Jak SB wytropiła Bujaka	48
Agenci kontra podziemie	56
Tajemnice radomskich taśm.....	65
Dwie paczki proszku	75
Walizka pełna strachu.....	78
Przypadek Piotra Franielczyka.....	79
Apel w sprawie Mirosława Chojeckiego	92
Słownik wyfrunął.....	95
Siedmiogród przed upadkiem dyktatury Ceaușescu.....	97
Siedzą baby w areszcie.....	103
Noc generałów	104
Prawo stanu wojennego.....	104
Ofiary stanu wojennego.....	104
Śmierć z rąk ZOMO	105
Stan wojenny.....	106
Druki ulotne i grafika obozowa milicyjnych związkowców w 1981 i 1982 r.	110
Siedzą baby w areszcie	115
Internowani w areszcie śledczym w Białolece	117
Jak Polak z Polakiem	121
Wojskowe Obozy Specjalne. Czerwony Bór	126
Oleszno – Czerwony Bór – Kępa Panieńska	131
Geta grafika na „Trybunie Ludu” i nie tylko.....	134
Zielony nosek i inne opowiadania.....	139
STRES.....	212